P 2390-2

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

1-5 kpl.

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

SIERPIEŃ 1945

ROK I

ZESZYT 1

NOTICE

THIS VOLUME IS INCOMPLETE

THE FOLLOWING ISSUES ARE NOT AVAILABLE:

no. 6 1945

TWÓRCZOŚĆ
SIERPIEŃ
1945

TREŚĆ ZESZYTU:

LEOPOLD STAFF: *** / POGODA PÓŹNEJ JESIENI / PRZYMIERZE
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ: STARA CEGIELNIA
CZESŁAW MIŁOSZ: PRZEDMIEŚCIE / CAMPO DI FIORI
JERZY ANDRZEJEWSKI: POWRÓT
JULIAN PRZYBOŚ: DO CIEBIE O MNIE / ZJAWISKO WIOSENNE
JALU KUREK: POD GAŁĘŹMI DWÓCH DRZEW
TADEUSZ HOŁUJ: WIEM, ZDECHNĄĆ MOGĘ...
JAN WIKTOR: NA ZIEMI PIASTÓW
ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI: ROZMOWA
TADEUSZ PEIPER: W JAKUCKU (CZ. I)
ROMAN DYBOSKI: ODRODZENIE POEZJI W AMERYCE XX WIEKU
KAZIMIERZ WYKA: GOSPODARKA WYŁĄCZONA
SPRAWY I TROSKI: WARSZAWA
SPRAWOZDANIA

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

ROK I

ZESZYT 1

SIERPIEŃ 1945

10.000 EGZEMPLARZY

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 02611

Zakres miesięcznika, którego pierwszy numer oddajemy Czytelnikowi do rąk, najprościej ujęty jest w jego tytule — „Twórczość". Miesięcznik nasz pragnie być przede wszystkim wiernym odbiciem współczesnej twórczości w prozie i poezji, odbiciem tych przemian duchowych i społecznych ostatnich lat, które znalazły już wyraz w dziełach pisarzy. Termin twórczość jest tutaj zarazem pewną wskazówką oceny — pragniemy, by na łamach pisma znajdowały miejsce przede wszystkim utwory, które w dostępnej nam mierze są w dzisiejszej literaturze nowe, są — twórcze.

Z tak pojętego zakresu pisma wynikną dalsze jego cechy. Dozna zawodu, kto by sądził, że tylko pewien typ stylu w prozie, pewna odmiana stylu w poezji będzie górować. Pismo na pierwszym swoim etapie będzie — sami ten przymiotnik kładziemy — różnolite. Będzie nim, ponieważ różnokierunkowa jest obecna twórczość polska. Dopiero wybór, konfrontacja na szeroką skalę, której areną pragnie być „Twórczość", dopiero wspólny eksperyment czytelnika i kierownictwa pisma zacieśni zapewne ten wybór zrazu rozległy. Co nie znaczy, by kierownictwo miesięcznika nie przeczuwało jego wyników, by czekało dopiero na objawienie. Pismo pragnie być przewodem dla sprawy realizmu humanistycznego i społecznego w prozie, przewodem dla pozostającego do wypracowania stylu w poezji.

Prawdziwa twórczość dzisiejsza sięga poza granice prozy powieściowej i poezji. Gatunki takie, jak essay literacki i społeczny czy filozoficzny, jak prawdziwy reportaż, chociaż względnie u nas rzadkie, w dobie wielkiego rozrachunku form społecznych i idei wywierają na czytelnika silniejszy wpływ, niż kiedykolwiek, i potrzeba ich jest szczególnie wielka. W tej dziedzinie nie ma naturalnie mowy o eklektyzmie, troską będzie jedynie należyta jakość materiału. Troską będzie dalej szkolenie przyszłych essayistów i krytyków literac-

kich na wielkich wzorach krytyki Zachodu i rosyjskiej, podawanych w tłumaczeniach. Troską szkolenie poety na podobnych wzorach poetyckich. W ten sposób, prócz obrazu twórczości, pismo pragnie stwarzać fundamenty pod szeroko pojętą krytykę i naprawę dzisiejszego stanu literatury, jest — słowem — literacko-krytyczne.

Tak pojęta „Twórczość" służyć będzie piśmiennictwu, które powstało w latach najcięższych naszej historii, i tej twórczości torować drogę, jakiej domaga się przyszła kultura polska, kultura Polski demokratycznej i realnej politycznie.

* * *

Z nad ciemnej rzeki wiatr przylata
I mglistych wspomnień woń przynosi.
Pamięć maluje przeszłe lata,
Jak raj anielski dawni Włosi.

Potem kask, miecz i pęd podróży,
Płomień na ostrzu smukłej dzidy,
Kiedy chadzałem w szatach burzy
I żeglowałem do Kolchidy.

Dzikie porywy i zapędy,
Zuchwałość butna i wyniosła...
Wreszcie manowce, winy, błędy —
I połamane leżą wiosła.

W ruinach pająk sieci snuje,
Czas każe płacić wiosny długi.
Lecz nie żałuję, nie żałuję
I wszystko spełniłbym raz drugi.

Bo coś w szaleństwach jest młodości,
Wśród lotu wichru, skrzydeł szumu,
Co jest mądrzejsze od mądrości
I rozumniejsze od rozumu.

POGODA PÓŹNEJ JESIENI

Pogoda późnej już jesieni
Słoneczny miód na ziemię zlewa.
Liście się złocą w sto odcieni.
Powiewa wiatr i szumią drzewa.

Rozkosz najsłodsza i okrutna
Upaja serce bezlitośnie.
Nieba głąb blada jest i smutna,
Jak w dniach starości myśl o wiośnie.

A drzewa nie przestają szumieć,
Nadziei pieśń czy wyrzeczenia?
Serce daremnie chce zrozumieć,
Gdzie nie ma nic do rozumienia.

PRZYMIERZE

Zaciągasz nad mą głową noc,
Ciemną kurtynę.
Omdlewa we mnie światła moc:
Zagasnę, zginę.

Zewrzyj się wkoło mnie i zgęść
Powłoką czarną.
Niech ściśnie mnie twa twarda pięść,
Jak żywe ziarno.

Choć w miazgę zetrze wszechmoc twa
Mą myśl i ciało,
Przymierze moje z tobą trwa
I będzie trwało.

STARA CEGIELNIA

OPOWIADANIE

Był letni, chłodny choć słoneczny dzień. Wiatr dął porządny. Pan Antoni, stróż starej cegielni wyjrzał przez okno swojej izdebki i zobaczył młodego człowieka stojącego nieopodal. Nie lubił, jak się tutaj kręcili niepotrzebni ludzie i wciągnął z niezadowoleniem powietrze. Młody człowiek stał plecami do pana Antoniego i gapił się na budynek szkolny, znajdujący się po przeciwnej stronie drogi. Antoni przypatrzywszy się mu skonstatował, że jest to jakiś obdartus i jeszcze silniej się zmarszczył. Chłopiec miał na sobie krótkie spodnie, granatowe w paski, z odmienną łatą na siedzeniu, na to nadzianą ciasną popielatą kurteczkę, od porządnego niegdyś, sportowego ubrania i nasunięty na głowę kaszkiet, spod którego sterczały zaczerwienione uszy. Obdartus odwrócił się ku oknu i wtedy pan Antoni spostrzegł, że pod szarą kurtką ma on owiniętą szyję wąskim włóczkowym szalikiem różowego koloru, który stanowił raczej dziwaczną ozdobę, niż praktyczne dopełnienie stroju. Młody człowiek miał jedno tylko oko. Nie podobało się to Antoniemu.

Chrząknął, powstał ze stołka i wyszedł przed dom. Ponieważ wyjście z izdebki znajdowało się z innej strony, od strony glinianek, stracił młodzieńca z oczu. Gdy okrążywszy róg domu znalazł się przed swoim oknem, chłopiec już siedział na małej drewnianej ławeczce pod ścianą. Uśmiechnął się i pozdrowił uprzejmie pana Antoniego.

Ten jednak pozostał nieprzejednany. Zatrzymał się i chwilę podejrzliwie spoglądał na nieznajomego.

— Co pan tu uważa? — zapytał wreszcie z wysoka.

Młody człowiek raz jeszcze zdjął kaszkiet. Spod czapki ukazały się włosy gęste i sztywne, równe jak druty i starannie przyczesane. Czoło miał nieco ściśnięte, wąskie i wysokie, twarz krągłą i dobrze ogoloną, a jedyne oko czarne i błyszczące uśmiechało się łagodnie.

— Tak — powiedział łagodnym barytonem — odpoczywam.

— Nie ma pan to gdzieindziej miejsca na odpoczynek?

— O, przecie panu tych murów nie ugryzę — odpowiedział młody i spojrzał pogardliwie na otoczenie.

Rzeczywiście nie było tam czego pilnować. Ławeczka, na której siedział przybyły, stała pod czerwonym, bardzo zniszczonym murem starego kantoru cegielni, w którym mieściła się izdebka stróża. Dach na całym budynku zapadł się, okna powybijane świeciły pustkami. Opodal w stronę glinianek stał zapadający się okrąglak z rozsypującymi się cegłami; była to podstawa dawnego komina rozbitego w czasie wojny. A dalej aż do kolejki i za jej torem ciągnęły się glinianki, małe, głębokie stawki pełne zmarszczonej lazurowej wody. Tworzyły one pejzaż górski, osamotniony i przykry w tym momencie silnego zachodniego wiatru. Po drugiej stronie kantoru przechodziła droga do Pruszkowa. Za nią widniał długi rozwalony barak, też należący dawniej do cegielni, żałosny, opuszczony budynek — a w jednym z nim rzędzie nagle porządny, dwupiętrowy gmach szkoły z czterema świerkami przed oknami, ogrodzony solidnymi drewnianymi sztachetami, pomalowanymi na zielony kolor. Dawniej podwajał te sztachety akacjowy szpaler, ale akacje niepodcinane wyrosły na duże drzewa i uniosły wysoko swoje kędzierzawe głowy. Całe to otoczenie wyglądało jak bukiet zielony i wyrywało się na tle równych zaniedbanych pól i leżących odłogiem terenów otaczających stare glinianki.

— Jeszczeby się tu niejedno dało ugryźć — powiedział posępnie pan Antoni — ale tylko że nie dam.

Młodzieniec gwizdnął w odpowiedzi. Antoni niespodziewanie odezwał się innym tonem:

— Posuń się pan.

Młodzieniec skwapliwie przetarł przykrótkimi spodniami szorstką deskę i stary usiadł obok niego na ławce.

— Wiatr — powiedział po chwili.

— Nie ma tu jakiej roboty? — spytał chłopiec.

— E, skąd tu robota? Tu się wszystko rozpada.

— No, tu tak, na ciegielni. Ale, tak w ogóle?

— Pan nie tutejszy?

— Tutejszy, pruszkowski, ale z tamtej strony. Od Żbikowa.

Stary skręcił papierosa, wydobywszy tytoń w blaszanym pudełku. Młody patrzył bez przerwy na budynek szkolny. Stare domostwo o prostych, ładnych liniach, z prostym dwuspadowym dachem przebłyskiwało żółtym tynkiem pomiędzy czarnymi, dużymi świerkami.

— Szkoła — powiedział nieznajomy.

— A szkoła — mruknął Antoni.

— A na drugim piętrze kto tam mieszka? — powoli cedził jednooki.

— Mieszkają. Lokatorzy.

— Czy to tam ta krawcowa mieszka?

— A czy ja wiem? Nie godziłem się tam za stróża. Mieszka.

Chłopiec się zniecierpliwił nieżyczliwym tonem stróża i spojrzał na niego niechętnie swoim jedynym okiem.

— Coś pan taki nieużyty — jak i nie człowiek.

— A pan po coś tu przyszedł? Na przeszpiegi?

— Przyszedłem, bo chciałem. Patrzcie no go...

— Po co pan tu łazisz. Roboty tu nijakiej nie ma.

Cały ten dialog wypowiedziany był z obu stron spokojnym, równym tonem i bez akcentu gniewu. Rozmówcy spojrzeli na siebie.

— O, panie Antoni — powiedział nagle przeciągle jednooki — co pan sobie myśli. Będzie mi pan tutaj imponował. Ja pana znam przecie od dziecka.

— Ja pana nie znam.

— Mojej matki pan nie znał? Mielczarki? Co sklepik miała za stacją? Opowiada pan!

— A toś pan Mielczarki syn? Nie pamiętam. Tyle was się tu kręci.

— Jużbyś pan i po tym poznał — pokazał na oko — aleś pan nieużyty.

— A do czego pan mnie użyć chciałeś?

— Wyszedłem. Tak, na spacer. Chcę sobie odpocząć. A pan mnie jakby i wyganiał.

— A siedź pan sobie z Bogiem. Wypoczywaj. Taki młodziak i wypoczynku potrzebuje.

— No, i co? Krawcowa ta mieszka tutaj?

— Mieszka, powiedziałem, że mieszka.

— Sama mieszka?

— Z matką i z bratem — takim tam małym szczeniakiem.

— A teraz chyba w domu siedzi?

— Pewnikiem.

— A robotę ona ma?

— Czy ja wiem. Ja kiecek nie szyję.

— O!

— Mówią, że się z nauczycielem — z tej niby szkoły — kochają.

— O!

To drugie „o" zabrzmiało raczej boleśnie. Młody człowiek wstał teraz i stał taki skurczony pod wiatrem, który opinał na nim popielatą kurtkę. Różowa włóczka szalika drżała lekko targana powiewem czy oddechem męskiej piersi. Miał jakieś dwadzieścia pięć, sześć lat.

— To pan jest Mielczarek?

— Wacek, Wacek Mielczarek.

— A matka nie żyje?

— Aha, umarła. Rok będzie na jesieni.

— A pan co?

— A ot tak! Na wolności.

Antoni podejrzliwie spojrzał na chłopca.

— No, idź pan, idź pan! Z Bogiem — powiedział.

Wacek niechętnie odwrócił się ku stróżowi. Popatrzył na niego z komicznym smutkiem i pokiwał głową.

— Pan musisz tu mieć jakie dolary zamurowane w tych cegłach, ludzi pan odpędzasz, jak ten pies.

Antoni poruszył wąsikami.

— Od psów mi nie wymyślaj psia twoja morda. Jeszczebym ci inaczej powiedział, żebym nieboszczki mamusi nie był znał. Idź stąd.

Wacek wzruszył ramionami, zrobił w tył zwrot; z rękami w kieszeniach wyszedł na drogę. Zimno było. Antoni wrócił do izdebki. Przez okno widać było drogę ku Pruszkowowi i Wacka idącego nią. Skurczony, pochylony, z głową opuszczoną na piersi oddalał się szybko i Antoniemu nagle zrobiło się żal chłopca.

— Co on z tym okiem? — powiedział — a stara Mielczarka fest była kobita, tylko język miała podły. — I usiadł znowu przy stoliku.

Odwiedziny nieznajomego zirytowały go mimo wszystko. Węszył tutaj jakąś sprawkę Elwiry. Niejednego już tutaj przecie przysyłała, aby go niepokoić — a teraz dawno się nie odzywała. Nie lubił takiej ciszy przed burzą. Po pauzie figle Elwiry były szczególniej bolesne, a awantury szczególniej głośne. A teraz już chyba jakie pół roku minęło, jak go szanowna małżonka nie odwiedzała. Będzie pół roku, bo to było jakoś w karnawale, potrzebowała na gwałt pieniędzy. Ależ była heca!

— Byle tylko teraz jak najdłużej ją diabli trzymali z daleka ode mnie — powiedział do siebie — póki ten tam leży. Bo gdyby babsko... nie daj Boże.

Podniósł się ze stołka i począł rozpalać pod piecem, pora gotowania obiadu zbliżała się. Już czwarty rok tu mieszka w takiej samotności, a dawniej to też wesoło tu nie było. Cegielnia opuszczona już chyba z piętnaście lat, po wyczerpaniu ostatniej glinianki. Drewniane stropy i dachy suszarni dawno rozebrane przez mieszkańców przedmieść na opał, właściciel terenów gdzieś wyjechał, kiedy wróci nie wiadomo, a on jakimś cudem tutaj sobie mieszka. Kartofle rodzą się wkoło glinianek jakie takie, i jakoś tak się żyło i nawet było spokojnie, dopóki ten...

Pan Antoni spojrzał w stronę szkoły, ale Wacka już nie było widać, natomiast panna Klara wyszła z domu do miasteczka. Wiatr wydymał jej białą sukienkę i słomkowy kapelusz musiała trzymać obu rękoma. Słońce stało wysoko na niebie i złociło pannę Klarę, jej ręce i jej kapelusz. Antoni patrzył jakiś czas, jak szła drobnym, równym krokiem. Dopiero teraz domyślił się wszystkiego.

— To on do niej przychodził. Chwała Bogu, że nie do mnie.

Wniosek ten potwierdziła mu całkowicie wizyta małego Jasia, brata panny Klary, który go odwiedził po południu. Jasio miał lat około dziesięciu i teren starej cegielni był wymarzonym miejscem jego zabaw i szaleństw. Przychodził też często do pana Antoniego, pod jego opieką zostawiał swoje proce i wędki, pomagał mu rąbać drzewo i w ogóle lubił przebywać w atmosferze zapuszczonych, na pół walących się murów. Ostatnio wszakże pan Antoni był często w złym humorze i odpędzał Jasia od cegielni. Szkoła była nieczynna latem i Jasio nie miał żadnego zajęcia, czasami go tylko siostra posłała z robotą do której klientki — poza tym miał używanie. Latał więc na glinianki, kąpał się po całych dniach i łapał ryby na wędki. Miał też tutaj całą kompanię wyrostków.

Jasio stanął dzisiaj przed panem Antonim, spojrzał na niego swoim przejrzystym, jasnym wzrokiem i podskakując trochę — nigdy nie mógł ustać spokojnie na miejscu — zawołał:

— A ja wiem, kto u pana dziś był, wiem, wiem. Widziałem.

— Coś widział? — pan Antoni spojrzał niespokojnie.

— Widziałem! — Jasio okręcił się na pięcie. — Wacek był u pana.

— Wacek? A skąd znasz tego ślepca?
— Tego ślepca! Pan Antoni jest niedobry — Jasio znowu się okręcił.
— Stójże spokojnie, naprawdę — warknął pan Antoni.
— A po co? — spytał Jasio.
— Skąd znasz tego włóczęgę? Co to za jeden?
— Wacek? To mój przyjaciel. Razem ryby łapiemy.
— Ładne zajęcie. Czy on nijakiej pracy nie ma?
— On? Och, on zawsze zajęty. Klarunia mówi...
— To i panna Klara go zna?
— Klarunia? Nieee... ale on by tak chciał ją poznać. On mnie prosił, żeby się mógł z Klarą spotkać...
— Skaranie boskie, będziesz siostrę z łobuzami zapoznawać.
— A ona to niby nie zna pruszkowskich łobuzów? A Wacek wcale nie jest łobuzem.
— Obdartus... — warknął pan Antoni kręcąc papierosa.
— Och, pan Antoni także nie elegant.
— Ty się najlepiej na tym znasz!
— Pan Wojciech — to elegant!

Jasio badawczo patrzył na starego powiedziawszy te słowa, a w oczach jego zabłysły niedobre ogniki, ale zgasił je prędko i znów podskakiwał, uderzając w blat stołu nożykiem, który trzymał w ręce.

— Głupiś ze swoim Wojciechem — mruknął Antoni. — Też znalazł eleganta! Za moich czasów to chłopcy byli eleganccy.
— U pana Potockiego w Peczarze? — zapytał z udaną naiwnością Jasio... Znał on doskonale wszystkie opowiadania starego stróża, który niegdyś był kozakiem u Potockich.
— A jakbyś wiedział — zirytował się stary i tupnął nogą obutą w długi but — jakbyś wiedział. Co mi tam twój pan Wojciech.

Jasio kręcił się po izdebce, zaglądając we wszystkie kąty. Podniósł pokrywę garnuszka, który stał na wygasłym piecu.

— O, kartofle — powiedział — czy to pan chowa na kolację?
— Na kolację — odparł Antoni z wielką niecierpliwością. — No, dosyć już — dodał — nie kręć mi się tutaj i zmykaj pókiś cały. Do widzenia.

Jasio spojrzał spokojnie i z całą ufnością na starego przyjaciela. Naprawdę dziwił się jego złemu humorowi.

— Pan Antoni się zmienił — powiedział — dawniej mnie tak nigdy nie wypędzał.

Antoniemu żal się zrobiło małego.

— Dzisiaj wiatr, rybki brać nie będą.
— Nie mam robaków — odpowiedział Jasio i wzruszył ramionami.

Wyszedł przez sionkę zawaloną gratami i zarzuconą walącymi się cegłami przed dom, skąd był widok na glinianki. Dwa jeziorka leżały przed trasą kolejki elektrycznej, trzy leżały za nią. Każde z nich miało inny charakter. Pierwsza glinianka, położona trochę na lewo, była płytka i taka jakaś bez wdzięku, niby bajoro na brudnym podwórku. Druga, w głębi na prawo, była prześliczna, do

połowy zarośnięta szuwarami i trzciną miała w sobie coś romantycznego. Jasio nie umiejąc nazwać jej zalet kochał ją przecież ponad inne, chociaż ryby brały najlepiej w tej następnej, już za kolejką. Największa leżała najdalej, był to już staw prawdziwy i tam się kąpało w gorący dzień letni pół Pruszkowa.

W tej chwili właśnie przechodził podwójny wagon kolejki, poryw wiatru rozochocił Jasia, przejął jego wątłe ciało zdrowym chłodem. Rzucił się do biegu i pędem minąwszy obie glinianki z tej strony kolejki, przeleciał przez tor, okrążył najmniejszy stawek, na prawo, drobny ale otoczony jak gdyby wzgórzami, i wreszcie powróciwszy tą samą drogą, stanął znowu przed opuszczonym kantorem. Bał się gniewu pana Antoniego, więc skoro usłyszał jego kroki uskoczył za węgieł. Pan Antoni pociągając nosem, trzymając w ręku rondelek z kartoflami powoli wyszedł od siebie, przeszedł za dom i przez drogę skierował się w stronę baraku.

Barak stał po drugiej stronie drogi naprzeciw kantoru i był już zupełną ruiną. Na murach częściowo nie było już dachu, tylko lewa strona jeszcze jakoś trzymała się na potężnych bierwionach, widać było po solidnej budowie starożytność jej pochodzenia. Naokoło murów leżały kupy spadłych cegieł i kawałków kamieni, framugi okien niegdyś tynkowane bielały na tle czerwonych ścian, były zupełnie bez szkieł, miejscami bez ram; drzwi barak nie posiadał, Antoni znikł w jednym z otworów.

To zaciekawiło Jasia, dawno już nie odwiedzał opuszczonego budynku, a teraz pomknął doń i jak gdyby pierwszy raz go spostrzegł, galopem obiegł dookoła, z początku z prawa na lewo, a potem z lewa na prawo. Zatrzymał się nagle przy północno-zachodnim narożniku i podniósł głowę. Wydawało mu się, że dolatują doń stłumione głosy.

W tym rogu widniało od północy duże podłużne okno. Mieściło się ono pod samym okapem ocalałego w tym miejscu dachu i trudno było coś tam dojrzeć. Ale w samym rogu muru widniały resztki jakiejś żelaznej drabinki — wystające kamienie dopełniały komunikacji i Jasio w pięć minut wdrapał się na dach, z dachu pochylił się nad oknem, ale i stąd zajrzeć nie mógł do środka, natomiast doszły go wyraźniej dwa głosy, jeden był głos pana Antoniego, mówiący kresowym, śmiesznym dla Jasia akcentem, drugi był zupełnie nieznajomy, pełny, i choć tłumiony, to dźwięczny.

— Mówię panu — mówił nieznajomy — ktoś po dachu chodzi.

— Ale panie kochany, jedz pan — mówił Antoni — wiatr taki dzisiaj, aż strach. Pewnikiem oderwał kawał papy z dachu i tak nią łopocze. To przecież tu wszystko wali się.

— Żeby tylko kto nie był.

— Któż może być? Chyba wariat po walącym dachu by się pętał.

Jasio widział tylko końce drewnianej drabiny wystającej z okna. Głosy zamilkły, widocznie jednak skryci w baraku ludzie przestraszyli się jego kroków. Powoli, starając się stąpać jak najciszej zszedł z dachu i leciutko skoczył na piasek. Cały barak obrośnięty był dokoła łopianami, krzakami jeżyn i tarniny, można było skryć się w ich gąszcz bardzo łatwo. Jasio też tak uczynił, ukrył się

w gęstych krzakach tuż pod oknem, z którego sterczały końce drabiny. Ale nic nadzwyczajnego nie zauważył.

Już miał się wycofać ze swojego stanowiska, kiedy zainteresował go ten tajemniczy świat oglądany pod gąszczem zarośli. Ziemia pod krzakami była ubita, wydeptana stopkami owadów, widniały na niej mrówcze ścieżki, gdzie niegdzie leżał złoty listek tarniny; Jasio spostrzegł małe szare piórko, gładkie i wykończone, podobne do piór drukowanych na niektórych szkolnych kajetach, tylko o wiele piękniejsze, jakby w srebrze wykute. Pod zwisłymi baldachimami liści łopucha było zacisznie i cienisto, wiatr nie dochodził, małe żuczki łaziły po szypułkach. Jasio wpełzł głębiej w krzaki, gdzie leżało parę kamieni, usiadł i dał się ukołysać ciszy. Niebo poprzez łopuchy i gałązki zdawało się jakieś inne, dostępniejsze i bledsze niż zwykle. Nagle krzaki zaszeleściły, Jasio myślał, że to jakiś pies wpadł w zarośla i chcąc go nastraszyć, przerzucił się na czworaki. Czekał chwilę, aż nagle gęstwina się rozchyliła i również na czworakach pełznący ukazał się Wacek.

Jasio wrzasnął radośnie, ale Wacek położył palec na ustach i syknął przeciągle. Jasio zamilkł natychmiast i podpełzł do jednookiego przyjaciela.

— Co ty tu robisz? — spytał Wacek szeptem.
— Nic. Podpatruję. A ty?
— Ja mam tu swój interes. Pocoś ty tu wlazł?
— Co za interes? Powiedz!
— Aha, abyś rozgadał.
— To ja ci powiem, co wiem.
— A co wiesz?
— Że ty za Klarunią latasz.
— Głupstwo. Możesz to wiedzieć.
— Ale ja wiem inne sprawy.
— Powiedz.
— A ty powiesz?
— Teraz takie czasy, że nic nikomu ani mru-mru.
— Ale mnie?
— Szczeniak jesteś.
— O! Ale milczeć umiem.
— Nie powiesz nikomu?
— Nikomu.
— Ani mamie? Ani pannie Runi?
— Et, babom?
— Ani żadnemu koledze?
— Komu? Jeżeli ty wiesz...
— Nie powiesz?
— Nie powiem.
— Jak kochasz Boga i Przenajświętszą Pannę?
— Jak Boga kocham.
— Jak kochasz Pruszków?
— Jak kocham Pruszków. Gadaj.

— Mam tu pod kamieniami coś.
— Co?
— Coś.
— Złoto?
— E, osioł jesteś.
— Broń.
— Tak, rewolwer...
— Pokaż.
— Zakopany.
— Jaki?
— Brauling.
— Skąd masz?
— Zdobyłem we wojnę.
— Cyganisz!
— Dalibóg.
— Lipa.
— Teraz ty gadaj swoje.
— Tylko chciałbym zobaczyć. Odkop!
— Też coś. Co tu robiłeś? I żebyś się nie ważył tu kopać, bo cię... — tu Wacek zrobił taką minę i oko jego tak zabłysło, że Jasio poczuł dreszcz na skórze.
— Nie, dajże spokój. Za kogo ty mnie masz? — powtórzył ulubione słowa siostry.
— Za szczeniaka.
— Obiecuję ci — Jasio powiedział to bardzo uroczyście.
— No, pamiętaj — powiedział Wacek udobruchany.

W kłótni swojej zapomnieli o szepcie i przeszli na mowę głośną, niektóre okrzyki rozlegały się donośnie. Jasio rozchylił gałęzie tarniny i pokazał Wackowi ocalałe okno baraku.

— Widzisz to okno? Tam się ktoś ukrywa.
— Kto?
— Nie wiem. Pan Antoni tam był tylko co z wałówką.
— Eee — niedowierzająco przeciągnął Wacek.
— Doprawdy? Nie wierzysz — to patrz! — i nie wiele myśląc, Jasio schwycił ułamek cegły leżący pod krzakiem i rzucił nim w okno. W pośpiechu rzucony pocisk nie trafił w cel, ale górując nieco spadł na dach nad oknem, przez co hałas był jeszcze większy. Natychmiast ponad drabiną ukazała się twarz pana Antoniego.

Groźnym głosem zawołał: — Kto tam się ciska?

Jasio od razu powstał na nogi i powiedział czelnie:

— To ja! W kota ciskałem, po dachu się szwenda.
— Kot?
— Tak, jakiś taki obdarty.
— To pewnie on hałasował?
— A pewnie. Na wróbla poluje.

Nagle pan Antoni przypomniał sobie swój gniew i warknął mocno:
— Zawsze tam wyrośniesz, gdzie cię nie posieją. Zmykaj mi stąd. I to od razu. uż cię nie ma.

Jasio zanurzył się w krzaki i trafił na przyjaciela, który leżał na spodzie, płaski przytulony do ziemi jak wąż.
— To ci heca! — szepnął Jasio w samo ucho Wacka i leżeli czas jakiś nieruhomo jak belki na dnie. Łopiany i tarniny poruszały się nad nimi przez chwilę.
— Tam ktoś jest — szepnął Jasio.
— Pewnikiem — odpowiedział Wacek — ale daj im spokój. Teraz nie trzeba ego śledzić.
— Myślisz, że to nasz?
— A ktoby mógł być?
— To prawda. Ach, Boże, żeby to kto nie zwąchał.
— Rzeczywiście. Nie kręć się ty tutaj.
— Zwiewajmy.
— Dokąd?
— Chodź, wykąpiemy się.
— Zimno.
— E, tam zimno! Lato jest. Sierpień. To nawet zdrowo.
— Zdrowo? No, to jazda.

Prześlizgnęli się popod krzakami, wzdłuż muru baraku, potem przez drogę, bok kantoru i hajda na glinianki. Glinianka kąpielowa — to była ta ostatnia. Pomimo chłodnego popołudnia nad brzegiem obszernego basenu zebrała się arstka osób. Był brodaty emeryt z Komorowa, który codziennie się kąpał, ta legancka pani z Ostoi, która się ubierała nad tę glinianke jak na najmodniejszą lażę, w gumowym czepeczku i cudacznym kostiumie z biało-czarnej wełny czerwonym kwiatem u boku. Pozatem opalone nagusy — cała granda pruszowska roiła się po brzegu rzadko wchodząc do wody, która była zimna.

Wacek z Jasiem rozebrali się szybko. Z całej kąpieli Wacek najbardziej lubił en moment, kiedy składał z siebie zbiedzone swoje łachy i zostawał tylko czarnych bawełnianych spodeńkach, które mu służyły także za kalesony. Równał się wtedy z wszystkimi, ba, nawet przewyższał innych, gdyż był wspaiale zbudowany. Nie tracąc nic ze swej młodzieńczości, kształty jego pociągłe piękne wyrażały wielką siłę. Potężne bicepsy harmonijnie łączyły się ze smukłą zyją, której nie przykrywała różowa krajka szalika, a głowa nabierała sensu dumy, znakomicie osadzona nad wspaniałą tarczą piersi. Nawet ten blondyn, tóry przed wojną był oficerem a teraz pracował w „liegenszafcie", nie był tak ięknie zbudowany i gasł wobec potęgi Wacka. Wackowi ten moment rozebraia się wiele wynagradzał, przede wszystkim utratę oka, potem izdebkę nad awnym sklepikiem matki, gdzie dotychczas mieszkał, mróz zimowy i pobicie rzez gajowych, którym się kiedyś nieopatrznie dał w ręce podczas licznych radzieży leśnych. Toteż mimo chłodu i mimo że brązowa jego skóra pokryła ę w krótkim czasie gęsią skórką, przechadzał się nago na wysokim brzegu gliianki tam i z powrotem tak, aby go dostrzegła i granda z Pruszkowa i emeryt Komorową a zwłaszcza elegantka z Ostoi. Z tyłu, na plecach, mniej więcej

gdzie się kończą żebra, miał sporą bliznę, jak gdyby od głębokiego przecięcia. Na pytania Jasia za każdym razem inaczej objaśniał jej pochodzenie: a to że się urodził już z tą blizną, bo jego matka będąc w ciąży asystowała przy bójce, gdzie jeden chłopak drugiego pyrnął nożem; to znowuż w tamtą wojnę, kiedy był jeszcze małym dzieciakiem, żołnierz pchnął go bagnetem, to znowuż że w czasie pożaru skakał ze stodoły, gdzie wówczas nocował na sianie z jedną dziewuchą i zaczepił się o żelazny hak — za każdym razem blizna powstawała z innego powodu, a Jasio zawsze się o nią na nowo wciąż pytał. Miał on w tym także swoje powody: o ile dla Wacka rozbieranie się było tym naiwnym momentem nabierania znaczenia, o tyle Jasio cierpiał bardzo zrzucając koszulkę. Ciało miał wątłe, ręce i nogi chude i szczupłe jak patyki, obciągnięte białą i matową skórą, na której pod wpływem chłodniejszego powietrza powstawały fioletowe plamy. A przytem uczucie wrodzonej wstydliwości czyniło mu własną nagość najprzykrzejszą męczarnią. Dla odwrócenia uwagi Wacka od swego nędznego ciała zadawał mu pytania dotyczące jego potężnej machiny — a więc najczęściej przychodziła kwestia owej blizny.

Dzisiaj Jasio cierpiał bardziej niż kiedykolwiek od zimnego powietrza. Skóra pokryła się plamami, nóżki i ręce obwisły bezwładnie jak członki lalki. Na wspaniałych plecach Wacka blizna nabrała jak gdyby życia, oświetlona zachodzącym słońcem i owiana wiatrem. Na brązowym tle jej biaława plama jak gdyby poczynała żyć życiem gwiazdy. Jasio znowu więc zapytał:

— Wacek, Wacek, powiedz wreszcie kto cię nożem rąbnął?

Wacek odwrócił się ku niemu uśmiechając się. W tym uśmiechu kąty warg jego wąskich podnosiły się w górę ukazując bardzo białe, mocne zęby. W twarzy jego przytem błyskało coś kociego.

— Chcesz wiedzieć, mały? — powiedział — mogę ci powiedzieć teraz naprawdę, kiedy nas wiąże wspólny sekret. Pyrnął mnie bo pyrnął, ale już jego to robaki orzą.

— O jej — przestraszył się Jasio. — Ale?

— Nie ale, tylko tak jest — powiedział Wacek i nagle skoczył do wody. Wynurzył się z fali parskając i chlipiąc nosem i potem ładnie „po kozacku" wynurzając się do pół ciała z wody i klapiąc ozdobnie dłoniami popłynął na środek sadzawki. Zdziwiony Jasio obejrzał się i spostrzegł, że nad glinianką przyszła jego siostra z narzeczonym.

— Klaruniu — zawołał — wykąp się!

Panna Klara wzruszyła ramionami.

Szła w ten sposób brzegiem glinianki, że od razu można było się domyśleć, że chce uchodzić za zjawisko. Stąpała drobnym krokiem i ostrożnie, jak gdyby niosła uważnie swoją kobiecość. Biały płócienny kapelusz przykrywał jej proste ciemne włosy. Dłonie o wysmukłych palcach dźwigała jak gdyby z trudnością, jak dwa wielkie kwiaty, falowała jak odaliska. Na te dłonie wciągnęła — skąd one je teraz wydostała? — czarne koronkowe mitenki, a sukienkę miała białą w niebieskie kwiatki. Na szyi zawiązana wąska żółta wstążeczka długimi końcami igrała z ustającym wiatrem. Panna Runia kokieteryjnie odwracała głowę, okręcając szyję jak kura i spoglądała ku wysokiemu, jasnemu dryblasowi, swojemu

narzeczonemu, który był jednocześnie nauczycielem w szkole, tej co się mieściła naprzeciwko cegielni. W całym wzięciu się Runi poznać można było jedną z „najszykowniejszych" osób Pruszkowa.

Idąc śmiała się do pana Wojciecha: jej wycieczka na glinianki była figlem poprostu, ona — na gliniankach! Ale w tej chwili wzrok jej padł na elegantkę z Ostoi i trochę spoważniała.

— Nie wiedziałam, że tu można spotkać takie szykowne kostiumy! — powiedziała do Wojciecha.

Słowo „szykowny" wymawiała ze specjalną lubością i bardzo dokładnie, widać było ono najstalszym mieszkańcem jej słownika. W ogóle mówiła bardzo dokładnie, lubując się swą dykcją, przeciągając i starannie odróżniając wszystkie ą i ę; zatrzymała się chwilkę i popatrzyła na siną wodę. Nie zaniedbała przytem unieść lewej nogi na palce i pokręcić nią trochę tam i z powrotem. Wyglądała bardzo zgrabnie i pan Wojciech spoglądał na nią z wielką przyjemnością.

Wacek powrócił ze środka glinianki i natrafiwszy na dno u brzegu powracał pieszo ku miejscu, gdzie leżały jego rzeczy. Wołał na Jasia:

— Chodź do wody, zmarzniesz na powietrzu.

Wacek w świetle podłużnych promieni słońca wyglądał efektownie i Runia zwróciła się do brata:

— Któż to cię woła?

Jasio z kolei wzruszył ramionami.

— Niby to nie znasz. Wacek bezoki.

— Ach, to on. Nie dostrzegłam jego oka. A w wodzie inaczej wygląda.

Wacek wyszedł na brzeg. Nagość tak go odmieniała, że stał się pewny siebie i dopełnił tego, o czym dawno napróżno marzył, przedstawił się pannie Klarze; podszedł do niej i wyciągnął mokrą dłoń.

— Mielczarski jestem — powiedział — dawno już pani chciałem się przedstawić. Przyjaźnię się z pani bratem.

— Och, taki przyjaciel!

Runia zaśmiała się. Jasio gotów byłby schować się pod ziemię. Mokry trykot oklejał ściśle biodra Wacka i odznaczał wyraźnie jego genitalia. Jasio wstydził się tego przeraźliwie — i poprostu zdumiewał się, że ten szczegół nie przeszkadza ani Wackowi ani siostrze. Wacek przedstawił się i panu Wojciechowi. Nazywał się naprawdę Mielczarek ale przedstawił się jako Mielczarski.

Jasio nic nie rozumiał. Klara dawno już znała Wacka z widzenia, ale zawsze mówiła o nim z najwyższą pogardą i nie chciała nawet o nim słyszeć, kiedy Jasio opowiadał. Nazywała go złodziejem i nożownikiem. A teraz — Jasio to spostrzegł natychmiast — wyraz życzliwości i zainteresowania igrał w oczach Klary.

Całe towarzystwo usiadło na brzegu glinianki na wyschniętej trawie i zaczęło rozmawiać. Wacek dygotał z zimna, nie wkładał jednak koszuli. Jasio mu to przypomniał:

— Wacek włóż koszulę — zęby ci szczękają.

Ale Wacek udał, że nie słyszy.

— O, pani to mnie dawno pewnie pamięta — mówił do Klary — zapewne mnie pani jeszcze z okiem przypomina.

— Ach, rzeczywiście — mówiła pieszcząc się Klara — i skądże to zdarzenie?

— Na wielkanoc, proszę pani, kalafiorek z kolegami zapuszczałem. Klucz mi w ręku rozsadziło i cały kawał zardzewiałego żelastwa w oko!

— Musiało to być bardzo bolesne.

— A i owszem, bolało, ale potem przeszło. Trzeba było zaraz do doktora, ale matka nie chciała — a po tygodniu było już zapóźno. Całe oko trzeba było wyjąć... To już przeszło dziesięć lat temu.

— Ach, to okropne — powiedziała panna Klara bez przekonania. Pan Wojciech jej potakiwał.

— Do wojska mnie przez to nie chcieli wziąć — powiedział jakoś basem Wacek — chociażem chłop nie ułomek.

— Rzeczywiście — potakiwał nauczyciel, a panna Runia przelotnie obrzuciła swym palącym spojrzeniem całą postać nagusa.

Wreszcie Wacek musiał się zebrać. Gdy narzucił zmiętą koszulę i za krótkie spodnie, znowu się zgarbił i zszarzał. Panna Runia prędko wstała i pożegnała się z nim. W podaniu jej mitenki widniało znowu coś ze strachu i z pogardy. Ufnie wsparła się na ramieniu Wojciecha i poszli.

Runia odwróciła się jeszcze i skinęła na Jasia:

— A nie spóźnij się na kolację, mamusia będzie się gniewać.

I krokiem porcelanowej markizy — trochę miała za krótkie nogi i zbyt ciężki kuperek — zaczęła się oddalać uwieszona u chudego łokcia wysokiego nauczyciela.

— Ośliça — powiedział nie wiadomo dlaczego Jasio.

Wacek obruszył się na to.

— Czemu na siostrę gadasz? — Ładna kobieta, a ty tak gadasz.

— Dla ciebie każda kobieta ładna — sentencjonalnie powiedział Jasio.

Kilku nagusów skaczących przy brzegu wołało na niego, zerwał się wreszcie, poskoczył i jak oszalały wpadł do wody, zapieniło się i zawirowało w koło i rozległy się piskliwe okrzyki. Tymczasem Wacek rzucił się na trawę na wznak i podłożywszy ręce pod głowę patrzył w górę na niebieskie niebo. Po pływaniu i po zimnej kąpieli ogarniało go teraz miłe ciepło. Serce biło tętnem nieco przyśpieszonym i z lubością czuł je w swojej piersi. — Ależ gra! — myślał sobie o nim. Świat się wydawał jego jedynej źrenicy trochę spłaszczony jak gdyby i zwężony, ale przecież piękny — zwłaszcza od chwili, kiedy ściskał mokrą ręką czarną mitenkę Runi.

— Psia krew, zapoznałem facetkę! — powtarzał sobie wielokrotnie. — To przecież był jego cel od wielu, wielu dni. — Ależ ładna! — myślał dalej i uzupełniał braki wzroku wyobrażając sobie wszystkie ruchy Runi: i jak mu podała rękę nachylając głowę na lewe ramię, i jak patrzyła na niego bokiem z koniuszkiem języka na błyskających z pomiędzy warg zębach, i jak odsłaniając nóżki grzebała paluszkami w piasku. Mój Boże, jaka była śliczna, prześliczna! To chyba najładniejsza kobieta w Pruszkowie! — powiedział — a i w Warszawie takich niewiele. Uśmiechnął się sam do siebie tak leżąc i nagle podniósł nogi do góry i fiknął nimi w powietrzu.

Jasio wreszcie wygrzebał się z wody i drżąc ubrał się w swoje skromne łachy. Aby się rozgrzać, pobiegł wokoło drugiej mniejszej glinianki, tej co przy kolejce. Wacek poszedł powoli za nim. Ale Jasio w połowie ścieżki oprowadzającej wodne oko trafił na pana Antoniego, który stał z wędką. Pan Antoni w gruncie rzeczy bardzo lubił Jasia, jeszcze bardziej Klarę, więc się uśmiechnął do malca. Jasio starał się mówić szeptem, aby nie spłoszyć ryb, które krążyły wkoło haczyka, ale jak zwykle nie chciały brać:

— Pan wie, kąpałem się z Wackiem.

— Co ty wciąż z tym Wackiem. To łobuz jakiś.

— To mój kolega.

— O jej, twój kolega. A dawno się znacie?

— Trzy dni.

— No — i zaraz kolega. Świnie-ście razem pasali?

Jasio obraził się.

— Ja świń nie pasam.

— A co?

— Wszy po pańskim kożuchu ganiam!

Pan Antoni się obruszył i udawał, że chce gonić Jasia. Jasio śmiał się na całe gardło, zadzierając głowę. Nadszedł Wacek. Pozdrowił pana Antoniego, zdejmując kaszkiet. Pan Antoni kiwnął głową:

— Bierze? — spytał Wacek.

— E, tam — machnął wolną ręką Antoni i przestąpił z nogi na nogę.

— Rybka to dobra rzecz — po chwili powiedział Wacek.

— Tylko trzeba, żeby się łapała — ponuro zauważył Antoni.

— Nic pan nie złapał?

— Nic. Jednego okonia.

— A gdzie?

— O, tam przy trzcinach. Jasiu, pokaż panu okonia.

Wacek z miną znawcy obejrzał przyniesionego okonia, pogładził go palcem, rozciągnął mu kolczaste pletwy jak czarne wachlarzyki i pokiwał głową. W tej chwili pan Antoni zatoczył łuk wędką i wyciągnął drugiego okonia.

— No, i jest para — zauważył Wacek.

— Kolacja gotowa — zaśmiał się Antoni — chodźmy jeść.

— Odprowadzimy pana — powiedział Jasio.

Z piskiem przeleciała kolejka. Pomału wracali do cegielni. Wacek chodził ciężkimi krokami, garbił się i patrzył pod nogi, spuszczając w dół głowę. Antoni za to szedł szeroko, trochę tanecznie, rytmicznie, jak gdyby siał czy kosił, widać było krew dawnego gospodarza. Jasio trzymał Wacka za rękę. Trochę zmęczony szedł powłócząc piętami i myślał już o śnie. Minęli glinianką zarośniętą tatarakiem, parę kurek wodnych oswojonych z wszelkimi hałasami pływało spokojnie i ufnie po wodzie. Resztki i ślady przemysłu obracały się tutaj na nowo w pierwotną dżunglę.

Za glinianką widniała ruina kantoru. Świerki przed szkołą i mieszkaniem Klary czerniły się już jak w jesieni. Chłód w dalszym ciągu ciągnął powietrzem.

Weszli do izdebki Antoniego. Wacek ceremoniował się, ale Antoni widocznie chciał się wygadać w towarzystwie. Jeszcze było jasno. Jasio natychmiast zwalił się na drewniany tapczan stróża i owinął się w czarniawą kołdrę, jeszcze dzwonił zębami po zimnej kąpieli, Antoni rozdmuchiwał popiół pod płytą, a Wacek siadł na jedynym stołku.

— Myślałem dzisiaj na pana, że pan to wysłannik mojej żoneczki — powiedział nagle Antoni, siedząc w kucki przed piecem i odwracając twarz do Wacka — i niebardzo pana przyjąłem. Co?

Wacek uśmiechnął się obojętnie. Myśli jego były po drugiej stronie szosy, przy szkole.

— Pan zna moją małżonkę? — zapytał Antoni podnosząc się z ziemi i wyprostowując. — Nie? No, to pańskie szczęście. Gdyby ona tu do nas zajrzała, to już wszystko byłoby do góry nogami.

— A gdzie mieszka małżonka szanownego pana? — spytał obojętnie Wacek.

— W Warszawie! Gdzie ma mieszkać! Warszawa to wesołe miasto — a ona lubi, żeby wesoło. Kino, teatr... Jeszcze jak żyję nie byłem w teatrze, a ona to co wieczór by chodziła. Bawi się, tańczy... Jak ma z kim — dodał ponuro.

— A jak nie ma? — bezmyślnie spytał Wacek.

— Co nie ma mieć? Zawsze ma, taka kobieta musi mieć. Pan wie, co to za kobieta? Ona była za pannę służącą u nieboszczki hrabiny Konstantowej Potockiej. To pani hrabina obejść się bez niej nie mogła: po całych dniach tylko: Elwiro! Elwiro! Nic tylko „Elwiro"! No i Elwircia się tak rozpaskudziła. Jak ją za mnie za mąż wydano, to mnie znać nie chciała: Precz — powiada — ty śmierdzący kozaku! I buch mnie w mordę! No, to i teraz nie bardzo mnie znać chce.

— I mieszka w Warszawie? — zapytał Wacek dla podtrzymania konwersacji.

— Przecież mówię panu — zniecierpliwił się Antoni. — A czasem tylko jak tu zajrzy, to Sodoma i Gomora. Zgiń, przepadnij, a pieniędzy wszystko co mam to ze mnie wydusi — a nakrzyczy, a nawymyśla: a kiedyb ty zdech, żeby ja już była wolna. Wolna, wolna — i bardzo wolna.

— A to jakaś fajna niewiasta — głupkowato uśmiechnął się Wacek.

— Nie daj panu Bóg takiej — poważnie przestrzegł go Antoni i wziął się do czyszczenia dwóch złowionych okońków. — Pan to pewnie tutaj na pannę Klarę uważa? — ciągnął dalej. — A panna Klara to ładna panna! — uśmiechnął się błogo.

— Śliczna — poświadczył Wacek i wsparłszy głowę na lewej ręce, pochylił się nad stołem i zafrasował się — o, śliczna! — powiedział po długiej chwili i westchnął.

Stary uśmiechnął się:

— Co pan tak wzdychasz? Skup się pan w sobie i bierz ją pan!

Wacek milczał przez chwilę. Jasio zasnął i sapał miarowo przez sen na twardym tapczanie. Słońce jak kula schodziło ku zachodowi.

— Nie taka to panna — powiedział wreszcie Wacek — żeby mogła być dla mnie, to panna inteligentna. A ja co? Jednooki. Nawet do wojska mnie nie chcieli.

— Okiem pan dzieci jej nie będziesz robił — splunął ponad okońkami Antoni.

— Co tam dzieci! Mąż musi dla żony dom mieć, pracować... a ja? Nawet pracy nie mam. To tu chwycę, to tam...

— Szmuglujesz pan?

— Ja tam nie do takiej roboty. Jak mi raz dziesięć kilo mąki zabrali, to myślałem, że zwariuję... albo jeszcze gorzej. Dla panny Klary to ten nauczyciel dobry mąż.

— E, tam! Taki wymoczek. Ta panna musi mieć kawalera fest. W sam raz jak pan, panie Mielczarek.

Wacek uśmiechnął się smutnie, nie zdejmując głowy z dłoni; ach, Boże — zdawało się mówić jego jedyne oko, wpatrzone w rozniecony przez starego stróża ogień — co jabym dał za to. Ale nie dla psa kiełbasa.

— Jasio by się cieszył — powiedział nagle z jasnym uśmiechem Antoni — on mówi, że panowie to są dwa kolegi.

— E, dziecko! — westchnął raz jeszcze Wacek i chciał się zabierać do domu, ale Antoni go zatrzymał, żeby zjadł z nim swego okońka. Co prawda w rybce było więcej ości niż mięsa, ale usmażony na dobrym oleju smakował obu panom.

— Żeby tak do niej co się napić — powiedział Antoni.

— Ja, proszę pana, to wcale nie piję — odparł Wacek — ani ciut-ciut! Nie, i nie —

— No, a na weselu panny Klary?

— Chyba że... ale tam mnie nie zaproszą.

— A może sam pan będzie weselisko sprawiał.

— Teraz? We wojnę? Nie taki to czas!

— Och, panie — jęknął Antoni — jakie to czasy. Jak to się ludziska namęczą.

— To prawda — potakiwał Wacek dławiąc się ością.

— Chleba pan kawałek zjedz, to przejdzie duchem.

— Panie, co się to na świecie dzieje. Jak to się muszą kryć, filować, konspirować...

Antoni uważnie popatrzał na Wacka.

— Aha — powiedział zwolna — a pan takich zna?... różnych?

— O, czy ja to wiem — Wacek ostrożnie wybierał cynowym widelcem resztki okońka z patelni — takiemu to z oczu nie patrzy...

— Bo ja bym potrzebował kogoś takiego a nikogo nie znam. Może by zapytać pana Wojciecha?

— Tego nauczyciela? — Wacek wytrzeszczył swoje oko — o, broń Boże.

— Bo ja bym potrzebował dokumentów. Tam dla jednego. — Antoni zniżył głos.

— Macie kogo? — szepnął Wacek.

— Taki się tu jeden ukrywa... w okolicy. Przyleciał jednego wieczoru, postrzelony w udo. Ranę tom opatrzył, już prawie wydobrzał, musi teraz dalej, a tu bez papirka... trudno.

— A on to nie ma takich... swoich?

— Miał. Ale teraz to tam ich już wielu nie zbierze.

— Porozbiegali się?

— Ten jeden tylko został.
— Cholera. Wystrzelali?
— I tak. I owak.
— Ja bym się o dowodzik postarał — szepnął Wacek — a fotografię on ma?
— Nie ma.
— To gorzej. Trzeba na grandę fabrykować.
— A on niby i do pana podobny, panie Wacek.
— Tylko oczy ma oboje! Ale to nic... Mnie niedawno robiono fotografię do kennkarty. Patrz pan. — Wacek pogrzebał w tylnej kieszeni i wydobył zasmolony portfelik ongi z niebieskiej skóry — patrz pan, jak mnie tu zrobili. Wcale oka nie widać, że brakuje — wtykał w rękę Antoniemu mały kartonik — zaretuszowane, widzi pan? No, i wcale nie napisano w karcie, że nie mam oka. Mam takiego znajomego w gminie, powiadam mu: panie Walenty, tak i tak, nie po trzeba zaraz pisać, że oka nie mam — i patrz pan: napisał: znaki szczególne żadne! A tu się zawsze oko pisze. A możeby pan po prostu wziął moją kartę?
— A pan?
— O, co ja? Taki jak ja to może i bez karty chodzić. Co mi zrobią? Ja kaleka.
— Głupstwa pan gada.
— No, nie, to nie! Postaram się. A ten pański wychowanek to gdzie jest?
Antoni podejrzliwie popatrzył na Wacka. Ten zaraz się wycofał.
— A zresztą co mnie to obchodzi. Muszę już iść, mam jeszcze gdzieś zajść. Są królicze skórki do sprzedania.
— Królicze — to bujda! Gdyby tak zajęcze.
— Widziałem dzisiaj zająca nad gliniankami.
— Co pan mówi? — Antoni ożywił się nagle — duży? duży?
— A spory — ot, taki — Wacek pokazał rękami — tak sobie skikał przez kartoflisko, hyc, hyc — hyc, hyc! Uszy mu tylko kłapały. A te girki to tak się tylko mijały. Śmigła szelma — już.
— Żeby tak fuzyjka.
— Gdzie tam, panie. Wszystko pochowane.
— A na wnyki, panie, to złodziejski proceder.
Wacek bystro spojrzał na Antoniego i zaraz odwrócił oko.
— Tak. Ale już trzeba iść. Coprawda w domu nikt nie czeka...
W tej chwili ktoś zapukał do okna, panna Klara stała za szybą, zdyszana. Wacek podskoczył i otworzył okno. Panna Klara nie zapomniała o formach.
— Dobry wieczór panom — powiedziała — czy nie ma tu Jasia?
— Jest, zasnął na tapczanie.
— Ach, Boże — zawołała Klara ze sztuczną rozpaczą — Jasiu, braciszku, mamusia czeka z kolacją — i tak się niepokoi. Myślała, że utonąłeś.
Antoni rozgrzebał Jasia, który zerwał się na równe nogi, ale nie bardzo przytomny.
— Co się stało? Co się stało? — pytał — Runia przyszła po mnie?
— Kolacja, Jasiu, chodź już — słodko wabiła Runia brata.
— Już lecę — zawołał Jasio, nagłym gestem objął Wacka za szyję i pocało-

wał go w policzek. — Dobranoc, — powiedział — dobranoc, panie Antoni — i grzecznie nałożywszy czapeczkę poleciał do drzwi.

— Dobranoc panom — uśmiechnęła się Runia przez okno i skierowała się ku domowi; Jasio ją wkrótce dopędził.

— Będziesz to się włóczył, cholero jedna — gwałtownie zawołała Klara chwytając malca za rękę — przesiadujesz czort wie z kiem, a ja muszę ganiać za tobą. Już ja cię kiedy spiorę znowu jak tamtym razem, będziesz ty pamiętał włóczenie się z Wackiem.

Ale potem sobie coś przypomniała, bo głos jej złagodniał. — W niedzielę jedziemy na majówkę do Podkowy — powiedziała — możesz zaprosić także swojego jednookiego przyjaciela.

Jasio spojrzał na Klarę z niedowierzaniem. — O, Boże, co za szczęście — szepnął nagle na wpół do siebie i wyrwawszy się z rąk siostrze pędem poleciał do mieszkania.

— Mamo — zawołał wpadając — mamo! Czy to prawda? Pojedziemy do Podkowy na majówkę i Wacek z nami pojedzie! Prawda?

— Matka — z fachu praczka — stanęła po środku pokoju i podparła się w boki. Jej duża dobroduszna twarz z wielkimi mięsistymi uszami wyrażała pogodny podziw. Zachwyt jaki miała dla wszystkich objawów życia Runi i Jasia pozostał u niej z tych czasów, kiedy dzieci jeszcze były w pieluszkach. Od tej chwili wszystko — czy s z y k o w n e gesty Runi, czy wesołość Jasia, czy też nawet gorsze strony ich charakteru i zachowania budziły w matce nieograniczony podziw.

— Ale, synku, zaczekaj, nie krzycz tak. A któż to jest Wacek?

— Wacek? Mama nie wie, mój nowy kolega.

— Wacek? — powiedziała Runia, wchodząc do pokoju — to pan Mielczarski. Bardzo przyzwoity młodzieniec, tylko fatalnie się ubiera.

Stara zbaraniała.

— Mielczarski? Chyba Mielczarek? Ten bez oka? Toż to facet spod ciemnej gwiazdy! A cóż wy z nim będziecie robili? Okradnie was jeszcze — i po wszystkiemu.

— Jasio go tak k o c h a — z robioną ironią powiedziała Klara, która najbardziej lubiła grać wielką damę w obecności matki.

— Czyś ty Klaruniu zwariowała z takim bezokim się pętać!

— Pan Wacław jest bardzo przystojny — powiedziała Klara, zasiadając do pieczonych kartofli.

— Cóż na to pan Antoni powie?

Dla praczki ostatecznym autorytetem był zawsze stróż z cegielni. W głębi serca żywiła nadzieję, że Antoni owdowieje — ta lafirynda się w takich miejscach puszcza! — i ożeni się z nią. Antoni może także tak myślał? W każdym razie życzliwym okiem spoglądał na Klarę.

Jasio przez parę dni o niczym innym nie myślał, jak o spacerze do Podkowy Leśnej. Zawiadomił Wacka o zaproszeniu, ale ten odniósł się dość obojętnie do tej całej sprawy, a potem znikł gdzieś. Nie było go w domu przez dwadzieścia cztery godziny. Jasio na próżno zaglądał do budki nad sklepikiem, gdzie jak

w norze gnieździł się bezoki. Włóczył się więc bez celu: i kąpiel, i łapanie ryb nie smakowały mu bez Wacka, pan Antoni znowu go gonił, zajrzał więc za barak w krzaki i odnalazł miejsce, gdzie pod kilkoma kamieniami spał browning Wacka. Korciło go bardzo, aby choć trochę, scyzorykiem, pogrzebać pod kamieniami, ale ostatecznie przypomniał sobie, że przysięgał: „Jak kocham Pruszków" i jeszcze inne takie mówił rzeczy, i jednak nie ruszył. Siedział i patrzył na kamienie i myślał: takie zwyczajne kamienie, ktoby to pomyślał, że pod nimi jest zakopany rewolwer; widywał broń tylko u boku niemieckich żołnierzy— i wydało mu się, że ta, zakopana, powinna być specjalnie piękna, pozłacana czy posrebrzana, bo to przecie „nasz" rewolwer. Oczy jego mimo woli pobiegły spod krzaków ku oknu w ścianie baraku, przez które sterczały końce drabiny. Podłużne okno pod dachem było siedliskiem tajemnicy. Pomimo wszystko zdecydował się na zbadanie tej tajemnicy. Ledwie mu to do głowy przyszło, skoczył na równe nogi i poleciał do baraku. Wejście prowadziło od strony szosy. Drzwi już tutaj nie było i wchodziło się pod murowaną arkadę do dużej hali. Podłoga także była tu zerwana, barak stawiany był bez fundamentów i całe dno zalegał piaszczysty grunt, na którym widniały źdźbła trawy. Biały kwiatek krwawnika przebłyskiwał tu i ówdzie. Przez powybijane okna wlatywały jaskółki, które miały tutaj swoje gniazda.

W głębi baraku, na lewo od wejścia, widniały stare drzwi. Dla niepoznaki — ale dość sztucznie zastawione one były miotłami i motykami i przywalała je ciężka taczka. Widać jednak było, że taczka ta dawała się łatwo odsunąć i że niejednokrotnie była odsuwana. Mimo wszystko jednak taczka była za ciężka dla Jasia i tędy nie dało się przeniknąć za zamknięte drzwi. Ale trudności jeszcze zachęciły Jasia do spenetrowania skrytki. Obszedł z powrotem naokoło, wlazł na dach, zwiesił się z rynny nad oknem i namacawszy palcami nóg framugę znalazł się nagle siedzący na oknie, stamtąd po drabinie zlazł na podłogę.

Rozejrzał się w małej izdebce oświetlonej jedynym otworem, a więc i ciemnawej. Na ceglanej podłodze w kącie stał tapczan zbity z kilku desek, na tapczanie leżało trochę słomy, a na słomie człowiek. Jasio nie zauważył go w pierwszej chwili, taki był drobny i płaski, gubił się w cieniu, przykryty wiejską kapotą. Dopiero oswoiwszy się z ciemnością zobaczył, że ten człowiek z olbrzymią grzywą czarnych włosów nad czołem patrzy na niego przenikliwie parą czarnych, palących oczu.

— Kto ty jesteś? — odezwał się wreszcie niechętnym głosem.

— Ja tak... — odpowiedział Jasio — chciałem panu pomóc. Może co trzeba?

— Mnie nic nie trzeba. Po coś tu przylazł — powiedział człowiek i odwrócił się od Jasia.

Zapanowało chwilowe milczenie. W tym zamknięciu świat zewnętrzny zdawał się czymś nierzeczywistym i niedostępnym. Gdakanie kury wlatywało tutaj jak jakiś nadnaturalny odgłos. Na ceglanej podłodze widniały kwadraty światła. Jasio nie wiedział co ma robić.

— Pan chory? — zapytał wreszcie uprzejmie.

— Nie — odezwał się głos z kąta. — A może chory. Jak wszyscy.

— Czy pan nie chce uciekać... czy nie może?

— I nie chcę i nie mogę.

— Boże drogi — westchnął Jasio — co panu jest?

— Byłem ranny — ale rana się już zagoiła. O, tutaj na udzie — usiadł do połowy na tapczanie, głos jego nagle nabrał tonów zainteresowania — tu, w tym miejscu — pokazywał przez ubranie. Kapota zsunęła się z niego, miał na sobie brudną podartą koszulę, spod której widniało chude, owłosione ciało. Niegolona broda otaczała złotym cieniem jego woskowe policzki. — Kula przeszła na wylot przez mięśnie, nie naruszając kości. Teraz się wygoiłem.

— Może pan chodzić? — spytał Jasio.

— Zapewne tak, ale nie próbowałem.

— Ciągle pan leży?

— Tak. Leżę.

Głos nieznajomego zagasł, powoli zwinął się on znowu jak kawałek płótna, opadł i przykrył się kapotą. Znowu w cieniu widać było tylko jego błyszczące oczy.

— Bo tutaj to za blisko do wszystkiego... — powiedział rozsądnym tonem Jasio — tu się wszyscy kręcą... Trzeba, żeby pan poszedł dalej.

— Nie mogłem dalej, — szepnął nieznajomy — wyskoczyłem z kolejki w tym miejscu.

Przy tych słowach wzdrygnął się jak na wspomnienie bólu.

— I pan Antoni tutaj pana schował?

— Aha. Ten stróż. On się nazywa Antoni?

— Tak, pan Antoni. A jego żona nazywa się Elwira.

Ranny w milczeniu przyjął tę informację.

— A pan jak się nazywa? — zapytał Jasio.

— Ja? Ja się nazywam... Karol — powoli wymówił człowiek — nazywałem się Karol, teraz wcale się nie nazywam.

Jasio zaśmiał się serdecznie.

— Każdy człowiek musi się nazywać.

— A ty, mały, nazywasz się?

— Oczywiście. Jestem Jasio — ostatnie słowa powiedział z pewną dumą.

— I kim jesteś?

— Ja? Jestem taki chłopiec... ot! Chodzę do szkoły. Moja mamusia pierze. Moja siostra Runia jest krawcową...

Półświatło i cisza izdebki, towarzystwo i szept chorego upajały Jasia w pewien sposób. Z dziecinną wrażliwością przejmował się nastrojem, powtarzał teraz ostatnie wyrazy zamyślony, jak gdyby naprawdę zastanawiał się nad istotą swojego bytu.

— Moja siostra Runia jest krawcową...

Zbliżył się do tapczanu i usiadł u stóp leżącego. Tapczan był wysoki i Jasio nie dostawał nogami do ziemi, bujał przez chwilę piętami w powietrzu.

— A pan co robił? — spytał nagle.

— Robiłem? Nic nie robiłem. Zawsze myliłem się w kalkulacjach.

Jasio nie rozumiał, milczał więc przez chwilę.

— Czy pan... — spytał wahająco — czy pan z panów bandytów? Czy polityczny?

Ranny zaśmiał się cicho i tak jakoś radośnie. Widać było, że śmiech jego mógł być pełny i zaraźliwy.

— A ty jak myślisz? — spytał Jasia.

— Ja myślę, że polityczny — powiedział Jasio, a potem dodał — pan ma taki sympatyczny głos. Ja bandytów nie lubię. Runia mówi, że Wacek to pewnie bandyta, ale on nawet nie potrafiłby. On bidny taki... Czasem tylko drzewo kradnie na młochowskich lasach. Ale co ma robić, jak nie ma opału?

— Pewnie. Co ma robić? — powtórzył Karol.

— A w niedzielę pojedziemy do Podkowy Leśnej — nagle wypalił Jasio.

— Do Podkowy Leśnej? — zapytał znowu zmienionym głosem Karol.

— Tak. Pojedzie Runia i panna Lodzia, i pan Wojciech i pan Stach i ja... na cały dzień. Weźmiemy flachę bimbru...

— O! — westchnął Karol — ty pijesz wódkę?

Jasio zawstydził się.

— Czasami.

— Lepiej jest nie pić — powiedział Karol — chociaż kto tam wie, co lepiej.

Znowu milczeli.

— Wiesz Jasiu, tam w Podkowie jest na brzegu lasu jedna willa. Drewniana, taka na żółto malowana. Teraz tam nikt nie mieszka. Pusto. Rozumiesz?

Jasio ze zdziwieniem popatrzył na rannego.

— Pusta. Zupełnie pusta. Kiedy będziesz szedł koło niej...

— Ale może ja w tej stronie nie będę? — rzeczowo zapytał Jasio.

— No, tak. Ale gdybyś był. No, to kiedy będziesz koło niej przechodził, to to... pomyśl o mnie.

Jasio poruszył się.

— Ale ja cały czas będę o panu myślał — powiedział.

— Jasiu? — zapytał Karol. — Dlaczego?

— Całe życie będę o panu myślał. Pan jest bohater.

Karol porwał się z leżenia, sukmana spadła mu z ramion, którymi wstrząsał teraz niepohamowany śmiech. Starał się opanować jego wybuchy, ale nie mógł. Śmiał się niegłośno, głęboko, tak bardzo serdecznie. Jasio przepłoszył się i skrzywił jak do płaczu nie odrywając oczu od wstrząsanego śmiechem człowieka.

— Dlaczego się pan śmieje? — zapytał wreszcie.

— Ty wiesz, co to jest bohater! — zawołał Karol — życzę ci, abyś nigdy takich bohaterów nie spotykał na swojej drodze.

— Pan jest bandyta? — zawołał ze strachem Jasio i porwał się z tapczana.

— Nie, nie — pośpiesznie zawołał Karol — nie odchodź, nie jestem bandytą. Jestem porządnym człowiekiem. Tylko... tylko... no, widzisz, śmieszy mnie to wszystko. — I nagle szczerym, męskim głosem dodał: — Ach, Jasiu, ja już w nic nie wierzę.

Jasio popatrzył na niego ze zdziwieniem, ale uspokoił się i oparł z powrotem o tapczan.

— I w Boga pan nie wierzy? — spytał poważnie.

Karol kiwnął przecząco głową.

— O, to niedobrze — „dorosłym" tonem powiedział Jasio.

— Niedobrze — powtórzył chory i oparł się o ścianę. Przymknął oczy i teraz dopiero widać było całą przeraźliwą chudość jego twarzy.

— A dlaczego się pan nie goli? — spytał nagle innym tonem Jasio, zauważywszy zarost nieznajomego.

Karol milczał przez chwilę i nie otwierał oczu. Potem otworzył je nagle i spojrzał jakby się rodząc do nowego świata.

— Bo nie mam brzytwy.

— Ja panu przyniosę żyletkę od Wacka. On ma dwie. Musi się pan golić, bo jakby się przyszło uciekać...

— To prawda — powiedział chory — ale ja pewnie już nie będę uciekał.

— Nie chce pan żyć? — spytał znowu Jasio.

Karol przecząco kiwnął głową i znowu zamknął oczy.

— A niech pan poczeka — ciągnął Jasio rozmarzony — jak Klara będzie miała wesele, będzie muzyka, będą tańczyć...

— A kiedy Klara będzie miała wesele?

— Po wojnie, proszę pana. Dziś się wojna skończy, a jutro Klary wesele.

— Z kim?

— Z panem Wojciechem naturalnie. On jest jej narzeczony.

— A Wacek? Kto to jest Wacek?

W tej chwili zgrzytnęły za drzwiami odwalone taczki, deska w drzwiach odsunęła się i wlazł pan Antoni z garnkiem w ręku. Na widok Jasia stanął nieruchomo.

— Niech się pan na niego nie gniewa — powiedział Karol — on nikomu nie powie. A nawet może się przydać...

Antoni tupnął nogą:

— Zwiewaj stąd siejczas — utrapienie z tym Jasiem.

— Czekaj, czekaj — zawołał nagle mocnym głosem Karol — daj mi rękę.

Jasio wyciągnął łapę nie pierwszej czystości, Karol ujął ją w kostce.

— Pamiętaj, żebyś nie był takim, jak ja bohaterem. Żebyś żył szczęśliwie... bez żadnych chimer, bez niczego, jak we śnie...

Jasio nic nie rozumiał, ale patrzył swymi przejrzystymi, wielkimi oczami poważnie na Karola, który nie puszczał jego ręki. Powtarzał przy tym machinalnie, ale i z przekonaniem:

— Tak... tak... — i jeszcze na zakończenie — tak!

A potem z wielkim przejęciem szastnął nogami, szurając po ceglanej podłodze, kiwnął się przy tym zabawnie, ale poważnie, co oznaczało najwyższą czołobitność i śmignął jak mysz przez odsuniętą w drzwiach deskę i tyle go widziano.

Zimne wiatry ustały i znowu się ociepliło, ale już widać było, że się jesień zbliża. Ranek niedzielny — w ten dzień, kiedy mieli jechać na „majówkę" do Podkowy Leśnej — wstał kryształowo przejrzysty. Jasio zerwał się już o szóstej i zaraz poleciał do Wacka. Wacek mieszkał w malutkiej drewnianej izdebce nad

dawnym sklepem matki i wchodziło się do niego prosto z sieni po schodach podobnych do drabiny. Jedyne okienko izdebki wychodziło na poranne niebo i wyglądało, jak gdyby ktoś je zawiesił niebieską firanką. Wacek już też nie spał, siedział przed lusterkiem i golił się wspaniałą żyletką. Jasiowi przyszła do głowy obietnica jaką uczynił Karolowi.

— Gdzieś był? — zapytał Wacka — gdzie bujałeś?

— Miałem tam różne sprawy — poważnie powiedział Wacek i kręcił pędzlem w mydle.

— Wiesz, widziałem tego, co się ukrywa.

— Bujasz! A jaki on jest?

— O, brodę ma taką ci. Nie ma się czym ogolić, obiecałem mu, że przyniosę od ciebie żyletkę. Dasz?

— Czemu nie. Jeżeli to morowy gość.

— Morowy to on jest, tylko ciągle jak gdyby spał. Mówi i jak śpi.

— Zmęczony, czy co?

— Ranny był w nogę — i wyskoczył z kolejki.

— To ci los! Masz tu, wybierz.

Wacek odsunął szufladkę w stoliku, gdzie stało kilka pudełek niklowych z żyletkami rozmaitych rozmiarów. Wszystkie wyglądały pierwszorzędnie.

— Cholera — powiedział Jasio z podziwem — skąd ty tyle tego masz?

— Miałem jednego wujaszka — odparł Wacek z uśmiechem — co miał skład apteczny. To on mi to wszystko podarował.

— To, ja to — Jasio wybrał pudełko — zaniosę panu Karolowi.

— Naturalna rzecz — powiedział Wacek.

Ujrzał w myśli sypialnię tego aptekarza i szufladkę otwartą, pełną pudełek i zapach nocy za oknem i zaduch w pokoju i lęk i dreszcz... gwizdnął przeciągle. Lato się kończyło, skończą się okna otwarte i balkony w willach podmiejskich. I dzisiaj nie spał całą noc, nie z powodu jakiej wyprawy, nie, wrócił dość wcześnie, ale ten spacer wspólny z panną Klarą spać mu nie dawał. Od tylu tygodni, od wiosny samej krążył wokoło tej pięknej panny, sam nie wiedział jak zacząć, bał się, taki chłystek — do takiej podchodzić madmuzeli, nie wiedział, na którą nogę stanąć — a tutaj wspólny spacer do Podkowy. Dziecinne szczęście rozpierało go jak Jasia i z lubością golił swoje gładkie, opalone na brąz policzki. Z Jasiem się zaprzyjaźnił po to — i do cegielni chodził tylko po to — i oto sama panna Klara zaprosiła go na wycieczkę.

— A może rzeczywiście w tym Pruszkowie nic o mnie nie wiedzą? — mówił do samego siebie.

— O której wyjeżdżamy? — spytał Jasia.

— Runia mówiła, że o dziesiątej.

— O, to jeszcze czasu kupa, pójdziemy do kościoła.

Wacek tak był szczęśliwy, że chciał się pokręcić między ludźmi. Włożył jakieś nowe, jasne ubranie, którego Jasio nie znał. I ono było przykrótkie i zbyt obszerne na Wacka.

— Schudłeś tak, czy co? — spytał go Jasio.

— Wszyscy schudli we wojnę.

Ale ostatecznie zdecydował, że marynarkę zarzuci tylko na ramiona, bo rzeczywiście była za obszerna. Ubranie było z pięknego szarego kortu i na jedwabnej podszewce. Niebieska koszula i zielony krawat prezentowały się okazale. Poszli do kościoła.

Ranek był przesycony pogodą, zapachem rosy jesiennej, ale miał i coś z nastrojów wiosny, skowronki piszczały w niebie, krople srebrzyste błyszczały na płotach i na liściach. Jasio trzymał za rękę Wacka, Wacek trzymał za rękę Jasia i tak szli poważnie, ostrożnie stawiając kroki. Wackowi przyszło do głowy, że dobrzeby było mieć takiego syna jak Jasio i tak z nim iść do kościoła i jednocześnie wiedział, że nie będzie miał syna, że się nie ożeni.

— Jaka panna — psia mać — będzie mnie chciała? Bez oka! — I przypomniał sobie, że właśnie w takie rano, tylko że na wiosnę, strzelał z kolegami z kalafiorków i stracił to oko. Mój Boże! I dlaczegóż to się tak stało, że akurat on, Wacek, został bez oka? Gdyby miał oko, byłby może w wojsku, możeby był gdzieindziej, nie pętał się tak głupio. No, ale jak tak się już stało, to stało. Nie odmieni się.

Ogromny kościół biały i pusty wyglądał jak stodoła, ludzi było mało i nikt na Wacka nie patrzył. Jasio pobożnie zmówił pacierz, a potem stał spokojnie, co jakoś nie kosztowało go wielkiego wysiłku. Przez ordynarnie kolorowe szkła wpadało światło, a krzyk ptaków przez otwarte drzwi. Gwizdała kolejka niedaleko i organy cichutko przygrywały. Wszystko to wytworzyło w duszy przyjaciół uroczysty nastrój, a Wacek myślał wciąż o pannie Klarze. Wiedział, że ona nie dla niego, niedostępna, na szczytach hierarchii społecznej, a jednak jechał z nią na wycieczkę jak równy, jak taki sam. Jakaś możliwość porozumienia otwierała się przed nimi, jak to powiadał Antoni: „Skup się pan . . .“ Czy gdyby się tak bardzo skupił, mógłby dorosnąć aż do panny Klary? Do panny Runi, jak ją Jasio nazywał? Niepokoiło go wspomnienie żyletek i nowego ubrania z popielatego kortu — ale on już nigdy nie będzie więcej . . . zacznie pracować . . . no, pracować to teraz nie warto . . . zacznie handlować, pojedzie za szmuglem nad granicę reichu. Bóg mu dopomoże, na pewno. To rozmyślanie — to była modlitwa Wacka.

Potem — że to było jeszcze bardzo wcześnie — zaszli do Antoniego. Jasio skoczył do baraku, zaniósł panu Karolowi żyletkę, ale tak, że nikt go nie widział. A Wacek zajrzał do izdebki stróża. Od chwili kiedy w niej po raz pierwszy jadł rybę na oleju zaglądał tu często. Stary polubił go, bo Wacek umiał słuchać, a stróż opowiadał całymi godzinami o przedmiotach najmniej zajmujących.

Dużo czasu, na przykład, zabierały mu tajemnice rozlicznych rozgałęzień rodziny Potockich. W młodości służył w Peczarze za kozaka pokojowego i od tego czasu wielkość herbowa Pilawitów nie dawała mu spokoju: młodość każdego z członków rodziny znał dokładnie, ich polowania, amory i mariaże były zawsze świeże w jego pamięci i stanowiły nigdy nie wysychające źródło rozmowy.

Ale dzisiaj inne tematy zaprzątały umysł starego. Wczoraj przed wieczorem zjawiła się Elwira i oświadczyła, że w przyszłym tygodniu będzie potrzebowała tysiąca złotych i że, o ile nie dostarczy jej tych pieniędzy — zgubi go nieodwołalnie. Elwira wielokrotnie już groziła w ten sposób swojemu mężowi, ale pu-

szczał jej groźby mimo uszu, ponieważ nie miała żadnego sposobu na jego zgubę, ale obecnie? Czy ona czasem czego nie zwąchała?

Wackowi łatwo było uspokoić starego. Skądże mogła cokolwiek wiedzieć o tym, co się dzieje w starej cegielni? W Warszawie była na pewno zajęta swoimi sprawami i nikt jej tam z Pruszkowa nie odwiedzał. Matka Klary znała co prawda Elwirę, ale poprzysięgła jej wieczystą nienawiść i zawsze współczującym kiwaniem głowy objawiała swe uczucia dla biednego Antoniego.

Jasio wrócił od pana Karola i pomału posunęli się pod szkołę. Pan Wojciech już czekał przed domem, pan Stach z panną Lodzią przyszli z miasta, tylko Runia nie była jeszcze gotowa. Pan Wojciech pokazywał wszystkim południową ścianę budynku szkolnego, na której rozpięta była wspaniała winna macica. Dojrzewające owoce zmieszały się z ciężkimi szklanymi gronami. Wacek wziął do ręki takie grono, wydało mu się ono czymś zupełnie nietutejszym, zaklętym, dziwnym. „I gdzie to toto rośnie?" — pomyślał sobie, i żal go jakiś wziął, że tak gnije w tym Pruszkowie. Gdybym mógł zostać szoferem — przejechałbym się trochę po szerokim świecie. Ale nie mogę!

Wreszcie wyszła Klarunia w niebieskiej sukience bardzo obciśniętej i białym włóczkowym żakieciku. Podała wszystkim ręce, zdziwiła się, że na nią czekano: Przecież ona nie wiedziała, że tak późno. Wacek oniemiał, ale wyraźnie zdawało mu się, że zerka w jego stronę, że patrzy na niego, że wszystko co mówi, mówi dla niego. Chciał się otrząsnąć z tego wrażenia i po drodze do kolejki wstąpił z Antonim do narożnej jadłodajni na kieliszek wódki.

W kolejce Runia wciąż była zachwycająca, wspierała się główką o rozwarte okno, aż przeciąg rozsypywał jej czarne loki, głaskała Jasia po głowie i była dla niego jak troskliwa mamusia, wołała poprzez tłoczących się ludzi: „panie Wojciechu! panie Wojciechu, niech pan nie płaci za mój bilet". Pan Stach, przystojny urzędnik gminy, rozmawiał cały czas z Lodzią i nie zwracał uwagi na resztę towarzystwa. Pan Antoni wciśnięty w kąt wraz z Wackiem objaśniał mu różnice pomiędzy dwoma liniami rodziny Potockich. Wacek nie wiele z tego rozumiał, bo kolejka terkotała, wiatr zrywał mu z głowy słomkowy kapelusz, panna Runia klektała coś z Wojciechem, ale w ten sposób, żeby Wacek mógł słyszeć, a trzy kieliszki wypite w „barze" już zaczynały mu szumieć w głowie.

Słońce wznosiło się odważnie, był upał. Panna Runia wachlowała się chusteczką. Z wielkim gwarem — serce biło Jasiowi i Wackowi zupełnie jednakowo — wysiedli w Podkowie Głównej. Połazili tu i ówdzie, pokręcili się, ludzi w lesie było pełno, wszędzie hałas, krzyki. Znaleźli wreszcie takie miejsce — nie bardzo daleko od drogi — bo panna Runia chciała, aby ją widziano z kawalerami, i roztasowano się na dobre. Panna Lodzia rozpakowała swój koszyczek, Klara swój. Panny Lodzi zapasy były o wiele obfitsze — no, ale nie każdy przecie ma narzeczonego w gminie. Wypito znowu jeden, drugi kieliszek.

Wacek był bardzo rozmarzony. I chociaż miał Klarę tuż obok siebie, wciąż myślał o niej, jak przyzwyczaił się myśleć, jako o nieobecnej i niedostępnej. Zamiast z nią rozmawiać patrzył w nią, jak wół na nowe wrota — albo odwracał się i zaczynał rozmyślać o niej, jak o jakimś nadprzyrodzonym zjawisku.

Panna Klara leżała na trawie. Kusa sukienka unosiła się w górę i pokazywała

krótkie nóżki Klaruni. Oczywiście teraz była boso, pantofelki zrzuciła pod drzewem, a pończoch wcale nie miała. Drobne paluszki jej stóp były ruchliwe i chwytne, jak palce u rąk. Żakiecik włóczkowy również bujał na krzaku i długie obnażone ręce Klary wiły się jak dwa białe węże przed oczami Wacka. Pulchna, trochę nazbyt miękka szyja Klaruni oddychała głęboko leśnym powietrzem, piersi mało co się kryły pod płótnem sukienki, brodawki sutek wyraźnie występowały pod niebieskim materiałem. Wacek dobierał się do kiełbasy w koszyczku panny Lodzi, ale wciąż jeszcze nie mógł się oswoić z prawdziwością otaczającej go sceny.

Prawdziwość ta mąciła się coraz bardziej na skutek nieumiarkowanego spożywania coraz to większej ilości alkoholu. Wózki z dziećmi, mężczyźni w szelkach, kobiety z kapeluszami w rękach mijały ich co chwila, ze wszystkich krzaków dolatywały dźwięki najprzeróżniejszych instrumentów, nagle wleciała wiewiórka na najbliższą sosnę i furkocząc wspinała się w górę. Jej czarne oczki badawczo wyzierały zza sęczków. Nawinął się wędrowny fotograf i począł zdejmować całe towarzystwo. Wacek tak już był śmiały, że zdjął się razem z Klarą i panem Wojciechem pod rękę. Nauczyciel trochę marszczył brew, ale go udobruchał stary Antoni jakimś kawałem. Jasio ganiał jak pies, poleciał do strumyka, powrócił, narwał paproci, rzucił to na Runię, znowu gdzieś poleciał. Stach wydobył harmonię i grał rozmaite tanga, Lodzia zamyśliła się smutnie przytulona do niego. Pan Wojciech z Antonim przeszli się kawałek, szukając papierosów, podsunął się lodziarz, Rosjanin z Grodziska i Wacek poczęstował Runię lodami. Znaleźli się jakoś blisko siebie i mogli mówić swobodnie. Ale Wackowi świat się przedstawiał już jak ruchoma kolorowa mgła — język nie bardzo był posłuszny myślom, mimo to Klara jeszcze spoglądała na niego życzliwie. Obraz Wacka w gliniance został jej w pamięci.

— Że też pani, panno Klaro — powiedział nagle — chce z takim łachudrą na majówce być! Ze mną, że tak powiem, z kosookim cyganem...

Klara obruszyła się sztucznie.

— Dlaczego, panie Wacku? Pan jest bardzo przyzwoitym kawalerem.

— Nie, nie — bełkotał Wacek i wziął ją za dłoń — pani żartuje. A ja już za panią jak cień trzy miesiące chodzę.

Klara śmiała się krótkim, urywanym śmiechem. Ukazywała przy tym małe, niezupełnie zdrowe zęby.

— Panie Wacku, trzeba było dawniej się przedstawić.

— Gdzieżbym ja się śmiał zbliżyć do takiej kobity?

— No, a śmiesz pan teraz. Nawet ją pan za rękę trzyma.

— Sam sobie się dziwię, panno Klaro, że śmiałość mam taką. Ani mi się śniło...

— No, niech pan puści, bo pan Wojciech wraca.

Rzeczywiście, panowie wrócili nie tylko z papierosami, ale i z ćwiartką bimbru. Piło się w tych samych szklankach, w których przed chwilą panna Lodzia rozdzielała kawę z termosu, Wacek łyknął pół szklanki, trochę się zakrztusił, ale kiedy odkaszlnął ujrzał wiewiórkę skaczącą po trawie, przebiegała z drzewa na drzewo po ziemi, Jasio z jednej strony, Wacek z drugiej rzucili się, aby ją

gonić. Wacek poślizgnął się na gęstej warstwie igliwia i upadł... potem już nic nie pamiętał. Urżnął się jak świnia.

Z męczącej, palącej nocy, z piekącego niebytu powracał bardzo powoli do życia. Na razie całym jego kontaktem z istnieniem był żmudny ból prawego przedramienia, uczepiony na tym jednym objawie rzeczywistości podciągał się jakby do świata. Boli — pierwsza była myśl — a potem jakieś kawałki obrazków zaczęły powstawać w głowie, jak rozsypana łamigłówka, której nie sposób było ułożyć. „Skąd wziąłeś to ubranie?" słyszał mówiący jakiś głos, i potem nic, nic, bolesne nic, niemożność wydrapania się z czarnej mazi, w jakiej spoczywała jego świadomość.

Ogromnym wysiłkiem uniósł się do połowy i usiadł, w głowie mu się zakręciło tak, że o mało nie upadł z powrotem. Ale rozejrzał się, spostrzegł, że jest w izdebce stróża Antoniego w starej cegielni i leży na tapczanie. Antoni palił pod piecem, dmuchając na iskry w popiele. Był wczesny ranek, po wczorajszej pogodzie dzień nastał nagle szary, zakryty chmurami, ale ciepły.

Antoni rzucił okiem na poruszającego się gościa i powiedział sentencjonalnie:

— No, przecie. Ależeś się pan wczoraj urządził.

Wackiem dreszcz wstrząsnął na te słowa. Przypomniał sobie Podkowę, i dźwięki harmonijki, i wiewiórkę, i Jasia... i pannę Klarę. Raz jeszcze zadrżał.

— Panie Antoni — z trudnością wydobył głos z przepitej krtani — panie Antoni! A czegom ja wczoraj narobił?

— Czegoś pan nie narobił! Na drzewa pan właziłeś za wiewiórką, rękę sobie odrapałeś, koszulę podarłeś, pana Wojciecha chciałeś bić, ledwiem pana uspokoił. Pan Stach panu naubliżał...

— O jej! A jak ja wróciłem?

— Ze mną pan wróciłeś. Reszta towarzystwa uciekła przed panem. Jasio płakał, że nie można go było uspokoić. Ładną pan nam majówkę urządziłeś. Dobrze, że żandarmy pana nie przyuważyli. Ładnie byś pan wyglądał. I tak pan wyglądasz... aż wstyd.

Antoni odwrócił się do ognia, a Wacek opadł na siennik. Świat cały zwalił mu się na głowę. Nie cierpiał jeszcze tak bardzo, bo nie mógł ogarnąć ogromu swojego cierpienia.

Zadrzemał znowu. Zbudził go Antoni. Stał nad nim z kubkiem gorącego mleka.

— Napij się pan, pan hrabia Potocki to zawsze na drugi dzień wypijał szklankę gorącego mleka. Specjalniem dla pana zagotował.

Wackowi wstyd było spojrzeć na stróża, odwrócił się do ściany.

— Nie chcę, daj mi pan spokój.

— Ale, ale, tam. Pij pan, pij pan — wmusił w niego owo mleko stary kozak.

— Okropny mnie wstyd gryzie — powiedział Wacek.

— No, pewnie. I to, że to tak pierwszy raz. Panna Klara...

— Co panna Klara?

— Panna Klara powiedziała: „nie wiedziałam, że ten Mielczarski jest taki..."

— Et, daj mi pan spokój z panną Klarą. Mam dosyć takich bab... — warknął Wacek.

— E, dlaczego? — spokojnie powiedział Antoni siadając na stołku — panna Klara to dobra dziewczyna, tylko głupia trochę.

— Głupia?

— Głupia, bo sobie tego Wojciecha wybrała. Ja tak myślałem, żeby się pan z nią ożenił, a pan to wszystko wczoraj popsułeś.

— Popsułem, popsułem. Nie było co psuć! To pańskie tylko głupie myśli takie...

— O, a nie widziałeś jak na ciebie nasamprzód patrzała? Widziałeś, widziałeś. Tak tylko jej te oczy się paliły. Podobałeś się jej.

Wacek porwał się z tapczana i oparł o ścianę.

— Co mi tam wasze majówki, mam je gdzieś. Nie dla mnie takie towarzystwo, gdzie nawet wypić sobie nie można. Zaraz człowiekowi ubliżają. Kto mi to o to ubranie wołał? Pan Wojciech? Zaraz mu mordę nabiję.

— Nie. To Stach. Mówił: „a skąd ty to ubranie wziąłeś?"

— Głupiec. Zaraz mu pokażę skąd.

— E, daj pan spokój. Z nim to niebezpiecznie zadzierać.

— Zobaczymy.

I nie mówiąc więcej ani słowa wyszedł gwałtownie na niepewnych nogach. Drzwi za nim trzasnęły mocno i Antoni porwał się z zydla, żeby zobaczyć co zrobi Wacek. Ale on stał przez chwilę nieruchomo przed kantorem, a potem ze zwieszoną głową skierował się przez szosę, poza barak, daleko obchodząc szkołę i inne zabudowania i wymijając wszystko i wszystkich, coby mu mogło wczorajszy upadek przypomnieć, schronił się w swojej izdebce. Kiedy Jasio przyszedł do niego w południe, zastał go leżącego na łóżku twarzą do poduszki. Chociaż nie spał, ale był w okropnym stanie ducha.

Jasio poruszył go za rękaw kurtki.

— Czego chcesz? Idź! — powiedział niechętnie.

— No, nie grymaś — zawołał Jasio — pokaż się.

— Idź-że — warknął jeszcze raz Wacek, ale podniósł się z poduszki. Włosy miał wbrew zwyczajowi rozrzucone, a na twarzy odciski poduszki.

— Dlaczegoś beczał wczoraj? — zapytał Jasia.

Jasio się zarumienił i odwrócił oczy. Okropnie mu było przykro za Wacka i z rozpaczą myślał o wczorajszych scenach. Jeszcze dziś żal mu było Wacka.

— Ja?... — zapytał jękliwie — nie, nie beczałem... nie wiem...

— Wstyd ci było kolegi? Co? — spytał ponuro Wacek.

— Chyba nie!... — wyjąkał Jasio — tylko... tylko... ja nie chciałem, żeby Klara źle o tobie myślała.

— A Klara co? — ciągnął Wacek swoją litanię pytań — co powiedziała?

— Ona? głupstwa gadała. Ona jest całkiem głupia...

— Dlaczego?

— Bo ona nie wie czego chce.

Wacek zaśmiał się pomimo ponurego usposobienia. Określenie Jasia było może rzeczywiście prawdziwe. Klara nie wiedziała czego chce, ale może można było jednak przemówić jej do rozsądku. Może jeszcze coś dałoby się naprawić; spojrzał uważnie na Jasia.

— Jak myślisz, Jasiu — powiedział — czy Klara chciałaby jeszcze ze mną gadać?

— Ona mówi, że nie.

— A ty jej wierzysz?

Jasio kręcił się koło szufladki z żyletkami, otwierał ją i zaglądał do niej raz po raz.

— Mówię ci... ona tak gada... Spróbuj.

— Rzeczywiście, może warto spróbować — mruknął do siebie Wacek.

Tymczasem Klara, niby to poszukując Jasia, zawinęła do stróżówki. Wiedziała doskonale, że Jasia tu nie ma, ale chciała się wygadać przed panem Antonim i wylać na jego głowę całą gorycz swojego zawodu.

— Ładny gagatek ten pański Mielczarek — wyrzuciła gwałtownie, nawet nie odpowiadając na jego pozdrowienie.

— Młody, to głupi — powiedział Antoni — każdy w młodości lubi sobie podgazować.

— Podgazować to rozumiem — ale się schlać jak wieprz! — Runia w oburzeniu zapomniała o swoim literackim słowniku. — Dobrze, że go pan zatrzymał i żeście osobno wracali. Ja bym się ze wstydu spaliła, gdybym miała wracać w takim towarzystwie. Też coś!

— Panu Wojciechowi też nie wiele było potrzeba.

— Pan Wojciech jest inteligentny człowiek, kiedy sobie podpije to nikomu nie szkodzi...

— A co pannie Mielczarek szkodził?

— Kompromitował mnie.

— Trzeba było nie zapraszać, toby nie kompromitował.

— Nie znałam go — i nie będę go znała — dumnie powiedziała Runia.

— Sama pani sobie winna, panno Klaro, nie trzeba było mu pozwalać tyle wypić. Bo człowiek sam to rzadko kiedy ma opamiętanie.

— A cóż mi do tego? Niech sobie chla, jak chce, ten szelma.

— Trzeba było go trochę dopilnować.

— Też coś.

— Pani z początku to nawet dobrym okiem na niego patrzała się.

— Na początku?

— Tak. Wydawało mi się, że on się pani spodobał.

Klara oburzyła się i wypaliła:

— Ja? Za kogo pan mnie masz? Patrzałam na niego? na... takiego... takiego... łobuza!

Antoni uśmiechnął się.

— Coś za gorąco się pani broni, panno Klaro. Aż iskry pani z oczu poleciały. Ładnie pani wygląda jak się pani gniewa. Pani mąż będzie miał ładne widoki.

— Nie patrzyłam na pana Mielczarka — powtórzyła z uporem Klara.

— A szkoda.

— Dlaczego?

— Boby się pani może lepiej przypatrzyła, że chłop, panie, jak mur.

Panna Runia jeszcze się bardziej rozzłościła.

— Ja się przyzwyczaiłam do inteligentnych ludzi.

Antoni wziął Klarę za rękę i z czułością popatrzył jej w oczy. Mimo wszystko lubił tę dziewczynę i jej temperament maskowany książkowymi wyrażeniami. A przytem chciał ją wyprowadzić na czyste wody, sam zaś nie wiedział jak się do tego zabrać.

— Panno Klaro — powiedział — to dobry chłop, choć niebogaty. Ja myślę, że on by się dla pani lepiej nadawał od pana Wojciecha.

Tego Klarze było za dużo. Wyrwała gwałtownie dłoń z ręki starego stróża i furknęła zupełnie jak rozgniewana kotka:

— Co panu do tego? Do czego się pan zabiera?

Antoni cofnął się trochę, odchylił i z pewnym rozbawieniem popatrzył na Klarę.

— Bobym chciał dobrze dla pani — powiedział.

A Klara wybuchła, aż od tego zaszeleściło po izbie:

— Taki sukin syn, żeby się dla mnie nadawał? Oszalał stary, czy co, świństwo takie, pijus wstrętny, żeby śmiał na mnie oczy podnosić...

— Oko — poprawił z uśmiechem Antoni.

— Żebym tak skonała pierwej niż... żebym tak...

Gniew zahamował potok słów Runi. Zamilkła i tylko sapała przez chwilę. Potem zaś pogroziła gdzieś w przestrzeń daleką i warknęła:

— Gorzko on będzie tego żałował.

A potem jak gdyby bies ją opętał wsiadła nagle na Antoniego.

— A i pan, taki stary i z łobuzami się pęta. To pan go tutaj sprowadził, pan go tu rozzuchwalił po całej cegielni, pan go zabrał na wycieczkę, wszystko pan, wszystko pan...

I tu wybuchnęła płaczem, wybiegła z izdebki, poleciała do swego mieszkania nad szkołą i długo jeszcze płakała.

W dwa dni potem odnosiła robotę klientce, która mieszkała aż koło elektrowni. Dzień był ładny, zboczyła więc parkiem i przeszła wzdłuż Utraty aż do mostu, wracała tą samą drogą. W wąskiej ale dość głębokiej strudze odbijały się obłoki i młode smukłe drzewka sadzone wzdłuż wody. Było już pod zachód.

Klara zamyślona szła, machając ręką, jej czarne loki opadły na bok, głowę miała schyloną nieco na ramię i była gdzieś daleko poza Pruszkowem i Utratą, i nagle przywołało ją do rzeczywistości zjawienie się przed nią Wacka. Stał na drodze nad wodą, w jasnych spodniach i sportowej koszulce, z gołymi opalonymi ramionami, i wydawał się prawie piękny w tym świetle, które kładło głębokie cienie na pustej jego jamie ocznej, na wklęsłych policzkach, na zagłębieniach muskułów. Stał wyraźnie w poprzek jej drogi i czekał. Ogarnęła ją pasja. Podeszła szybciej do niego i zawołała:

— Czego pan chce? Dlaczego pan tu stoi?

Wacek popatrzył na nią poważnie i bez uśmiechu, wydawał się zdumiewać tym, że Klara jest przed nim, że mówi, że krzyczy.

— Co pan tu robi? — krzyknęła.

— Czekam na panią — odpowiedział wreszcie i uśmiechnął się.

Widok jego mocnych białych zębów rozwścieczył Klarę.

— Niech się pan nie śmieje, niech się pan nie śmieje — krzyknęła parę razy

i poczęła go bić kułakiem szybko, kilka razy, po wystającym obojczyku. Wacek jednym ruchem swoich wielkich rąk schwycił ją za dłonie i ściągnął je w dół.

— Będę krzyczała, zawołam pomocy, pan mnie napadł — wołała Klara.

— Cicho, cicho, cicho — powtarzał Wacek spokojnie — pani nie krzyczy... pani się uspokoi...

Klara jak gdyby osiadła.

— Czego pan chce? — spytała spokojniej.

— Chcę, żeby się pani na mnie nie gniewała.

— Kto pan jest, że pan śmie...

— Sama pani mnie zaprosiła na majówkę.

— Bo myślałam, że pan jest inny.

— Że jaki?

— Nie pijak, nie..., złodziej...

Wacek puścił jej dłonie. Podniósł obie ręce do twarzy i otarł spocone czoło. Wyglądał jak człowiek zmęczony.

— Niech mi pani nie pamięta — powiedział z wysiłkiem.

— Och, ja mogę nie pamiętać — powiedziała Klara z triumfem w głosie — ale wszyscy będą pamiętali. Wszyscy będą wiedzieli. Pan Stach mówił, że pana palcami na ulicy wytykają.

— Pan Stach mówił. Ale pani?

— Ja mogę nie pamiętać — powtórzyła Klara ciszej, jakby gotując się do skoku. — Ale to nic nie zmienia. Nie znam pana.

— Zapoznała mnie pani niedawno...

— Nie znam pana.

Odrzuciła z dumą loki znad uszu i chciała wyminąć zgnębionego chłopca. Wacek usunął się trochę i trzymał się teraz oburącz wysokiego drzewka stojącego nad rzeczką. Parę wątłych listków powiewało bezpośrednio nad jego głową jak czerń jakiejś żałoby.

— Niech pani poczeka — powiedział cichutko.

— Nie mam po co — kłótliwie powiedziała Klara, ale stanęła.

— Ja się jeszcze mogę pani przydać — szeptał dalej Wacek. — Ja pani powiem wszystko, powiem gdzie mam zakopany rewolwer, gdzie Antoni chowa rannego człowieka, gdzie...

— O? — zainteresowała się Klara — to Antoni taki? A gdzie on go trzyma?

— W starym baraku — powiedział Wacek i nagle odczuł taki przypływ rozpaczy, że gotów byłby się rzucić do nóg Klarze. — Powiem pani, gdzie wziąłem to ubranie, co miałem w Podkowie, powiem pani wszystko, wszystko. Tylko niech pani nie odchodzi.

Klara nie odchodziła, ale iskra zainteresowania zgasła w jej oczach. Stała tak na tle zielonej niskiej łąki, oświetlona słońcem, wypukła nawet dla samotnego oka Wacka, z odrzuconymi za uszy lokami — i wydawała mu się piękna.

— Och, pańskie sprawy, pańskie interesa! — zawołała nagle tonem z wielkoświatowego filmu — cóż mnie to obchodzi? Niech się pan usunie z mojej drogi!

Widocznie to zdanie rozumiała symbolicznie, gdyż Wacek stał zupełnie na boku, nad rzeczką, i taki był smutny. Klara obrzuciła go groźnym spojrzeniem,

a potem skinęła głową, jak gdyby żegnając go. Serce jej raz tylko uderzyło żywiej, ale przezwyciężyła się.

— Nie znałam pana i nie znam — powiedziała i z podniesioną głową, jak to widziała kiedyś w teatrze, szybko poszła ścieżką wzdłuż Utraty. Wacek pozostał sam pod drzewem.

Cała ta scena nie zrobiła na nim wielkiego wrażenia, przedtem już wiedział, że skompromitował się nieodwołalnie; ale miny Klary, jej teatralny chód, jej gesty zirytowały go. Nie umiał ich umieścić w żadnej kategorii i nie mógł rozeznać w czym go dotykają, ale był jak gdyby obrażony.

— Psiakrew — powiedział sobie — niech ją gęś kopnie.

I zawrócił do domu. W komórce siadł na łóżku i doznał dziwnego uczucia. Nic mu się nie chciało. Nie ciągnęły go żadne ponęty, nawet na starą cegielnię nie miał ochoty zajrzeć. Wszystko było jakieś puste i bez treści.

— Nic dla mnie już nie ma uroku — powiedział do siebie.

Nagle rozległ się tupot drobnych nóg na drabiniastych schodach. Przez wiecznie otwarte drzwi izdebki wpadł zdyszany Jasio i jak gdyby nie spodziewał się tu zastać nikogo, zatrzymał się na progu.

— A, jesteś — powiedział.

Wacek spojrzał na niego bez wyrazu. Jasio udał, że nie widzi jego smutku i podszedł do okna, na które spływał już przedwieczorny mrok. Jaskółki śmigały przed oknem i Jasio chciał do nich trafić z procy.

— Daj spokój — powiedział Wacek — i tak nie trafisz, a szyby ludziom powybijasz.

Korzystając z tego, że Wacek usiadłszy na łóżku schował twarz w dłonie, Jasio szybko wysunął szufladkę stoliczka, który stał pod oknem, i wyjął jedno pudełko z żyletkami. Wacek zmienił pozycję i spostrzegł manewr Jasia.

— Połóż pudełko. Po co to ruszasz? — powiedział groźnie.

Jasio włożył niklowe płaskie pudełko z powrotem do szufladki. Ze zmieszania, nie wiedząc co robić, zakręcił się na jednej pięcie. Wacek wstał gwałtownie i jednym ruchem wyciągnął szufladę. Porachował w milczeniu pudełka, jednego brakowało.

— Gdzie jest jedno pudełko? Oddaj! — powiedział.

Jaś poczerwieniał, uszy jego stały się purpurowe, ale minę miał zuchwałą.

— Nie brałem!

— Kłamiesz! — warknął Wacek — gdzie jest żyletka? Ukradłeś?

— Wziąłem sobie — powiedział Jaś — ty masz tyle.

— Ukradłeś — powtórzył Wacek.

— A ty? — zapytał Jasio.

Wacek drgnął. Popatrzył na Jasia uważnie, ale ten zuchwale spoglądał na niego hardo zadzierając głowę. Nie wytrzymał tego wzroku i odwrócił się od Jasia. Wrócił do swojej poprzedniej pozycji i usiadł na łóżku, zakrywając twarz.

— Ty wiesz? — zapytał przez palce.

— E — przeciągnął Jasio — ty myślisz, że ja taki dzieciak. Uwierzę w twojego wujka aptekarza? Pewnie, że aptekarz — ale jakeś ty się do niego dostał? Pewnie przez balkon?

— No, to nie siedź tutaj. Zjeżdżaj — zawołał Wacek.
— Dlaczego?
— Zjeżdżaj.
— Patrz! — powiedział Jasio i wyciągnął z kieszeni brakujące pudełko. Wacek popatrzył na pudełko i na Jasia. Nic nie rozumiał.
— Po co brałeś?
— Chciałem sprzedać.
— Po co? Na ciastka?
— Nie, na lody.
— Gadaj rozsądnie.
— No, mówię. Chciałem sprzedać. Dla Karola.
— Któżby ci to kupił?
— A ty forsy nie masz?
— Po co ci?
— Mówię ci, dla pana Karola.
— To forsa niedobra. Kradziona.
— Wszystko jedno. Daj!
— Ty wszystko wiedziałeś?
— Runia zawsze mówiła.
— I przyjaźniłeś się ze mną?
— A cóż to szkodzi? Ja także u ciebie wziąłem.
— Ale ty na żarty.
— A ty na serio?
— No... — zawahał się Wacek.
— Oddasz jak się wzbogacisz.
— A panna Klara?
— Widziałeś Klarunię?
— Widziałem, ale ona mówi inaczej.
— Gdzieś ją widział?
— Nad rzeką.
— I pogodziliście się? — Jasio zapytał się z radosną ciekawością.
— Ach, nie. Co cię to zresztą obchodzi — nagle Wacek porwał się z łóżka i począł udawać Klarę: „nie znam pana, nie znam pana". Podniósł nos w górę i chodził niby to jak Klara. Piszczał dyszkantem: „nie znam pana!" — Cholera! Usiadł ciężko z powrotem na łóżku. Jasio śmiał się serdecznie. Nagle spostrzegł, że Wackowi usta skurczyły się w dziwnym wyrazie, aż białe zęby błysnęły mu z pomiędzy warg i z jedynego oka spłynęła wielka, jasna łza.

Jasiowi dech zatkało w piersi. „Wacek płacze?" — pomyślał. I potem tak się zawstydził tej słabości przyjaciela, że czym prędzej się odwrócił do okna i udawał, że celuje do jaskółki.

— Nie strzelaj! — powiedział Wacek zmienionym głosem.
— Nie, ja tylko tak... celuję... — bąknął Jasio jeszcze bardzo zawstydzony.
— A do żyletek nie zaglądaj!

Jasio z wycelowaną procą w ręku obejrzał się na Wacka. W spojrzeniu tym

było mnóstwo szelmostwa, żalu, współczucia, uporu — tyle uczuć, ile się mogło pomieścić w jego dziecinnym sercu, które przeżywało teraz nieuświadomioną burzę.

— Tylko ty mi na złodzieja nie wyrośnij! — dodał jeszcze Wacek i pokiwał mu palcem.

Nazajutrz rano — dosyć wcześnie Klara z Jasiem wyszli przed dom szkolny. Klara miała iść na targ. Jasio umówił się z Wackiem na glinianki, na ryby. Dzień był ładny, ale ranek zupełnie jesienny, mgły przykrywały wszystkie oddalone przedmioty i drzewa, jak sylwety wykrojone z niebieskiego papieru, stały w żółtym świetle. Od strony miasta szła szybko jakaś kobieta. Drobną, szczupłą jej figurę okrywał kostium z czarnego sukna, na głowie miała malutki słomkowy kapelusik, a na nim zawieszoną króciutką woalkę. Spod kapelusza widniała kępa włosów słomkowego koloru, nieporządnie rozrzuconych. Wyglądała na podupadłą hrabinę. Duże niebieskie oczy wysadzone z orbit raziły w nerwowej, chudej twarzy; ruszała się prędko i tupała głośno wysokimi francuskimi obcasami. Puder sypał się jej z policzków i czoła. Kobieta pozdrowiła Klarę, była to Elwira.

Klara zatrzymała się z radosnym okrzykiem:

— Ach, pani Elwiro kochana! Tak dawno pani u nas nie była. Cóż panią sprowadza do cegielni?

Elwira westchnęła, uśmiechnęła się, łypnęła oczami.

— Cóż mnie może sprowadzać, jak nie szanowny mój małżonek? On mnie wkrótce do grobu wpędzi. Wtedy dopiero będzie zadowolony.

Głos Elwiry był niski, ale co chwila łamał się i piskliwie urywał. Mówiła jak skrzypiące koło, ale w swoim wysłowieniu, w nosowej wymowie naśladowała prawdziwe wielkie damy.

— Ach, oni wszyscy tacy sami, pani Elwiro — powiedziała Klara takim tonem, jak gdyby co najmniej trzech mężów pochowała.

— Ale pani za mąż wychodzi, a mężczyzn przeklina?

— Gdzie ja za mąż, pani Elwiro, jeszcze mam czas. A przy tym... namyślam się.

— Niech się pani dobrze namyśli. Pani potem trafi jak ja, jak na mojego. Siłą mnie, pani, wydali za niego, a potem on mnie całe życie nienawidził.

— Pan Antoni?

— Nienawidził, pani, całe życie prześladował, umorzyć chciał, że niby wdowcem mu lżej będzie. Na życie moje nastawał.

— Oni tacy wszyscy. Nie dawno zaprosiłam jednego na majówkę do Podkowy Leśnej, pani myśli, że mi podziękował? Schlał się jak bestia i pobił się z konduktorami. Mój ojciec, proszę pani, też był pijanica, mamusię, z przeproszeniem, prał. A ten mały — pokazała na kręcącego się przed furtką Jasia — też, proszę pani, do bimbru się ciągnie.

Elwira westchnęła znowu, jej oczy ożywiały się w miarę jak Runia mówiła i łono ukryte w fałdach białej bluzki poczęło falować. Wzrok jej nabrał mętnego wyrazu podniecenia, jej ładnie rzeźbione nozdrza rozchyliły się jak gdyby węszyła jakiś ponętny zapach, patrzyła z zachwytem na Klarę.

— Taki stary, pani, to jeszcze ma sumienie mnie od siebie precz wyganiać, pewnie ma jaką utrzymankę, czy co? Pracować nie chce. Ja mu już nieraz proponowałam posadę w Warszawie, ja mam, pani, stosunki, mógłby za dozorcę, za woźnego... a on nic, i nic, sterczy w tej starej cegielni.

Jasio tymczasem skonstruował sobie jakąś zabawkę z czterech kijków, z których trzy wbijał w ziemię, a czwarty przeplatał między nimi; nie można było wyrozumieć co to znaczy, ale w jego pojęciu to oczywiście coś oznaczało. Wtykając tak te patyczki w ziemię przybliżył się do rozmawiających i mimowoli był słuchaczem dalszej ich rozmowy. Klara podniecała się sama swoimi słowami, jakiś motorek zapuszczony w niej nie chciał się zatrzymać i coraz gorzej poczęła się odzywać o swoim dotychczasowym przyjacielu. Zapomniała o wszystkim, pamiętała tylko, że chciał ją wydać za tego ślepego.

— Proszę pani — gdakała w upojeniu — pan Antoni chciał mię tu wydać za jakiegoś oberwańca. Mówi mi, żeby się lepiej do mnie nadawał niż pan Wojciech. Pan Wojciech, taki szykowny człowiek, nauczyciel. On w abstrakcjach nie buja, proszę pani, on przychodzi do rzeczywistości, umie się znaleźć w najlepszej kompanii — i pan Antoni mnie nastręcza jakiegoś jednookiego złodzieja.

— O, ja go poznaję po tej jednej sprawce. To, pani, okropny człowiek, on każdą kobietę chce zgubić. On mnie, niech pani sobie wystawi, nawet nigdy niczym nie poczęstuje. Przyjeżdżam do niego raz na tydzień, czasem raz na miesiąc, a on mi nawet nie powie: siądź, Elwircia, napij się szklankę herbaty! Nigdy... nigdy... ani razu.

— Ma teraz inne zajęcia. Takich różnych podejrzanych utrzymuje. Ma teraz podobno takiego jednego w starym baraku...

Elwira zesztywniała cała i otworzywszy usta chciała coś powiedzieć, ale żaden głos nie wydobył się jej z krtani. Drobnym ruchem ręki szarpała chwast przy parasolce i patrzyła bez słowa wytrzeszczonymi przez chorobę Basedowa oczami na podnieconą Klarę. Po efekcie jaki jej słowa wywarły Klara zrozumiała, że powiedziała za dużo, ale już było za późno. Brnęła dalej.

— Siedzi tam jakiś bandyta, czy desantowiec...

Jasio miał więcej rozsądku od siostry, nie przeszedł też żadnego zawodu i trzeźwiej patrzył na sprawy. Z przerażeniem pociągnął Klarę z tyłu za sukienkę. Runia opamiętała się.

— No, to może jeszcze nieprawda — dodała — ludzie takie rzeczy gadają.

Elwira odzyskała panowanie nad sobą. Jej słomiane fioki zatrzęsły się pod czarnym kapeluszem i nagle groźnie kiwnęła głową.

— Zobaczymy — powiedziała swoim niskim głosem.

I, jak gdyby nie chcąc tracić ani chwili czasu, pośpiesznie skierowała się na swoich wysokich obcasach przez szosę do starego kantoru i dalej do izdebki stróża.

Jasio nie oglądając się na nią i nie zważając na wołanie Klary, jakie rozlegało się za nim, popędził gwałtownie w stronę miasta na spotkanie Wacka. Wpadł na niego w połowie lipowej alei i blady jak trup, łapiąc z trudnością oddech zaczął opowiadać:

— Runia powiedziała Elwirze, Runia powiedziała o panu Karolu. O schowanym. Och, o panu Karolu. A skąd ona wie? Kto jej powiedział?

Wacek kucnął przy Jasiu i trzymając go za obie ręce słuchał opowiadania o zdradzie Klary twarzą w twarz z małym przyjacielem. Zgrzytał z wściekłości zębami.

— Ja wiem kto powiedział — wydusił z zaciśniętego gardła — ja wiem.

— Bodaj go piorun trzasł — zaklął Jasio.

— Bodaj go piorun trzasł — powtórzył Wacek i porwał się na nogi.

— Trzeba tam iść, trzeba tam być, możemy się przydać.

I podeszli pod drzwi starego kantoru.

Tymczasem Elwira, tym razem pewna swego, stanęła na progu izdebki Antoniego jak wryta i bez słowa patrzyła na męża. Antoni siedział na zydelku i dratwą zeszywał podarty swój but. Muchy bzykały pod sufitem i w oknie. Antoni popatrzył parę razy na żonę spode łba, nie przerywając roboty. Elwira wsparta na parasolce z podniesioną głową stała jak posąg.

— Cóż to cię tak rano przygnało? — nie wytrzymał wreszcie Antoni i spytał odkładając buty. — Czegóż stoisz jak djabelski świątek? Siadaj. Nogi cię bolą.

Ale Elwira milczała. Wytrzeszczone oczy, równy nos, ślad dawnej piękności, wszystko zastygło w nieruchomą maskę. Antoniego to zaniepokoiło.

— Siadaj, Elwircia — powiedział — może się kawy napijesz?

Ale Elwirę poniosło.

— Nie! — wrzasnęła nagle groźnie — nie! — i postąpiła krok naprzód wznosząc w górę parasolkę. — Nie będę kawy piła u ciebie. Ale cię teraz mam. Za wszystkie krzywdy, za poniewierkę, za szlanie się po ulicach... — przerwała to bo tchu jej brakowało.

Antoni uśmiechnął się łagodnie.

— A któż cię kiedy poniwirał? Czyż to niedobrze nam było dawniej u hrabiów? Tyś tylko zawsze za czym innym węszyła, mało ci było mojej chudoby. I w Warszawie mogło być dobrze, pan Konstanty nam chciał pomóc. A ty zawsze sobie coś takiego wyobrażałaś, sam nie wiem, co ty sobie wyobrażałaś. Wszystkiego ci było mało... do kina... do teatru...

— Bo ty nie rozumiałeś czego mi potrzeba. Ja nigdy nie byłam zwyczajną pokojówką. Ja, Elwira Hajecka, byłam kobietą co się zowie. A ty co? Smrodny kozak!

— Oj, Elwirka, nie zaczepiaj mnie — mruknął Antoni.

— Pieniądze masz? — zaczęła z innego tonu Elwira.

— Skąd pieniądze? Czy ja mam tu kopalnię złota? Ja pilnuję cegielni, tu pieniędzy nie ma.

— Pilnujesz cegielni i tych co się w niej ukrywają!

Antoni z przestrachem spojrzał na Elwirę.

— Dowiedziała się — bezdźwięcznie wymówiły jego wargi.

— Ładnie się bawisz. A taki stary. Poczekaj, powisisz ty teraz na stryczku.

— Elwirka, nie wydasz — groźnie powiedział Antoni.

— Gdzie go masz? — podeszła wprost do niego i spojrzała z góry.

— Czego chcesz? Pieniędzy? — zapytał Antoni.

— W starym baraku? w komórce? Ja wiem.

— Czego chcesz? — syknął Antoni jak zraniony. — Poszła stąd.

Pogrzebał w blaszanym pudełeczku z gwoździami, drutami i zasmolonymi szydłami i znalazł zwitek pakuł, wyjął ze zwitka złotą pięciorublówkę. Elwirze oczy zaświeciły.

— Ostatnia. Przysięgam Bogu! — powiedział stróż.

Elwira wyjęła mu z rąk pięciorublówkę i zawiązała do chusteczki. Potem powiedziała łagodniej:

— Ty się stary w takie rzeczy nie baw, bo to się smutnie skończy.

— Co ty tam wiesz — warknął Antoni ze złością.

— Takie tam głupstwa. Buntowników chowasz, — a potem nachylając się nad nim poufnie, łagodnie szepnęła — ty byś sam do policji doniósł. Nagrodę byś otrzymał.

Antoni porwał się z zydelka i z całej siły dał babie po mordzie. Wrzasnęła okropnie, kapelusz się jej przekrzywił. A stary stróż nagle zagryzł palce obu rąk w zębach i syknął przeciągle. Zrozumiał, że wszystko przepadło.

Stek straszliwych, najordynarniejszych wyzwisk posypał się z ust byłej panny służącej. Zapomniała o pozie zubożałej hrabiny i wymyślała jak ulicznica, grożąc mężowi pięścią i parasolką.

— Nic z ciebie nie pozostanie, krwawy placek, ty opoju, rajfurze, rzeźniku, bandyto! — wrzeszczała — zaraz ci cały Pruszków na głowę sprowadzę, wszystkich ci tu pokażę, wszystkich, abyś zgnił razem z twoim pupilkiem... Idę! Idę! Ale jak ci wrócę, to zobaczysz! zobaczysz! zobaczysz!

Jak furia wyleciała w kierunku miasteczka. Stróż wybiegł za nią i natknął się na Jasia i na Wacka. Krzyknął na małego:

— Leć za tą wiedźmą i zobacz dokąd idzie. A jakby wracała w tę stronę i, czego broń Boże, nie sama, to pędem daj znać.

Jasio patrzał na starego z oczami rozszerzonymi jak światy, po każdym jego słowie powtarzał swoje: „tak, tak!"... a potem chwilę stał nieruchomo, wciągając oddech i nagle jak strzała pomknął za Elwirą, dopędził ją wkrótce i szedł o parę kroków za nią.

A stróż zwrócił się tymczasem do Wacka.

— Chodź pan, pójdziemy do baraku. Trzeba coś robić.

Weszli do zrujnowanego budynku, odsunęli taczki, otworzyli drzwi. Karol leżał na tapczanie i zbudził się jak ze snu, patrzał na nich bez słowa i ze zdziwieniem. Był jednak ogolony.

— Musi pan uciekać! — powiedział Antoni — wszystko się wydało.

Karol bez słowa potrząsnął głową.

— Zaraz, zaraz panie Karolu — niecierpliwił się Antoni.

— Nie — powiedział Karol — niech już tak będzie.

— Niech pan staje na nogi — wołał stróż.

— I tak mnie zaraz dogonią — chodzę z trudnością — powiedział Karol.

— Trzeba ich tu zatrzymać — powiedział Antoni i mimo woli spojrzał na Wacka.

Wacek stał pośrodku izdebki z opuszczoną głową. Różowy włóczkowy szalik wił się wokoło jego opalonej szyi. Karol spojrzał na niego z ciekawością.

— Ja zaraz wrócę — nagle podniósł głowę Wacek — panie Antoni, niech mi pan da scyzoryk.

Antoni dał mu scyzoryk, Wacek wyskoczył z baraku i skrywając się w gąszcz łopianów na narożniku nagle odwalił kamienie. Począł naprzód nakłuwać dość suchą ziemię nożem, a potem grzebać łapami, pazurami, palcami, aby jak najprędzej rozkopać to miejsce. Nachylił się nad ziemią, przypłaszczył pod krzakami i pracował jak pies dobierający się do nory królików. Twarz mu się ścięła w jeden wyraz bezmyślnego wysiłku. Pojękiwał z cicha. Włosy tak zawsze pięknie przyczesane wzburzyły się i pozlepiały nad czołem. A jednocześnie wyobraźnia jego pracowała niezwykle intensywnie, czuł, że wszystko się kończyło i w takim dziwnym skrócie przebiegające przed jego oczami całe życie nic mu w głowie nie pozostawiło — żadnej twarzy, żadnego widoku, — wszystko przeminęło, jak mgła, tylko w pamięci istniał ten przedmiot mały, oksydowany, stalowy, jedyna rzecz, dla której warto było żyć — ten rewolwer. Wreszcie wykrzyknął z cicha, jego bolące, poranione palce natknęły się w wilgotnej ziemi gwałtownie na coś twardego, pochylił się bardziej, zagrzebał rękami szybciej i po chwili wyciągnął; zawinięty w szmatki wydostał się na powierzchnię ziemi.

Dawno nie widziany wydał się Wackowi symbolem wolności, prawdy, sprawiedliwości — wszystkiego, do czego może tęsknił, a o czym nie myślał. Rozwinął go ze szmatki i przycisnął rozczulony do policzka.

— Jesteś, bratku — powiadał — jesteś!

Teraz skoczył do komórki. Pan Karol wstał już z łóżka i próbował chodzić po podłodze. Nogami suwał z trudnością.

— Dogonią, zaraz dogonią — z rozpaczą powtarzał Antoni bezmyślnie, chodząc ślad w ślad za Karolem.

Wacek przygładził włosy i odzyskał zimną krew.

— Panie Antoni — powiedział — pan wieje razem.

— Dokąd? Jak? — zapytał stróż.

— Ja ich tu zatrzymam, ale potem to szkoda gadać . . . nie będzie pan mógł tu siedzieć. Musi pan wiać, gdzie oczy poniosą. Papiery pan jakie ma?

— Mam.

— Pieniądze?

— Mam.

— No, to jazda.

Pan Karol zatrzymał się na środku pokoju i popatrzył na Wacka.

— Ja nie mogę przyjąć od pana tej ofiary.

— Głupie gadanie. Zjeżdżaj pan.

— Nie mogę uciekać. Nie mam papieru.

Wacek sięgnął do kieszeni.

— Masz pan moją kennkartę. Podobny jestem do pana, a oko mam na fotografii zamalowane. To na razie wystarczy.

— Panu grozi śmierć.

— A panu?

— Ale ja wiem za co.

— A ja niby nie wiem? Pan ważniejszy.

— Kto wie? — powiedział Karol z głębokim zamyśleniem, które w tej sytuacji wydało się czymś nieznośnym. Wacek zniecierpliwił się.

Zbliżył się do Karola i wziął go za ramię.

— Pan jest ważny, pan jest ktoś. Pan pojedzie daleko, pan pozdrowi wszystkich naszych. A ja co? Złodziejaszek z Pruszkowa. Nawet mnie do wojska nie chcieli, nawet mnie panna Klara...

— Pan zginie.

— Nieee, no, nieee — przeciągnął z warszawska Wacek.

— Wiej pan razem — powiedział Antoni, zbliżając się już do drabiny.

— Jak wszystkie razem uciekniemy — powiedział Wacek — to się oni za nami w skok rzucą. Muszą zostać, a nim oni rozbiorą, kto ja jestem, to już będziecie daleko, na kolei. Jedźcie do Żyrardowa i tam dalej... pan Antoni wie może.

— Ja wiem — powiedział Karol.

— A niech pan pilnuje starego — powiedział do niego Wacek konfidencjonalnie — bo jeszcze będzie chciał wrócić tutaj. A tu już nic po nim.

Wleciał zadyszany Jasio.

— Idą — powiedział, ledwie chwytając oddech — idą, pani Elwira prowadzi. Gada tak coś i wymachuje ręką. Krzyczy...

— Skaranie boskie — jęknął pan Antoni — nie spodziewałem się tego nawet po tej babie.

— Z kobietami tak zawsze — powiedział Wacek i ustawił się na środku komórki twarzą do drzwi.

— Odkopałeś? — szepnął Jasio — pokaż!

Wacek wyciągnął rękę z kieszeni i pokazał ukradkiem Jasiowi nieduży czarniawy przedmiot. Oczy chłopca zapaliły się namiętnym blaskiem.

— E, taki szary... a jak to strzela? — zapytał.

— Zobaczysz — powiedział Wacek — a potem dodał:

— Jasiu, wyjdź prędko i zasuń taczki na drzwi — to zawsze trochę czasu stracą. No, panowie, nie ma gadania. Oni przy mnie to się trochę zajmą, ale czy to długo potrwa?

Pan Antoni zrobił znak krzyża i wziął za drabinę.

Jasio wyskoczył tak prędko, że Wacek nie zdążył się z nim pożegnać. Zrobiło mu się przykro.

— Jasiu, Jasiu — zawołał. Ale posłyszał już tylko z wielkim wysiłkiem zasuwaną taczkę.

— No, panowie, z Bogiem — powiedział Wacek.

Pan Antoni i za nim Karol szybko wyskoczyli na drabinę i prześlizgnęli się przez okno bez słowa. Tylko ich ruchy bardzo sztywne świadczyły o wzruszeniu. Karol na pół przewieszony przez okno rzucił na Wacka niepewne spojrzenie. Ale Wacek spokojnie stał pośrodku izby z obu rękami w kieszeniach i pogwizdywał cicho, wznosząc się na palce, to opuszczając na pięty.

Wacek nasłuchiwał, obaj uciekający ciężko zeskoczyli z okna na ziemię, aż coś jęknęło.

— Bodaj was — mruknął — to niedźwiedzie!

Przez chwilę, długą chwilę stał pośrodku komórki na ceglanej podłodze i przekrzywiwszy głowę, łowił uchem dźwięki z zewnątrz. Na razie nic nie było słychać. Wacek ściskał mocno broń, trzymając prawą rękę w kieszeni. Raz jeszcze wyjął rewolwer, aby przekonać się, czy zarepetowany. Potem go znowu ukrył w kieszeni i skierował lufę ku wejściu.

Wreszcie posłyszał w opuszczonym baraku niejasne szmery, potem histeryczny głos Elwiry, a wreszcie ciężkie kroki. Kroki zbliżyły się do drzwi, gwałtownym szarpnięciem odwalono taczki, aż brzęknęły o cegły i znowu była chwila ciszy. A potem rozległo się mocne pukanie.

Wacek przegiął się tanecznie, lewą rękę wyjął z kieszeni i wyciągnął przed siebie, jakby pannę zapraszał do oberka i zawołał przeciągle, muzykalnie, akcentując ostatnią sylabę:

— Proszęęęę...

W tej samej chwili Jasio, który spełniwszy swoje zadanie wycofał się za mieszkanie Antoniego, nie mógł wytrzymać i podskoczył do baraku. Przyłożył głowę do ściany i chciał przebić cegły oczami, uszami, ujrzeć czy posłyszeć, co się tam we wnętrzu dzieje. Ale nic nie dolatywało za mury. Rzucił okiem na glinianki i ujrzał je niebieskie i łaskawe w blasku jesiennego dnia.

Nagle rozległ się głuchy strzał w środku, a potem kilka bezładnych detonacyj. Tynk się posypał z okien.

Jasio podskoczył jak oparzony i wrzasnął radośnie:

— Łobodu!

A potem zastanowił się, przytulił twarz do muru i zakrywając głowę rękami bardzo gorzko zapłakał.

PRZEDMIEŚCIE

Ręka z kartami upada
W gorący piasek
Słońce zbielałe upada
W gorący piasek
Felek bank trzyma, Felek nam daje
I blask przebija zlepioną talię
Gorący piasek...

Przełamany cień komina. Rzadka trawa.
Dalej miasto otworzone krwawą cegłą.
Rude zwały, drut splątany na przystankach.
Karoserii zardzewiałej suche żebro
Świeci glinianka.

Pusta ćwiartka zakopana
W gorący piasek
Kropla deszczu zakurzyła
Gorący piasek
Janek bank trzyma, Janek nam daje
Gramy i lecą lipce i maje,
Gramy rok drugi, gramy i czwarty
I blask przez czarne sypie się karty
W gorący piasek.

Dalej miasto otworzone krwawą cegłą,
Jedna sosna za żydowskim domem,
Sypkie ślady i równina aż do końca.
Pył wapienny, toczą się wagony
A w wagonach czyjaś skarga skamlająca.

Weź mandolinę, na mandolinie
Wygrasz to wszystko
Ech palcem w struny

Piękna piosenka
Jałowe pole
Szklanka wypita
Więcej nie trzeba.

Patrz idzie drogą wesoła dziwa
Pantofle z korka, czub fryzowany
Chodź tu dziewczynko pobaw się z nami
Jałowe pole
Zachodzi słońce.

1943

CAMPO DI FIORI

W Rzymie, na Campo di Fiori
Kosze oliwek i cytryn
Bruk opryskany winem
I odłamkami kwiatów.
Różowe owoce morza
Sypią na stoły przekupnie
Naręcza ciemnych winogron
Padają na puch brzoskwini.

Tu, na tym właśnie placu
Spalono Giordana Bruna.
Kat płomień stosu zażegnął
W kole ciekawej gawiedzi.
A ledwo płomień przygasnął
Znów pełne były tawerny
Kosze oliwek i cytryn
Nieśli przekupnie na głowach.

Wspomniałem Campo di Fiori
W Warszawie przy karuzeli
W pogodny wieczór wiosenny
Przy dźwiękach skocznej muzyki.
Salwy za murem ghetta
Głuszyła skoczna melodia
I wzlatywały pary
Wysoko w pogodne niebo.

Czasem wiatr z domów płonących
Przynosił czarne latawce

Łapali płatki w powietrzu
Jadący na karuzeli.
Rozwiewał suknie dziewczynom
Ten wiatr od domów płonących
Śmiały się tłumy wesołe
W czas pięknej warszawskiej niedzieli.

Morał ktoś może wyczyta
Że lud warszawski czy rzymski
Handluje, bawi się, kocha
Mijając męczeńskie stosy.
Inny ktoś morał wyczyta
O rzeczy ludzkich mijaniu
O zapomnieniu co rośnie
Nim jeszcze płomień przygasnął.

Ja jednak wtedy myślałem
O samotności ginących
O tem, że kiedy Giordano
Wstępował na rusztowanie
Nie znalazł w ludzkim języku
Ani jednego wyrazu
Aby nim ludzkość pożegnać,
Tę ludzkość, która zostaje.

Już biegli wychylać wino
Sprzedawać białe rozgwiazdy
Kosze oliwek i cytryn
Nieśli w wesołym gwarze.
I był już od nich odległy
Jakby minęły wieki
A oni chwilę czekali
Na jego odlot w pożarze.

I ci ginący, samotni
Już zapomniani od świata
Język ich stał się nam obcy
Jak język dawnej planety.
Aż wszystko będzie legendą
I wtedy, po wielu latach
Na nowym Campo di Fiori
Bunt wznieci słowo poety.

Wielkanoc, 1943

JERZY ANDRZEJEWSKI

POWRÓT

(FRAGMENT Z POWIEŚCI „NATCHNIENIE ŚWIATA")

Dom, w którym mieszkał Karol Gaszycki, był ogromnym blokiem spółdzielczym. Jego front, szary i gładki, podobny do długiego pudła, wychodził na szeroką aleją, przecinającą, pomiędzy podobnie prostokątnymi i bezwarwnymi blokami, jedną z nowoczesnych dzielnic Warszawy. Natomiast w tyle spółdzielni znajdował się rozległy dziedziniec bardzo czysty i ozdobiony kwietnikami. Dalej w głąb kolonii ciągnęły się pomniejsze parcele z małymi willami, których strome, na wzór polskich domków wznoszone dachy, czerwieniały wśród młodych, lecz już dość bujnie podrośniętych ogródków. Okna parterowego mieszkania Gaszyckiego wychodziły właśnie na tę drugą stronę.

W kraju, w którym zniszczenie i burzliwe losy nie oszczędzają żadnego pokolenia, mało znaleźć można mieszkań przechodzących z ojca na syna. Tam, gdzie ciągle i niezmiennie trzeba wszystko odbudowywać i zaczynać na nowo, tradycja bardziej się przechowuje w słowach i w pamięci, niż w rzeczach wywołujących obrazy minionych lat. Jeszcze na prowincji, w stronach omijanych przez powstania i wojny, a należących do rodzin ocalonych od ruin lub własnej lekkomyślności, spotyka się gdzieniegdzie domy, które wśród swoich drewnianych ścian zdają się zatrzymywać upływanie czasu. Jest ich jednak coraz mniej i jeśli uratowały się do tej pory, zmiecie je jutro.

Tak też trzypokojowe mieszkanie Gaszyckiego, podobnie jak większość domów jego rówieśników, było typowym wnętrzem nowoczesnym: jasnym, bardzo celowym i pozbawionym wdzięku. Kilka zaledwie drobiazgów: spłowiały pas słucki, stara, jeszcze czasy napoleońskie pamiętająca szabla, a przede wszystkim trochę podniszczonych fotografii, utrwalających sylwetki i ubiory niewspółczesnych mężczyzn i kobiet, wnosiło w te proste, nieco chłodne ściany obecność przeszłości. Rzeczywiście pamięć tradycji w rodzinie Karola bardzo jeszcze żywa u jego ojca, Tomasza, sięgała w trzecie pokolenie wstecz.

Pradziad Karola, który urodził się w roku Insurekcji kościuszkowskiej i na cześć wodza otrzymał w skromnym kościółku w sandomierszczyźnie imię Tadeusza, opuścił młodym chłopcem ubogi folwarczek rodzicielski i powędrował z armią Napoleona pod Moskwę. Przetrwał szczęśliwie całą kampanię, entuzjazm zwycięskiego pochodu i klęskę odwrotu, aż wreszcie w randze porucznika stanął

na ziemi francuskiej. Potem, jak inni, wrócił do ojczyzny, gospodarował na ojcowskim skrawku ziemi, snuł projekty reform, lecz choć nie pierwszej już młodości, nie zdążył jeszcze założyć własnej rodziny, gdy echo, jakim pewna noc listopadowa w Warszawie rozniosła się po kraju, z powrotem pociągnęło go w szeregi. Tym razem, po klęsce, nie wrócił w sandomierskie. Gospodarował tam młodszy brat. Tadeusz pozostał na emigracji, należał do stronnictwa demokratycznego i zanurzył się w ówczesne spory, nienawiści i złudzenia. Dopiero po tragicznej wyprawie Zaliwskiego, w której brał udział, ranny i schorowany zawitał z powrotem w rodzinne strony. Ze spóźnionego małżeństwa miał jednego syna, Jana, lecz gdy niebawem powiało nad Europą nadzieją wolności, ani rodzina, ani własne lata i nadszarpnięte zdrowie nie powstrzymały go od powtórzenia doświadczeń młodości. Ostatecznie zginął ów Tadeusz Gaszycki na węgierskiej ziemi, na moście pod Hatwan. Jego syn, Jan, bił się w młodości w powstaniu styczniowym i pięć lat przesiedział na zesłaniu pomiędzy Jakutami. Potem udało mu się stamtąd zbiec, wrócił więc przez Amerykę do Europy, ożenił się we Francji z córką emigranta, a ponieważ po ojcu odziedziczył idealizm, zginął wkrótce na barykadach wzniesionych w Paryżu przez lud. Wdowie, która została z dwojgiem dzieci, udało się po długich staraniach wrócić do kraju, do dalszej rodziny, o której istnieniu przypomniała sobie była w swoim osamotnieniu. Ojciec Karola, a najstarszy syn Jana, Tomasz, spędził młodość w nielegalnych organizacjach wolnościowych, był wybitnym działaczem w środowiskach robotniczych, kilkakrotnie też odsiadywał więzienie, a na wolności prowadził trudne i ciężkie życie konspiratora. Po roku 1905, gdy ostatecznie załamała się rewolucja, przeniósł się pod zabór austriacki, do Krakowa. Potem przyszły Legiony, a po ich rozwiązaniu znów wojskowa praca podziemna. W roku 1920 poległ Tomasz Gaszycki w randze pułkownika pod Krasnymstawem. Karol skończył wtedy 10 lat, był zatem pierwszym od czterech pokoleń Gaszyckim, który miał wzrastać i żyć w wolności. Ale ledwie wszedł w wiek męski, musiał tę nadzieję przenieść na syna.

Karol Gaszycki w przeciwieństwie do swoich przodków, którzy wskutek różnych przeszkód w późnym dopiero wieku zakładali rodziny, ożenił się bardzo wcześnie, zaledwie po dwudziestce. Małżeństwo to nie okazało się dobrane. Wprawdzie młody Gaszycki, podówczas student medycyny, bardziej ze swymi rówieśnikami dzielił ich trzeźwość i niepokoje, niż z ojcem i z dziadkiem idealizm, jednak siła tradycji, owa często niedostrzegalna więź z przeszłością, uczyniła go dostatecznie różnym od żony, młodej dziewczyny ze środowiska zamożnego mieszczaństwa, aby po paru latach wraz z przygasaniem uroków ciała zawiązywać się zaczęła między nimi dwojgiem nuda i obcość. Karol Gaszycki był przeciętnym młodym człowiekiem, który zrobił doskonałą partię, miał dobre nazwisko i najlepsze chęci, aby za kilka lat stać się wziętym w zamożniejszych sferach chirurgiem. Stosunki żony i pewien wdzięk osobisty rokowały mu jak najlepszą przyszłość. Ale przeciętność tego sympatycznego chłopca była dość typowa dla poprawnej mierności mężczyzn, którzy w przeciwieństwie do kobiet, nie zawsze dobrze wiedzą, czego chcą od siebie, od innych i w ogóle od życia. Ten rys charakterystyczny wraz z pewną dozą niepokoju, egoizmu i nieodpo-

wiedzialności czynił Karola o wiele żywszym, wrażliwszym i inteligentniejszym od jego żony. Lulu Deyblówna była bardziej efektowna, niż przystojna i mimo młodych lat miała już w sobie skłonność do sennej i leniwej ociężałości, jaką zazwyczaj posiadają kobiety o pełnym, białym ciele i bardzo jasnych, bujnych włosach. Ale ponieważ wyniosła z domu rodzinnego dbałość o pielęgnację własnej urody i smak, więc uchodziła w określonych kołach towarzyskich za jedną z najlepiej ubranych i eleganckich kobiet. Bawić lubiła się bardzo, nie na tyle jednak, aby w pierwszym okresie swego stosunku do męża, uważanym przez nią za miłość, nie pragnęła dziecka. Jednak syn, którego po dziadku ochrzczono Tomaszem, nie zdołał zasklepić wciskających się pomiędzy młodych nieporozumień i niedosytów. Trzeba było nie więcej, niż czterech lat, aby Gaszycka przekonała się, że życie przy boku początkującego lekarza nie odpowiada jej ambicji i wymaganiom. Cała sytuacja, począwszy od mieszkania w willi rodziców i na ich koszt, poczęła ją nużyć i drażnić. Zbyt ceniła pieniądze, aby nie chciała ich żądać od tego, którego miała kochać. Jak wszyscy ludzie ambitni, była niecierpliwa i trwożyło ją zbyt pośpieszne upływanie czasu.

Tak też pod koniec czwartego roku współżycia małżeńskiego Gaszyccy rozeszli się bez wzajemnych uraz, spokojnie i rzeczowo, jak to mogą uczynić tylko ci, których już nie łączy nawet pamięć wspólnych dni. Karol wyniósł się bez żalu, raczej z ulgą, z pałacyku teściów, zabierając z sobą Tomaszka, ponieważ na rozłączenie z synem nie pozwalało mu nie tyle gorętsze ojcowskie uczucie, ile właśnie owa odrobina męskiego idealizmu, którego jak dotąd nigdzie indziej umieścić nie miał okazji. Lulu nie miała podobnych skrupułów, była rada, że się tak stało. Zresztą niebawem Gaszyccy przeprowadzili formalny rozwód i Lulu powtórnie wyszła za mąż, tym razem za utytułowanego dyplomatę, pełniącego służbę na jednej z placówek zagranicznych.

Wszystko to razem było bardzo banalne i w łatwości przechodzenia do porządku dziennego nad niebłahymi sprawami życiowymi bardzo dla okresu wplecionego pomiędzy dwie wojny charakterystyczne.

Ponieważ w tym czasie żyła jeszcze pani Tomaszowa Gaszycka, Karol miał w prosty sposób rozwiązaną kłopotliwą sprawę wychowania Tomaszka. Przeniósł się po prostu z synkiem do matki, właśnie do owego trzypokojowego mieszkania w bloku spółdzielczym, gdzie na poczesnym miejscu nad tapczanem starszej pani wisiała na buczackiej makatce szabla napoleończyka Tadeusza, jakimś niezwykłym zbiegiem okoliczności odzyskana przez jego syna, który z łatwością i lekkomyślnością, właściwymi Polakom, poświęcił swoje życie za wolność paryskiego ludu. Tymi samymi nieznanymi drogami przywędrował z dalekiej sandomierszczyzny do Francji spłowiały i trochę podniszczony pas słucki, należący jeszcze do Tadeuszowego ojca, którego imienia nikt już zresztą nie pamiętał. Karol nie bez wzruszenia wrócił do ubogich ścian, które przed czterema laty opuścił był dla najbardziej nowoczesnego luksusu w willi Deyblów. Tomaszek skończył akurat trzy lata, był zdrowym, ładnym dzieckiem i chociaż po rodzinie Deyblów odziedziczył białe, delikatne ciało i jasne włosy, z twarzy najbardziej przypominał dziadka Tomasza. Miał taki sam, jak tamten zarys głowy, wydłużony ku tyłowi i o czole wysokim i szerokim, podobne również jasno niebieskie

oczy, które były dość głęboko osadzone i chwilami robiły wrażenie cokolwiek skośnych. Babka i wnuk bardzo sobie przypadli do serca, mały po paru miesiącach przestał się o matkę wypytywać.

Dla Gaszyckiego także zaczął się dobry okres. Odbywał wówczas pierwszą swoją praktykę w jednym ze szpitali, więc pracy, którą zresztą lubił i cenił, miał bardzo dużo i nie miał zbyt wiele czasu i chęci, aby poświęcać swojej nowej sytuacji więcej rozmyślań, niż ona sama w różnych drobiazgach codziennych materiału do rozważań dostarczała. Wkrótce zresztą przychwycił się na niespodziewanym dla siebie samego wrażeniu, iż wraca obecnie do domu z silniejszym poczuciem posiadania domu, niż przedtem, gdy skierowywał swoje kroki ku willi teściów. Ale trzeba było pewnego czasu, aby uświadomił sobie, jak wielką rolę w niedosycie, który zatruwał mu małżeństwo, odegrała własna jego matka.

Ojca nie pamiętał prawie wcale, zachował o nim mgliste zaledwie wspomnienie i przez dwadzieścia lat życia wszystkim była dla niego ta ponad swój wiek podstarzała, trochę egzaltowana i zaborcza w stosunku do jedynaka kobieta. Kochał ją też ową gorącą, ślepą i ufną, choć trochę smutną miłością, z jaką tylko jedynacy kochają swoje matki. Ale gdy przyszło mu się z nią rozstać, uczynił to bez wewnętrznego konfliktu i bez poważniejszych sprzeciwów. Bo chociaż nigdzie nie wyjechał, małżeństwo z Lulą Deybel było istotnym rozstaniem z matką. Pani Tomaszowa, z domu Czarnocka, była córką znanego posła socjalistycznego w parlamencie wiedeńskim i zarówno dzięki środowisku rodzinnemu, jak i późniejszemu małżeństwu, obracała się wśród ludzi, jeśli nie wrogich, to w każdym razie całkiem obcych sferze, do której należała jej synowa. Owdowiawszy, pani Gaszycka wycofała się z pracy społecznej i swoje zdolności pedagogiczne poświęciła pisywaniu książek i opowiastek dla dzieci. Dalej jednak pozostała wierną Partii i mało udzielając się ludziom, obracała się przecież w kole tych, z którymi łączyły ją przyjaźnie przedwojenne. Ponieważ wielu z owych ludzi zmieniło w ciągu lat przekonania, a inni poumierali, grono jej bliskich było rzeczywiście szczupłe, lecz tym trwalsze i bardziej zdecydowane. A Deyblowie również nie odnosili się z większym szacunkiem i zaufaniem do nazwiska Gaszyckich. Karola tolerowali, jako kaprys córki, lecz pierwsza i jedyna ich wizyta w mieszkaniu z szablą napoleońską i z fotografią dziadka Jana, zdjętego razem z Jarosławem Dąbrowskim, wyraźnie dowiodła obu stronom, iż dalsze podtrzymywanie stosunków rodzinnych byłoby kłopotliwe i zbyteczne. Stanęła też pomiędzy panią Tomaszową i Deyblami niewypowiedziana umowa wzajemnego dystansu, prócz tych kilku na rok uroczystości, które zgromadzenia całej rodziny wymagały. Okazało się zresztą niebawem, że i to przestrzeganie form przy dobrych, obustronnych chęciach, jest niepotrzebne.

Karol przyjął ten układ z łatwością, która dziwną koleją rzeczy bardziej dostępna bywa nieraz naturom wrażliwym i kochającym, niż chłodnym i surowym. Żona, nauka i życie towarzyskie zabierały mu tak wiele czasu, iż rzadko kiedy miał okazję wpaść na odległą kolonię. I trzeba mu było wrócić dopiero do tego od czego odszedł, aby zdać sobie sprawę z braku i pustki, jakie istniały wśród tych jego czterech minionych lat życia. Począł odczuwać wyrzuty sumie-

nia wówczas dopiero, gdy żadne przeszkody z zewnątrz nie utrudniały mu uspokojenia ich. Przyszło mu to tym łatwiej, iż matka, która była na tyle dumna i rozsądna, aby przedtem synowi nigdy nie okazać, jak bardzo cierpi, teraz bez słowa przechodziła do porządku dziennego nad ubiegłymi latami.

Wiadomość o małżeństwie Luli z młodym Stefanem Karśnickim przyjął Gaszycki bez ironii i zadrażnienia. Wydało mu się to zupełnie normalne i gdyby nowożeńcy nie pobierali się w Brukseli, mógłby bez chwili wahania, po prostu w charakterze dobrego znajomego, uczestniczyć w tej uroczystości. O związku swoim myślał, jako o krótkim epizodzie, który minął zacierając po sobie wszelki ślad. Nawet obecność Tomaszka nie bardzo się w jego świadomości łączyła z osobą Luli, zwłaszcza, że chłopiec rosnąc coraz bardziej zatracał cechy Deyblowskie, a upodabniał się do typu Gaszyckich. O zmianie obecnego życia, możliwościach powtórnego ożenienia się, na razie Karol nie myślał. Zajęty był bardzo i praca szła mu dobrze. Niebawem został asystentem profesora Jarosiewicza, przyjaciela ojca jeszcze z czasów młodości tamtego, a wkrótce potem, w połowie trzydziestego dziewiątego, otrzymał z naukowej fundacji poważniejsze stypendium, umożliwiające mu wyjazd za granicę. Przygotowywał się do podróży na koniec lata i chociaż wiele znaków źle losom tych planów wróżyło, wierzył do ostatniej nieomal chwili, iż wszystko pójdzie dobrze. Bardzo często spotyka się ludzi, którzy ufają, że historia dlatego tylko musi odwrócić lub powstrzymać swój bieg, aby ich nie dotknąć zbyt krzywdząco i boleśnie. Gaszycki, może nie całkiem świadomie, lecz w głębi serca podzielał tę nadzieję.

Kiedy stało się na koniec to, co narody od lat przygotowywały, Gaszycki skończył trzydziesty rok życia, a Tomaszek dziewiąty. Opuścił Warszawę w ostatnich dniach sierpnia, w nowym i pięknym mundurze podporucznika artylerii, należał bowiem do tych z rezerwy, którzy otrzymali karty mobilizacyjne dość wcześnie, aby móc się na czas stawić w swoich pułkach. Łatwość, z jaką porzucił wszystko, co zdawało się stanowić dotąd sens i cel jego życia, zdumiała go wówczas dopiero, gdy pewnego wrześniowego ranka, wśród mgły, która gdzieś nad brzegami Bugu otaczała w niewielkiej brzezince jego milczącą z powodu braku amunicji pozycję, zrozumiał, że wszystko jest stracone. Szedł na wojnę z uczuciami, które nie wyróżniały go niczym wyjątkowym spośród dziesiątków tysięcy tak samo, jak on wyrwanych z normalnego życia. Wierzył w zwycięstwo, a ponieważ był Polakiem, więc traktował wojnę trochę jak przygodę, która daje wrażenia i kończy się dobrze. Polacy nie są narodem bardziej od innych wojowniczym. Jeśli jednak lubią dźwięk wojskowej pobudki i lubią stawać pod sztandarami, to dlatego, iż silniej, niż gdziekolwiek indziej wrośnięta jest w tę ziemię wiara w sprawiedliwość, a ludzie tutaj nie z nadmiaru odwagi, lecz z braku wyobraźni i z nadmiernej ufności nie lękają się śmierci.

Klęska wrześniowa była dla Gaszyckiego tym samym, czym się stała dla wszystkich podówczas ludzi: przebudzeniem ze snu. Drogi porozrywane lejami bomb pełne były uciekinierów, pogruchotanych żelastw i rozszarpanych koni. Dokoła płonęły miasteczka i wsie. Nocami łuny rozświetlały ciemności. Jeszcze tylko gdzieniegdzie wstrząsało ziemię dudnienie artylerii. Widziało się żołnierzy

w strzępach mundurów, bez broni, bosych, półobłąkanych; cofające się w ścisku i w popłochu tabory, platformy ciężarowe i auta, uwożące ludzi i dobytek.

Gaszycki bynajmniej nie sytuacji, w jakiej się znalazł w ów poranek nad Bugiem, lecz dość błahemu skąd inąd przypadkowi zawdzięczał ocalenie przed niewolą. Później wielokrotnie miał wspominać to zdarzenie z uczuciami bardzo sprzecznymi, lecz zawsze z uczuciami, w które wnikał niepokój, ponieważ nic w życiu ponad niepojęte przypadki nie wydaje się równie tajemniczym i niepokojącym. Bardziej również zdarzenia zewnętrzne, niż własna wola, skłoniły go do pozostania w kraju. Pierwszym jego zamiarem było wraz z tymi towarzyszami, którzy ocaleli, przedostać się na Węgry. Mało kto chciał wówczas zostawać w kraju. Wśród tych dni i nocy, niepodobnych do żadnych innych, wraz z ogniem i żelazem niszczącymi ziemię i ludzi, strach, rozpacz i wstyd, a także tajemna nadzieja niszczyły w sercach uczucia i obowiązki. Gdyby Karol Gaszycki miał w owym czasie możność swobodnego pokierowania swoim losem, znalazłby się zapewne na ziemi, za której wolność zginął niespełna sto lat temu jego pradziad, a ponieważ tam wolności ludów teraz nie broniono, podążyłby śladami dziadka Jana. Lecz los pokierował inaczej i zamiast po tamtej stronie Karpat, znalazł się Gaszycki z początkiem października z powrotem w Warszawie. Z pięknego munduru, w którym wyruszył niespełna dwa miesiące temu, pozostały mu tylko wojskowe buty. Poza tym był takim samym cywilem, jak ci wszyscy, którzy w owe słotne i chłodne dnie jesienne, obszarpani i wynędzniali, ciemnym milczącym tłumem ściągali drogami ku zniszczonej Warszawie.

Na jakimś chłopskim wozie, trzęsącym się przez wiele godzin wśród ruin i pogorzelisk smutnej równiny mazowieckiej, dojechał Gaszycki ze wsi podlaskiej aż do pewnej mieściny podwarszawskiej. Sękocin był niewielką, żydowską dziurą z uliczkami o wyboistych brukach i rynkiem wklęśniętym na podobieństwo ciemnego bajora pomiędzy koślawymi domkami. Gaszycki pamiętał to miasteczko z pierwszego jeszcze tygodnia wojny, kiedy pod naporem nieprzyjaciela pułk, jego wycofywał się na prawy brzeg Wisły. Teraz z całej mieściny pozostały zczerniałe kominy, gruzy i pogorzeliska, a chociaż pożar dawno musiał wygasnąć, swąd spalenizny ciągle unosił się w powietrzu.

Wieśniak, na którego wozie wraz z wielu innymi ludźmi trząsł się przez cały dzień Gaszycki, nie chciał za nic w świecie jechać dalej w stronę Warszawy. Był to młody barczysty chłop, miał więc słuszne powody do obawy, że Niemcy mogą go gdzieś na głównej szosie przychwycić i albo konia zarekwirować, albo jego samego wywieźć na roboty. Wysadził zatem wszystkich pasażerów wśród grząskiego błota, w miejscu, które kiedyś było sękocińskim rynkiem, i czym prędzej, bo noc nadchodziła, odjechał z powrotem. Czas był okropny. Mżył drobny deszczyk, chłód był przenikliwy, a wczesny zmierzch słotnego jesiennego dnia rzeczywiście gęstniał już nad ziemią. Od strony niedalekiej Wisły zawiewał ostry wiatr.

Po bokach rynku, gdzie błoto było cokolwiek mniejsze, koczowało wielu ludzi, znajdujących się w takiej samej sytuacji, jak Gaszycki i jego przygodni towarzysze podróży. Większość spośród uciekinierów stanowili mężczyźni, lecz było także dużo kobiet i małych dzieci. Niektórzy z mężczyzn poszukiwali

wygodniejszego schronienia na noc w ruinach. Tam, jeśli zachował się gdziekolwiek bodaj kawałek domu, strzęp ściany, muru, lub kilka niedopalonych belek sufitu, mieszkańcy tutejsi pościągali byli swoje ocalałe rzeczy i tak całymi rodzinami, wśród stosów wilgotnych betów i przeróżnych gratów, gnieździli się pod gołym niebem, pomiędzy gruzami i zwęglonymi szczątkami. Byli to sami przeważnie Żydzi: chuderlawi, pożółkli mężczyźni, ciemne rozczochrane kobiety z dziećmi na rękach, pogarbieni starcy bez ruchu i z przymkniętymi oczami siedzący na jakichś rupieciach lub wprost na gołej ziemi. Gdzieniegdzie pośród zrudziałych rumowisk i czarnych kominów sztywno sterczących na tle ciężkich, szaro-żółtych chmur, widać było pochylonych ludzi szukających w gruzach resztek dobytku. Kilku drobnych, czarnych i kędzierzawych chłopców tytłało się bosymi nogami w błotnistych kałużach na środku rynku. Mrok zapadał coraz gęstszy. Gdzieś w głębi rynku, już w ciemnościach prawie, zapłakało niemowlę. Ale poza tym, mimo zbiegowiska tylu ludzi, cisza niezwykła panowała wśród tłumu. Nie było słychać żadnych rozmów, szepty tylko ściszone, czasem plusk błota pod krokami, westchnienie jakieś. Za to z daleka, od strony szosy, dobiegał głuchy turkot toczących się czołgów: jednostajny, ciężki, bez przerwy.

— Mamo! — szepnął półgłosem stojący nieopodal Gaszyckiego chłopiec.

Młoda, szczupła kobieta, z plecakiem zarzuconym na ramię, pochyliła się ku małemu. Oboje, matka i syn, przyjechali tym samym wozem, co Gaszycki. Wracali zdaje się z daleka, aż z za Bugu. Usadowili się zresztą jeszcze z początkiem podróży na przodzie wozu, Gaszycki zaś siedział na drugim, najgorzej trzęsącym końcu, tyłem do wszystkich odwrócony i z nogami zwieszonymi ku ziemi, lecz mimo turkotu kół bardzo często wpadał mu w uszy świeży, dziecinnie poważny głos małego. Dzieciak wyglądał na rówieśnika Tomaszka i dlatego Karola zainteresował. W miarę zbliżania się do Warszawy myśli Gaszyckiego coraz natrętniej zacieśniały się do niepokoju o los najbliższych. Dopóki chciał się przedostać za granicę, pragnienie przedarcia się na tamtą stronę przytłumiało w nim lęk o pozostawionych w domu. Dopiero, gdy się stało jasne, że ich niedługo będzie mógł ujrzeć, począł się dręczyć obawą.

— Mamo! — powtórzył malec. — Czy oni tu przyjadą?

— Nie wiem, synku — odpowiedziała kobieta. — Może nie... szosa jest dość daleko...

— A jak przyjadą?

Nie doczekawszy się odpowiedzi szepnął po chwili:

— Ja się nie będę bać!

— Tak, kochanie.

— I ty się też nic nie bój — ciągnął mały trochę drżącym głosem — ja cię obronię...

Gaszycki dopiero teraz mógł się uważniej przyjrzeć chłopcu: był wprawdzie drobniejszy od Tomaszka, lecz tego samego mniej więcej wzrostu, za to jeszcze jaśniejszy, o płowych, bardzo gęstych włosach i delikatnych rysach twarzy. Wyglądał na śmiertelnie znużonego, widać było, że chociaż broni się przed sennością, ledwie trzyma się na nogach. Instynktownie, bezradnym ruchem zmęczonego dziecka, przytulał się do matki.

— Krzysiu... — szepnęła — nie zasypiaj...
Mały drgnął i wyprostował się.
— Nie, ja nie nie śpię...
— Nie zimno ci?
— Nie.
Drżał jednak, miał bowiem na sobie lekki tylko płaszczyk, a na nogach buciki bardzo już widać nadwerężone i podniszczone. Kobieta rozejrzała się bezradnie wśród ciemniejącego dokoła zmierzchu.
— Chodź, Krzysiu — wzięła wreszcie malca za rękę — poszukamy jakiegoś miejsca, żeby usiąść...
— Nie pójdziemy do domu?
— Jutro rano pójdziemy, kochanie, teraz już za późno...
Przeszli tuż obok Gaszyckiego. Widział, jak oboje ostrożnie wymijając co największe kałuże oddalali się wolno ku przeciwległej stronie rynku. Trzymali się ciągle za ręce, mały starał się stawiać tak samo duże kroki, jak matka, przychodziło mu to jednak z trudem i chwilami dreptał zupełnie dziecinnie. Widać było poza tym, że na jedną nóżkę trochę utyka. Akurat nowy wóz wjechał na rynek. Kilku młodych chłopaków hałaśliwie zeskoczyło na ziemię i wśród tego zamętu Karol stracił tamtych z oczu.
Chwilę jeszcze stał nie bardzo wiedząc, co z sobą zrobić. Dopiero gdy przenikliwy chłód nim wstrząsnął, ruszył przed siebie na chybił trafił i bez żadnego zamierzonego planu. Błotnista i wąska uliczka, na której się znalazł, przedstawiała obraz takiego samego zniszczenia, co rynek. Po obu stronach ciągnęły się ruiny i zgliszcza, kominy sczerniałe, tu i ówdzie okopcone cegły rozdartej ściany, i podobny także mdły zapach spalenizny przenikał wilgotne, przymglone powietrze. Pusto było i coraz ciemniej. Nisko ponad ziemią przesuwały się sine i brunatne strzępy pokłębionych obłoków. Całe niebo, jak okiem sięgnąć, było zachmurzone, tylko na skraju horyzontu, w stronie zachodu, rozpościerała się długa i nikła smuga żółtawego blasku. Od niej to właśnie szła ku nadciągającej nocy złowroga poświata.
Gaszycki przeszedł dobry szmat drogi nikogo nie napotkawszy. Cisza tutaj trwała tak martwa, iż odgłos grzęznących w błocie kroków wydawał się bardzo donośnym pluskiem. W jednym miejscu kilka nędznych, z liści ogołoconych drzewek chwierutało na wietrze. Gdzieś wśród rumowisk wył pies.
Opustoszałe i zniszczone miasteczko wydało się teraz Gaszyckiemu o wiele rozleglejsze, niż wówczas, kiedy ciągnął nim ze swoim oddziałem za dnia, pomiędzy stłoczonymi ruderami, przy odgłosie przybliżającej się spoza przeciwległego brzegu Wisły kanonady. Ulica, którą szedł, a która, o ile się orientował, prowadziła w kierunku drogi warszawskiej, zdawała się nie mieć końca. Aż nagle przystanął. Z prawej strony, z niedaleka i trochę jak gdyby z dołu, dobiegał odgłos licznych głosów, gniewny, charakterystyczny pomruk tłumu. Machinalnie, po kostki grzęznąc w błocie, przebrnął na drugą stronę drogi. Tam boczna jakaś uliczka, nieomal ścieżka wciśnięta pomiędzy zgliszcza, zbiegała dość stromo w dół. Poszedł tamtędy, potykając się o wyboje i ślizgając w zmierzchu na spadzistym, gliniastym gruncie. Niebawem u końca uliczki ujrzał

niski, czerwoną dachówką kryty i jak gdyby w ziemię wklęśnięty dom. Przed nim falował i wrzał stłoczony, ciemny tłum.

Chwytając się celem utrzymania równowagi poopalanych żerdzi jakiegoś ocalonego od pożaru płotu, przedostał się wreszcie Gaszycki poprzez rozmiękłe gliniaste bajora aż na sam dół. Śmierdziało tam okropnie gnijącą, brudną wodą. Rzeczywiście nieopodal domu połyskiwała w dole, na tle sterczących dokoła czarnych kominów, zielonawa tafla zamulonego stawku. Jakim zbiegiem okoliczności ten jedyny ze wszystkich dokoła zabudowań dom ocalał, trudno było zgadnąć. Tłum był ogromny, gęsty, zbity w jedną jak gdyby bryłę. Tłoczył się i kotłował pomiędzy ową samotną ruderą i cuchnącą poniżej glinianką. Był już zupełny zmierzch. Owa żółta smuga na horyzoncie, którą pierwej widział Gaszycki bardzo nikłą i odległą, teraz zdawała się z tego miejsca wyżej wzniesioną na niebie i odblask jej niezwykłą poświatą naświetlał całą kotlinkę: dom z czerwonym dachem, mroczny tłum, bajoro w dole i zamarłe zgliszcza dokoła. Pomruk zmieszanych głosów stawał się tymczasem coraz burzliwszy. Gaszycki nie zdążył się nawet zorientować, jak i kiedy znalazł się wśród cisnących się dokoła ludzi. Wtem ostry, przenikliwy krzyk rozdarł powietrze.

— Mamo!

Gaszycki, pchnięty gwałtownym zafalowaniem tłumu, znalazł się naraz na samym prawie skraju gliniastej krawędzi. Przez moment ujrzał w dole gęstą lepką, ciemnozieloną wodę. Jej powierzchnia była już zwarta i nieruchoma, jeszcze tylko przy brzegu rozchodziły się leniwie drżenia lekkich kręgów. Z całej siły musiał się butami zaryć w miękki grunt, aby oprzeć się naciskowi. Kilku młodych mężczyzn, jeszcze dalej niż on zepchniętych nad niebezpieczne urwisko, poczęło sobie pięściami torować drogę naprzód. Jednocześnie siłą przytrzymywali niedużą i drobną, może dziesięcioletnią dziewczynkę w czerwonym płaszczyku. Ta szamotała się z nimi, jak oszalałe zwierzątko, trudno było sobie wyobrazić, że w tak wątłej istocie znaleźć się może tyle energii. Przez moment ujrzał Gaszycki tuż przy sobie jej dziecinną, straszliwie nabrzmiałą twarzyczkę, usta zachłyśnięte rozpaczliwym krzykiem i oczy rozszerzone przerażeniem.

— Mamo, mamo! — skamlała mała.

Mężczyźni jeszcze energiczniej pchnęli się naprzód i dzięki nim i sile własnych ramion Gaszycki znalazł się głębiej w tłumie. Skowyt dziewczynki stał się jeszcze bardziej przejmujący.

Tymczasem od strony domu przepychali się ku wyjściu inni ludzie. Gdy Gaszycki zetknął się z pierwszym z nich, uczuł nagle w pobliżu siebie świeży zapach ciepłego chleba. Rzeczywiście mężczyzna trzymał pod pachą niewielki, ciemny bochenek, drugą zaś wolną ręką torował sobie przejście. Gaszycki od południa nie miał nic w ustach i aż go zemdliło z głodu, gdy poczuł przy sobie ów jędrny żytni zapach. Dopiero teraz zorientował się, że ocalony od zniszczenia dom jest piekarnią i sprzedają tam teraz chleb. Ze zdwojoną zatem energią począł się pchać naprzód. Lecz nie dotarł i do połowy drogi, gdy wśród najbliżej stojących koło piekarni podniosły się wzburzone głosy i przekleństwa. Więcej chleba nie było. Wiadomość natychmiast rozniosła się dokoła i tłum zakołysał się i gwałtowniej począł napierać na dom. Ze wszystkich stron podniosły się

krzyki i wyzwiska pod adresem piekarza. Ten stał w półotwartych drzwiach piekarni, Gaszycki widział tylko jego potężną, łysą głowę i barczyste ramiona. Przekładał coś ludziom, tłumaczył, lecz nikt go nie chciał słuchać. Wrzawa stawała się coraz groźniejsza. Gdzieś w środku tłumu szamotały się i przeraźliwie lamentowały Żydówki.

— Na pasek, łobuz, schował! — krzyknięto z boku. — Przeszukać dom!

Dokoła rozległy się wrzaski i gwizdy. I już ci, co byli na samym przodzie, cisnąć się poczęli do środka. Barczysty piekarz zagrodził im drogę, odepchnął mężczyznę, który zamierzył się na niego kijem, lecz nie zdążył cofnąć się i drzwi zatrzasnąć, gdy tłum przewrócił go i runął do środka.

Wśród tego zamętu Gaszycki przepchnięty został aż ku samej piekarni. Ujrzał wówczas piekarza leżącego we drzwiach, twarzą do ziemi. Coraz nowi ludzie, depcząc po nim i tratując go, wdzierali się do wnętrza. Nagle przez wyłamaną okienną ramę wychylił się jasnowłosy, kędzierzawy chłopak i cisnął bochenkiem chleba w tłum. Nieprawdopodobny ryk wybuchnął na dworze. Ktoś z ludzi uchwycił chleb w powietrzu, lecz pchnięty wypuścił go na ziemię, w błoto.

— Trzymajcie! — wrzasnął ten sam chłopak.

I drugi bochenek przeleciał ponad kłębiącymi się głowami. Teraz zupełne już szaleństwo ogarnęło ludźmi. Każdy chciał się za wszelką cenę dostać do środka i zdobyć upragnione jedzenie. Gaszycki, przyciśnięty do ściany, nie mógł się poruszyć ani w tę, ani w tamtą stronę. Zmierzch stał się już na tyle gęsty, iż mrok zacierał sylwetki pojedyńczych ludzi i tłum, wściekły i opętany, wydawał się jedną ciemną masą, spienioną i ryczącą. Ochrypłe wrzaski miotały się wśród ciemności. Żółta smuga na zachodzie przygasła. Ciężko sine chmury pędziły tuż nad samą ziemią. Krzyki duszonych i tratowanych ginęły w ścisku i wrzasku.

Ci tymczasem, którzy dostali się do piekarni, niszczyli ją. Gaszycki ciągle nieruchomo przywarty do chropawej ściany, słyszał tuż przy swojej głowie trzask łamanych mebli, jakieś krzyki kobiece, tupot nóg, przekleństwa, śmiechy, łoskot spadających na ziemię przedmiotów.

— Chleba, chleba! — wrzało na dworze.

Lecz więcej chleba ponad te dwa bochenki nie było. Musiano za to porozprawiać worki z mąką, bo naraz biała kurzawa dymić poczęła poprzez pozbawione szyb okna. Wtedy uciszyło się. I jak wpierw szaleństwo zagarnęło tłumem, tak teraz równie nagle stał się tępy, lękliwy jak gdyby spokój. Powoli, potykając się w mroku i ślizgając w chlupoczącej pod nogami glinie, pojedyczo i grupkami, poczęli się ludzie w milczeniu rozchodzić. Tumany białego pyłu unosiły się w powietrzu, a gdy zawiewał ostrzejszy wiatr, niosło się kurzawę w głąb nocy.

Mijając zbocze ponad glinianką Gaszycki usłyszał nisko, tuż przy ziemi, cichy, resztkami sił wspierany, żałosny płacz. Przystanął, a ponieważ dobrze się orientował w ciemnościach, od razu dojrzał o kilka kroków od siebie skuloną przy ziemi drobną sylwetkę dziewczynki w czerwonym płaszczyku. Stał bez ruchu i po raz drugi tego wieczoru, wraz z bolesnym niepokojem o Tomaszka, wniknęło w niego mgliste, lecz piekące uczucie wstydu. Obok, podobni do bezgłośnych cieni, mijali go milczący, pochyleni ludzie. Daleko wśród nocy ciągle dudniły

ciężkie czołgi. Słuchał chwilę tych odgłosów, aż wreszcie wyprostował się i pozostawiając poza sobą samotny płacz, począł się wspinać znajomą ścieżynką ku górze. Dopiero gdy przebrnął przez najgorszy kawałek drogi i zatrzymał się, aby zaczerpnąć oddechu, poczuł, że ma usta pełne mącznego pyłu. Przez chwilę zastanawiał się, czy wrócić na rynek, czy też wyruszyć mimo nocy w dalszą drogę. Wybrał to drugie, jeszcze bowiem z września zapamiętał, że o kilka, nie więcej, niż pięć do sześciu kilometrów, powinna się poza Sękocinem znajdować przy trakcie nieduża wieś.

Rzeczywiście po paru godzinach powolnego marszu dotarł do pierwszych chałup. Noc była bardzo chłodna, lecz po przelotnym deszczu, który ostro zacinał w twarz, wiatr począł rozpędzać gęste chmury, aż wreszcie wysoko ponad obłokami tu i ówdzie okazało się ciemne, granatowe niebo i kilka dalekich gwiazd zabłysło.

Trakt biegł wśród rozległej równiny, pustej teraz i martwej. Gdzieniegdzie tylko zamajaczyła przy drodze biaława, szeleszcząca brzezina, gdzie indziej wiatr targnął pogiętymi wierzbami, częściej za to zanosiło z głębi nocy jesienną wilgocią namokniętych łąk. Cisza panowała wśród pól tak niezmącona i spokojna, iż trudno było sobie wyobrazić, że zaledwie wczoraj przeszła ponad tą ziemią wojna. Przecież walające się na drodze szczątki pogiętego żelastwa świadczyły o jej bliskości. W rowach tkwiły ogromne kadłuby pogruchotanych samochodów, niektóre kołami odwrócone były ku górze i podobne teraz w ciemnościach do wielkich dziwacznych zwierząt. Czasem wnikał w czyste powietrze odór gnijącej nieopodal padliny, a w kilku miejscach, tuż przy trakcie, rysowały się w gwiezdnej poświacie proste cienie krzyżów. Smutek szedł od tej ziemi, aż serce się ściskało.

Gdy Gaszycki doszedł do pierwszych zabudowań, godzina nie była jeszcze późna, dziesiąta zaledwie dochodziła, lecz wieś, ciemna i pusta, zdawała się już spać w cieniu swoich ogromnych nadwiślańskich topoli. Na los przypadku zszedł Karol z drogi ku najbliższej chałupie: nieduża była i widać bardzo stara i uboga, o strzesze załamanej ponad białawymi ścianami. Obszedł ją dokoła: obejście było zamknięte, okna ciemne, nigdzie żywej duszy. Poza chatą ciągnął się dość rozległy, dobrze utrzymany sad, za nim rysowała się w mroku rozłożysta stodoła. Licząc, że jest otwarta i nocują w niej jacyś ludzie, podążył w tamtą stronę. Zapomniał już był o głodzie, pragnął tylko położyć się w jakim takim cieple i spać. Przemarzł bowiem bardzo i jesienny chłód coraz dotkliwiej mu dokuczał. Od białawej od rosy ziemi szedł przenikliwy ziąb, a gdy tylko wyszedł z sadu, od otwartych pól zadął ostro wiatr zimnym lecz świeżym podmuchem rzecznym. Niedaleko widać w tamtej stronie musiała przepływać Wisła. Nastawił kołnierz swojej przykrótkiej kurtki i przyśpieszył kroku. Nagle usłyszał nieopodal sciszone głosy. Zatrzymał się. Głosy umilkły.

Po chwili spytano z ciemności:

— Kto tam?

Spojrzał w tamtą stronę i teraz dopiero ujrzał stojących w cieniu stodoły dwóch mężczyzn.

— Z drogi — odparł wymijająco.

Podszedł bliżej.

— Znajdzie się tam, panowie, jeszcze w środku jakieś miejsce?

Czuł, że obaj nieznajomi przyglądają mu się badawczo. Ćmili papierosy, więc chwilami, gdy rozbłyskiwały migotliwe ogniki, twarze mężczyzn dość wyraźnie wyłaniały się z pomroki. Jeden z nich wydawał się bardzo młody, najwyżej dwudziestoletni, drugi, wyższy i szczuplejszy, był o wiele starszy, chyba po czterdziestce. Mieli na sobie podobne, ciepłe kożuszki, od razu wpadły Gaszyckiemu w oczy ich długie buty. Zrobili na nim wrażenie wojskowych. I chociaż sam odkąd wrócił do cywilnego ubrania, w nieznacznym stopniu odczuwał swoją krótką przynależność do armii, uradował się tym przypuszczeniem. Wydało mu się zresztą, że tamci również odgadli w nim swojego człowieka.

— Z daleka pan? — spytał młody.

Nie miał na głowie żadnego okrycia i jego krótko przystrzyżone włosy bardzo jasno połyskiwały w ciemnościach. Gaszycki wymienił nazwę miasteczka, z którego przybył. Drugi z mężczyzn cisnął niedopałek papierosa i na ziemi rozgniótł go butem.

— Niemcy tam już są? — spytał.

— Przed dwoma godzinami jeszcze nie — odparł Gaszycki. — Szosą lubelską jadą...

Młody poruszył się.

— Tak, to i stąd słychać, jak jest zupełnie cicho.

Gaszycki, chcąc nawiązać do swego pierwszego pytania, skinął ręką w kierunku niedalekiej chałupy.

— To do tamtego gospodarza należy ta stodoła?

— Tak — potwierdził młody.

— Zdaje się, że wszyscy już tam śpią — wyjaśnił Gaszycki — nie chciałem więc budzić i pytać o pozwolenie...

— Chyba tylko koło nas znajdzie się kawałek miejsca — zastanowił się starszy — bo tak, to cała stodoła nabita jest ludźmi.

— Dziękuję panom — ukłonił się Gaszycki, zsuwając po wojskowemu nogi.

Jasnowłosy chłopiec, najpewniej podchorąży, jak się Gaszycki domyślał, zaśmiał się i pochylił ku niemu.

— Zaraz na lewo od wejścia — objaśnił. — Ale niech pan uważa, żeby się nie przewrócić o czyjeś nogi, jest ich tam dużo. Ma pan latarkę?

— Trafię i tak — odparł Gaszycki. — Panowie jeszcze zostają na dworze?

— Tak.

— Dobrej zatem nocy.

— Dobrej — odpowiedzieli.

W stodole było ciemno, jak w studni, i nawet mimo odurzającego zapachu siana mdły odór wielu śpiących ludzi wisiał w powietrzu, za to w porównaniu ze dworem wydawało się tutaj bardzo ciepło. Mimo ostrzeżeń Gaszycki zaraz za progiem potknął się o czyjeś ogromne nogi. Przystanął, lecz potrącony człowiek przewrócił się tylko na drugi bok i spał dalej. Po chwili Gaszycki domacał się wskazanego legowiska. Było rzeczywiście ciasne, lecz za to na uboczu, zdala od śpiących na klepisku pokotem. Wyciągnął się natychmiast jak stał, nie zdej-

mując kurtki ani czapki, plecak tylko podłożył pod głowę, a na nogi zesunął trochę siana. W ciszy, jaka panowała, bardzo wyraźnie było słychać ciężkie oddechy śpiących. Kilku ludzi głośno chrapało, a w przeciwległym kącie stodoły ktoś jęczał przez sen.

Gaszycki długo leżał z zamkniętymi oczami, trudniej mu przychodziło zasnąć, niż przypuszczał, sądząc po swoim znużeniu. Zaledwie zapadł w ciężki półsen, wrócili ze dworu tamci dwaj. Okazało się, że miejsca jest dosyć dla wszystkich trzech. Przez chwilę mościli się na posłaniu, jeden z nich zgarniał siano na siebie i na towarzysza, potem nastała cisza. Gaszycki leżał bez ruchu, ciągle z przymkniętymi oczami i przypuszczał po równych oddechach, że tamci już posnęli, gdy naraz usłyszał, jak bliżej niego wyciągnięty mężczyzna uniósł się na posłaniu i oparł na ramieniu. Po chwili rozległ się jego sciszony szept:

— A co dalej?

Po głosie pytającego Gaszycki od razu poznał, że to młodszy z dwóch. Tamten drugi nie poruszył się.

— Dalej? Walka!

Zaległa cisza.

— Teraz dopiero zacznie się prawdziwa walka — powtórzył.

W szepcie podchorążego zabrzmiał akcent ironii:

— Za wolność naszą i waszą...

— Właśnie tak! To nie jest frazes... tak jest.

— I znowu podziemia? Myślałem, że moje pokolenie nie będzie musiało przeżywać tego...

— Trudno.

Podchorąży siedział jeszcze chwilę, lecz więcej się nie odzywał. Cisza trwała dość długo. Wreszcie położył się z powrotem i jak się wydało Gaszyckiemu, niebawem usnął. Od niego zaś sen całkiem odszedł. Był tak znużony, iż niezbyt jasno chwytał własne myśli i bardziej czuł jak mu jest ciężko na sercu, niż zdawał sobie sprawę dlaczego tak jest. W takim dręczącym półśnie przeleżał znaczną część nocy. Ciągle trwała dokoła niezmienna ciemność, tylko im dalej było w noc, tym chłód ze dworu natarczywiej wciskał się do stodoły. Kilka razy wiatr przycichał, lecz potem zrywał się na nowo i wówczas wysoko w górze, wśród mroku, trzeszczały krokwie dachu. Tam również w górze zaświergotały raz bardzo cichutko wróble. Gdy zaś wiatr nacichał, wyraźnie szło poprzez noc dalekie drżenie i dygotanie gniecionej żelazem ziemi.

Zdrzemnął się nad samym prawie ranem. Spał krótko, lecz mocno. Gdy zbudził się z głową ciężką i oczadziałą, obu jego towarzyszy już nie było. Niektórzy ludzie także się rozbudzili i sennie i leniwie zbierali swoje manatki. Szarzało, a we wsi piały koguty.

Wysunął się zatem ze stodoły. Na dworze było zimno i biało od gęstej mgły. Na drodze turkotał jakiś wóz.

Gaszycki odszukał studnię, zmył resztki snu lodowatą wodą i ruszył w dalszą drogę.

Ze względu na dość jeszcze znaczną odległość od Warszawy Gaszycki nie miał większych nadziei, aby udało mu się piechotą dotrzeć tego samego dnia do miasta. Mijały go wprawdzie liczne wozy, lecz tak naładowane ludźmi, iż niepodobna było przysiąść się gdziekolwiek. Za to niepóźnym jeszcze rankiem dowiedział się na drodze, że przechodząca nieopodal wąskotorowa linia kolejki otwockiej jest niezniszczona i aż do Wawra kursują po niej pociągi. Ta wiadomość przełamała w nim znużenie, jakie ogarnęło go na myśl, że nie prędzej niż nazajutrz, znajdzie się w domu. Skręcił z traktu i orientując się po ludziach pośpiesznie zdążających w tym samym kierunku, na przełaj polami podążył ku najbliższej stacyjce. Był to Świder, który znał jeszcze z jakiejś dawnej samochodowej wycieczki z Lulą.

Z początku, typowy dla podwarszawskich w tej okolicy osiedli, leśny piaszczysty krajobraz nie nasunął mu żadnych wspomnień. Dopiero, gdy wybrnął spomiędzy wątłych sosenek i opustoszałych willi i stanął na skraju szosy, doznał gwałtownego i niespodziewanego wstrząsu. Znajdował się akurat w tym samym miejscu, gdzie przed iluś tam latami zatrzymali się byli z Lulą. Był to dość ostry zakręt szosy. Z jednej strony stał wysoki, ciemny las sosnowy, z drugiej równina przecięta długą i białą smugą drogi, odsłaniała ogromne niebo. Na samym zaś skręcie, oparkaniona ładnym z drucianej siatki płotem, stała wśród sosen duża i płaska, drewniana buda z rozległą i krytą werandą z boku. Przed wojną mieściła się tam dość modna i znana w ostatnich czasach restauracja podwarszawska. Gaszyckiemu, ledwie znalazł się na szosie, natychmiast przypomniał się dawny, bardzo piękny i upalny wieczór letni, kiedy oboje z Lulą jedli wczesną kolację. Chociaż całkiem jasno było jeszcze na dworze, na werandzie i w ogrodzie, pozawieszane pomiędzy drzewami, paliły się wesołe, kolorowe lampiony. Przy stolikach siedziało dużo kobiet i mężczyzn w jasnych letnich ubraniach, był gwar, śmiechy, przygrywała orkiestra. Przed lokalem, na skraju szosy, stało zaparkowanych kilkanaście limuzyn i sportowych aut. Na brązowo opaleni chłopcy i dziewczęta wracali w kostiumach kąpielowych z nad rzeki. Szli środkiem drogi, parami i większymi grupami, pokrzykując i śpiewając.

Teraz dokoła była pustka i cisza, inna jednak jakoś, niż zwyczajną porą jesienną. Gdy Gaszycki przeszedł na drugą stronę szosy, ujrzał, że siatka parkanu jest w wielu miejscach porwana i postrzępiona. Machinalnie przelazł przez jedną z dziur i wszedł do dawnego ogródka. Na zrudziałej, prawie całkiem z trawy ogołoconej ziemi, walały się puszki po konserwach, strzępy jakichś łachmanów, niedopałki papierosów i łuski powystrzelanych pocisków. Mżył drobny deszcz i szumiał wysoko wiatr wśród sosen. Gaszycki podszedł bliżej domu.

W kącie werandy leżały na kupę zwalone resztki porąbanych na opał widać stolików i krzeseł. Jedna z desek podłogi, na samym środku werandy była strzaskana i widać pod nią było czarną, wilgotną ziemię. Sam zaś dom stał otworem, milczący i wyludniony, z oknami bez szyb, ciemny wewnątrz. Drzwi wejściowe trzymały się na dolnym tylko zawiasie, chwiały się na wydmuchu i skrzypiały. Drewniane ściany poryte były śladami pocisków. W kilku miejscach zwisały z nich strzępy wielkich, kolorowych plakatów reklamowych. Odgiął jeden z nich i wyprostował: był to barwny afisz wzywający ludność do składania ofiar na

tzw. Fundusz Obrony Narodowej. Z innego plakatu obok wychylała się podziurawiona kulami, zdrowa twarz młodzieńca, ukazującego w uśmiechu wspaniałe uzębienie — reklama znanej pasty do zębów. Nie zastanawiając się w jakim celu to robi, po kolei oglądał inne mniej lub więcej uszkodzone plakaty i odczytywał znane sobie dobrze reklamowe skróty. Nie myślał już o Luli i spędzonym tutaj z nią kiedyś pięknym wieczorze. Wszystko, co było dawniej aż po chwilę obecną, wydało mu się nagle straszliwie odległe, niepojęte i nierzeczywiste. Nie zastanawiał się nad żadnym konkretnym zdarzeniem, nad żadną pojedynczą chwilą, żadnym przeżyciem. Po prostu cały świat, w którym istniał, usunął się gdzieś daleko w głąb minionego czasu.

Powoli zawrócił ku wyjściu. Już schodził z werandy, gdy na wilgotnej, zlekka omszałej balustradzie, dojrzał malutką, nieruchomo przycupniętą biedronkę. Schylił się i delikatnie przesunął ją sobie na dłoń. Przestraszona nie ruszała się dłuższą chwilę, dopiero gdy podniósł rękę do ust i chuchnął w nią parę razy ciepłym oddechem, biedronka ożyła i zaraz pośpiesznie poczęła wędrować po otwartej dłoni. Gdy doszła do końca wskazującego palca, zatrzymała się na moment, potem rozwinęła drobniutkie skrzydełka i lekko sfrunęła. Natychmiast stracił ją z oczu. Za to goniąc za nią spojrzeniem ujrzał to, czego do tej pory nie dostrzegł był: w głębi ogródka, prawie pod samym parkanem, w miejscu gdzie dawniej stały stoliki, wznosiła się płaska mogiłka z krzyżem drewnianym. Gdy podszedł bliżej, nie znalazł żadnego napisu. Tylko na ziemi pod sosnowym krzyżykiem leżały trzy, już nieco rdzą pokryte żołnierskie hełmy.

Pierwszy bombami zniszczony dom zobaczył Gaszycki na Grochowie, tuż u granic Warszawy. Była to czteropiętrowa kamienica samotnie wznosząca się na tym odległym od miasta odcinku ulicy, zabudowanej parterowymi przeważnie drewniakami. Bomba musiała ją przebić do piwnic, połowa bowiem domu, od dachu aż po zasypaną gruzem ziemię, była zniszczona, drugie zaś skrzydło z rozluzowaną masą cegieł i belek, z potrzaskaną ścianą frontową, pogiętymi balkonami i oknami bez futryn wisiało w powietrzu, lada chwila grożąc runięciem. Tłum wracających do miasta stał na jezdni i w milczeniu przyglądał się ruinie. Nieco dalej ulica na całą swoją szerokość rozerwana była ogromnym lejem, najbliższe zaś dokoła drewniaki rozpłaszczone od podmuchu eksplozji. Wozy ciągnące w stronę miasta musiały w tym miejscu zjeżdżać aż na pole, a ludzie, wszyscy z jakimiś nędznymi tobołkami na plecach, zakurzeni, uszargani w błocie, z twarzami poszarzałymi ze zmęczenia, powoli, jeden za drugim, przesuwali się skrajem wyrwy.

Wprawdzie w ciągu ostatnich tygodni Gaszycki nie oglądał niczego innego prócz zniszczenia, jednak widok tego pierwszego zrujnowanego w Warszawie domu wstrząsnął nim silniej, niż wszystko, co widział dotychczas. Wydało mu się naraz niepodobieństwem, aby mógł swoich bliskich odnaleźć żywymi i dom, który opuścił, uratowany od zagłady. Wszystkie wieści o rozmiarach zniszczenia Warszawy, jakie obijały się ostatnimi dniami o jego uszy, nabierać teraz poczęły przerażającej prawdy. I przez moment ogarnął go lęk tak straszliwy przed dalszą drogą, przed koniecznością dowiedzenia się za parę godzin wszystkiego, iż

odruchowo zwolnił kroku, począł przystawać i nieomal z ulgą pozwalał się wymijać innym ludziom. Potem opadł go gwałtowny i niecierpliwy niepokój nadziei. Zapragnął jak najszybciej znaleźć się w domu i jak przed chwilą zmuszał się do zwlekania, tak teraz, chcąc powetować stratę czasu, począł prawie biec. I już przez cały czas aż do końca targały nim te dwa sprzeczne uczucia. Nie pamiętał, aby w całym swoim życiu odbył kiedykolwiek drogę równie długą i męczącą.

Pogoda, jak we wszystkie dni z początkiem owego października była chłodna, wilgotna i wietrzna. Nic nie przypominało tak niedawnych i nieprawdopodobnie pięknych dni wrześniowych. Stała się nagle głęboka, późna jesień z niebem beznadziejnie zaciągniętym szarymi chmurami, bez skrawka słońca i z powietrzem przenikającym do szpiku. W taki to czas tysiące ludzi wracało z wędrówki po drogach do swoich opuszczonych przed kilku tygodniami domów.

W mieście nie wygasły jeszcze pożary. Gdy w ostatnich dniach oblężenia zabrakło wody, nikt ich już nie gasił. Dopalały się więc wolno i jeszcze teraz, po tygodniu, ogień tu i ówdzie tlił się wśród nagich, sczerniałych murów; dymiły gruzy i rumowiska, a żar bił od rozgrzanych zgliszcz. Gdzieniegdzie ciepłe jeszcze popioły wymiatał wiatr spomiędzy pogorzelisk, szara kurzawa niosła się wtedy ponad ulicami i strzępy czarnych papierów fruwały w powietrzu, którego niebieskawy, z lekka przymglony koloryt nasycał całe miasto martwą poświatą. Dobrze znany Gaszyckiemu gryzący swąd spalenizny unosił się dokoła. W wielu jednak miejscach zabijał go dławiący odór rozkładających się trupów, nie zdążono bowiem jeszcze zewsząd powydobywać zwłok spomiędzy gruzów i z zawalonych piwnic. Chociaż ulice pełne były ludzkiego mrowia, cisza całkiem niemiejska wszędzie panowała. Obco rozbrzmiewał wśród ruin turkot wiejskich wozów. Czasem z łoskotem i z dudnieniem przejeżdżały na pełnym gazie ciężarowe platformy z niemieckimi żołnierzami.

Aby dostać się do domu, Gaszycki musiał przejść przez całe miasto aż na przeciwległy jego kraniec. Dziwnie wyglądały te ciemne tłumy w milczeniu posuwające się środkami jezdni, wśród rumowisk lub kamienic porozdzieranych, jak wielkie otwarte rany. Chodnikami mało kto szedł, zawalone bowiem były gruzami i szkłem. Co krok zresztą jakiś zniszczony dom odartą z tynku i samotnie sterczącą ścianą, lub dachem strzaskanym i wiszącym w próżni nieomal, groził runięciem. Poprzez puste ściany powypalanych budynków przezierało niebo szaro-żółte, niewymownie smutne, kiedy indziej zaś, w miejscach, gdzie kilka posesji uległo pod rząd zniszczeniu, ukazywało się ono ponad ruinami tak rozległe i ogromne, jakim nigdy w mieście nie bywało. Najboleśniej przecież wyglądały te domy, w których zawalone ściany frontowe odsłoniły wnętrza: pogruchotane podłogi i sufity, tynki popękane, kolorowe tapety lub malowania, jakieś szczątki umeblowania zawieszone ponad przepaścią. Te zaś kamienice, które ocalały, czerniały pustymi oknami, a mury ich pokiereszowane były licznymi śladami pocisków. Większość wystaw sklepowych pozabijana była deskami. Wszystko, co sobie Gaszycki do tej pory wyobrażał o rozmiarach zniszczenia, było blade w porównaniu z widokiem tego miasta, które, gdy je opuszczał, tętniało życiem, światłem i ruchem i pięknością lata.

Na niektórych ulicach wznosiły się szczątki barykad: ziemia nawieziona, spiętrzone deski i ławki, zasieki kolczastego drutu. W wielu miejscach jezdnie porozrywane były lejami po bombach. Leżały także, podobne do obalonych drzew, poprzewracane latarnie, skręcone szyny tramwajowe. Na rogach ulic widać było kioski rozbite i pogięte słupy reklamowe. Gdzie zaś rynsztoki zasypał gruz i odłamki, tam woda, nie mając gdzie ściekać, brudnymi, po brzegach z lekka spienionymi bajorami rozlewała się po spękanym asfalcie. Nad ulicami, dziwacznie poskręcane, zwisały rude kłęby przewodów tramwajowych.

Idąc Krakowskim Przedmieściem ujrzał Gaszycki w pewnym momencie siną, na tle niebieskawych drzew ogrodu Saskiego bardzo wyraźnie i delikatnie zarysowaną kolumnadę, która otaczała w głębi placu grób Nieznanego Żołnierza. Nad nią czerwieniała wysoko na wietrze łopocząca flaga z czarną swastyką. Cisza panowała dokoła śmiertelna. Słychać było wśród niej tylko suche trzeszczenie chrzęszczącego pod nogami przechodzących szkła.

U końca drogi, w miarę zbliżania się do domu, Gaszycki obojętniał na grozę ruin. Wrażliwość stępiała w nim i dręczyła go teraz jedna już tylko myśl: dręczące poczucie bezsilności wobec własnego losu, który się dokonał był, lecz którego nie znał. Nigdy dotąd nie zastanawiał się, iż może przy sobie nie mieć nikogo bliskiego. Nie znając samotności, nie myślał o niej. Ufał swojemu losowi, jak wszyscy ludzie, którzy nie ponieśli dotkliwszych porażek i nie zaznali głębszego cierpnienia. Dopiero teraz po raz pierwszy uświadomił sobie na jak kruchych i niepewnych wiązaniach spoczywa to wszystko, co za swój udział w życiu uważał i co, jak mniemał, stanowiło treść i sens jego istnienia. Poczuł nagle, że nie umiałby żyć sam. I gdy w podobną możliwość wnikał i tracił w chwilach zwątpienia nadzieję, aby mogło być inaczej i los go oszczędził tym razem, przychwytywał się wówczas na przerażeniu tak dręczącym, iż nie przypuszczał do tej pory, że człowiek może popaść w równe zabłąkanie i trwogę.

Było wczesne zaledwie popołudnie, kiedy dotarł do swojej Żoliborskiej kolonii. Ostatni odcinek drogi, pustą i rozległą przestrzeń niezabudowanych terenów dokoła Cytadeli, przebył o niczym już całkiem nie myśląc, z głową pustą, lecz z sercem gwałtownie pulsującym aż w krtani. Nie zauważył nawet licznych mogił, równymi rzędami krzyżów biegnących u podnóża wałów dawnej fortecy. Wiatr tutaj na tym wydmuchu hulał w najlepsze. Schodząc z przerzuconego ponad torami kolejowymi wiaduktu, ujrzał Gaszycki piekącymi od ostrego podmuchu oczyma rozległy Żoliborz w dole: mnóstwo równych, prostokątnych bloków, szarawych w przymglonym powietrzu, wśród nich czerwone dachy willi, a nad wszystkim niebo tak samo rozległe, jakim je zawsze widział wracając z śródmieścia do domu. Zdaleka wszystko w tej stronie miasta zdawało się przetrwać bez zmian.

Wśród wielu domów dojrzał też Gaszycki swój. Był. Widział równą i gładką płaszczyznę jego frontu, dach płaski, nawet smugę dymu wznoszącą się prosto znad niskiego dymnika. Na widok tego znaku normalnego ludzkiego życia wzruszenie ścisnęło mu gardło. I przez moment uczuł taką ulgę, jakby wszystko złe i wrogie zésunęło mu się z serca. Przyśpieszył kroku. Lecz gdy znalazł się na

dole wśród pierwszych bloków, znów go schwycił niepokój. Od razu rozpoznał, że ani bombardowanie, ani ogień artyleryjski nie oszczędziły, jak sądził, tej dzielnicy i wojna przeszła tutaj z taką samą srogością, jak wszędzie. Znów ujrzał domy z oknami ziejącymi pustką, ściany poryte pociskami, strzaskane i bezsilnie wiszące dachy i wszedł w taką samą, nigdy przed tym nieznaną ciszę, jaka rozpościerała się w całym mieście.

Idąc chodnikiem przykrytym grubą warstwą potłuczonego szkła, gruzu i pyłu, spostrzegł, że większość młodziutkich kasztanów, którymi wysadzona była aleja, ma gałęzie pociskami najwidoczniej poucinane. Straszliwie żałośnie wyglądały te drzewka odarte z liści i z krótko sterczącymi kikutami. Pusto było w tej chwili na ulicy, nigdzie śladu człowieka, i ten brak ruchu i ludzi stwarzał wrażenie, iż wśród całego osiedla życie całkiem wymarło.

Wejście do spółdzielczego bloku, w którym mieszkał Gaszycki, znajdowało się przy bocznej, zawsze bardzo zacisznej, łagodnym łukiem wślizgującej się w głąb kolonii uliczce. Przed samym rogiem zwolnił kroku. Ogarnął go naraz spokój, jakiego od dawna nie zaznał i jakiego nie oczekiwał. Wszystkie lęki i przelotne nadzieje usunęły się w nim nagle. Natomiast wniknęło obce mu dotąd i kojące przeświadczenie, iż cokolwiek spotka go teraz dobrego — będzie to nieoczekiwanym i niezasłużonym darem losu. Przez moment, na krok zaledwie przed rogiem, przemknęła mu przez głowę myśl, że podobnie niezwykły spokój jest być może największą ze wszystkich nadziei, jakim zawierzyć może człowiek.

Ta część bloku, która ukazała się nagle oczom Gaszyckiego, wyglądała podobnie do innych domów. Ujrzał te same okna bez szyb, kilka z nich zabitych dyktą, te same ślady pocisków na murach. Jedno z mieszkań na ostatnim, trzecim piętrze musiało ulec zupełnemu zniszczeniu, ściana była rozerwana, dach załamany i w ciemnej, w górze zawieszonej czeluści kołysał się żółty strzęp firanki. Gdy spojrzał w kierunku bramy, zobaczył czterech niedużych wyrostków, dzieci prawie jeszcze, ciągnących wzdłuż oparkanienia długie, ciężkie deski. Akurat dwaj pierwsi przystanęli przy bramie i z przejęciem i z widocznym wysiłkiem w taki sposób próbowali deski obrócić, aby przepchnąć je przez wąską furtkę. W jednym z malców poznał Tomaszka. Wszystko w Gaszyckim zamarło na ten widok. Był tak nieoczekiwany, iż zrazu wydało mu się, że się może pomylił. Chłopiec schylił się właśnie i kolanem począł sobie dopomagać, żeby nadać nieporęcznej desce właściwy kierunek.

— Tomaszek! — zawołał.

Chłopcy drgnęli na dźwięk jego donośnego w panującej dokoła ciszy głosu i szybko, trochę jakby spłoszeni, odwrócili głowy. Jeden tylko Tomaszek nie ruszył się, dalej stał pochylony, z kolanem przyciśniętym do deski, której część przepchał już był przez furtkę. Po chwili dopiero, swoim częstym ruchem trochę nieśmiałego przegięcia szyi, powoli i jakby ociągając się, obejrzał się za siebie.

— Tomaszek! — zawołał jeszcze raz Gaszycki.

Chłopcu tak żałośnie wygięły się wargi, iż zdawało się, że się nagle rozpłacze. Równocześnie deska wyślizgnęła mu się z rąk i z głośnym stukiem upadła na kamienną płytę chodnika. Lecz szybko nad sobą zapanował. Wyprostował się i wolno, jak gdyby niezupełnie jeszcze dowierzał, począł iść ku ojcu. Gaszycki

doskoczył do małego i chwycił go w objęcia. Nigdy do tej pory nie przeżył wzruszenia równie dławiącego i szczęścia tak bezgranicznie czystego, jak w owej chwili, kiedy poczuł w ramionach drobne i wiotkie ciałko tego swego syna, ocalonego i zdrowego, a pod wargami chłód gładkich dziecięcych policzków. Mały przytulił się do jego piersi i na chwilę, całkiem jak pełen ufności ptaszek, zamarł w bezruchu, przymknąwszy oczy i nie oddychając prawie. Potem przypomniał sobie widać porzuconych towarzyszy, bo lekko się zarumienił i zawstydzony wysunął się z ojcowskich ramion. Dopiero teraz mógł się Gaszycki przyjrzeć synowi. Nie wyglądał dobrze: zmizerniał i przybladł, za to wyrósł bardzo przez te sześć tygodni i wydoroślał. Wśród wspomnień, które ostatnio stawały się o wiele odleglejszymi, niż czas ich oddalenia, wyobrażał sobie Gaszycki Tomaszka mniejszym i drobniejszym.

— Urosłeś... — uśmiechnął się.

Tomaszek z ukosa zerknął w stronę kolegów.

— Co wy robicie z tymi deskami? — spytał Gaszycki.

Mały spojrzał bardzo poważnie.

— To na opał...

— Nie ma drzewa?

— O nie! — potrząsnął głową Tomaszek. — Bardzo trudno dostać.

I zaraz dodał:

— Wodę też trzeba nosić.

Przybliżyli się tymczasem do chłopców. Dwóch z nich wyglądało na rówieśników Tomaszka. Jeden nie wyszedł jeszcze całkiem z dziecięcej pulchności, miał rumiane pyzate policzki, okrągłe jak u wróbla oczy, a włosy o rudawym z lekka odcieniu. Drugi był czarny i smagły. Gaszycki pamiętał obu malców z widzenia, wiedział, że mieszkają w tym samym bloku, pojęcia jednak nie miał, jak się nazywają. Natomiast znajomy był mu trzeci: starszy od tamtych o parę lat, wyrośnięty na swój wiek chłopak, smukły i zgrabny, o bardzo jasnych, trochę bezczelnych oczach i wyraziście zarysowanych brwiach. Był to najmłodszy z trzech synów pana Zienowicza. Zienowiczowie mieszkali we własnej willi zaraz nieopodal. Ostatniej wiosny Gaszycki zachodził do nich kilkakrotnie, kiedy ów Stefan przy jakichś swoich przedsięwzięciach złamał sobie był rękę. Gaszycki przywitał się z chłopcem i podał także rękę tamtym dwóm. Byli trochę speszeni, lecz przyglądali się mu bardzo badawczo i z zaciekawieniem.

— Jak twoi rodzice? — spytał małego Zienowicza.

— Są — odparł śmiało Stefan. — Tylko Karola i Janka nie ma. Karol poszedł do wojska, a Janek, jak wszyscy wychodzili, wyszedł ze Stasiem Swieradzkim. To jego brat — wskazał na pucołowatego towarzysza.

Od strony dziedzińca dobiegł odgłos rąbanego drzewa.

— To Franek rąbie! — wyrwał się z akcentem dumy drugi z dwóch małych.

Stefan Zienowicz spojrzał na niego karcąco i sam począł wyjaśniać Gaszyckiemu.

— Tam dalej na ulicy jest połamany parkan, więc my bierzemy stamtąd deski i nosimy, a jego brat rąbie...

Tomaszek, który stał milczący i unikał spoglądania w stronę ojca, schylił się, żeby podnieść swoją deskę. Ale Stefan zatrzymał go.

— Nie, daj spokój! — potrząsnął głową, marszcząc ciemne brwi — my to sami zrobimy... Drzewo też możemy ci przynieść.

Tomaszek zaczerwienił się i nie był zdecydowany, co zrobić. Gaszycki chciał mu ułatwić.

— Jeżeli chcesz, Tomaszku, to zostań i potem przyjdź. Babcia jest w domu, prawda?

Tomaszek wyprostował się.

— Nie, to ja pójdę — zdecydował pośpiesznie, nie patrząc na ojca.

Poszedł przodem, a Gaszycki pożegnawszy się z chłopcami podążył zaraz za nim. Mieszkanie Gaszyckich mieściło się w środkowej części bloku. Ojciec i syn przeszli ten odcinek drogi w milczeniu. Gaszycki myślał o spotkaniu z matką i już o nic nie rozpytywał Tomaszka. Czuł w sobie tylko wewnętrzny pośpiech, nieomal odurzenie tym wszystkim, co czynił, że znalazł się oto w domu i szedł chodnikiem tak dobrze i od tylu lat znanym. Gdy się zbliżali do swojej klatki schodowej, przypomniały mu się naraz jakieś bardzo dawne, szkolne jeszcze lata, kiedy przeniknięty podobnym trochę, co teraz pośpiechem, wracał do domu z pierwszych bez matki spędzonych wakacji. Ledwie spojrzał na parterowe okna mieszkania. Zauważył, że w jego gabinecie ocalała jedna szyba, pozostałe okna zabite były dyktą.

Wtem, już na klatce schodowej, Tomaszek, który szedł pierwszy, zatrzymał się. Gaszycki położył mu rękę na ramieniu.

— No, Tomaszku...

Powiedział to głosem ściszonym, lecz nie wiedzieć czemu wydało mu się, że matka, albo już wpierw dosłyszała była jego kroki, lub teraz dobiegł ją ze schodów znajomy głos i tak, jak się często zdarzało, gdy wracał dawnymi laty do domu, ukaże się we drzwiach. Widział je poprzez skręt metalowej poręczy. Były bardzo obdrapane. W wielu miejscach tynk poodpadał ze ścian i biały pył i miałki gruz walały się jeszcze na schodach.

— Tomaszku! — powtórzył głośniej.

Dopiero teraz mały obrócił się ku ojcu. Gaszycki przeraził się ujrzawszy jego zmienioną, poszarzałą zupełnie twarz.

— Tomaszku... — szepnął.

Mały bez słowa wpatrywał się w niego szeroko rozwartymi, cierpiącymi oczami. Wargi drżały mu podobnie, jak wówczas, gdy po raz pierwszy na ojca spojrzał. Zaciskał je jednak kurczowo, widać było, że wszystkimi siłami walczy ze szlochem, który narastał w jego wątłej, cienkiej szyjce. Gaszycki schylił się i przycisnął dziecko ku sobie.

— No, syneczku — powiedział — co ci jest? Idziemy przecież do babci...

Tomaszek pozwolił przygarnąć się, drżał jednak w ramionach ojca i wciąż wpatrywał się w niego tym samym rozpaczliwym spojrzeniem. Nagle poruszył wargami.

— Co mówisz? — spytał go.

— Nie ma babci — szepnął.

Gaszycki uśmiechnął się. Wydało mu się, że odgadł zmartwienie syna.

— Wyszła? I wzięła z sobą klucze od mieszkania, tak?

Tomaszek odetchnął głęboko.

— Nie, nie ma.

I jeszcze raz powtórzył: nie ma, z takim przejmującym akcentem, iż Gaszycki uczuł, jak wszystko w nim zamiera. Zupełnie też nie poznał własnego głosu, gdy machinalnie spytał:

— Dawno, Tomaszku?

Tomaszek skinął głową. Uspokoił się już trochę, tylko dalej nie spuszczał z ojca oczu teraz zresztą bardziej czujnych i badawczych, niż jak wprzódy bezradnie rozpaczliwych. Ponieważ ojciec milczał i o nic nie pytał, sam począł o wszystkim opowiadać. Dopiero po chwili Gaszycki zorientował się, że chociaż słyszy głos chłopca, nic z tego, co tamten mówił, nie przenika do jego świadomości. Tyle tylko zrozumiał, że matka zginęła od artyleryjskiego pocisku.

— Tutaj? — spytał.

Tomaszek, który o wszystkim dokładnie już opowiedział był, stropił się.

— Nie — zająknął się trochę. — Przed sklepem Hiszczyńskiej, to zaraz za nami, wiesz?

Gaszycki machinalnie przytaknął.

— Tam sprzedawali chleb — mówił dalej Tomaszek — i babcia poszła... i jak stała na ulicy w ogonku, to upadł granat, na sam trotuar...

Gaszycki pogładził syna po rączce; zimna była i bardzo spierzchnięta.

— I ty tak przez cały czas byłeś sam?

Tomaszek potrząsnął głową.

— O nie! Miałem kolegów... wzięła mnie zaraz do siebie pani Swieradzka, to mama Wojtka, wiesz tego chłopca, co widziałeś, taki rudawy... oni mieszkają na pierwszym piętrze. A z Frankiem Skórzewskim założyliśmy u nas okna dyktą, on wyszukał dyktę.

Miał widać ochotę o wielu jeszcze rzeczach opowiedzieć, lecz dostrzegłszy, że ojciec nie bardzo słucha, ucichł. I gdy Gaszycki na niego spojrzał, dostrzegł, że chłopiec patrzy w ziemię i znów lekkie drżenie ściska mu krtań. Strasznie żałośnie i biednie wyglądał, stojąc tak ze zwieszoną głową, opuszczonymi nieporadnie rękoma, w wyszarzanej kurteczce, która nosiła na sobie wyraźne ślady wielu dni i nocy spędzonych po piwnicach.

— Trzeba nam pójść do domu — powiedział miękko. — Masz klucze, Tomaszku?

Chłopiec ożywił się.

— Nie, na górze są, ale zaraz przyniosę!

Zawahał się i spojrzał na ojca pytająco.

— Poczekasz?

— Tak.

Wsparłszy się twardym plecakiem o ścianę, bezmyślnie począł wpatrywać się w gruz rozsypany pod nogami. Słyszał tupot Tomaszka po schodach, stukanie na górze do drzwi, głos kobiecy i zaraz pośpieszny, zadyszany głos syna. Poczuł się nagle tak straszliwie znużony, iż wykonanie jakiegokolwiek ruchu

wydało mu się w tej chwili wysiłkiem przekraczającym jego możliwości. Dopiero bliski głos Tomaszka wyrwał go z odrętwienia.

— Jestem, ojcze! — spoglądał na niego niespokojnie mały.

Wyprostował się i poszedł za chłopcem.

Mieszkanie zrobiło na nim wrażenie całkiem obcego. Nie było zresztą zniszczone, tynk z sufitu w kilku miejscach się tylko osypał, a w jadalnym pokoju, w jednym rogu, ściana poobijana była odłamkami pocisków. Najgorzej wyglądały okna do połowy zabite dyktą, tak że światło padało wąskim, oszklonym skrawkiem u góry i ponury półmrok wszędzie panował. Poza tym meble stały na swoich zwykłych miejscach, tyle tylko, że pokryte grubą warstwą kurzu i pyłu. Lecz nie to było ważne. Tak się jednak silnie w jego odczuwaniu i od tylu lat zrosły te pokoje z obecnością matki, iż teraz wydało mu się niepojęte nigdy nie móc wśród tych ścian ujrzeć jej szczupłej postaci, ani usłyszeć brzmienia jej głosu. Przeszedł po mieszkaniu zupełnie sobie nie uświadamiając, że ma tutaj pozostać, mieszkać i żyć.

W pokoju matki pierwszą rzeczą, która nasunęła mu się przed oczy była stara szabla napoleońskiego pradziadka. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę i daremnie starał się uświadomić sobie, że matka nie żyje. Odwrócił się i wtedy w lustrze wiszącym na wąskiej pomiędzy oknami ścianie zobaczył swoją twarz. Nie widział siebie od tygodnia przynajmniej. Mimo panującego w pokoju półmroku dostrzegł, że odbija się naprzeciw niego twarz obcego zupełnie człowieka. Był brudny, od wielu dni niegolony, oczy miał zapadnięte i przygasłe, pod nimi ciemne sińce. Odruchowo przeciągnął dłonią po szorstkim policzku. Ręce miał też przeżarte brudem, zsiniałe poza tym z zimna.

Tomaszek, który bez jednego słowa, cicho jak cień postępował w pewnym oddaleniu za ojcem, zauważył ten ruch i zaraz przysunął się bliżej.

— Chcesz się umyć, ojcze? — spytał. — Przyniosę ci zaraz wody...

Dopiero teraz Gaszycki zauważył obecność chłopca.

— Nie trzeba, Tomaszku — zatrzymał go — później...

Przeszedł do swego gabinetu. Spostrzegł, że szklana szafka z instrumentami chirurgicznymi była potrzaskana, nie zainteresował się zresztą bliżej, co się stało z samymi narzędziami. Nie rozejrzał się nawet po pokoju, zatrzymał się tylko koło biblioteki i przyglądał się przykrytym grubą warstwą pyłu książkom.

Po chwili wsunął się cicho Tomaszek i przystanął we drzwiach. Gaszycki odwrócił się.

— Gdzie babcię pochowano, Tomaszku?

Chłopiec podniósł rękę w kierunku okien.

— Tam!

— Przed domem?

— Tak. Tam w głębi dziedzińca.

Gaszycki podszedł do okna. Wprawdzie szyba była w nim w poprzek nadpęknięta, lecz nie wypadła. Zmierzchało już. Towarzysze Tomaszka, zgromadzeni w głębi podwórza dokoła zwalonych na ziemię desek, rozprawiali o czymś z wielkim ożywieniem. Starszy od nich wszystkich chłopiec w żółtej i luźnej

sportowej bluzie stał wsparty o siekierę i przysłuchując się, co mówią tamci, uderzał obcasem buta w leżące obok porąbane szczapy.

Tomaszek przysunął się do ojca.

— Stąd nie widać, ojcze. To tam dalej, przy końcu dziedzińca.

— Pójdziesz ze mną? — spytał Gaszycki.

Mały skinął głową.

Gdy wyszli na dwór, chłopcy dostrzegłszy ich, natychmiast umilkli. Grobów w głębi podwórza było kilka. Tomaszek pokazał drugi z brzegu.

— To tutaj...

Była to mogiłka nie różniąca się niczym od pozostałych: bardzo mała i niska, z drewnianym krzyżykiem wetkniętym w płaską warstwę świeżej jeszcze, wilgotnej ziemi. Pod krzyżem stała oparta o niego cienka deseczka. Gaszycki schylił się i przeczytał: ś. p. Helena Gaszycka, a niżej: zmarła dn. 22 września 1939 roku. Litery wypisane były niezdarnym, dziecinnym pismem. Spojrzał na stojącego obok Tomaszka.

Chłopiec zarumienił się lekko.

— Ja tylko napisałem, a deseczkę zrobił Franek Skórzewski... A te kwiaty — pokazał na spłowiałą już całkiem wiązkę czerwonych widać niegdyś dalii — to Terenia przyniosła, tylko już zwiędły...

— Co za Terenia?

— To siostra Wojtka Swieradzkiego.

Przykucnąwszy poprawił deseczkę z napisem, która się trochę była przechyliła, a potem wskazując po kolei na sąsiednie groby począł opowiadać, kogo w nich pochowano. Wszystko to byli ludzie nieznani Gaszyckiemu: mieszkańcy bloku, albo bliscy sąsiedzi. Tomaszek pamiętał doskonale ich nazwiska i wiedział, gdzie i od czego kto zginął. Grzebano zmarłych bez trumien oczywiście.

— A tam — pokazał na ostatnią mogiłę — to pochowany jest jeden chłopiec, bomba rozerwała go przed naszym domem i nie wiadomo kto to jest... Franek Skórzewski mówi, że to pewnie chłopiec nie tutejszy i tylko przechodził tędy...

Urwał i po chwili znów się odezwał:

— A jak chowano babcię, to był właśnie nalot i musieliśmy wszyscy schodzić do piwnicy...

Gaszycki w milczeniu słuchał syna. Patrzył na grób i zupełnie nie potrafił sobie uświadomić, że pod tą mizerną warstwą ziemi leży jego matka. Nie cierpiał w tym momencie. Pragnął tylko jak najprędzej z tego miejsca odejść. Lecz nim się na to zdobył, począł z panującej dokoła ciszy wychwytywać miarowy stuk siekiery, znów dobiegający z przeciwległego krańca podwórka. Słuchał tych tępych uderzeń, a spojrzeniem błądził po bezlistnych drzewach poza ogrodzeniem, z lekka siniejących w niebieskawym zmierzchu. Ziemię w ogródkach zaścielały pożółkłe liście, a na ścianach domków czerwieniały plamy jesiennych winorośli.

Tomaszek ciągle siedział przykucnięty przy ziemi, uciszony, z głową przechyloną trochę na bok. Gaszycki dotknął jego jasnych, miękkich włosów.

— Pójdziemy, Tomaszku, co?

Mały podniósł się natychmiast i w milczeniu, dziecinnym ruchem, do którego

przyzwyczaił się od najdawniejszych lat, wsunął rękę w dłoń ojca. Dopiero dostrzegłszy kolegów, cofnął ją.

W mieszkaniu było już mroczno. Ale Tomaszek zaraz wynalazł w kuchni świecę i zapaloną przyniósł ojcu do pokoju. Gaszycki nie zauważył nawet, kiedy mały zniknął. Usłyszał dopiero, gdy tamten wrócił ze dworu, dźwigając duży dzbanek z wodą. Za nim wsunął się pucołowaty Wojtek Swieradzki z naręczem narąbanego drzewa. Poprzez uchylone drzwi i korytarz widział ich obu stojących koło kuchni. Migotliwy płomyk świecy oświetlał od strony ściany ich sylwetki. Tomaszek wspiął się na palce i przelewał wodę z dzbanka do dużego kociołka, stojącego na płycie.

— Tu połóż drzewo — powiedział do towarzysza.

Wojtek zwalił drzewo na podłogę i założywszy ręce do tyłu przyglądał się, jak Tomaszek wyciąga gdzieś z kąta duży strzęp papieru i zabiera się do zapalenia pod kuchnią. Wtem przez niezamknięte drzwi wejściowe wsunął się mały, czarny Maciek Skórzewski.

— Tomasz! — zawołał od progu.

Tomaszek odwrócił głowę.

— Daj wiadro.

— Po co?

— Franek powiedział, żebyś dał, to ci przyniesie więcej wody.

Tomaszek zawahał się.

— No dawaj! — przynaglił go Maciek.

— A gdzie Franek?

— Na schodach czeka.

Tomaszek wziął wiadro i sam wyszedł na schody. Zaraz potem Gaszycki usłyszał stuk podkutych butów pod oknami i głośne pogwizdywanie. Tomaszek wrócił z Maćkiem do kuchni, lecz zamknął za sobą drzwi i tylko sciszone głosy chłopców dochodziły do pokoju. Czuł, że powinien wstać, pójść do kuchni i zająć się zrobieniem czegoś do jedzenia, znów go jednak ogarnęło takie samo, jak wpierw odrętwienie i obojętność na wszystko. Podparł głowę ręką i tak siedział wpatrzony w chyboczący przed sobą płomyk świecy. Sam nawet nie wiedział, kiedy się zdrzemnął.

Ocknął się dopiero na głos syna. Tomaszek stał przed nim z talerzem po brzegi pełnym jakiejś szarej, gęstej zupy. Gaszycki uśmiechnął się do dziecka.

— To ty ugotowałeś?

Tomaszek postawił talerz i potrząsnął głową.

— Nie, to pani Swieradzka i Terenia przyniosła... Bo mnie nie chciał się ogień zapalić, Franek mówił, że pewnie jakaś cegła musiała zapchać komin... Dymiło się strasznie.

Rzeczywiście czuć było w mieszkaniu dymem, a Tomaszek miał powieki zaczerwienione i wyglądał na bardzo strapionego.

— Nie martw się — pocieszył go Gaszycki — od jutra zaczniemy tu robić porządki. Musimy sobie teraz we dwójkę dawać radę, mój synu.

Tomaszek wlepił w ojca swoje jasne, niebieskie oczy i nieśmiały uśmiech pojawił się na jego wargach.

— A twoja zupa? — spytał Gaszycki:

Chłopiec pobiegł do kuchni i po chwili wrócił z drugim talerzem i jeszcze z dwoma kawałkami czarnego, gliniastego chleba. Przysunął sobie krzesło blisko ojca i bardzo musiał być wygłodniały, bo rzucił się na jedzenie z taką łapczywością, iż Gaszyckiemu, gdy to ujrzał, pierwszy łyk zupy uwiązł w gardle. Był też bardzo głodny, lecz jadł z trudem, zmuszając się do przełykania chudej, papkowatej cieczy. Po chwili począł rozpytywać syna o kolegów i o owych państwa Swieradzkich, którzy się nim tak życzliwie zaopiekowali. Z początku Tomaszek odpowiadał z ożywieniem, potem coraz niewyraźniej i senniej. Był już najwidoczniej śmiertelnie znużony i nie bronił się nawet, gdy po skończonej kolacji ojciec wziął go na ręce i zaniósłszy na łóżko począł rozbierać. Ze względu na szczupłość mieszkania Tomaszek sypiał do tej pory w pokoju pani Gaszyckiej. Był to największy pokój z trzech i teraz płomyczek dopalającej się świecy słabo rozświetlał jego mroczność. Poza wąskimi w górze okien skrawkami szyb widniała ciemna i bezgłośna noc.

Rozebrawszy syna Gaszycki ułożył go wygodnie i przykrył kołdrą. Potem chcąc pocałować małego na dobranoc, schylił się nad nim. Wtedy Tomaszek, uniósłszy się trochę, zarzucił mu nagle obie rączki na szyję i wybuchnął głośnym, rozdzierającym płaczem. Gaszycki objął go i przytulił.

— I co Tomaszku, i co? Co takiego?

Mały zaszlochał jeszcze głośniej i serdeczniej. Wszystką od wielu dni nagromadzoną żałość, cały ogrom swoich dziecinnych cierpień i niepokojów, zdawał się teraz nareszcie z siebie wyswobadzać. Łkał, zanosząc się cały tym swoim płaczem i tylko drobne ręce coraz silniej zaciskał kurczowo dokoła szyi ojca. Gaszycki nie odzywał się więcej. W milczeniu, bardzo łagodnie kołysał syna i czuł wśród narastającego w sobie spokoju, jak mu ramiona i piersi przenika wzruszające ciepło tego wiotkiego, smukłego ciała.

Powoli Tomaszek uspakajał się. Płacz w nim nacichał, lecz łkania długo jeszcze dygotały mu w piersi. Wreszcie gorącą i mokrą od łez twarz przyciskając do policzka ojca, wyszeptał zająkując się:

— Myślałem... że ty już nie wrócisz... nigdy...

Gaszycki milczał. Pomyślał, jak nie wiele brakowało, a znajdowałby się teraz daleko na obcej ziemi.

— Jestem, Tomaszku — powiedział wreszcie — wróciłem...

— Ale ja myślałem... — zaszemrał mały.

Przez jakiś czas trzymał go jeszcze przy sobie już uciszonego, dłonią gładząc go lekko po głowie. Dopiero, gdy oddech małego stał się całkiem równy, wysunął ostrożnie ramiona i ułożył dziecko na łóżku. Tomaszek spał na wznak, nakryty aż po szyję kołdrą, lecz wkrótce głowę odwrócił i policzkiem wtulił się w poduszkę. Świeca dogasała. Tak więc w półmroku Gaszycki zaledwie dostrzegał zarys głowy swego syna: delikatny i jasny. Słyszał za to bardzo wyraźnie oddech małego: równy, spokojny oddech głębokiego i bezpiecznego snu.

DO CIEBIE O MNIE

Zapatrzony, że samymi rzęsami
zmiótłbym śnieg z twojej ścieżki,
chwytam w zachwyt ruch twój — i gubię:

Krokiem tak zalotnie lekkim,
jakbyś wiodła ptaszka na promieniu,
szłaś przede mną, — przed sobą, przed wszystkim!
Poderwany spod nóg przez wróble
twój cień w krzewie się zazielenił,
pojaśniał w drobne listki.

I zniknęłaś — w swoim śpiewie. Zamilkliśmy.

Ale odtąd zasłuchany, gdy pytam
o mnie,
od rośliny do słowa
każdy pąk się wyraża kwieciście;
świat rozkwita naglej, ogromniej
we wszechkwiat.

(Gałąź wiśniowa
przewinęła się do kwiatów od liści
zwinniej
niż wiewiórka zdążyłaby się domyślić.)

ZJAWISKO WIOSENNE

Jacyś cieśle przejaśnieni na wznoszonej przez się ścianie
— patrz! — podnoszą słup powietrza, by ustawić go pionowo
i wygładzić, do słońca go wylśnić —
runął w śnieg pod chmurami, wszystko — w oczach — pomylił,
i jak gdyby znowu w górę niespodzianie! —

— popatrz tylko przez okno chwili:
Fantastyczną gałązkę lodową
ptak odłączył w przelocie od szyby
i nim doniósł, zakwitła na wiśni:
ptak kołysze się na niej.

POD GAŁĘŹMI DWÓCH DRZEW

(PRZEDŚPIEW Z POWIEŚCI „JANOSIK")

I.

Pod Czorsztynem szumi kręty, wąski Dunajec, dołem drążący wiry. Stara cyganka patrzy na podaną jej dłoń.

— Cudowna siekiera Jura Janosika, zarąbana w skały, ożyła i rozbłysła w słońcu. Idzie nowy zbójnik, zbawca ludu. Będą się z ciebie cieszyli biedni.

Całowała jego rękę, żylastą, lecz drobną. Drobną rękę niepozornego chłopca. Można mu było dać z wyglądu lat szesnaście, jeszcze narażając się tą oceną na posądzenie o hojność.

— Co więcej?

— Tobie jest pisana śmierć wysoko.

Uśmiechnął się. Kiedy?

Przelękła się tego, co powiedziała. A ileż jeszcze wiedziała, nie śmiejąc powiedzieć! Patrzyła przerażona na linię dłoni.

— No, dlaczego nie mówisz? — nalegał.

Potrząsała bezradnie głową. — Nie wiem, nie ma znaku — jąkała się zmieszana.

Nie był to junak dorodny na widok; przeciwnie, niski, szczupły, delikatny. Ale miał siłę niespożytą w mięśniach i dziwne spojrzenie szaro-zielonych oczu, które ludzi rozkładało na mgłę.

— Jaka to linia? — pokazuje cygance głęboką, krótką bróżdę od pulsu w kierunku wskazującego palca.

— To linia miłości — tłumaczyła zalotnie, lecz w źrenicach jej czaił się strach. — Będą lgnęły do ciebie dziewczęta, będą cię kochały. Ale ty nie będziesz z nich zadowolony.

Popielaty kaszkiet, odsunięty od czoła, ukazywał niesforną mierzwę blond włosów w splątanych kosmykach. Twarz pociągła, śniada, śmiała aż do bezczelności, w istocie dziecinna. Figlarne oczy łobuza, w których na dnie zastygał niepokojący, chłodny ognik. Koszula niebieska z wykładanym, miękkim kołnierzem, spłowiała od słońca; na ramionach wisząca luźno marynarka w rude pasy. Spodnie sportowe ciemno-brunatne, podwinięte w kolanach odsłaniały gołe łydki o odcieniu złotawego bronzu. Ile napracowały się kolejno przy łataniu tych spodni kobiety: Agnieszka, Mitanka, Zośka z Górnego Cichego oraz jej matka!

Czy to miał być słynny zbój? Szczupłość fizyczna była u niego płomieniem, lecz owa wiotkość szła doskonale w parze z jędrnością muskułów. Zdawał się być cały zrodzony z żywiołów lotnych: wiatru i słońca, a jednocześnie zbudowany z gumy i ze stali. Wyglądał na włóczęgę, choć wszystko było u niego wyrazem ducha: spojrzenie głębokie, ciało w leniwej drapieżności skupione, głos melodyjny, lekceważący, twarz ostra i napięta. Rozciągał się od jednej skrajności po drugą, cały odziany w sprzeczność. Czasem przymykał oczy jak zmęczony patrzeniem lub utroskany myślami. Oczy lśniły zielonkawo w słońcu, strzeliście bezdenne jak studnie.

— Powiedz-no stara, ile lat będę żył? — próbował podchwycić cygankę. Nie dała się zbić z tropu.

— Kiedy umrzesz, nie wiadomo. Tego ręka nie mówi. O śmierci mówi. Śmierć wysoka, sława silna, miłość bujna.

Był lipiec, miesiąc natężonego upału. O tej samej porze umierała w Krakowie moja matka, szumna góralka. Dogorywała z dala od swej wsi rodzinnej, Naprawy. Znała ona dobrze dziadka Janosika, w którym, aczkolwiek złodziejaszku, zawsze umiała uszanować człowieka.

Tobie, umarła matko, poświęcam tę książkę. I tobą rozpoczynam pierwszy ciąg powieści. Albowiem cała ona z ciebie pochodzi; z twojego natchnienia. Ubarwiła tę górską pieśń krew, która z ciebie uszła.

Słońce wisiało nad krajem, skwarne i ogromne. Oto jest życie Jana Dziury, które dorosło do poezji. Tu rozkwitało wśród przemarzniętych, stale wodnistych ziemniaków, pomiędzy niebem, przeważnie chmurnym a lasem, ciągle niespokojnym. Może z tych wsi, rzadko rozpełzłych po stokach, przyodzianych ciemnozielenią, przejęło w siebie gorączkę, która miała nim gnać po kresach dwóch państw.

Dokoła gęsto szumią smreki, przemieszane z bukami. Jeszcze tej kniei nie ścięto na maszty do stoczni zamorskich. Ale ucieka z niej oddech dawnego świata, którego nie zdoła wyrazić bez reszty żaden kształt nowożytnej kultury. Stukot pociągu daleko w dole kaleczy ten wspaniały dzień; dzień utopiony w słonecznym złocie. Lasy same kładą się pod śpiew jak szyny pod koła wagonów. Jak upojnie wybucha i niesie się ich staroświecka melodia! Jest-że to melodia o hetmanie?

Był lipiec, miesiąc natężonego upału. W tym miejscu przerywam opowieść Janosikową i nawracam się ku mojej matce. Zarówno ona jak i matka zbója urodziły się w tej samej wsi, w Naprawie. Czytelnicy, poznajcie mnie, który to piszę, zanim poznacie mojego bohatera, któremu cyganka wróżyła sławne życie, a śmierć wysoką.

Podejmijmy więc dzieje od początku, zacznijmy księgę od podstaw. Od ojca i od matki.

Pracowali i cierpieli długo, zanim zostali uczczeni w największym dziele swego ciężkiego żywota: w dzieciach. Dzieci rosły, ku radości rodziców żadne z nich nie umarło. Wyrosły zdrowo i dojrzały. Oni zaś poczęli chylić się w cień śmierci. Takie jest prawo każdej istności żywej, tak bezlitośnie obwieszcza się przeznaczenie materii: trwając, giniemy nieustannie.

W marcu straciłem ojca, w lipcu tego samego roku matkę. Można powiedzieć, że jeśli ojciec lub matka mają lat 68 czy 60 — są starzy i naturalnym biegiem rzeczy umierają. Ale dla dzieci, które kochają rodziców, śmierć ich zawsze będzie przedwczesna.

Jakże więc nie opłakiwać ojca? Był to ojciec cichy i pokornego serca. Jakże nie opłakiwać matki? Była to wyjątkowa matka; uwierzycie w to, poznawszy dzieje jej życia. Twarda dziewczyna, córka silnego szczepu wyżyn, wniosła w swoje sprawy domowe w Krakowie żywość, hart i gospodarność górali. Chociaż i ojciec także pochodził ze wsi, lecz jako syn podtarnowskich równi, reprezentował naturę spokojną i uległą.

Rośliśmy w ciężkich warunkach, w dusznej izdebce, oświecanej mdłą lampą gazową. Było nas czworo dzieci. Przez trzydzieści lat prawie mieszkaliśmy w wąskim, głębokim podwórzu, do którego nie dochodziły promienie słońca. Nie było to nawet podwórze, było to stęchłe dno dziury, obwarowanej z czterech stron ścianami wysokiej prastarej budowli. Resztki powietrza opadały tam chyba tylko przez pomyłkę lub przez litość. Kobieta z gór i mężczyzna z nizin założyli gniazdo w obcym, niegościnnym miejscu; zapuścili korzenie w wilgoci z tą samą pasją i bohaterstwem, z jakimi polscy chłopi-pionierzy karczowali pierwotne puszcze brazylijskie; założyli rodzinę w wielkim mieście, wychowali czworo potomstwa, dali mu wyższe wykształcenie. Jakież poświęcenie u młodego małżeństwa, borykającego się z losem! Przecież w tych sferach naówczas kształcenie dzieci było nieosiągalnym luksusem. Matka przybyła początkowo do miasta jako dziewczyna na służbę; było ich bowiem za wiele, chudych, chłopskich córek na paru kamienistych morgach. Ile musiała się napracować jako służąca, ile znieść ofiar i poniżenia! Ojciec także przywędrował tu ze wsi w poszukiwaniu roboty. Po paru latach zdobył cel westchnień całej okolicznej biedoty, przedmiot zawiści wszystkich mężczyzn w jego wsi rodzinnej: stałą państwową posadę. Dochrapał się funkcji woźnego w zakładzie chemicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wiadomo, co to oznaczało: pracę zapewnioną do końca życia, gwarantowaną pensję na pierwszego, zabezpieczenie dla żony, przyszłość skromniutką, lecz murowaną. I w cieniu tej trzydziestoośmioletniej posady powstała nasza rodzina.

Ojcowski zakład spoglądał oknami na Planty, na ów wyniosły pierścień zieloności, wyrastający w sercu śródmieścia i dla tego dzieciństwo moje wykołysały szumiące drzewa. To kołysanie się drzew przyprawiło mnie od najwcześniejszych lat o liryzm, który stał się nieodłączny od mojej mowy jak wiatr od natury.

Wspomnienie tych lat jest dla mnie muzyką najsłodszą i odległą. Urodziłem się w atmosferze uniwersytetu, na pół ponurej, na pół mistycznej. Przez trzydzieści lat tuliło mnie do snu ciasne i ciemne mieszkanie służbowe ojca. Młodość moja, która była raczej smutna — poza szumem stuletnich kasztanów — była owiana wyziewem chemicznych pracowni. Kiedy w samotności doświadczałem pierwszych dreszczów tzw. natchnienia, szedłem wieczorem do pustego laboratorium, gdzie modlił się w ciemności, paląc fajkę, mój ojciec i recytowałem nieprzytomne wiersze w obecności kilkuset butelek napełnionych kwasami. Kiedy dzisiaj przechodzę tą ulicą i zaglądam w ocienione dzikim winem okna, wydaje mi się, że tam, w kwasach płynie poezja, może ta sama,

którą przed kilkunastu laty tchnąłem w setki flaszek. Wtedy nie było tam nikogo, było mroczno, straszno i pusto; były ściany, wieczorem przeraźliwe, były półki z batalionami flaszek i był mój modlący się ojciec, pykający fajkę na długim cybuchu.

Później szedłem do matki. Była zapracowana, szorowała podłogę w mieszkaniu, prała. To już nie dla kogoś obcego pierze w służbie, to robi dla siebie. Jak iskra wyższej rasy błyskała w niej wielka miłość macierzyńska, rozumna dojrzałość życiowa. Mówiła: „nie dojem, nie kupię sobie płaszcza, w starej chustce wylecę z blaszanką na targ po mleko, a dzieci będą chodziły do gimnazjum".

Widzę matkę w dusznej mgle wieczora. Wstaje znad blachy kuchennej, znad garnków, w męczeńskiej aureoli codziennego trudu, wpatrując się we mnie tkliwym spojrzeniem. Słyszę jej głos, jak z odległych zaświatów dochodzący: „Jalinku, Jalinku". Czyżby tak nawoływała mnie do przetrwania?

Przetrwam. Naturalnie, że przetrwam. Wychowałem się na dnie kamiennej przepaści, pośród szczurów i zlewu; znam twarde życie. W czasie wojny i w okresie kryzysu byłem świadkiem nędzy, na którą nie można było patrzeć bez wstrząsu i bez łez. Widziałem, jak strasznie żyje wieś, poznałem cierpki chleb ubóstwa, ponurą wegetację miejskich dołów. Nie trzeba było mnie uczyć gorzkości losu; sam ją piłem. Żyło nas sześcioro osób z 90-koronowej pensji miesięcznej ojca. Nie skarżyliśmy się.

A matka? Nic nie mówiła. Zacięła usta i pracowała. Mocna i dumna. Prawdziwa góralka. A mogła powiedzieć o sobie: „Słuchajcie, życie biło mnie jak psa, bez litości. Nikt mi nic nie dał. Wszystko wypracowałam własnymi rękami".

Wieczorem ojciec wracał, zgarbiony od noszenia węgli, z dobrotliwym uśmiechem naiwnego dziecka. Oboje z żoną nie żyli już wtedy dla siebie, lecz dla swej podrastającej gromadki, której dali życie.

Lata szły, wybuchła wojna, rodzicom coraz bardziej siwiały włosy; a my w szkołach wspinaliśmy się coraz wyżej. Rośliśmy pod gałęźmi dwóch rodzicielskich drzew; podczas gdy ojcowskie, surowe i mocarne, oszczędziło nam swych soków, matczyne, rozchybotane wiatrem, buchające miłością, udzieliło dzieciom swego tchnienia w nadmiarze. Była pasterka wiejska wyznaczała wróżebnym rzutem myśli tory naszego życia. Postanowiła: ty poświęcisz się wojnie, ty będziesz żoną i matką, ty wkroczysz w tajemnice chorób ludzkich, ty zaś, który jesteś najmłodszy, będziesz jak ptak, który śpiewa: zostaniesz poetą. Tak rozdzieliła czworo swoich w różne sprawy świata, niby kokosz, wywodząca kurczęta na pole, sama w ten sposób wkorzeniając się głęboko swą ruchliwą krwią w żywot następnego pokolenia.

Tak się stało. Jej czujny umysł i mądre serce przewidziały wszystko. Wiedzieliśmy, że jeśli nie zrobi się tak jak ona zechce, będzie źle. Zawsze tak było.

Okno naszego mieszkania wpływało w obudowaną szczelnie studnię powietrza; naprzeciw wznosił się dwupiętrowy mur grecko-katolickiej cerkwi. W murze wybito po latach otwór zaszklony, prymitywne okienko, które się rzadko kiedy uchylało, a zawsze było zasłonięte grubymi firankami. Miesz-

kała tam wdowa po poprzednim parochu, której syn, łagodny olbrzym, pracował w warsztatach kolejowych. Wracał do domu pod samą noc i późną porą po kolacji grał rzewnie na cytrze. Gra rozlegała się niesamowicie w ciszy przepaścistego podworca i robiła na mnie wstrząsające wrażenie. Było coś z rozdzierających akordów śmierci w tej jękliwej cytrzanej muzyce. Tak właśnie łkała wieczorami surowa proza proletariackiego podwórka, realistyczna nędza oficyn, tak z mroku i zaduchu wydzierało się w górę marzenie o pięknie, pieśń ściętej głowy.

Nareszcie po mozolnym okresie pełzania w ciemności wydrapaliśmy się na jasność. Z dołu na pierwsze piętro. Na front opłynięty powietrzem. Przestrzeń i słońce przed oczami. Tak długo pracowało się, aby stworzyć sobie dom! Kilkadziesiąt lat. Tak krótko mieszkali w nim rodzice! Kilkanaście miesięcy.

Kroczyliśmy już po powierzchni życia samodzielnego i działającego. Pomyśleliśmy: teraz sobie odetchnie kochane matczysko. Nie będzie już na nas harować po łokcie. Uczynimy jej starość radosną przy naszym boku. I ojciec nie będzie więcej pracował, pójdzie na emeryturę; już przebył ponad 35 lat w pracy. Po raz pierwszy wtedy najęliśmy służącą. Ale robotna rasa podhalańskiej wsi nie pozwoliła sobie odebrać zajęcia; matka chodziła ciągle koło kuchni. Została z niej tylko drobna łupinka. Tak żywotny ród był w niej, że przez cały dzień nie spoczęła ani chwili.

Czy była szczęśliwa? Chyba była, jeżeli taki stan można kiedykolwiek w życiu posiąść. Niewątpliwie osiągnęła swoje. Córka ubogiego chłopa spod Lubonia, żona woźnego uniwersytetu, miała powody do dumy: wychowała i wykształciła czworo dzieci: pułkownika, żonę rotmistrza, lekarza oraz redaktora. To jest tytuł do chluby. Czegóż żądać więcej?

Gdybyż można ten stan utrwalić! Ale szczęście, o ile istnieje, nie jest ani pewne, ani trwałe. Choroba skradała się skrycie. Nie weszła w ciało nagle, lecz rodziła się wolno w organizmie. Kto wie czy od chwili wypadku z gazem nie przeniknęła w ustrój i nie wtruła się powoli w krew. Może właśnie po ocknięciu się z półśmierci nie mogli już rodzice całkowicie wrosnąć z powrotem w życie jak dawniej, przyszyci niezbadanymi włóknami świadomości do drugiego brzegu? Może długi, nieprzytomny sen zatrucia wprawił ich w przedsmak spokoju i dlatego niechętnie wracali na łono niszczącego żywota? Matka mówiła mi wtedy z uśmiechem, który wygładzał jej starcze zmarszczki oblicza: „Jaka szkoda, że nas przywrócono do przytomności! Tak przyjemnie zapomniało się o wszystkim. Dobrze tak zejść ze świata jak we śnie i nie obudzić się więcej". Miała rację i miała przeczucie, albowiem umierała w cierpieniach. Nie trudno było pojąć jej jasnowidzący żal. Oto bez świadomości bólu wstępowała w kraj oczyszczenia i przerwano jej rozkosz.

Choroba, przyczajona zdradziecko we wnętrzu, biegła po tkankach bez wytchnienia naprzód. Wolno, lecz stale; nieubłaganie. Któregoś dnia odezwała się głośno: jestem. I zrozumieliśmy dopiero wtedy, że już nie ma ratunku.

Umierali oboje, jakby umówieni, w przeciągu niespełna czterech miesięcy, pozostawiwszy gospodarkę sprawną, rzeczy uporządkowane, wzór dla przyszłych pokoleń. Dzieci wiejskiej biedoty zapuściły korzenie w mieście, dały

Krakowowi generację inteligencji napływowej, pierwszy krzepki sok wsi, którym od wieków odświeża miasto swoje zmęczone arterie.

Ojciec opuszczał kraj ludzi żywych w marcu podczas pierwszej konwulsji wiosny. Oknem wlewała się do pokoju niezgłębiona powódź słońca. Wzrok chorego miał wyraz rozpierzchły, jakby ogarniał wszystko z łóżka źrenicą zbielałą, lecz burzącą czworobok pokoju, skierowaną w odległe przestrzenie; tam, gdzie święci Pańscy mieli zapewnić żywot wieczny tej naturze prosto i mocno wierzącej.

Za wcześnie rozpoczęło się to przedwiośnie. Miasto ukazało się prześwietlone do głębi słońcem, zbyt jasnym jak na ten zdradziecki czas, zbyt pięknym jak na to nędzne życie. Marzec, najtragiczniejszy miesiąc dla chorych i starych, rozwijał swój jadowity ciąg. Świeże, hoże mężatki wyległy z wózkami na ulice. Dzieci wyciągały rączki z głębi swego upowicia do pączkujących krzaków. Na pościeli leżała, na śmierć z nią zżyta, budowa rozpięta z żył; chore źdźbło odarte z kłosa. Głowa orła, w spojrzeniu — psalm. Drapieżny profil wydzierał się ostro z poduszek ku nieśmiertelności. Jak tęgie drzewo schnął siwowłosy, dostojny mąż z różańcem w ręku, o twarzy kutej z mosiądzu, a jednak słodkiej. Nad ampułkami zastrzyków krążył jego samotny oddech na podobieństwo ptaka, uwięzionego w klatce. Tak uchodził ze ścian Piotr, boski proch, ojciec mój, który jest w niebie, ojciec, syn chłopa, ojciec poety, którego duch żyje koło mnie. Siedząc na podłodze u stóp łóżka, czytałem głosem, przerywanym łzami, litanię do wszystkich świętych i psalm za konających. Ze skweru piskliwie pokrzykiwała dzieciarnia, natarczywie obwieszczały się syreny automobilów. To były ostatnie godziny starca, bez kaszlu, nie oświecone spojrzeniem. Serce miotało się jeszcze wśród mdłych kości. Ten sprawiedliwy, dla którego ziemia była kościołem wojującym, który przeżył życie w naiwności i bez skazy, przyjmował śmierć jako wstęp do świata triumfujących, sięgając w pokorze po nagrodę, przyrzekaną od dwudziestu wieków wiernym wyznawcom. Oddalał się bez słów, wsłuchany zapewne w chóry archaniołów.

Wieczór spełnił go w modlitwie. „Jezu" — szept ust, od jakże dawna nie głodnych! Dwudziesta dwadzieścia — mordercza godzina. Sygnał nieba; już czas. Dwudziesta dwadzieścia. Ojciec mój zdejmuje ziemski płaszcz, który już teraz nie boli: ciało martwe. Jak żył, tak umarł: cicho.

Matka za to była zmęczona w dniu swojej śmierci. O ile mąż jej dogasał w spokoju, jak męczennik, świadomy sprawy, za jaką oddaje życie, ona ginęła w cierpieniu. A przecież ta sama choroba trawiła ją i jego. Nie chciała się jej poddać, o nie; walczyła z nią bohatersko, usiłowała ją podejść, oszukać, zmylić, zignorować. Buntowała się przeciw samej myśli, dlaczego miałaby odchodzić ze świata, który dopiero zaczęła kształtować. Dlaczego miałoby usychać drzewo, którego gałęzie, wszczepione w ziemię, zakwitły i będą za chwilę owocować?

Oczy miała zamknięte od wielu godzin, pasując się oddechem z bólem wewnętrznym. Może w tej chwili unosiła się myślą nad łąkami swej wsi? Kiedy już czuła, że nie podniesie się z łóżka, martwiła się bezgranicznie tylko tym: że nie zobaczy więcej Naprawy i nie zdoła rozporządzić swą wolą na miejscu.

A wieś tymczasem szalała nadal w swoim pięknie, nieczuła na wyrodną córkę, która dawno odeszła od niej do miasta.

Leży oto pod kołdrą, wątłe skrzydełko, wyżarte przez chorobę. Tak, to było jej ciało. Przeze mnie zostało zatrzymane w czasie i ukochane. Nieraz zapytywała mnie matka w prostocie ducha, która ujawniała wątpliwości najwyższej miary:

— Powiedz mi, ty się uczysz. Czy tam jest życie?

— Gdzie?

— Tam. Po śmierci — zrobiła nieokreślony ruch oczyma.

Wołaliśmy lekarzy. Wyrażali nadzieję, za słabo jednak, jak na lekarzy. Uśmiechali się dobrodusznie, lecz bez przekonania. Uciekali szybko z domu, nawiedzonego grozą bliskiego konania, spiesząc do innych pacjentów.

— Połóż mnie na prawy bok — prosiła chora. Wierzyła, że tak będzie jej lepiej, bo nie leżała na sercu. — Teraz chcę na lewy bok — zmieniła po chwili zdanie — bo nie chcę ugniatać wątroby.

Przyjechał słynny znachor z prowincji. Czepialiśmy się wszystkiego, aby uratować gasnącą iskierkę życia. Czyż nie wiadomo, że wymiary człowieka są jeszcze nieznane? I że prostaczkom danym jest nieraz wyczuć chorobę pewniej, niż uczonym, a nawet ją wyleczyć? Że tajemnica bólu odsłania się czasem zadziwiająco pastuchom, tam, gdzie nie dostrzega jej mikroskop badacza? Ciągle jeszcze posuwamy się w świecie po omacku.

Cała nadzieja w nim. Popatrzył chorej w oczy.

— Pani nic nie będzie. Ja wiem, co pani jest.

Czy słyszeliście kiedy piękniejsze słowa? Od słów samych można by ozdrowieć. Obiecał przysłać lekarstwo. Przyszło w ostatniej chwili, już nie mieliśmy go użyć.

— Która godzina? — jęczała matka, ciągle przytomna, w tragiczny poranek.

— Siódma.

— O rany boskie!

Leżała na śmiertelnym wezgłowiu, posmutniała, jakby z góry wiedząc, że nie damy sobie rady bez niej. Ginęła jak wielcy ludzie, wyrośli z żywej ziemi, z samego pnia zdrowej gleby, do ostatka przytomna, olśniona błyskiem dokładnego widzenia; ona, dla której mądrość życiowa była jak otwarta księga. Ginęła z choroby ciała, która przeżerała jej tkanki, nie naruszając umysłu. Toteż myśl jej pracowała do końca nieznużona. Zamglonymi oczyma bodła przestrzeń, opinającą ją gładko. Uśmiech pękał w jej twarzy jak granat. Kiedy umarła, powietrze na tym miejscu jeszcze drgało, rozrywane wybuchem uśmiechu. Długo patrzyłem na jej nieruchome ciało, aby przekonać się, że to sen ostatni. Pamiętam jak matka bała się zawsze, że ją żywą w śnie letargicznym do trumny włożą; odziedziczyłem tę obawę po niej.

Ach, matka! Ona widziała we mnie zwiastuna tego niepojętego, co się w niej nie obwieściło. Wiem i sama mówiła mi to, że nieraz wstrząsały nią natchnienia, jakie nawiedzają proroków i poetów. Pomyślcie: nie umiała w ogóle pisać! Jak młody barbarzyńca wtargnąłem w świat ducha z prze-

można, prawie dziką tęsknotą wieśniaczki w żyłach. Ona to właśnie, zanim zagasła na kształt strzaskanej lampy, dała mi poznać za młodu palącą treść swojego płomienia. I dzięki niej poznałem prawdę silniejszą nad żywot istot organicznych: ludzie umierają, ale pieśń pozostaje.

W tym związku dwojga ludzi, z których się wywiodłem, kobieta była elementem silniejszym. Płonęło w niej serce, najczystsze złoto dobroci, niefałszowany znak świętości. Jej bystrość umysłu zaważyła na pokoleniu, zrodzonym z krwi obojga. Ona kierowała naszym życiem, ona nadała mu barwę, ton i smak.

Należy kochać oboje rodziców. Ale matka stanowić będzie zawsze więź mocniejszą, węzeł trwalszy, niezapomniane przeżycie. O ile ściślej dziecko złączone jest z matką, rodząc się właśnie z niej, o tyle głębiej musi to zjednoczenie odczuwać w ciągu swojego istnienia. Dziecku poświęca matka swój ból, cieleśnie nawet cierpiąc przez nie. Jak tego nie wyczuć? Każda inna miłość jest rezultatem przypadku, ta jedna jest wynikiem krwi. Jak o tym zapomnieć?

Honorna dziewczyno z gór, ukrzyżowana nad dymiącą balią! Przez tyle miesięcy szłaś wolnym krokiem w śmierć. Wszystko, cokolwiek dla ciebie robiłem, było za mało. Chciałbym kiedyś zbudować ci w piśmie pomnik, na jaki najwięksi wodzowie w historii nie zasłużyli. Oni posyłali nieraz w bój, na rzeź wiele tysięcy ludzi; ty jesteś zwycięska, bo tworzysz, naprawiasz straty tamtych, głosisz triumf życia nad zagładą.

Tak przeżyć życie potrafią tylko ludzie dobrzy i dzielni. Gdyby móc odziedziczyć choć cząstkę twojej dzielności, tak jak odziedziczyłem po tobie miękkość serca! Potrafiłbym pisać tak tkliwie, że najokrutniejszy łotr musiałby zapłakać. Ale przecież słowo się łamie i topi, kiedy wspominam ciebie.

Ciebie, najukochańsza. Może jestem głupi i szalony. Jeśli jednak jest we mnie coś wartościowego, na pewno pochodzi od ciebie. Od ciebie noszę przekazane w organizmie to serdeczne zadrganie, które ubarwia świat, a bez którego nie warto żyć.

Ciebie płaczę. Dla ciebie chcę żyć. We mnie właśnie przedłuża się twoje istnienie. Wiem, że choć w grobie uwięziona, jesteś zawsze przy mnie, jak podczas dawnych dni naszej współjedności. Tobie oddaję hołd, — syn wyrosły z twojej krwi, z twojego niepokoju i ognia. Kto wie, może jestem echem twoich pragnień i marzeń, poczętych w dzieciństwie w podhalańskiej wsi, pełnej łąk i lasów. A ty, — jak mówi poeta — jesteś dla mnie tym najpiękniejszym, co przeżyłem w życiu.

I teraz, przy pisaniu tej książki, wypływa na papier przede mną twój drobny kształt, najcichsza łódź żywota. Pamiętaj o mnie. Ciebie będą opiewać poeci — kobietę czasów przyszłych, która za wcześnie umarła. Bohaterkę, pozbawioną glorii rewolucji. I dziewczęta przy krowach także będą śpiewały tę pieśń o naprawskiej pasterce, co się unieśmiertelniła.

Właśnie w głębokie lasy wstępuje Janosik, aby odnowić zbójecki chód w górach. Nad wierzchołkami smreków galopuje jego legendarny koń. Tylko

przed samym zmierzchem dane jest ludziom oglądać niesamowity cwał gniadego ogiera.

Słońce zachodzi, wkrótce zapadnie wieczór. Rozpoczyna się codzienne widowisko walki, bitwa jasności z ciemnością. Ziemia moich snów wybucha trawą po kolana. Ptaki milkną w gałęziach. Góry, ostrzejąc w mroku, nacierają groźnie na krajobraz. Niebo, raj obiecany wiernym — boleśnie trafione. Słońce — głęboka, do mięsa drążona rana, owijana zwolna bandażem chmur. Spod strzępiastego bandaża wycieka krew na niebieskawy widnokrąg. Tak opuszcza nas zwyciężony, skaleczony dzień. Poeci nazwali to zachodem słońca.

Matko! Krwi było w tobie za mało! Ja wiem: tobie śpiewają ptaki, szumią drzewa, twoim tchem żyją zwierzęta, rosną kwiaty, słońce świeci, płynie woda. Ty trwasz bez przerwy w twym skomplikowanym, różnorodnym wielośpiewie przyrody. Może to właśnie jest opiewana przez idealistów nieśmiertelność duszy? Ja także widzę ciebie najlepiej o zmierzchu, w ciemnoszarej godzinie, w której nasila się światło ciał niebieskich. Przesłaniasz mi mózg, widzenie rzeczy przyszłych. Kiedyż dokonasz mnie w błysku, w nagłym wybuchu?

Idę do ciebie, zasmucona.

WIEM, ZDECHNĄĆ MOGĘ...

Wiem, zdechnąć mogę i za nóżki
powloką trupka do piwniczki,
w papier zawiną, wrzucą na wóz
paczuszkę lat w ciało zawitych.
Szkoda by było tylko pory,
kiedy ostatnia gorze bitwa
jeśliby odejść, ot tak, chorym
i już nie wracać i nie witać.

W plusze przedwiośnia huczy niebo
a cichnie ziemia, głodna ziemia.
Szkoda że właśnie teraz trzeba
pasiak więzienny w proch przemieniać
gdy idzie zieleń żywa wierzbin,
płyną obłokiem wiatr i wrony,
gdy nocką krągły miedziak — księżyc
płaci upiorne sny więzionych.

Niedługo ruszy ławą trawa,
kolumny choin, gniazda jaskrów,
wybuchną pąki drzew i sprawa
potoczy się w potokach brzasku.
Gdzież w tej potrzebie stukać głową
w cegłę trupiarni, stać się prochem,
gdy świat się czai, świat gotowy
runąć i na nas krwawym skokiem.

A jeśli jednak zanim zgaśnie
ostatni dom płonący wojną —
zgasnę ja — tutaj, tutaj właśnie
gdzie śmiercią niby wódką poją

zostanie ze mnie to com czynił.
Wystarczy. Za lat tyle lutych,
za młodość zczezłą, za zgon innych
za cały wielki żal i smutek.

Gdzieś się po świecie miła tuła,
córeczka rośnie obcą dziczką —
powiedzcie im, żem głupio umarł,
śmiercią obozu — litomierzycką.
Lecz towarzyszom nic nie mówcie,
oni odgadną, gdy nie będę
wtedy, gdy oni czynić poczną
gromadną zmowę swą, legendę.

Wiem, że gdy wiosną staną w pochód
i pieśnią wielką pierś im wzbierze,
ja będę z nimi. Wstanę z prochu,
znowu wsunąwszy spluwę w kieszeń
szedł będę w miasta głuche, we wsie
i wiecznie młodą gadał mową:
„wasza jest wolność i chleb — bierzcie,
za naszą — padłych o to zgodą."

A miła moja — pewno wiosną
powie córusi — słuchaj, przedtem...
Nie. Poprzez śmierć już nie wyrosną
wzruszenia, żywym tchnące sercem.

Przyjaciół nie mam, chmurny żywot,
ciężkie milczenie w sobie niosłem
a teraz woła we mnie: przybądź
najmilsza moja, w to przedwiośnie,
zbliż się ku oczom i nie odchodź,
być może pójdę w śmierć, piechotką.
I będzie śmiesznie, bardzo śmiesznie
żem cię przywołał głupim wierszem.

Wołam ku sobie wszystkie lata
i strumień wspomnień burzy się we mnie.
Doby przeżyte — ogromny wiatrak
miele i gorzkie i przyjemne.
Wartało żyć i warto przestać
choć skuczy nędznie serce: zostań.
Czeka nas ludzi żywych rzesza
i wielka, psiakrew, ludzka wiosna.

Obóz w Litomierzycach. Epidemia tyfusu 1945.

JAN WIKTOR

NA ZIEMI PIASTÓW

(KARTKI Z PAMIĘTNIKA)

I.

W różnych okresach od 1932 do 1939 wpadałem na Śląsk Opolski, w dniach szalejącego terroru i w dniach jego złagodzenia. Wędrowałem po tej ziemi, po zapomnianych okolicach, aby poznać lud osiadły od wieków, aby zajrzeć w głębie dusz, odetchnąć starą mową.

Wchodziłem do chłopskich zagród nowych i starych, zbudowanych wedle wzorów praojcowskich. W izbach, na dziedzińcach, na ławach, w polu, na miedzach, pod kapliczkami przydrożnymi, pod umęczonym Chrystusem, gwarzyłem o wszystkim co boli, co trapi, co raduje, podnosi, krzepi i hartuje.

Słuchałem opowiadań, dających obraz przeżyć, zmagań, borykań, tarć, walk, upadków, klęsk i porywów najtragiczniejszego położenia polskiego ludu, do którego wojująca niemczyzna, szczególniej po objęciu władzy przez narodowy „socjalizm" przypuściła generalny atak, prowadzony z zaciekłością, dotychczas nie spotykaną, aby wreszcie nad tym ludem tak niezłomnym i nieustraszonym w tupocie zwycięskich butów wydzwonić „requiescat".

Przewodnikami polskości byli pracownicy zahartowani, mający „mur w kościach", entuzjaści nie uznający kompromisów, ugodowości, kipiący energią, patrzący w przyszłość z nadzieją, chociaż ówczesne życie przynosiło tyle bolesnych doświadczeń, chociaż zmieniało się w pałkę, spadającą na plecy, łamiącą kości. Raz Arka Bożek po iście cudownym ocaleniu z pod noży zbirów, po wyleczeniu z ran powiedział: „pracuję dla polskiego ludu, a w tym nie jestem bohaterem, bo ino spełniam swój obowiązek. Jakbych nie poradził tego, tobych tego nie spełnił. Ale była potrzeba tego, więc robiłem. Byłbych chacharem wobec swego narodu, jakbych inaczej postąpił. A chacharem nie chca być".

Wśród opowiadań twardych, jak głazy, czasem załkała bolesna skarga — „jeżeli czasy się nie zmienią, to krew polska się zatrze i cmentarz zostanie". „Starym nie połamią rąk, ino z młodymi źle. Jak dzieci ratować? Urobią w ochronkach, szkołach na swój sposób". „Staruszkowie nie poradzili mówić po niemiecku, a wnuk już jest innej mowy, już się zaparł ojców".

Najdłużej trwał chłop wrosły w ziemię, czerpiący z niej soki. Synowie opuszczający wieś, a przenoszący się do miasta, wśród obcych wpływów, zatracali poczucie polskości. Kruszyła się w nich odwieczna moc. I ci nieraz mówili:

— Moje ojcowie byli zakrwawieli Polacy (choćby z nich pasy drzyć, toby się nie wyrzekli Polski), bo siedzieli na gospodarstwie. Ja nic nie mam, to mi wszystko wurszt. Ja za chlebem idę.

Z Bytomia miasta, które było wówczas ogniskiem polskich poczynań przez założenie gimnazjum wyruszaliśmy na zwiedzanie tej ziemi. Wstępowaliśmy do wielu miejscowości, do wielu domów, poznawaliśmy lud, można rzec odkrywaliśmy jego wartości, nieznane ogółowi polskiemu. Ten lud oderwany od Ojczyzny przed 700 laty, zapomniany przez wieki, mimo niebezpieczeństwa, mimo obcego naporu wciąż trwał, wkorzeniony w glebę, jak mocny dąb. Lud zahartowany w walkach mówi starą polszczyzną, pełną archaicznych form, pełną klejnotów, które już zaginęły w innych dzielnicach. Jakaż moc w tej duszy, jakaż moc w tej mowie, że nie dała się skruszyć i zniszczyć. Świetny pisarz mówi w książce o Śląsku Opolskim, że ta mowa, to „sędziwy matecznik polszczyzny", rezerwat, w którym do dziś przechowuje się język prastary z epoki chrobrych czasów.

Nieraz przychodziły bolesne myśli, że tak łatwo, tak lekkomyślnie odwróciliśmy się od tej ziemi, aż do głębin polskiej, pozostawiając ją na pastwę gwałtu i wynarodowienia. Krótkowzroczni, małoduszni, zmarnowaliśmy wielką kartę dziejową, przegrywaliśmy najbogatszą dzielnicę, własnymi rękami wydzieraliśmy jedną z najważniejszych przyciesi, wrośniętą pod zrąb Ojczyzny. Śląsk miał być twierdzą, a w ciągu wieków kruszał z powodu naszego zaniedbania. Nie umieliśmy obronić, kiedy gwałt niemiecki rozbierał cegłę po cegle, kiedy wydzierał serce za sercem. Gdyby nie siły niepożyte utajone w ludzie opolskim, zostałyby zgliszcza i cmentarze, treść dla badań naukowych. W ciągu 20 lat waśni, zamachów, Śląsk był ofiarą prześladowań. Wciąż cofaliśmy się. A od roku 1918, kiedyśmy szaleli niepodległością, tam władał terror, którego narzędzie i skutki poznaliśmy dopiero od roku 1939. Gdzie mieszkał działacz, tam padały granaty, ciała wywlekał zbir i żywcem grzebał. Oprawca był prawodawcą, mającym w rękach gwałt, kule i pałkę. Patrzyliśmy obojętnie na dokonywany mord, bośmy nawet papierkiem dyplomatycznym nie chcieli zasłonić piersi polskich przed ciosami, groźbą, śmiałym wystąpieniem nie umieliśmy wytrącić morderczego narzędzia. Wtedy, gdy Niemcy gotowali się do zadania ostatecznego, śmiertelnego uderzenia Polsce, okłamywaliśmy się paktami przyjaźni i wspólnej pracy na polu kulturalnym. Nie słyszeliśmy wołania wymierających i mordowanych.

Przecinamy równinę. Czasem wystrzeli komin, czasem zwalisko kopalni przytłoczy pejzaż i zamiga nad nią koło wyciągowe. Po błękicie snują się kłęby dymu. Ściga nas łoskot pracy. Zdążamy w okolice rolnicze, które lud nazywa „bożymi stronami".

Widzieliśmy człowieka depczącego po dziedzińcach obok codziennych spraw, kroczącego za pługiem, w mozole dnia powszedniego zdobywającego skiby chleba. Człowiek krzątający się po polu, idący za pługiem, to ten sam chłop co pod Krakowem, czy pod Warszawą. Jego zabiegi w trosce o chleb są wszędzie jednakie, jak wszędzie nad Polską jest jednaki błękit nieba. Uparta, zaciekła walka trwająca od wieków, toczy się o tego człowieka, spełniającego jakąś

rolę dziejową w swej powszedniej pracy, w rzucie siejby, w znaku, czynionym ręką; toczy się walka o jego duszę, o skiby, które on orze w pracowitym spokoju wszystkich pór roku, jak to czynił jego ojciec, dziad i pradziad.

Mijamy kapliczki, krzyże. Usiłowaliśmy odczytać napisy, pozdrawiające przechodnia i proszące o westchnienie za duszę „fondatora". Z trudem nam się udawało. Czyjaś ręka zasmarowała, zdrapała lub ściosała napisy, mówiące, że ten krzyż, tę figurę, tę kapliczkę fundował dziedzic tej ziemi, w tym a w tym roku, że po polsku modlił się o ulżenie w męczarniach, o szczęście wiekuiste dla siebie. Dużo, dużo minęliśmy takich krzyżów z zasmarowanymi polskimi modlitwami; kiedy wieść rozeszła się o jakimś ocalałym zabytku, zaraz po paru dniach nieznane ręce zdrapały te napisy, pazurami, dłutem, siekierą lub błotem czy smołą zamazały, aby wszelki znak unicestwić.

I były już wówczas połacie, gdzie zabrakło mowy polskiej w ustach żyjących, tam już tylko kości w mogiłach wołały, tam zatajone w kościołach, kaplicach tablice mówiły o polskich przodkach. Gdzie zdarto tablice, tam ziemia krzyczała. Gdzie zagłuszyli mowę ziemi, tam podziemia, tam podwaliny zabytków, tam osady sprzed tysięcy lat niezatartymi świadectwami, odkrywanymi przy każdym dotknięciu pługa udowadniały, że ten kraj od wieków był i dzisiaj jest polski, chociaż przykryty obcym sztandarem, zadeptany obcym butem.

Czasem idzie miedzą dziewczyna i śpiewa nuty śląskie, tak dawne, tak piękne, jak piękna jest jej mowa. Gdzieś na krokwi nowo wybudowanego domu sterczy wiecha powiewająca barwnymi wstążkami i sztandar hitlerowski, a więc odwieczny znak słowiańskiego cieśli i znak dzisiejszych dni.

Opodal ze wsi kroczy chłop za pługiem, ale nie dociera do końca, skręca i omija ugorny kawał zagonu.

— Panie Boże dopomóż — wołamy.

— Daj Panie Boże — orzący podniósł głowę ku nam i odkrzyknął, jakby się uśmiechnął świętym wezwaniem, że go ktoś pozdrowił polskim słowem i odetchnął jego radością.

— Dlaczegóż do końca nie orzecie? Czyż nie szkoda marnować ziemi?

— Czasem trzeba tak zostawić — spojrzał nieufnie ku obcym.

Zrozumiałem. Tak. To tutaj święte miejsce.

— Pługiem można poranić — mówię.

— Tak, tak — zająknął się. — Dość za życia się namęczyli, jeszcze po śmierci trapić.

Dużo takich miejsc po polach, zagajach, lasach. Tu spoczywają kości padłych w obronie swego narodowego życia. Te miejsca omija pług.

Leżą tam, gdzie padli. Nie wolno ich tknąć, ani przenieść na cmentarz. Setki grobów rozrzuconych po polach, lasach, łąkach są słupami granicznymi, wbijanymi przez wielką miłość, bohaterstwo i poświęcenie tych, którzy przez 700 lat nie znali Polski, a w potrzebie oddali za nią życie. Tutaj spoczywają synowie tej ziemi padli w powstaniach, lub później pokrajani bagnetami, strzaskani kolbami. Po śmierci są bez imienia, bo za życia zapisywali najpiękniejsze karty chwałą czynów. W wieczór listopadowy, lub w rocznicę święta narodowego wybłyskują świeczki, gdzieś na skraju lasu czy zagonu, gdzieś nad brzegiem rzeki,

gdzieś pod kopą wykwita wieniec owinięty amarantową wstęgą. Deszcze spłukują czerwień, jakby serdeczną krew, strugami łez.

Żyjący w ten sposób czczą pamięć bohaterów i przypominają braciom młodym, że walka trwająca od wieków wciąż z jednaką zaciętością toczy się o dziedzica tej ziemi, który wczoraj hojnie rzucał krew w umiłowaną glebę, a dzisiaj sieje zboże.

II.

Kiedy się jest w Opolu, trudno nie wstąpić do dawnego kościoła Franciszkańskiego, zmienionego w zbór ewangelicki. Tutaj mieszczą się nagrobki Piastów. W opuszczeniu, w zapomnieniu, odrzucone w zapajęczony kąt, bez światła, poza ołtarz, służą za podstawę pod wazoniki, rupiecie, graty. Grobowiec książąt Bolków Opolskich. Wstrząsem całej istoty, ciosem serca można wypowiedzieć myśli i uczucia cisnące się na widok postaci wykutych w kamieniu, z których jedna dzierży wyciągnięty miecz, a druga spoczywa dłonią zamarłą na rękojeści. Czas poszczerbił korony, zbroje rycerskie, tarcze z orłami śląskimi. Czas i ludzie zdruzgotali wyobrażenie lwów, na których książęce stopy się opierały. Nakaz mieczy wyciągniętych i zaciskanych w garści ma swoją wymowę, choćby po śmierci, choćby w trumnie, gdy wokoło mieszkańcy tej ziemi niszczeni i tępieni. Lud opolski wyjął z rąk książęcych symbol tych mieczy i uczynił orężem w walce z wrogiem.

Stąd wypadłem do wsi, aby złożyć pokłon najczcigodniejszemu kapłanowi ks. Koziołkowi, który cały był rozpłomieniony ewangelią i Polską, który przez całe życie narażony na prześladowania, udręki, katusze, niemal pod kulami, pod pałkami, nauczał, walczył, zagrzewał, nakazywał, aby religii uczyć w macierzystym języku, wołał, aby choć w kościele, gdy zakazują gdzie indziej, podrzucać pod serce żar polskiego słowa.

Kościół był ostatnim przytułkiem mowy polskiej na Śląsku. W kościele dziecko miało ostatnią ostoję. — Tak było dawniej... A później? Już nie ma ostatniego przytułku.

O tym kapłanie mówili wszyscy, że gdyby go ukrzyżowali, to nie ustąpi, ale z krzyża będzie wołał do dostojników kościoła — zaparliście się Chrystusa — w imię Chrystusa oszukujecie lud i zabieracie mu mowę i duszę polską. I za to zniemczeli parafianie wytrzaskują mu okna, ścigają go kamieniami.

Gdzieś stanął na drodze kościółek drewniany, otoczony potężnymi drzewami. Ściany sczerniałe ze starości, zrąb, stromo spadający dach, podcienia, wieża ozdobiona koronkami z gontów, całość w najdrobniejszych szczegółach przypomina kościółki spod Krakowa, czy Podhala. Nic dziwnego, boć może ten sam cieśla je budował, siekierą wyciosał wedle pradawnych wzorów kształt tych zabytków.

Zbaczamy na cmentarz, który częstokroć więcej mówi o tej ziemi, niż żyjący ludzie. Na nagrobkach polskie nazwiska, pisane obcymi literami, prośby o polski pacierz. Poza grobami, na boku, widać kawał ziemi, otoczony czterema słupami złączonymi łańcuchem. W środku rzucona płyta bez żadnych ozdób, z prostym, a tak wymownym napisem:

„Tu spoczywają nieznani. Dali życie za swój Śląsk."

Po opuszczeniu cmentarza wchodzimy do wnętrza kościółka. Gdziekolwiek wzrok spoczywa, wszędzie widać dowody i ślady, że budował polski cieśla, zdobił polski snycerz. I na powale i na ścianach i na ołtarzach. Pod obrazami Męki Pańskiej napisy polskie. Spośród fałd chorągwi wybłyskują prośby: „Módl się za nami, Patronko rolników".

Przed bocznym ołtarzem widzimy klęczącą babuleńkę. Szept polski unosi się ku znanemu w całej Polsce obrazowi. W blasku świecy, zapalonej rękami staruszki, widać czarną twarz, przekreśloną dwoma cięciami.

„Częstochowska" otoczona jest szczególniejszą czcią. Są wsie zupełnie wynarodowione, gdzie niejednokrotnie zapomniano modlitwy polskiej, ale w ołtarzu został obraz przyniesiony z Częstochowy przed wielu laty na wieczną pamiątkę i zaświadczenie, że tutaj mieszkał polski lud.

W ławkach głównej nawy siedziało kilkadziesiąt dzieci, zebranych z całej wsi nawskróś polskiej. Po jednej stronie chłopcy, po drugiej dziewczęta. Szeregi płowych głów jakby pokosy pszenicy. Młody ksiądz uczył katechizmu po niemiecku. Wykładał świetnie, tak obrazowo, jakby każde słowo rzeźbił przed oczami słuchających.

Dzieci w lot pojmowały i usiłowały odpowiadać po niemiecku na zadawane pytania. Niektóre czyniły to bez trudności, płynnie. Wskazana dziewczynka wymówiła kilka zdań i urwała w połowie. Namyślała się, urabiała w sobie potrzebną odpowiedź, wreszcie nabrała tchu i bezwiednie kończyła starą polszczyzną, zachowaną jako najszacowniejszy zabytek w pamięci ludu.

Ksiądz, wytrawny pedagog, nie przerywał, słuchał spokojnie, nie groził, nie używał gwałtu. Po skończeniu odpowiedzi poprawiał po niemiecku i łagodnie nakazywał kilkakrotnie powtórzyć i niejako wkliniał wyrazy niemieckie w duszę. Dziecko, patrząc w Chrystusa zbolałego, skrwawionego, uczącego miłości i prawdy z krzyża, wymawiało powoli, z mozołem, obce słowa, które miały się stać treścią jego życia. Mieliśmy poglądową lekcję, jak się przekształca, urabia polskie dusze na sposób niemiecki.

Za nami wyszła owa staruszka modląca się przed Matką Boską Częstochowską.

— Skądżeście są? Z Polski może?

— Z Krakowa.

— Jezusie! — ogarnęła rękami powietrze, jakby chciała do piersi przytulić to słowo — z Krakowa! z Krakowa! — powtarzała po kilkakroć. — Znam, znam każdy kamyczek. Szczęśliwe ludzie, co tam mogą mieszkać. Jezusie! Piechotą chodziłam przez granice, żeby choć popatrzeć, posilić serce, tchu innego nabrać.

W czasie takich spotkań, w czasie zwierzeń serdecznych, szczerych, jakże wiele wzruszeń przeżywa przybysz z Krakowa, tego miasta, które jest tak drogie dla każdego Ślązaka, tak umiłowane, tak bliskie a tak dalekie, bo tylko w snach i w cudownej legendzie widziane.

— Czy tylko po niemiecku uczą katechizmu? — przerywam wyznanie staruszki.

— W szkole tak kazują. Trafi się dziecko twardych ojców, co chce się uczyć

po naszemu, to go wyśmieją, wydrwią, nauczyciel każe siedzieć w oślej ławce. Przed światową wojną w naszej parafii ze sto dzieci uczyło się po polsku, teraz jedno albo dwoje. Ojcowie boją się posyłać na polską naukę, bo to rozmaicie bywa. Tamci księżoski pałkami nie biją, ale mają rozmaite sposoby, żeby „opornego" przygiąć i przyłamać. Nauczyciele gonią na „szulmesy", to dziecko już nie umie śpiewać naszych pieśni. Są i takie, jak matka nie uważa, co zapominają pacierza i modlą się z obcej książeczki. Teraz bywa tak — kończyła babina — dziecko grzyszy po polsku, a spowiada się po niemiecku. Często w czasie procesji nasz ksiądz zaczyna śpiewać po niemiecku. Starsi nie umieją i nie śpiewają, to na nich krzyczy i wygraża pięściami: singen! singen... Ciężko, o ciężko żyć...

W powrotnej drodze spotykamy przydrożną kapliczkę, może jedyną na ziemiach polskich, która do przechodniów przemówiła wyrytym polskim napisem, radosnym okrzykiem rzuconym w przestwór niebios z tej ziemi, z wszystkich zagonów i domów: „Na znak wdzięczności Panu Bogu za uwolnienie od pańszczyzny w R. P. 1814".

Już tylko na starej kapliczce, zbudowanej przez radujące się ręce chłopów pańszczyźnianych, tak bezlitośnie wyzyskiwanych przez panów niemieckich, ginących pod batem ekonomskim na łanie, który zawsze był polskim, widnieje ten napis, jakby to krople potu i łzy wdzięczności wyciśnięte z cegieł zmieniły się w litery na wieczną rzeczy pamiątkę.

Tak było jeszcze w 1933 roku. W czasie późniejszych wędrówek już nie znalazłem tego napisu, ani też na cmentarzach polskich nazwisk, polskich modlitw i próśb, wykutych w kamieniu. Ręce niemieckie zrąbały je, aby nie świadczyły o prawdzie historycznej, nie świadczyły o polskości tych ziem.

Niemcy ogłosili, że na Śląsku nie istnieje zagadnienie polskie, że stare pokolenie wymiera, a najmłodsze już jest zniemczone. Mimo tych zapewnień toczyła się zażarta walka w domu, w polu, na miedzach, w kościele. Niemal każdy z działaczy, budzicieli, nosi blizny, szramy, znaki, niemal każdy ma strzaskane kości, szczęki, żebra, a przecież ani kamienie, ani pałki, ani noże, często braterskie na rozkaz wroga, nie złamały dusz. Zahartowane charaktery nie zwątpiły, nie cofnęły się, nie upadły, ale dalej prowadziły walkę o polskość. To typy godne, aby ich żywoty pomieścić w wypisach, jako wzory bohaterstwa, uporu, pracy, wypełnienia obowiązków, niezłomności w ukochaniu idei. Lud ten zdobywał się na największe ofiary w czasie powstań i wciąż, w codziennym życiu dawał nieustannie dowody najpiękniejszego przywiązania do dalekiej i nieznanej Ojczyzny.

Tutaj ciśnie się opis zdarzenia, jakie rozegrało się w jednej z miejscowości Śląska Opolskiego. Syn, żołnierz, w czasie powstania odznaczony za waleczność, musiał opuścić rodzinną wieś, wstąpił do Seminarium i został księdzem na Górnym Śląsku. Rodzice, siostry, bracia zostali po tamtej stronie granicy. Stamtąd po r. 1933 dochodziły wieści, raniące synowskie serce, że rodzice zaparli się Polski. Nie mógł tego ścierpieć. Wstyd i ból go palił. Wybrał się ukradkiem w odwiedziny.

— Jużech nie miał do was przyjechać, ale musiałech, żeby wam wszystko wypalić — wyznał zaraz po przekroczeniu progu.

— Ładnie nas starzyków witasz. Czego ty, drogie dziecko, nie chciałeś przyjechać do ojca?

— Boście przystali do Hitlera.

— Tegoś się ojca chciał zaprzeć — synu mój?

— Tego.

Zadumał się stary nad synowskimi słowami, jakby umiłowane ręce przykładały siekierę do jego piersi. Milczał, a dopiero po chwili, powoli zaczął urabiać wyrazy.

— Żeby cię synu kochany trzy razy palili, żebyś ino w koszuli został, żebyś nagie i głodne dzieci na zgorzeli widział, tobyś inaczej mówił. Widzisz, ja tak, trzy razy mnie palili za to, żem Polak, trzy razy się odbudowałem, dzieci zaznały tyle głodu, tyle się napłakały, że ich łzy mnie przełamały. Teraz mi znów grozili. Już nie mam sił. Jo tu — jo tu w sercu Polak, a tu — wskazał na wargi — tom przystał do Hitlera, bom musiał. I twój brat i sąsiedzi. My wszyscy w sobie mamy Polskę, ale co z dziećmi? One są innego ducha. Polskę nam wydzierają na każdym kroku, od maleńkości w ochronce, w szkole, a najbardziej w kościele... Nawet Pan Bóg nie jest naszą ucieczką i obroną.

Podobne zdarzenia trzeba mieć na uwadze, kiedy nawet dzisiaj patrzy się na Śląsk Opolski.

III.

Kiedy oburzałem się na germanizację Śląska przez kościół, jeden z najświatlejszych kanoników, najbardziej tolerancyjny dla niemieckich katolików, proboszcz katowicki, który zresztą zginął zamęczony w obozie — wypowiedział pamiętne słowa:

— Właściwie w zasadzie wszystko jedno dla kościoła katolickiego, czy jego wyznawcy mówią „Ojcze nasz" — czy „Vater unser".

— Czy duchowni niemieccy z kard. Bertramem głoszą taką samą zasadę? — zapytałem. Jednakże nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Nieraz ta rozmowa stawała mi w pamięci, gdym wędrował po Śląsku Opolskim, gdzie w każdym kościele, w czasie kazań, nauk, przekonywałem się, że dla niemieckiego kleru nie jest wszystko jedno, czy wyznawca, uczęszczający do kościoła mówi „Vater unser" czy „Ojcze nasz". Duchowieństwo z zaciekłością dążyło, aby polskie, od wieków nauczone „Ojcze nasz" wydrzeć z serca dziecka i podeptać. Kler głosił imieniem ks. Ulitzki, stojącego na czele wojującej niemczyzny, na zjeździe katolików w Gliwicach, że dalsza germanizacja leży w planach Opatrzności Boskiej, gdyż lud na Śląsku nie jest „narodowo obudzony".

Działacze centrowi w imię tych haseł dążyli wszelkimi siłami do wynarodowienia ludu polskiego, zapominali o nakazach Chrystusowych, nadużywali ambon, nie byli przewodnikami bożymi, ale grabieżcami dusz, nie wszczepiali zasad religijnych, ale czynili wszystko, aby wyrugować nabożeństwa, kazania polskie z kościoła — mówił stary działacz, głęboko religijny. Kazują podpisywać, że parafie chcą mieć niemieckie nabożeństwa. Nikt nie chce podpisywać i hitlerowcy, choć to dezerterzy od naszej mowy, ale w kościele mają ducha polskiego, też

nie podpisali, a mimo to — wbrew woli wszystkich — zaprowadzili nabożeństwa niemieckie w imię wszechwładnie rozbrzmiewającego nakazu: „Siegreich wollen wir Polen schlagen".

Mało kto w Polsce zdawał sobie sprawę, że na Śląsku Opolskim trwała walka bodaj najzaciętsza o polski pacierz, polską litanię, polską spowiedź, polski śpiew i nabożeństwo. Przez długie lata kościół był najwierniejszym przytułkiem mowy polskiej. Wśród duchowieństwa bardzo wielu było działaczy, pisarzy, pracowników niezmordowanych, którzy słowem i piórem, modlitewnikiem, kazaniem, wierszem religijnym, budzili uświadomienie, szerzyli miłość do mowy, ojców i do obyczajów. Ich szlachetne wysiłki stapiały serca ludu śląskiego z polskim narodem. Tych księży, tych budzicieli lud wspomina z największą czcią. Ich duchem lud opuszczony jeszcze do dzisiaj żyje. Jeszcze przed wojną światową, w olbrzymiej większości parafii byli proboszczami i wikarymi księża polscy, a nawet centrowcy niemieccy dbali o to, aby dziecko rodziców polskich modliło się po polsku. Po niewielu latach, za jednym nakazem, zmieniły się stosunki. Obecnie, a było to w roku 1933, na olbrzymią ilość księży pracujących w parafiach czysto polskich, zaledwie pięciu przyznawało się otwarcie do polskości. Ale tych przerzuciła władza kościelna na jałowe piaski brandenburskie na zatratę. Zapanował germanizator lub renegaci o polskich nazwiskach, używający słuchalnicy i kazalnicy do walki z polską mową, z polską modlitwą i pieśnią religijną — na rozkaz arcybiskupa wrocławskiego. To też na skargi wnoszone do władz nikt nie odpowiada polskiemu chłopu. Kościół był ostatnim bastionem mowy polskiej, gdzie znaleźli przytułek przerażeni, kaleczeni, rujnowani, aby u stóp Boga szukać pomocy, ratunku. Obecnie został zdobyty ostatni bastion i stąd idzie najgroźniejszy szturm na polskie wsie. Polski chłop budował kościół, wznosił go w mozole na chwałę bożą, składał ciężko zapracowane fenigi, po to, aby go dzisiaj stąd wyrzucano, aby każdy ślad polskości niszczono i plugawiono. Tak spod krzyża rozbrzmiewało coraz bezwzględniej: ausrotten. Krzyżem karczowali dusze polskie w imię Chrystusa. I nie było mocy, któraby rozluźniła pętlę duszącą — w imię ewangelii — polskość rękami kleru niemieckiego. Nie było mocy, aby wyrwać ten krzyż z rąk zaślepionych w kościele, w którym winna panować prawda, miłość i sprawiedliwość.

Nasi sąsiedzi w swym morderczym pochodzie „Drang nach Osten" nie ustawali. Dawniej czynili to krwią i ogniem, dzisiaj czynią katechizmem i elementarzem. A ta broń okazała się skuteczniejsza, bardziej zagładę niosąca, niż ogień i żelazo. Wieś za wsią, próg za progiem, miedza za miedzą szedł pochód germanizatorski, aby dotrzeć do granic, skruszyć je i wytępić tych, którzy wciąż wkorzenieni głęboko trwali i świadczyli, że są na polskiej ziemi, że o polską duszę wojują. Lud śląski w kościele nie znajdował obrony. Na śmierć skazany był lud w kościele. A żołnierzy do tej szturmówki wyrabiano pod komendą kardynała Bertrama w seminarium duchownym we Wrocławiu, a nawet w seminarium śląskim w Krakowie... „Zdawało się — mówił ksiądz polski — że czynniki duchowne skłonią się do zajęcia się tym zagadnieniem, ważnym nie tylko ze względów narodowych, ale przede wszystkim ze stanowiska wiary katolickiej, która stała się narzędziem nie walki o dusze chrześcijańskie, ale o duszę polską

ludu śląskiego". Lud słał prośby, błagał o ratunek, żalił się, że w kościele najbardziej go krzywdzą. Zdawało się, że krzyk wynarodawianych, mordowanych, wstrząśnie murem Watykanu, że Watykan weźmie w obronę uciśnionych, że ewangelią zasłoni prześladowanych. Kamienie Watykanu były głuche na wołania polskie i milczały. I nadal najsroższe ciosy padały z kościoła, największe spustoszenia czynił tu kler, a kuźnią tych działań był episkopat wrocławski, a kardynał Bertram nadal był niemieckim młotem zmienionym w krzyż, walącym w pierś wierzącego ludu, chcącym zdruzgotać serca polskie. Hitleryzm i kler w jednym szeregu szturmówki zjednoczone wspólną wolą, wspólnym celem: zniweczenia polskiego żywiołu.

Tu godzi się wspomnieć o jednym kapłanie, którego nazwisko należy postawić w szeregu nazwisk najbardziej zasłużonych dla Polaków w Niemczech. Mówię o księdzu dr Domańskim, proboszczu parafii, leżącej daleko na północ. Zakrzewo, wzorowa wieś, było drugim Liskowem, twierdzą polskości i kultury. Kierownik i budowniczy tej wsi ks. Domański, to postać niezwykła, to najpromienniejsze nazwisko wśród ludu walczącego o słowo polskie, najszlachetniejszy człowiek, najofiarniejszy i bohaterski, idący w pierwszym szeregu, najwierniejszy sługa swego ludu stojący na czele Polaków w Niemczech. Zawsze cechowała go odwaga, nieustraszoność. Nie zważał na groźby, kule, ale niezmordowanie wypełniał obowiązki jako kapłan i jako Polak. W czasie najsroższych gwałtów i terroru należał do tych tak nielicznych, którzy bronili krzyżem i ewangelią wstępu przemocy do świątyń. W jego przekonaniu Kościół był ostoją polskości, prawdy i sprawiedliwości.

Był ks. Domański jak złom stali wewnątrz płomieniejący Polską. Twardy dla siebie w wypełnianiu obowiązków, twardy dla drugich, a przecież tak umiłowany przez wszystkich, tak czczony jako budziciel, obrońca, nauczyciel i szlachetny człowiek. Nie doczekał żniwa plonów swej orki i siewu. Umarł w kwietniu 1939 roku, zadręczony przez swojego wikarego ks. Mehrstmana, młodzieńca 29-letniego, gestapowca.

W listopadzie 1933, pod przewodnictwem ks. Domańskiego, wyjechała pielgrzymka Polaków, mieszkających w Niemczech, do Rzymu. Większość uczestników stanowiło opolskie. Ambasada niemiecka, mająca olbrzymie wpływy w Watykanie, sprzeciwiła się najbardziej stanowczo, aby papież przyjmował obywateli Rzeszy jako Polaków. Równocześnie zażądała przez usta gestapowca von Klebińskiego, aby Ojciec święty przemówił do pielgrzymki po niemiecku. Dla polskich rzesz, widzących w papiestwie jedyną ostoję, szukających tutaj pociechy, pokrzepienia, otuchy, takie powitanie byłoby najboleśniejszym ciosem. Na wiadomość o tym ks. Domański postanowił wybłagać zmianę tego. Wówczas odbyła się pamiętna rozmowa prezesa Związku Polaków w Niemczech z ówczesnym sekretarzem Stanu, dawniejszym nuncjuszem papieskim w Berlinie, serdecznym przyjacielem arcybiskupa wrocławskiego ks. Bertrama.

Sekretarz Stanu oznajmił, że pielgrzymka katolików z Niemiec dostąpi łaski wstąpienia przed oblicze zastępcy Chrystusa, ale pod warunkiem, że ten powita ją po niemiecku. Wtedy rozegrała się wstrząsająca, pełna dramatycznego napięcia scena, tak bardzo przypominająca odwiedziny Mickiewicza u papieża. Wtedy

naprzeciw mocarza Kościoła stał Mickiewicz — bunt w imię człowieka. Tutaj stał polski kapłan, proboszcz zapomnianego zakątka, najwierniejszy syn Kościoła, pył, proch wychowany w bezwzględnym posłuszeństwie dla władzy, równocześnie jednak pełen odpowiedzialności wobec ludu powierzonego jego pieczy. I świadomość tego wyłamała kraty dyscypliny, napełniła mową, mającą w sobie płomienie.

— Przychodzimy skołatani, udręczeni, prześladowani po słowo boże, po pociechę, po promień na długą wędrówkę po mrokach, po moc w walce. Kościół jest ostatnim naszym ratunkiem i przystanią.

Miał prośbę, zaklęcie, a te nigdy nie przekonują. A tutaj choćby piorun padł, toby nie skruszył woli najwyższej, ogłoszonej w imię posłuszeństwa. Więc sekretarz Stanu Pacelli nie ustąpił, a tylko po raz drugi powtórzył głosem łagodnym, uświęconym, ale nie znoszącym sprzeciwu, ale rzucającym na kolana, że papież z wyższych względów przemówi po niemiecku.

— Ale nie ze względów bożych, nie w imię sprawiedliwości — wybuchnął ks. Domański. — Bo gdyby Chrystus...

— Chrystus?... — spojrzenie zimne, druzgocące, przytłoczyło wiejskiego proboszcza.

— Błagam w imieniu Chrystusa Ukrzyżowanego, na jego męki... Łaski... — Ks. Domański zawsze twardy, nie zginający karku przed nikim krom Chrystusa, teraz pod brzemieniem odpowiedzialności wobec swego ludu ugiął się, padł na kolana przed wysokim dostojnikiem kościoła i zwilżając łzami zimne, marmurowe posadzki, błagał o litość, u najmiłosierniejszych stóp kładł lud skrzywdzony, skazywany na wytępienie i ostatnim głosem, drgającym bólem i rozpaczą, wołał:

— Wynaradawiają, spod krzyża rozbrzmiewa „ausrotten" i „Siegreich wollen wir Polen schlagen".

— Musisz w pokorze wysłuchać i spełnić powinność swoją jako kapłan, jako sługa kościoła.

— Nie wolno mi zapominać, że jestem sługą ludu polskiego, kapłanem polskim, jego obrońcą. We mnie żyją, w każdym czynie przypominają moją powinność, nakazy wypowiedziane przez św. Pawła do Koryntian: „Czyż podobna, aby kto z was cierpiał, a ja nie miałbym tego odczuć?" Przemówienie po niemiecku będzie nigdy niezagojoną, śmiertelną raną milionowej rzeszy Polaków tak oddanych, tak służących Stolicy apostolskiej, będzie ogłoszeniem zwycięstwa władzy hitlerowskiej nad ludem, tak wierzącym w prawdę i sprawiedliwość, tak walczącym o pacierz, o pieśń, o słowo miłość, Bóg, ewangelia wymawiane po polsku. I one zostaną zdeptane. Ręka papieża, w której wyznawcy widzą rękę Boga, przekreśli lud polski.

— Postanowione jest...

— Nie wolno tego czynić — ks. Domański cierpiał cierpieniem Polaków, umęczonych krzywdą i teraz razem z ludem Śląska, Warmii, Westfalii czołgał się w prochu i głosem miliona wołał po wiele razy: Litości! Litości! — Zaklinał wyrazami, któreby mogły poruszyć skałę, podpalić kamienie.

Człowiek pozostał głuchy, jeno krzyż na piersiach rozbłyskiwał złotem.

— Ojciec święty uświęci gwałt i z najwyższego tronu ubłogosławi słowa niosące śmierć: „ausrotten"! Wymaże imię Polaka-katolika, potępi męczeństwo. Tysiące wiernych synów, przywiezionych do stolicy apostolskiej, niszczonych do ostatniego drgnienia polskiego, woła o łaskę.

Ks. Domański, przywykły do posłuszeństwa, wychowany w dyscyplinie, nie mógł zerwać się, stanąć z pięściami zaciskającymi krzyż, jako oskarżyciel imieniem miliona żądań praw i sprawiedliwości. Nie mógł zawołać słowami Mickiewicza: bądź obrońcą uciśnionych, wypełń nakaz wojującego Chrystusa. Z trudem powstał, niejako wyszarpał z marmurów swoje ciało, wydźwignął je jak bryłę skały, kryjącą płacz i boleść, zgarbiony wyszedł, dźwigając krzywdę swego ludu.

Polacy w trwodze i w nadziei czekali na przybycie ks. Domańskiego. Kiedy się zjawił, rozgorączkowane spojrzenia wszystkich zebranych spoczęły na jego wargach. Uniósł głowę. Rozchylił ramiona. Jakieś słowo rodziło się zatłuczone spadającymi łzami. Nie wyrzekł go. Załkał.

Papież Pius XI przemówił do polskiej pielgrzymki po niemiecku. Racja stanu okazała się mocniejsza niż Chrystus, niż Golgota, niż cierpienie za ukrzywdzonego człowieka, więc zwyciężyła.

Działo się to w listopadzie 1933 roku, w pół roku po rewolucji hitlerowskiej, zagrażającej zniszczeniem świata, burzeniem ewangelii, rzucającej pożar pod krzyż.

IV.

Od strony Śląska Opolskiego poszła ofenzywa niemiecka na Polskę. Klin wbijany od wieków teraz miał ugodzić w serce Słowiańszczyzny. Na wschód pomaszerowała milionowa armia, potoczyły się góry żelaza, mające zniszczyć wszelkie życie, aby na pustyni wśród cmentarzy budować wielkie Niemcy, narody podbite zmieniać w najmitów i niewolników, służących „Herrenvolkowi".

Wrzesień 1939 był najtragiczniejszy dla Śląska Opolskiego. Każda godzina tego straszliwego miesiąca zatłuczona kolbami, skąpana była we łzach i we krwi wybroczonej z tysiąca ran, każda godzina w skowycie i chustach żałobnych. Tego zamordowali, tamtego zamęczyli. Wszystkich działaczy polskich, budzicieli, żołnierzy sprawy narodowej, ludzi otoczonych szacunkiem, cieszących się zaufaniem wśród ziomków, Gestapo uprzątnęło, wywiozło za druty kolczaste na zatratę, w tym przekonaniu, że polskość tej ziemi nie zasilana ożywczą krwią, musi zmarnieć... Popędzili tysiące. Ci najszlachetniejsi, najofiarniejsi przewodnicy, nauczyciele, wychowawcy, podpalacze polskości poszli do obozów, szepcąc polski pacierz w głuchą noc, zda się wtedy beznadziejną, zadeptaną milionem butów, zmiażdżoną czołgami przetaczającymi się w zwycięskim pochodzie. A w trzasku granatów, w wybuchach bomb niszczących mienie kulturalne, i w łoskocie motorów rozbrzmiewały słowa Hitlera, wypowiedziane do całego narodu niemieckiego, a uwiecznione w pismach w dniu 18. X. 1930: „potrzebujemy milion kilometrów kwadratowych, które znajdziemy tylko na wschodzie. Będę bezlitosny dla Polaków, których przepędzę. Mogą oni, jeśli zechcą, osiedlić się na Syberii". Starych działaczy uwięzili, młodych wcielono do wojska i popędzono

pod kule w pierwsze, najniebezpieczniejsze szeregi. I właśnie pierwsi wychowankowie gimnazjum bytomskiego ginęli w obcej armii, a nawet pod murami Warszawy, i tutaj bili w to miasto, jak syn w serce matki, którą po raz pierwszy ujrzeli. Ich ojcowie umierali w obozach, a szczególniej w Buchenwaldzie, urządzonym w pierwszych początkach dla Polaków w Niemczech. Tu była mordownia. Tysiące padały pod knutem, pod obcasami, pod kułakami i kulami, tysiące konały z głodu i wyczerpania, tysiące konały strącone w przepaść z urwiska. W bryły skalne weszła krew i jęk polskich męczenników. Kamienie stąd wyłamane żyją niezłomną wiarą i cierpieniem, kamieniołomy w Buchenwaldzie to nie martwe cmentarzysko, to panteon narodowy, to świątynia i relikwiarz, gdzie każda bryła jest pomnikiem żyjącym, który poprzez oddale woła do nas głosem zamordowanych:

— Cierpieliśmy, ginęliśmy za Polskę, bośmy dla niej ofiarnie pracowali, bośmy jej wiernie służyli, nie czekając zapłaty i nagrody.

Tu godzi się uczcić pamięć jednego z najszlachetniejszych i najodważniejszych, Franciszka Myśliwca, ze wsi Sprzęcice, siedemdziesięcioletniego starca, w ostatnich latach piastującego godność prezesa Polaków Opolszczyzny. Za wzorowe gospodarowanie otrzymał nagrodę, to też wszyscy nazywali go pierwszym gospodarzem w Niemczech, a to miano brzmiało dla Polaków jak wódz, hetman, prezydent. Najczystsza religijność, poczęta z ducha ewangelii, zmieszana z najofiarniejszą miłością Ojczyzny zamieszkała w tym chłopie, związanym mozołem z ziemią. Dla niego Kraków był świętością, był symbolem Polski. Franciszek Myśliwiec szedł zawsze w pierwszych szeregach w walce o polskość, zawsze niezłomny, zawsze nieustraszony w pracy, nigdy nie lękający się kamieni, pałek ani kul. Miał w sobie wiele z proroka biblijnego i mężnego bojownika, prowadzącego uciemiężony lud przez mroki ku świtowi. Nie doczekał się upragnionego, długo oczekiwanego świtu.

Wieści o nim przedzierały się przez druty kolczaste i dochodziły do Warszawy i tutaj w dniu 26 listopada 1941 roku znajduję wzmiankę. „...Tam, gdzie przebywa Myśliwiec, panuje nadzwyczjny duch, moc, nieugiętość i niezachwiana wiara — będzie Polska. Chcieli go zwolnić z powodu sędziwego wieku. Odpowiedział spokojnie, z mocą — naród powierzył mi opiekę, póki jeden Polak tutaj przebywa, to mnie nie wolno opuścić obozu. Wyjdę z ostatnim, może zasłabnie, więc muszę go podeprzeć. Jestem potrzebny. Został i cieszył się ogromną czcią u wszystkich".

Kiedy pisałem te słowa, Myśliwiec już nie żył. Nie wyprowadził braci z niewoli do obiecanej ziemi, gdzie jawiły się zarysy Wawelu. Zginął jakby w świątłości, wciąż modląc się wyrazami Ojczyzna, Bóg, Kraków, wytrwajcie. Powtarzał je coraz cichszym głosem, a potem szeptem jednako mocnym, aż wreszcie wargi zajaśniały uśmiechem uszczęśliwienia, w którym swemu Bogu powierzał tajemnicę a żyjącym najświętsze hasło.

— Polska...

Pochylili się nad nim więźniowie, bracia i obcy i bezwiednie powtórzyli echo pieśni ludu opolskiego.

— I wytrwamy i wygramy!

W ciągu straszliwych pięciu lat wojny, ani jedno słowo polskie nie padło w kościołach. Zdawało się, że na zawsze ogłuchły ambony, że oniemiały słuchalnice. Ambony i ołtarze nie nauczały słowami Chrystusa — miłujmy się, nie głosiły: czyńmy sprawiedliwość i dobro, które są radością bożą, ale nadal z zaciekłością krzyczały germańskimi pięściami:

— Ausrotten!

Dzisiaj jesteśmy świadkami odrodzenia, dokonywującego się z żywiołową siłą. Niewiele dni minęło od odejścia Niemców, a ta ziemia zmienia swe oblicze. Wiatr idący od strony Ojczyzny stargał i precz odrzucił sztandary hitlerowskie, zmiótł nasypy piasku, jakie przemoc naznosiła w ciągu wieków, i okazał skalną opokę polskości, na której polski wysiłek, polski zapał będzie budował nowe życie dla dobra wszystkich. Pierwsze przejawy tego mamy z miejscowości Mikulczyce, którą Niemcy uważali za swoją dziedzinę. Tutaj 96% mieszkańców wyznało, że są Polakami. To samo usłyszymy wszędzie. Polska wychodzi z podziemi i wraca do swojej prawdy historycznej, do swej mowy i swoich praw. Ogłuszone do wczoraj kościoły zaczynają sobie przypominać mowę, wyrzuconą ze stopni ołtarzy, już ambony zaczynają się odzywać polskimi kazaniami, nawy przepełnione rzeszami spragnionymi słowa polskiego, rozbrzmiewają starą pieśnią, tak długo prześladowaną, a przecież wciąż żyjącą w piersiach piastowskiego ludu. Zaorane, zdeptane, hańbione groby powstańców ożyły i zakwitły barwami biało-czerwonymi, jakby krwią ich ran, i do wszystkich przemówiły zakazanymi przez 20 lat słowami — zginęli za Polskę. Spod gruzów, spod ziemi wyłania się polska mowa i rozbrzmiewa jak przed tysiącem lat, ukazując omszałe klejnoty słów. Ściany kaplic, krzyże przydrożne, nagrobki, pomniki rąbane, plugawione, napisy wymazywane przez zaciekłość germańską, a świadczące o prawdzie historycznej, znów odzyskują starą, omszałą mowę. Zda się, że każda gruda ziemi opolskiej budzi się, płonie i raduje.

U nas obecnie rozlega się wezwanie: „na zachód! na zachód! tam ludzi potrzeba, tam opuszczone stanowiska". Niechże tam idą na ciężką pracę ludzie wybrani, charaktery mocne, nieskazitelne, mające poczucie odpowiedzialności wobec państwa, wobec przyszłości, którzyby rozumem, wolą, sercem, rzetelnym spełnianiem obowiązków, tę ziemię odrąbaną przed wiekiem wiązali z Rzeczpospolitą. Każdy, kto tam idzie, powinien być cząstką Polski, promieniowaniem najpiękniejszych jej wartości, bo przez czyny każdego będą patrzyli na Ojczyznę, na naród. Każdy powinien być przedstawicielem i chorążym Polski w najczystszym znaczeniu. Uczciwość w działaniu, rzetelność w wypełnianiu obowiązków, entuzjazm, wielki cel w postępowaniu, a tym celem: dobro człowieka jest dobrem narodu. Zbrodnią jest przez czyn tego lub owego wsączać truciznę w dusze tego ludu, zniechęcać lub goryczą napełniać. Mieć szacunek dla każdego dnia ich niewoli, oddychać starą mową, pełną zabytków gdzie indziej zapomnianych, z uszanowaniem zbliżać się do wszystkiego, co tutaj pozostało z dawnych wieków. Geszefciarzom wszelkiego rodzaju wstęp w tamte strony musi być wzbroniony. Zbudować wał obronny z serc i charakterów ludzi najrzetelniejszych, najszlachetniejszych przeciw najazdowi niegodnych, którzyby chcieli tutaj wtargnąć.

Ostatnie pisma doniosły, że arcybiskup Wrocławia pozostał — wbrew rozkazom partii hitlerowskiej. Będzie trwał niezłomnie na kardynalskim stanowisku i z wyżyn swego dostojeństwa, skamieniały w nienawiści do Polski, z oczami skierowanymi na wschód, według nakazów Henryka Lwa, będzie nadal druzgotał pięścią germańską w imię Chrystusa polskość tej ziemi piastowskiej, będzie wyrzucał kapłana polskiego ze stopni ołtarza, będzie kneblował mu usta, będzie chciał wydzierać serca i mowę... Niech patrzy, niech będzie świadkiem ogromnych przemian, jakie tam dokonują się wbrew jego przemożnej woli, wbrew wszelkim zamierzeniom i nakazom. To co z nienawiści się rodziło, co nienawiścią się budowało, to pęka i w gruzy się rozpada. Może zadrży jego kamienne serce, gdy usłyszy, że grudy tej ziemi, przepojone krwią męczeńską, budzą się, że groby odzyskują mowę, że nagrobki, mogiły, wszystkie krzyże shańbione okazują rany i wołają na cały świat w ogłuszone sumienie handlarzy politycznych.

— Jesteśmy Polakami, żyjemy Polską, chociaż zabijałeś nas krzyżem w imię Chrystusa. Twoi służebnicy, wysłannicy kościelni, wyznaczali drogę do Buchenwaldu, zapełnioną rzeszami skazańców polskich. I dzisiaj te obozy, te kamieniołomy żyjące męczeństwem i bohaterstwem wzywają cię pod sąd...

Do Macierzy wraca lud, który Polska lekkomyślnie porzuciła przed 700 laty, odwracając się od ziem rdzennie polskich, a podążając na wschód. A wschód był otwartą raną, którą wypłynęła krew całej Polski, jej najlepszych synów przez długie wieki. Młody poeta Osmańczyk, syn tej ziemi, powiedział, że lud opolski miał być tylną strażą osłaniającą odwrót Ojczyzny. W uporczywej walce spełniał powinność z zaparciem, ofiarnie, po bohatersku przez długie wieki przyjmował ciosy, wymierzone w Polskę. Odepchnięty, pozostawiony poza zasięgiem serca, sumienia i obowiązków Polski, zapomniany, porzucony, odpierał szturm za szturmem. Przemoc niemiecka chciała zdruzgotać to serce, wmurowane w skałę, czy opancerzone stalą, zahartowaną w bojach, prześladowaniach. Daremnie się trudziła. Lud opolski spełniał rolę przedmurza Słowiańszczyzny, trwał i walczył na ostatnim szańcu, zmienionym w niezdobytą twierdzę z polskich piersi, rozognionych wiarą i miłością. Z wielkiej armii zostały pokruszone, podarte, ale nadal niezłomne zastępy.

W dniach dzisiejszych jawi się przed naszymi oczami „Warszawianka" w chwale, w radości, w śpiewach i sztandarach. Z pola bitwy, z odgłosów armatnich, z kurzawy wojennej wyłania się postać wiarusa, który stał się symbolem. Ale dzisiaj to nie żołnierz skrwawiony, umęczony, ostatkiem sił podający wieść o klęsce i śmierci. To milion żołnierzy zaprawionych w boju, gotowych do nowych trudów staje przed Rzeczpospolitą, składa krzyż zmieniony w płomienisty miecz, znak mężnego wojownika o prawdę i sprawiedliwość, składa serce swoje z wielkiego cierpienia i z większej jeszcze miłości i bohaterstwa, pręży się na baczność i zdaje raport z bitwy morderczej, trwającej 700 lat, i głosem pełnym radości, triumfu woła na całą Polskę i cały świat:

— Przetrwaliśmy i zwyciężyliśmy.

ROZMOWA

a

Ty jesteś częścią a ja stroną świata,
ty wiesz o Ziemi a o mnie wie przestrzeń.
Jesteśmy wzajem tak jak zysk i strata,
gdy ty westchnieniem, ja jestem powietrzem.

b

Ja mam kształt własny, ty nie masz go wcale,
ja jestem świateł i cieni przyczyną.
Kiedy krajobraz w mych oczach zapalę,
to tylko wtedy możesz go ominąć.

a

Ty tworzysz światło a ja formę światła,
która z ciemności postać blasku weźmie
i każdą gwiazdę, co z przeczuć twych spadła,
wyśni na jawie, by świeciła we śnie.

b

Ja jestem z Ziemi i na jej obszarze
mogę ci niebo zbliżyć lub oddalić.
Krwią swoją twoje pragnienia zagaszę,
nim gmach przestrzeni od nich się zapali.

a

Tyś jest budowlą, ja jestem jej stylem.
Kiedy natchnione wzrokiem do dotyku
kamienne nieba legną w ziemskim pyle,
ja będę jeszcze pojęciem gotyku.

b

Gdy wieczność stawać się zacznie na Ziemi
i obowiązki serca kamień przejmie,
ty będziesz trwaniem, które się nie zmieni.
Ja pragnę więcej: aby żyć śmiertelnie.

W JAKUCKU

8 sierpnia 1944

W drodze z lotniska do hotelu ogólne wrażenie: gęsto zabudowana wieś w wydmach zeschłego błota.

Drewniane, parterowe, szczupłe domki. Płoty z oberwanymi deskami. Szopy, budy, drabiny, schody wiszące.

Gdy tu i ówdzie fasada rozszerzy się i zajaśnieje białymi ramami okiennymi, wyciętymi ornamentacyjnie, myśl zajmuje się nią, jak nierozwiązalnym problemem.

Arterie ruchu, choć nieraz ściśle wykreślone, nie mają charakteru ulic: bez trotuarów, bez jezdni, wysłane błotem, zeschłym i sypkim, ułożone na gruncie nierównym, tworzącym wydmy i garby.

Wprawdzie chwilami opada nas wahanie, czy też nasz samochód nie ma pod swymi kołami dobrego czarnoziemu, ale pierwsze wrażenie nie mija. Bo jakiż to może być czarnoziem, skoro nic na nim nie rośnie? Nie widać ani drzew, ani zbóż, ani nawet trawy. Jeśli to jest czarnoziem, to rodzi tylko jedno: proch. Ten jego płód rośnie tu wysoko i gęsto.

Jakuck ma wszystkie ubóstwa wsi, nie ma nic z jej kras.

W hotelu dyżurna na razie nie znajduje dla mnie oddzielnego pokoju.

— Jutro będzie dyrektor, urządzimy was — mówi uspokajająco. — Dzisiaj dysponujemy tylko miejscem na wspólnej sali.

Na wspólnej sali toczy się rozmowa o złocie. Po błocie złoto. Przeskok wcale nie przypadkowy. Jakuck, ubogie osiedle wynurzone z wydm zeschłego błota, jest stolicą ziem, z których niektóre obfitują w wielkie złoża złota, podobno najbogatsze w Związku Sowieckim, a jedne z najbogatszych w świecie.

Zaraz w pierwszych chwilach złoto jakuckie pojawia mi się na ludzkich ustach. Rozmawia ze sobą dwóch moich współlokatorów. Jeden jakby poddawał egzaminowi złotoznawstwo drugiego. Gdy mu zadaje pytania, spogląda na mnie, potem nawet mruga mi oczyma. O co mu chodzi w tym ruchu oczu, nie rozumiem. Gdyby to było w innym kraju, mógłbym przypuszczać, że bierze mnie za przedsiębiorczego poszukiwacza drogocennego metalu i zaleca siebie na doradcę, ale

w Związku Sowieckim, gdzie gospodarka jest państwowa i gdzie państwo kieruje także wydobywaniem złota? Więc o cóż mu chodzi?

— A jak się poznaje, czy złoto jest prawdziwe?

Drugi podaje sposoby.

— A czy zawsze wystarcza badanie powierzchni?

— W Chinach są tacy, którzy we wnętrzu wydobytych kawałków umieszczają miedź.

— Zna rzecz — mówi w moim kierunku egzaminator tonem autorytatywnego znawcy. I zaraz przechodzi do dalszego egzaminowania:

— Więc?

— Trzeba zbadać wnętrze.

— Ale są tacy, którym kawałek złota wystarczy położyć na dłoni, a już z ciężaru czują, czy wnętrze jest czystym złotem, czy nie. Tak, jak są tacy, którzy z barwy złota umieją na oko powiedzieć, jakiej jest próby.

I w moim kierunku mruga oczyma. Czy bierze mnie za tajnego skupywacza złota?

To egzaminowanie i towarzyszące mu ruchy oczu zrozumiem dopiero później, kiedy egzaminator odda się przechwałkom nad własnymi wielorakimi umiejętnościami, nad pomyślnym przejściem przez różne zawody i trudne sytuacje życiowe. Egzaminowaniem chciał ukazać własne znawstwo w materii złota, a spojrzeniami, które na mnie rzucał, pieczętował przypisywaną mi przez siebie wiarę w wysoki stopień jego znawstwa. W ogóle cenił rozległe umiejętności, i to oparte na indywidualnych uzdolnienach, co wyrażało się w ciągu jego egzaminowania zwracaniem szczególnej uwagi na takich znawców złota, którzy darem zmysłów — trafnym poczuciem ciężaru lub przenikliwym spojrzeniem — rozstrzygali kwestie nieomylnie a szybko.

Że tak właśnie było, to ostatecznie okazuje się w zakończeniu rozmowy. Obaj rozmówcy zgadzają się, że rozległością umiejętności Rosjanie przewyższają inne narody. Ten, który dopiero co poddawany był egzaminowi, twierdzi:

— Niemiec, Francuz, umie tylko jedno: albo to, albo to. Jeśli jest szewcem, umie tylko albo wbijać w podeszwę gwoździe, albo zszywać podeszwę z cholewą. Poznaliśmy to dobrze, gdy niemieckim jeńcom wojennym dawano u nas pracę. No, ale myśmy ich prędko nauczyli i teraz robią już całe trzewiki.

Nie będzie od rzeczy zaznaczyć, że autor tych słów jest człowiekiem, którego młodość przypadła na czasy przedsowieckie i że dzisiaj jeszcze pracuje w zawodzie, nie wymagającym na Syberii specjalizacji.

Wystarczy przejść przez centrum Jakucka, aby zauważyć nowości.

Zwracają na siebie uwagę nowo wzniesione budynki. Szczególnie te z drzewa, niewielkie, skromne, ale utrzymane już w innych formach architektonicznych, niż budynki carskie, z innym ujmowaniem przestrzeni, z uwzględnianiem atmosfery swobody. Przypominają się willowe hotele czy pensjonaty w miejscowościach letniskowych. Budynki z cegieł, których wzniesiono kilka, mniej mówią

wyglądem, niż przeznaczeniem; cegłę, ten niezwykły tutaj budulec, otrzymały: biblioteka, szkoła, łaźnia.

Są już trotuary, co prawda z desek i nieraz utrzymane tylko w ogólnych zarysach. Na pryncypalnej ulicy, na ul. Października, ciągną się wzdłuż trotuaru bariery odgradzające go od jezdni, wzdłuż nich regularne pasy skwerowe z młodziutkimi, chyba tegorocznymi, brzózkami. Sztachetowe parkany wyrównywują linie domów. Skrzyneczki na odpadki i niedopałki wychowawczo przypominają się przechodniowi niespotykaną gdzie indziej ilością. Jest już nawet brukowana jezdnia, wyłożona okrągłymi kostkami drewnianymi, po prostu kawałkami okrąglaków, pociętych jak kiełbasa na plasterki.

Drewniane bariery, odgradzające trotuar od jezdni, powleczono wapnem, i w ten sposób wprowadzono w ulicę długie linie bieli. Bielą wapna jaśnieją także drewniane ochrony brzózek.

Ubogo jest, ale znać nową troskliwość. Prostymi, skromnymi, skromniutkimi środkami ożywia się miasto, wydobywa się je z wielowiekowej jednobarwności, z wielowiekowej nędzy. Jeden Jakuck to ten, jaki państwo sowieckie odziedziczyło po Rosji carskiej, drugi to ten, jaki zaczyna ono tworzyć. W ciągu trzystu lat panowania na ziemiach jakuckich rządy carskie umiały z centralnego ośrodka życia jakuckiego uczynić tylko maleńkie osiedle, zaludnione 7 tysiącami mieszkańców, rządy zaś sowieckie — w ciągu ćwierćwiecza, i to bardzo dla nich ciężkiego — zdziesięciokrotniły liczbę jego mieszkańców i wnoszą w jego wygląd zaczątki nowej fizjognomii. Już dziś można rokować Jakuckowi oślepiającą przyszłość. Jest on głównym ośrodkiem kraju, którego ziemia przechowuje w swych pokładach niezwykłe bogactwa; leży na jednej z najważniejszych dla świata linii komunikacyjnych, co prawda na razie tylko powietrznych; jest składową częścią wielkich planów sowieckich. Jego budowle będą rosły wszerz i wzwyż. Zmienią drzewo na budulec trwalszy, niż żelazobeton. Powstanie miasto, godne skarbów, które są dnem tego kraju.

Jest godzina wieczorna, młodzi ludzie spieszą do kin, do teatrów, do klubów. Widać pary mieszane. Nie wiele, ale są. Jeśli wnioski, wyciągnięte z krótkotrwałych obserwacyj ulicznych nie mylą, Jakuci łatwiej docierają do serc kobiet zachodnich, niż Jakutki do serc zachodnich mężczyzn. Miłość zdaje się rozdzielać tu swe dary nierówno. Mogła by coś o tym powiedzieć statystyka małżeństw mieszanych.

Nie ma na ulicy spokojnych flaneurów. Pośpiechem ogarnięci są wszyscy przechodnie. Starzy, młodzi, podrostki, podlotki, — wszyscy suną ulicą w przyspieszonym tempie. Jest w ich chodzie żądza jak najszybszego osiągnięcia celu, jest obawa spóźnienia czegoś, co tylko w oznaczonej chwili może być zdobyte, jest zniecierpliwienie odległością.

Nikt nie oddaje się przechadzce. Słońce zaszło, na zachodnim skłonie nieba płoną miedzie, ich światła rzucają na ściany domów czarujące blaski, letni wieczór wydobywa z przechodniów ich powaby, miły chłód odświeża czoła i oczy,

ale nikt nie ma czasu, aby korzystać z tych darów. Urok wieczornej godziny nie zatrzymuje nikogo.

Ten pośpiech, tę pracowitość, nie znającą wytchnienia, zrodziła wojna. Szarzy ludzie jakuckiej ulicy reprezentują gigantyczną sumę pracy, włożoną przez całą ludność Związku Sowieckiego w dzieło zwycięstwa. To, co armia sowiecka dała dziejom, mogła dać dzięki takim właśnie pracownikom, których w czasie wojny nie wstrzymują ani uwodzicielskie barwy nieba, ani wieczorne postacie ludzi.

Skręcając w ulicę, przy której stoi mój hotel, widzę niedaleko od niego, na jezdni, gęsty rój kobiet. Białe chustki, opinające włosy, świecą nisko nad ziemią; pochylają się nad nią kadłuby, odziane w różne barwy.

W pierwszej chwili myślę, że zaimprowizowano tu targowisko, że okoliczne wieśniaczki pod działaniem jakichś wyjątkowych przyczyn przyniosły tu na sprzedaż nadmiary swych gospodarstw i właśnie pochylają się nad blaszankami z mlekiem, nad koszykami z masłem.

Wkrótce można rozeznać ruchy tych kobiet, i łopaty w ich ręku, i kilofy, i nosze. Resztę dopowiada rzut oka w głąb ulicy. Te kobiety wyrównują drogę! Pracują nad przygotowaniem podłoża pod przyszłą jezdnię!

Łopaty wykrawują kawały gruntu, kilofy wyrębują zbyt oporne grudy, płytkie skrzynki umocowane na noszach usuwają niepotrzebną ziemię. Wzdłuż obu brzegów drogi leżą już wysokie i długie zsypiska odkopanej ziemi.

Na innym odcinku ulicy praca odbywa się inaczej. Brona przyczepiona do traktora odsadza ziemne skiby, które same przez się kruszą się i rozsypują. W tej postaci nabierają je kobiety na łopaty i wrzucają na płaskie wózki, które potem maleńki jakucki koń ciągnie do najbliższej wklęśliznу.

Tempo pracy — niezwykłe. Nigdzie, w żadnym kraju, nie widziałem tak szybkiego ruchu łopat. Jak gdyby pod odkopywanymi grudami więziony był ktoś, kogo jak najszybciej należy wyzwolić, i jak gdyby na zasypywanych wklęśliznach miał swe leże niebezpieczny potwór, którego jak najszybciej należy pogrzebać.

Przechadzka po sąsiednich ulicach pozwala — za powrotem — zauważyć nową sytuację. Słońce zaszło już dawno, zastąpiły je na zachodnim niebie perłowe obłoki, te kobiety ciągle jeszcze pracują, ale tempo pracy jest już wolniejsze, przerwy odpoczynkowe są częstsze i dłuższe. W czasie dłuższych odpoczynków postawa stojąca dobrze ukazuje twarze pracownic. Są tu przedstawicielki czystej pracy fizycznej, ale także inteligentki. Nad różowymi spodnicami z perkalu i nad granatowymi spodniami roboczymi lśnią różne barwy bluz, pulowerów, wiatrówek, marynarek.

W hotelu informują mnie, że ta praca nad jezdnią jest pracą dobrowolną i że kolejno odbywają ją „kolektywy" różnych instytucyj.

Godzina 23-cia. Tak właśnie trzeba ją nazwać, a nie inaczej. Powiedzieć o niej „11-ta w nocy" znaczyło by całkowicie wypaczyć rzecz, bo nocy zgoła nie ma.

Po słońcu, które zaszło trzy godziny temu, trwają jeszcze na skłonie nieba rozlewne jasności. W ulicy wyrósł już mrok, ale jest jeszcze tak jasno, że w trotuarowych deskach odróżnia się dokładnie każdą wyrwę, każdy sterczący gwóźdź. Latarnie uliczne nie świecą. Ich światło jest niepotrzebne.

Poprzez tę jasność dochodzi do głosu geograficzne położenie Jakucka: jest on oddalony zaledwie o kilka stopni od strefy podbiegunowej i od jej białych nocy.

Jestem jeszcze w łóżku, gdy dyżurna zapowiada mi wejście dyrektora. Tym dyrektorem jest młoda kobieta o utlenionych włosach, wypomadowanych wargach i ubarwionych paznokciach.

Uprzejmy dyrektor powiadamia mnie, że oddzielny pokój czeka już na mnie. Zyskuję ciszę, ale tracę suty kawał hotelowego życia. Co prawda nie na długo, bo cena pokoju ogłuszać mnie będzie tak hałaśliwymi liczbami, że, aby je ściszyć, trzeba będzie je dzielić — przez zamieszkanie w pokoju trzechosobowym.

Zaraz pierwszego dnia podejmuję zadanie, z jakim tu przybyłem. Nałożyło je na mnie prezydium Związku Patriotów Polskich, które — w jednym z pism, skierowanych do władz miejscowych — ujęło je tak:

> „Zarząd Główny Z. P. P. w Z. S. R. R. skierowuje do Jakucka polskiego pisarza Tadeusza Peipera w celu przeprowadzenia badań nad życiem Polaków zesłanych do Jakutii przez carską Rosję, a głównie dla zaznajomienia się z literacką spuścizną i z utworami artystycznymi owych czasów. Na podstawie powyższego Zarząd Główny Z. P. P. w Z. S. R. R. prosi o okazywanie Tadeuszowi Peiperowi pomocy w zwiedzaniu bibliotek, muzeów, a także miejsc, gdzie żyli i pracowali zesłani przez caryzm Polacy".

Ot i moje zadanie. Biorę je poważnie. Dłuższy pobyt w kraju zesłań postanawiam wykorzystać dla wytworzenia sobie jak najbardziej wyrazistego obrazu tych ludzi, których śladami mam chodzić. Pragnę wedrzeć się w głębsze złoża ich zesłańczej psychiki. Na ich losie ciążyła nie tylko obca przemoc, ciążyło na nim także rodzime zło. W Polsce walczyli nie tylko z caratem, walczyli także z drugą Polską, tą złą. Czy nie miało to wpływu na kształtowanie się ich myśli, gdy — daleko od miejsca swych bojów — myśleli o tym, co się stało, i o tym, co ma się stać? Czy ojczyzna i obczyzna miały dla nich w ciągu lat zesłania postać niezmienną, czy też zmieniały się? Jeśli tak, to jak?

Jestem ożywiony najlepszymi nadziejami. Oczekuję bogatych materiałów w zbiorach publicznych, a także materiałów jeszcze przez nikogo nie skolekcjonowanych, rozrzuconych po domach, w których swego czasu nasi zesłańcy mieszkali. Spodziewam się, że znajdę interesujące płody rozpamiętywań; spodziewam się, że znajdę dzieła skazańczej sztuki: rzeźbione mozolnie figurki, obrazy,

w których wypowiadała się cierpiąca wyobraźnia, utwory literackie zrodzone z wrażeń i marzeń; i spodziewam się, że taki materiał wprowadzi mnie w dusze autorów. Choć zadanie historyka włożono na mnie dość nieoczekiwanie i to w czasie, kiedy nie przeszłość, lecz żywe dzieje wypełniają widnokrąg żywego człowieka, postanawiam wypełnić je jak najlepiej. Choć w czasie, kiedy przełomowe dla kraju wydarzenia poruszają się w kierunku na zachód, ja odbywałem podróż we wręcz przeciwnym kierunku, postanawiam nie pamiętać o tym w stosunkach z cieniami, wśród których mam przebywać. Choć, przyjechawszy do Jakucka, oddaliłem się od Warszawy i Krakowa na odległość, większą kilkakrotnie od wszystkich, jakie kiedykolwiek w życiu przyszło mi przebywać, postanawiam z tego oddalenia wydobyć wszystko, co ono może dać dla zrozumienia sybirskich oddaleńców.

Zaraz pierwszego dnia, w godzinach przedpołudniowych, udaję się do Sownarkomu republiki jakuckiej dla otrzymania informacyj co do miejsc, w których przechowywane są materiały po zesłańcach. Oddziału informacji nie znajduję, natomiast znajduję oddział sztuki. Na kanapie siedzi Jakut, a obok niego nad gazetą Europejczyk. Gdy wyłuszczam cel mojego przybycia, Europejczyk nie odrywa oczu z nad łamów, Jakut wpatruje się we mnie oczyma nieruchomymi. Europejczykowi mówię, że rezygnuję z jego odpowiedzi, bo widzę, że przeszkadzają mu moje pytania, a Jakuta skierowanymi do niego pytaniami coraz bardziej ożywiam. Wkrótce Europejczyk jednak decyduje się podnieść głowę z nad gazety i od niego to otrzymuję potrzebną mi wiadomość: materiały po zesłańcach znajdują się w Archiwum i Muzeum, które mieszczą się obok siebie na ul. Dzierżyńskiego.

Niedaleko. Deskami trotuarów, wzniesionymi wysoko nad wgłębieniami terenu, potem poprzez jezdnię, która czyni wrażenie dna wyschłego moczaru, docieram pod Muzeum. Nowy budynek ceglany, jeszcze nieotynkowany, skromniutki w rozmiarach i formach, czerwieni się za drewnianym płotem. Wchodzi się za płot furtką parkanową tak niską, że, przechodząc przez nią, schylić się musi wpół nawet niski człowiek.

Muzeum — zamknięte. Kancelaria muzealna mieści się w sąsiedztwie starych drewnianych bud. Dyrektora nie ma.

Przyjmuje mnie pracowniczka, siedząca właśnie nad swym artykułem o narodowej uroczystości Jakutów, która za czasów carskich zatraciła się całkowicie, a którą republika jakucka wskrzesiła. Obok ma na biurku grube tomisko, na którym widnieje rosyjski tytuł: „Jakuty". Gdy wstaję, aby przyjrzeć się księdze, pracowniczka mówi mi o niej, że jest to nieodstępne dzieło każdego naukowca, zajmującego się Jakutami. Pytam o autora.

— Sjeroszewskij.

Więc Wacław Sieroszewski. Na zesłaniu takie tomisko wypracował. Pracowniczka dodaje, że w rękopisie jest jeszcze drugi taki tom.

Następnego dnia — spotkanie z dyrektorem.

W Muzeum i kancelarii odbywa się mycie podłóg, więc dyrektor prowadzi mnie do pobliskiego pawilonu. Jest rdzennym Jakutem. W Jakucku, jeszcze za czasów carskich, odbył szkołę początkową i średnią, a za czasów sowieckich studiował etnografię w Moskwie. Widzę, że od uczonych przejął opuszczanie głowy, towarzyszące zamyśleniom.

Na drewnianym krużganku, siedząc z nim na ławce, przypatruję się pierwszej jakuckiej głowie, którą z bliska mogę widzieć dłużej: jaskrawa, lśniąca czarność włosów i tęczówek; ogorzała do czerwoności cera; wąs niski, wąski i o rzadkim włosie; brwi wąskie i jakby po bokach wyłysiałe; górne powieki o brzegach skośnych; białka oczu, jak z białej porcelany. Tak może wyglądać tylko przedstawiciel plemienia, którego kolebką był jakiś kraj południowy. Jakież zawieruchy klimatyczne czy ludnościowe zapędziły ten południowy lud na ziemie Syberii, ziemie śniegów i mrozów?

Na razie sprawa innego ludu, zapędzanego na te ziemie, sprawa Polaków-zesłańców. Dowiaduję się, że wszystko, co po nich w Muzeum pozostało, przewieziono z jakie dziesięć lat temu do Moskwy, do zbiorów tamtejszego „Obszczestwa polit-katorżan", a po wymarciu ostatnich jego weteranów i rozwiązaniu się Obszczestwa wcielono do Muzeum Rewolucji Październikowej.

Masz ci! Wysłano mnie do Jakucka po to, co w Moskwie było pod ręką! Pięć dni i pięć nocy ugniatałem mięśnie i wyginałem kości na twardej ławie wagonowej; męczyłem nerwy, wydobywając z nich nieprzerwaną czujność dokoła walizki z rękopisami, które ze sobą wiozłem; w Krasnojarsku niecierpliwiłem się 6 dni czekaniem na samolot; w samolocie 8 godzin drzemałem, aby o nim zapomnieć; w Jakucku zdołałem już przeżyć godziny przerażenia na widok warunków życia, jakie mnie tutaj czekają; i to wszystko na darmo; w ścisłym tego słowa znaczeniu na darmo.

Na wszelki wypadek proszę dyrektora, aby rozglądnął się w zbiorach uważnie: może w jakiejś niezinwentaryzowanej jeszcze skrzyni przypadkiem pozostał jakiś obrazek, jakaś figurka, jakiś rysunek, jakiś okaz rękodzieła, jakaś kartka z pamiętnika; czasem jeden utwór wystarczy za sto.

Przyrzeka.

W następnej rozmowie powiadamia mnie, że po rozpatrzeniu się w spisach inwentarza i po uważnym przeszukaniu własnej pamięci żadnych rzeczowych śladów po polskich zesłańcach nie znalazł.

Trudno. Uznałem sprawę za wyczerpaną.

Trzeba szukać w Archiwum. Mieści się ono tuż obok, w budynku pozostałym po dawnym monastyrze. Carskie budownictwo dało monachom siedzibę, która — zestawiona z resztą Jakucka — ma mieć powody do pychy. Otwieram drzwi Archiwum nie bez nadziei. Tu przecie mogły pozostać po polskich zesłańcach jakieś pamiętniki, szkice, listy, pisma różnego rodzaju.

Dyrektor — z narodowości Tatar — rozwiewa moje nadzieje. Mówi mi to samo, co mówił dyrektor Muzeum: wszystko, co było, przewieziono do Moskwy;

pozostały tylko papiery policyjne, bynajmniej nie interesujące, bez wartości historycznej, no i w niewielkiej ilości.

Niech będzie i to.

Otrzymuję przyrzeczenie, że w ciągu dwóch dni materiał będzie dla mnie przygotowany. Gdy zjawiam się w oznaczonym dniu, dowiaduję się, że na przygotowanie materiału trzeba jeszcze trzech dni.

Budzi się we mnie myśl, że nawet wykorzystanie tych znikomych resztek, jakie pozostały w Jakucku, napotyka na przeszkody. Czyżby one były tylko natury technicznej? Trzeba skorzystać z pism, jakimi mnie uskrzydliło prezydium ZPP.

Najdokładniej określone są moje zadania w piśmie do sekretarza Obkomu. Przyjmuje mnie kierownik jednego z oddziałów, Białorusin. Dwugodzinna rozmowa. Mój rozmówca interesuje się uprzejmie różnymi szczegółami mojej dawnej i obecnej działalności, a ja korzystam z tego, aby przedstawić mu kilka próśb, wynikających z mojego pobytu w Jakucku.

— Czy ma pan jakie pismo, określające cel pańskiego przybycia?

— Pozostawiłem w Archiwum.

— To, zanim mogę cokolwiek przedsięwziąć w pańskich sprawach, powinienem je od pana otrzymać. Najlepiej jeszcze w ciągu dzisiejszego dnia. Bez tego nic nawet zacząć nie mogę.

Ale i to nie wystarcza. Okazuje się, że popełniłem błąd. Powinienem był zaraz pierwszego dnia udać się do Sownarkomu, niosąc w ręku pismo Związku Polskich Patriotów, rozwinięte szeroko na wysokości mojej twarzy.

Wyjaśniam, że zaraz nazajutrz po moim przyjeździe pierwsze moje kroki skierowałem do Sownarkomu i że tam właśnie, w oddziale sztuki otrzymałem pierwsze wiadomości o Muzeum i Archiwum.

— Ale z pismem Związku Polskich Patriotów trzeba być u przewodniczącego lub wiceprzewodniczącego Sownarkomu. Objazatelno!

Powiadam, że miałem zamiar uczynić to przy ewentualnych trudnościach, na jakie natknąłbym się przy pracy. Że tak pojmowałem charakter otrzymanych na drogę pism. Że, jak długo to nie jest bezwarunkowo niezbędne, nie lubię posługiwać się pismami polecającymi.

— To nie pisma polecające, to pisma uwierzytelniające.

Następnego dnia uwierzytelniam się u wiceprzewodniczącego Sownarkomu, Jakuta, któremu podlegają sprawy kultury.

Dzień później w Archiwum materiał czeka na mnie na stole.

Jeden tylko tom. Format arkusza kancelaryjnego. Oprawa papierowa, wzmocniona naklejkami. Zszycie solidne, zgodne z wymogami konserwatorstwa.

Pierwsza stronica wyjaśnia, że tom zajmuje się uczestnikami „buntu" z r. 1863. Wystarcza tom przekartkować, aby stwierdzić, że zawiera niemal wyłącznie spisy zesłańców, dokonane przez organa policyjne i rubrykowane według potrzeb policyjnych. Tu i ówdzie wkładki: pisma wyższych władz do niższych i odpowiedzi drugich dawane pierwszym.

Cieszę się, że znalazłem choćby to. W mojej pracy postanowiłem kierować się przesłanką, że nieliczność jakuckich materiałów podnosi ich znaczenie. Badacze polskich dziejów zesłańczych, mając w Moskwie główne materiały, rzadko będą przedsiębrali daleką i uciążliwą podróż do Jakucka. Mój pobyt tutaj ma wszystkie cechy wyjątkowości i wyjątkowość tę postanawiam wykorzystać.

Pisma, zawarte w tomie, pisane są oczywiście ręcznie, starą pisownią i starym stylem urzędowym, co — mimo włożonego w nie wysiłku kaligraficznego, typowego dla biurowych skrybów — czyni mi je nieczytelnymi. Proszę o przydzielenie mi pomocnika lub pomocniczki. Wkrótce siedzi ze mną przy stole jedna z pracowniczek archiwum i czytam z nią każdą stronicę, demontuję z nią każde zdanie. I robię notatki. Po odbytej pracy zostawiam je w Archiwum bo... tak rozporządził kierownik.

Obok lektury archiwalnej wpycham w moje dni lekturę biblioteczną. Znakomicie opracowany katalog biblioteki umożliwia mi szybkie zapoznanie się z bibliografią zesłańczą. Wybieram kilka publikacyj, a wyróżniam spośród nich książkę Krotowa: „Jakuckaja zsyłka 70—80 gg." Wprawdzie autor nie umiał ze swego tematu wydobyć życia, ale nagrodził to sumiennym badaniem nieznanych dokumentów, z których wniósł w książkę wiele interesujących cytatów. Na podstawie pierwszych poznanych publikacyj czynię pierwszy zarys warunków życia zesłańczego.

Jako miejsce kary, miała ówczesna Jakutia w oczach carskich gnębicieli szczególne zalety:

Od północy Ocean Lodowaty, od południa nieprzebyte tajgi i góry, wewnątrz — grząskie błota i gęste, powikłane lasy, rzadkość dróg, krótkotrwałość ścieżek, ludność nie znająca języka rosyjskiego i rozmieszczona tak rzadko, że dziesiątki kilometrów oddzielały jedno drobne osiedle od drugiego... Aby hamować chód uciekającego, aby ucieczkę skazać na niepowodzenie, czegóż trzeba było jeszcze? W Jakutii układ warunków dawał wszystko, co gnębicielom było potrzebne, aby przykuć zesłańca, jak łańcuchami, do jednej miejscowości, czasem do jednego szałasu zagubionego w niezmierzonych przestrzeniach. Izolacja „przestępcy" miała cechy doskonałości.

Kara dopełniała się jeszcze przykrościami, pochodzącymi z innych upośledzeń Jakutii.

O jej klimacie krążyły wiadomości, które musiały przerażać. Opowiadano o nim, że jest najbardziej surowym z klimatów całej kuli ziemskiej. Rzeczywiście, zima przynosi tu mrozy, które w swych najniższych temperaturach dochodzą do 65 stopni, a jeden z północnych regionów mieści w sobie t. zw. biegun zimna. Zima przedłuża się na osiem miesięcy. Mrozom towarzyszą mroki. Spowijają kraj miesiącami. A w lecie żar. Dochodzi on czasem do 48 stopni, rozpala kamienie i piasek do takiego gorąca, że parzy stopy.

Do tak srogiego klimatu dołączała się nieubłagana — zdawało się — oporność gruntu rolnego. Z naturalną błotnistością gleby sprzymierzały się przeciw rolnikowi wodne zalewy, które następują corocznie po nagłym tajaniu śnieżnych

i lodowych mas. W okresie letnim ranne przymrozki niszczyły zboże zanim dojrzało, lub też przeciągająca się posucha szkodziła plonom. Rząd carski nie podejmował nic, co by wzmocniło pozycję człowieka w jego walce z ziemią.

Ze złej ziemi otrzymywali zesłańcy najgorsze działki. W tym już nie władze carskie ponosiły winę, winowajcami byli tubylcy. Na podstawie obowiązujących ustaw oni to mieli — poprzez swe gminy — przydzielać zesłańcom grunt pod uprawę, a różne przyczyny sprawiały, że przydział ten odbywał się niechętnie i krzywdząco. Zesłańcy otrzymywali działki najbardziej błotniste, najbardziej nawiedzane zalewami wody, najgorsze dla uprawy.

Przy takich warunkach ziemia nie mogła wyżywić rolnika-zesłańca. Niejeden wyrzekał się z męczeńską abnegacją mizernych ochłapów, jakie rzucało mu życie, niejeden umiał z państwowego „zasiłku", wypłacanego miesięcznie w nędznej wysokości kilku rubli, czynić jeszcze oszczędności, mające mu umożliwiać pieniężne wkłady w uprawę, a jednak, wyczerpawszy swój fundusz nędzarza, a wraz z nim siły fizyczne, stawał w końcu w obliczu zupełnej bezpłodności swych mozołów i wyrzeczeń. Wacław Sieroszewski w piśmie do gubernatora pisał:

> Doświadczenia, jakie mi dały długotrwałe zajęcia rolne, doprowadziły mnie do wniosku, że ten rodzaj pracy jest dla mnie niedostępny przy tej ilości sił, wiedzy i środków, którą ja rozporządzam. Praca ta, w obłaści jakuckiej, w następstwie częstych nieurodzajów i silnych wahań ceny zboża, może dać dochód tylko przy pewnych warunkach, a mianowicie: przy szczególnym ku niej przyzwyczajeniu i przy wielkich środkach, pozwalających wytwarzać wielkie zapasy, i sprzedażą zapasów, zostających się w rzadkie lata urodzaju, uzupełniać niedobory nieurodzaju. Ani jednego z tych warunków u mnie nie ma, w następstwie czego, choć uparcie orałem, siałem, kosiłem i młóciłem przez 7 lat, uzyskałem tylko ten wynik, że na moim gospodasrtwie ciążą długi, a ciągłe kłopoty z tutejszym gruntem, niewdzięcznym, wiecznie lodowatym, pozbawiły mnie jedynego mojego majątku — zdrowia, i czas mojego przebywania tutaj spędziłem w skrajnej nędzy, nieraz głodując.

I rzeczywiście: podnosiła się wydajność pracy, gdy zesłaniec — rozporządzając własnymi środkami pieniężnymi — mógł korzystać z pomocy płatnych robotników lub gdy przynajmniej otrzymał pozwolenie na osiedlenie się z drugim, ewentualnie z trzecim towarzyszem. Tacy wybrańcy losu dochodzili w swej gospodarce do nadmiarów, które sprzedawali. Dwaj zesłańcy, pracujący wspólnie i dysponujący własnymi środkami pieniężnymi, osiągnęli wyniki wyjątkowe: po upływie ośmiu lat mogli corocznie dostarczać intendenturze 25—50 tysięcy kilogramów zboża, a w ciągu następnych lat wzbogacili swoje gospodarstwo młynem, spichlerzem, suszalnią nasion i oborą, oraz zarybili pobliskie jezioro.

Dla niemal wszystkich rolnictwo musiało być jedynym zajęciem żywicielskim. Osiedlani przez administrację w małych siołach i wsiach, gdzie od tamtejszych gmin otrzymywali na mieszkanie jakieś miejsce w jakuckiej chałupie (jurcie), lub w lepszym wypadku jakiś pustką stojący szałas, — czemżeż innym mogli zapracować na życie, jak nie uprawą ziemi?

Prawda, osiedlano ich też po miastach. Tak się to w pismach urzędowych nazywało. Ale jakież to były wówczas te miasta jakuckie? Jakuck pod koniec XIX stulecia liczył około 5 tysięcy mieszkańców, a największe po nim skupienia ludzkie, jak Olekmińsk, Wilujsk, Wierchojańsk, Kołymsk, nie przekraczały liczby kilkuset mieszkańców. W takich to „miastach" cóż mieli do roboty — zesłańcy? Nawet w okresach, kiedy między nimi byli już ludzie z warstwy społecznej wydającej rzemieślników, ich zarobkowanie pracą zawodową było utrudnione, a przeważnie wręcz niemożliwe, przede wszystkim z braku popytu na ich pracę. W ówczesnych „miastach" Jakutii nie mieli pola pracy szewcy, bo mieszkańcy nosili obuwie miejscowego typu i miejscowej roboty; nie mieli pola pracy malarze, bo zagrodowy charakter tych miast czynił ją w ogóle zbyteczną; zdunów nikt nie poszukiwał, bo piece jakuckie to paleniska wyrabiane z gliny przez miejscowych fachowców; ślusarzom i kowalom dawano robotę tylko w sporadycznych wypadkach, kiedy tubylcy z jakichś wyjątkowych powodów nie mogli wykorzystać własnych umiejętności w zakresie podków czy zamków.

A już dla inteligentów w ogóle w tych miastach miejsca nie było. Na podstawie samych ustaw nie byli dopuszczani do zajęć, w których mogliby się przydać. Zakazane im było zajmowanie się działalnością nauczycielską wszelkiego rodzaju, nawet pozaszkolną pomocą udzielaną dzieciom. Zakazane im było służenie w bibliotekach. Zakazana im była sprzedaż książek. Zakazana im była praca w drukarniach i zakładach fotograficznych. Zakazane im było występowanie z wykładami publicznymi. Za specjalnym pozwoleniem, nieraz drogo okupowanym, mogli wykonywać roboty przepisywaczy. Za specjalnym pozwoleniem mogli udzielać pomocy lekarskiej, co zawdzięczali potwornemu faktowi, że na ziemiach, których obszar równa się może połowie Europy, było w owym czasie mniej więcej pięciu lekarzy, dziesięciu felczerów, trzy akuszerki. Innego rodzaju siła potrzeb utorowała im potem drogę do zajęć naukowych. Władze państwowe dla ułatwienia sobie administracji, a prywatni przedsiębiorcy dla swych poszukiwań złota — musieli w końcu przejść do badania nieznanych ziem jakuckich. Urządzając i finansując ekspedycje geograficzne czy etnograficzne, posługiwali się zesłańcami jako pracownikami najbardziej chętnymi i najbardziej tanimi. Organa policyjne nakładały przytem ograniczenie: prace naukowe zesłańców, jeśli ukazywały się drukiem, nie mogły nosić autorskiego podpisu.

Na poszukiwaczach pracy odbijał się boleśnie ich los zesłańczy. Byli przecie „przestępcami". Wytwarzało to dokoła nich atmosferę uprzedzeń, obaw, nieufności. Pod każdymi drzwiami, do których pukali, na samym ich progu, nagromadzone były przeszkody, na których usuwanie musieli tracić nieraz długie miesiące, z gotowością znoszenia wszelakich przykrości, z chwiejną nadzieją osiągnięcia sukcesu.

Stosunek Jakutów do nich był niechętny, a często wrogi. Przybysze byli dla tubylców ciężarem. Przymusowe wyrzekanie się miejsca w już i tak ciasnej jurcie, bynajmniej nie było przyjemne i zaostrzało wszystkie zadrażnienia, do jakich prowadzi wspólne mieszkanie z obcym człowiekiem. A wydzielanie przybyszom gruntu pod uprawę kolidowało z tubylczymi metodami rolnymi: Jakuci obsiewali jedno i to samo pole kilka lat z rzędu nieprzerwanie, doprowadzali je do zupeł-

nego wyczerpania, poczem przerzucali się na inne, a taka metoda wymagała rozległych rezerw gruntowych, które zesłańcy uszczuplali swoimi działkami. Do ubytków w mieszkaniu i ziemi dołączał się jeszcze jeden i to bardzo dotkliwy: ubytek w żywności. Współlokatora i sąsiada na roli trzeba było nieraz żywić lub dożywiać, bo początkowo nie miał on nic ze swej działki, a i potem popadał w sytuacje krytyczne. Wszystkie te okoliczności, razem wzięte, sprawiały, że tubylcy odczuwali przybyszów jako intruzów, którzy wtargnęli w ich trudne życie, aby im je jeszcze bardziej utrudnić.

W prostocie swojej, w braku uświadomienia politycznego, nie odróżniali Jakuci zesłańców politycznych od kryminalnych, a przecie kryminalni, i to najcięższej kategorii, żyli wśród nich w znacznie większej ilości niż polityczni. Były lata, że na 4500 kryminalnych przypadało zaledwie 500 politycznych. Przykrości, jakie Jakutom przychodziło ponosić od pierwszych, uogólniali oni i przerzucali na drugich. Kryminalnym nie chciało się wcale tak ciężko pracować, jak tego wymagały jakuckie warunki bytowania, i aby zdobyć utrzymanie, dopuszczali się na Jakutach otwartych rabunków. Byli zbrodniarzami, którzy z wymuszenia uczynili system życiowy. Pewien chłop silny, zdrowy, przybywszy w sioło, zaraz zażądał dla siebie ni mniej ni więcej tylko jurty, niewodu, sieci, sfory psów i... kobiety. Groził, że w razie niespełnienia żądania spali całe sioło. Spełniono żądanie. Wystąpił z nowym: zażądał, aby go wyręczano w połowie ryb. Spełniono. Gdy jednak w jego przekonaniu zbyt długo czekał na zdobycze połowów, bez pardonu brał sobie ryby z cudzych schowków. Nie poprzestał na tym. Przeszedł do sprzedawania sprzętu, w jaki sioło go wyposażyło. Sioło musiało nowym kupnem zastępować to, co on sprzedawał. Przy takich systemach życiowych kryminalni narzucali Jakutom konieczność ponoszenia poważnych ofiar pieniężnych. Były lata, w których utrzymanie kryminalnych kosztowało Jakutów pół miliona rubli.

Ostre konflikty były nieuniknione. Jakuci przechodzili do aktów jaskrawej wrogości. Najbardziej znienawidzonym przybyszom niszczyli uprawy, zabierali uzyskany z trudem dorobek, dopuszczali się na nich osobistych agresyj, grozili zabójstwem, a nieraz groźby swe wykonywali. Ośmielał ich oczywiście policyjny stempel na czołach przybyszów i pobłażliwość organów policyjnych.

Żeby to jeszcze „intruzi" umieli zżyć się z nowym środowiskiem. Ale nie. To było niemożliwe. Żyli obok siebie ludzie, którzy nie rozumieli się wzajemnie. Codzienne, cogodzinne sprawy wiązały ich, a zarazem zwracały przeciwko sobie. Jedna strona przeszkadzała drugiej, a obie uważały się za pokrzywdzone i niewinne.

Zapragnąłem zwiedzić jakąś pierwotną wieś jakucką — dla ujrzenia Jakutów w ich dawnych formach życia i dla uzyskania tła, na którym wyraziściej wystąpiłyby postacie zesłańców.

Nie dysponując pieniądzmi potrzebnymi na opłacenie odpowiedniego środka lokomocji, chciałem otrzymać go od któregoś z organów kultury czy informacji. Okazało się to niemożliwe z powodu żniw, absorbujących wszystkie koła.

Nad głową dyrektora Muzeum widziałem ciągle wielki pytajnik z zawieszonym na nim pytaniem, które od chwili ujrzenia pierwszych Jakutów narzuca się nieprzerwanie: ta rasa o smagłej skórze, o włosach czarnych, gładkich i lśniących jak heban, ta rasa, u której kolebki musiało świecić żarzące słońce, — jakżeż ona dostała się tutaj, w kraj długotrwałych śniegów i mrozów, w kraj, którego stolica, Jakuck, jest najzimniejszym miastem kuli ziemskiej, choć nawet nie zajmuje na niej miejsca najbardziej północnego?

Wertując w kartach bibliotecznego katalogu, natykam się na publikację E. Piekarskiego, zawierającą stare podanie Jakutów o ich własnym pochodzeniu. Naród, który sam opowiada o swych narodzinach, to nie lada kąsek. Na razie wolę to, niż jakiekolwiek prace historyków. Siedzę nad publikacją aż do zamknięcia sali czytelnianej, a i potem trudno mi się z nią rozstać. Próbuję otrzymać ją do domu. Ponieważ zależy to od pozwolenia dyrektora, a o godz. 11-tej w nocy dyrektor już nie urzęduje, zależę od decyzji pracownicy czytelnianej, którą jest maleńka Jakutka. Ona oświadcza:

— Nie wolno. Bez pozwolenia dyrektora nie wolno.

Proponuję jej jako gwarancję zwrotu — paszport.

— Nie wolno.

Wpycham jej paszport w rękę i proszę, żeby się z nim zapoznała. Wyczytuje narodowość, zawód, — i zaraz jej jakuckie, na pół opuszczone powieki unoszą się, przez płaską nieruchliwą twarz przebiega skurcz, który jest śladem walki wewnętrznej. W końcu desperacko akcentuje odpowiedź:

— No, ale jutro rano musicie przynieść z powrotem. I tylko nikomu nie mówcie. Pamiętajcie, nikomu nie mówcie.

Na luźnej kartce, którą schowała dla siebie, zanotowuje nazwisko i adres, i wręcza mi książkę, prosząc tonem błagalnym:

— Jutro rano przynieście z powrotem. I nieście tak, żeby nikt nie widział.

Siedzę nad książką do rana i nie żałuję tego. Może etnografowie i historycy znają podania podobnego charakteru, dla mnie jest ono nowością. W formie opowieści o bohaterze plemiennym, bohaterze-protoplaście, daje ono pierwsze dzieje całego plemienia i daje je w sposób zadziwiająco ścisły. Podczas gdy w podaniach innych ludów materiał dziejowy występuje przeważnie tylko jako uboczny produkt opowiadania, tutaj zdaje się być głównym celem opowiadania. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tu w opowieści działa świadomy wysiłek historiograficzny, świadome szukanie sposobów narracyjnych dla utrwalenia wszystkich zdarzeń zamierzchłych, ważnych dla świadomości plemiennej. Niejedna z pobudek, które działały przy tworzeniu Starego Testamentu, działała zapewne i tutaj.

Zasadniczy wywód genealogiczny zawarty jest w pierwszej części podania:

„Z plemienia Kirgizów uciekli dwaj ludzie. Jeden z nich nazywał się Omogon, a jak nazywali drugiego — nikt nie wiedział.

Bracia Buriaci dowiedzieli się o ich przybyciu z kradzieży, które nie ustawały w ciągu dwóch lat. Pewnego razu, latem, dwie kobiety, które wyszły do lasu na czeremchy, nie wróciły do domu.

Bracia Buriaci zawzięcie szukali przepadłych, lecz nie znaleźli ich. Znaleźli tylko ślady stóp dwóch młodych ludzi. Po tych śladach przybyli nad górny bieg rzeki Leny i znaleźli miejsce, gdzie żyli owi dwaj ludzie. Okazało się, że przeżywszy na tym miejscu dwa lata, sporządzili płot, w którym zebrali całe swe bydło i obie porwane kobiety. Tak to Omogon i jego towarzysz wraz ze swymi żonami osiedlili się na polanach jeziora Sajsary.

Tu towarzysz Omogona wkrótce umarł, a Omogon wziął sobie jego żonę za drugą żonę. Z tych dwóch żon miał dwanaście synów i dwanaście córek.

Tymczasem na skutek jakiegoś wielkiego nieszczęścia, z plemienia Buriatów uciekają ludzie. Uciekają także ojciec i syn, podążając po tej samej drodze, którą uciekał Omogon, — przypuszczając, że dotrą do miejsca, gdzie znajdują się ludzie, którzy uciekli wcześniej od nich. Imię ojca było Darchan, a imię syna Ellei".

Tu kończy się pierwsza seria zdarzeń i dobrze byłoby wyłapać, co ona właściwie zawiera.

Dwaj osobnicy przybywają na obszar obcego plemienia. Dwaj? Tak to przedstawia podanie, ale podania niemal zawsze zajmują się tylko jednostkami, tylko postaciami najwybitniejszymi, bo one to najsilniej narzucają się życiu i uwadze opowiadaczy. Dokoła postaci najwybitniejszych, kierowniczych, trzeba chyba w podaniach widzieć zawsze jeszcze rody, szczepy, plemiona. Na razie w charakterze przypuszczenia: owi dwaj osobnicy są opowieściowym śladem jakiegoś najścia gromadnego, może nawet kilku najść dokonywanych przez kilka gromad, a podanie zanotowało tylko przywódców tych gromad.

Kradzież występuje w podaniu jako pierwsze zdarzenie w stosunkach między przybyszami a tubylcami. Kradzież? Tak nazywa się to w stosunkach jednostkowych, lecz — jeśli przyjmiemy, że jednostki, które utrwala podanie, są znakami gromad — skłonni będziemy pod owymi kradzieżami dopatrywać się napadów i grabieży gromadnych.

Na tle kradzieży, niemal jako ich odmiana, pojawia się porwanie kobiet. Podanie opowiada o porwaniu dwu kobiet. Znowu liczba dwa. Była poprzednio przy obcoplemieńcach, była przy czasie trwania kradzieży, a za chwilę wystąpi ponownie w określeniu czasu, zużytego na utworzenie nowej osady. Powtarzanie się tej liczby przy podawaniu ilości osób czy lat jest jeszcze jednym dowodem, że musi być ona rozumiana w sposób szczególny, że zawiera jakąś treść niewypowiedzianą wyraźnie. Porwanie dwu kobiet oznacza uprowadzenie kobiet w ogóle, a ponadto jeszcze pozbawianie zaatakowanego plemienia tych dóbr rodowych, którym służą kobiety.

Uprowadziwszy obcoplemienki, nie wracają napastnicy do swego plemienia, lecz tworzą nowe. Na nowych ziemiach zakładają nową osadę, która w przyszłości stanie się miastem, stolicą. Może porwanie Sabinek spełniło podobną funkcję przy powstawaniu Rzymu? Na pewno powstał on w sposób bardziej naturalny, bardziej pierwotny, aniżeli — dla podtrzymania cnót rycerskich i dumy wielkomocarstwowej — przedstawiała sprawę rzymska legenda i historia. Wcale nie jest wykluczone, że Sabinki, porwane w podobny sposób jak mongolskie Buriatki, przyczyniły się do zapoczątkowania nowej osady

i nowego miasta. Rzeczywista kolejność zdarzeń byłaby inna, niż to podają historycy rzymscy; porwanie Sabinek odbyłoby się p r z e d założeniem Rzymu, a nie po nim. Kto wie, może jakuckie podanie o powstaniu ich stolicy rzuca światło na powstanie „wiecznego miasta".

Właśnie poszukiwanie porwanych kobiet wytycza drogę przyszłym ruchom plemienia. Podanie wyraźnie to zaznacza. Pierwszym ruchem jest jakby wyprawa rewindykacyjna, podjęta w celu odzyskania utraconych kobiet, wyprawa o tyle skuteczna, że wysłańcy plemienia znajdują osadę wrogów. Potem dzieje się rzecz niezwykła. Jakieś wielkie nieszczęście spada na plemię. Jakie ono było, tego podanie nie mówi. Roztacza nad nim szczelne milczenie. Gdyby owo wielkie nieszczęście było natury klimatycznej lub geologicznej, otrzymalibyśmy w tym miejscu jakiś epizod opowieściowy, przypominający swą naturą opowieść o potopie, a skoro nie otrzymujemy nic, to znaczy, że tego momentu dziejów tradycja nie chciała przechować, nie chciała przekazać go pokoleniom, chciała go ukryć. Narzuca się myśl, że był to moment jakiejś sromotnej klęski w walce z innym plemieniem, że duma plemienna rzuciła go niepamięci na pożarcie. Po tej niezwykłości następuje nowa. Jest nią drugi ruch plemienia. Nawiedzone nieszczęściem, pod którego wpływem opuszcza ojczyznę, podąża ono na ziemię „złodziei", na ziemię tych, którzy swego czasu kradli mu mienie i kobiety. W tym właśnie kierunku zwrócili ucieczkę.

Z tych ruchów i dróg plemiennych można wydobyć starodawną opinię Jakutów o ich pochodzeniu. Jeśli krótko, najkrócej, to może tak: ludzie z plemienia Kirgizów porzucili swe plemię, weszli w stosunki z mongolskim plemieniem Buriatów, z jakąś jego odroślą osiedlili się nad jeziorem Sajsary, gdzie utworzyli sadybę, z której wziął początek Jakuck. Na skutek jakiegoś nieszczęścia, które padło na Buriatów, wielu z nich uciekło ze swych ziem i — odbywając ucieczkę tą samą drogą, jaką swego czasu podążali Kirgizi — przybyło nad to samo jezioro, nad które oni przybyli. Jakuci są więc — według podania — potomkami mongolskiego plemienia Buriatów, którzy zmuszeni byli porzucić swą ziemię i przenieść się na inną, gdzie spokrewnili się z potomkami Kirgizów.

Niezmiernie interesujące: w sprawie genealogii plemiennej pozostawia podanie miejsce dla czegoś nieznanego, niepamiętanego. Wyrazem tego jest ów tajemniczy towarzysz Omogona, o którym „nikt nie wiedział, jak się nazywał" i który wkrótce zniknął z dziejów jakuckich. Znaczy to, że Jakuci zdawali sobie sprawę, że w ich rodowodzie należy się miejsce jeszcze jakiemuś przez nich nie podawanemu składnikowi plemiennemu, a tylko nie umieli lub nie chcieli nazwać go.

Do Omogona — po innych uciekinierach — przybył młody Ellej i otrzymał jego córkę za żonę. Potem...

„Omogon wygnał z domu Elleja wraz z córką, dawszy im tylko dwie krowy, jedną bez rogów, drugą bez ogona. Z tym to oni odeszli.

Odszedłszy, zbudowali sobie szałas z brzozowej kory. Potem rozłożyli dużo ognisk. Bydło Omogona zwabione dymem ciągle do nich przychodziło. Ellej z żoną doili je i tak gromadzili dużo mleka, kumysu, śmietany, masła.

Nagromadziwszy tyle nabiału, urządził Ellej święto mleka „ysach". Na

to święto zaprosił teścia. Omogon chwycił za miecz i wypędził zięcia. Ellej rzekł: „Oto, gdy dziecię innego plemienia urządza święto, Omogon nie przychodzi, nadmiernie wzbogacony, a nienasycony. Wyżynę jego zniżę, długość jego skrócę".

Dwaj synowie Omogona, usłyszawszy to, pobiegli do ojca i opowiedzieli. Omogon, krzyknąwszy, wydobył spod poduszki tępy, krótki miecz i wraz z synami pobiegł do zięcia, rycząc jak niedźwiedź. Przybieżawszy, rozsiekał brzozową zasuwę brzozowego szałasu, zamierzając wejść do wnętrza, lecz tu skręcają mu się nogi i ręce. Widząc to, synowie ujęli go i zanieśli do domu. Omogon rozchorował się i umarł. Po jego śmierci synowie obawiali się, że i oni umrą, i opuścili miejscowość, którą zamieszkiwali. Tak to Ellej mógł sam jeden żyć na polanach Sajsary".

W tym ustępie, stanowiącym zakończenie podania, wywód genealogiczny doprowadzony jest do końca. Dowiadujemy się, że plemię kirgisko-buriackie, osiedlone nad jeziorem Sajsary, w miejscu, z którego wziął początek Jakuck, nie utrzymało się tutaj; wyparło je stąd inne plemię buriackie, wyparło je, choć przez jakiś czas wchodziło z nim w bliskie stosunki, nawet w stosunki pokrewieństwa. To zwycięskie plemię uważa podanie za bezpośredniego protoplastę Jakutów.

Dokładnie określa podanie miejsce, na którym praojciec Jakutów zbudował pierwszą sadybę: jezioro Sajsary w pobliżu rzeki Leny. Lecz skąd przybył? Gdzie leżała jego dawna ojczyzna, ziemia Buriatów? Dzisiaj mieszkają Buriaci wokół południowej części jeziora Bajkalskiego, lecz niektóre miejsca podania zdają się przechowywać ślady bardziej południowego położenia poprzednich ziem. Że był to kraj ciepły, bardzo ciepły, słoneczny, to znalazło w podaniu wyraz bardzo subtelny:

„Nadeszła jesień. Na ten czas przypada powrotny przelot dziczy. Korzystając z tego, Ellej poluje z łuku.

Zaczynają się chłody. Nie mając żadnej odzieży, ryje sobie Ellej jamę-lepiankę. Składa w niej pióra upolowanych ptaków. Wiatr uniósł na wodę część piór, a prąd wody poniósł je tam, gdzie żył Omogon.

Kobiety z rodziny Omogona, wyszedłszy po wodę, ujrzały pióra, lecz nikomu o tym nie powiedziały. Gdy jednak na drugi dzień zauważyły je w wielkiej ilości, to wróciwszy do domu, opowiedziały. Wysłuchawszy tego, stary Omogon rzekł: „Zapewne przybyli ludzie". I wyprawił przeciw nim ośmiu synów.

Pies Elleja, usłyszawszy tupot koni, wybiegł przeciw cwałującym jeźdźcom i zaczął szczekać. Jeźdźcy, ujrzawszy psa zaczęli strzelać. Wypuścili wszystkie strzały, które mieli ze sobą, a mieli ich osiemdziesiąt. Lecz nie udało im się zabić psa. Dopiero gdy zużyli wszystkie strzały zauważyli, że z lepianki unosi się dym. Gdy podeszli bliżej, z lepianki wyjrzał nagi człowiek. Ujrzawszy go, bardzo się jeźdźcy przestraszyli i bardzo prędko powrócili do domu.

W domu opowiedzieli ojcu, że znaleźli nagiego człowieka, u którego widzieli jakieś zwierzę, bardzo groźne, choć bardzo małe, i posiadające

bardzo mocny głos. Stary Omogon bardzo się na synów rozgniewał i rzekł: „Przestraszyliście się takiego małego zwierzęcia! To zwierzę nazywa się pies. Ruszajcież natychmiast, weźcie ze sobą odzież i przyprowadźcie człowieka, którego**ście widzieli**".

Wziąwszy ojcowskie futro, znowu wyprawili się w ośmiu. Przyjeżdżają na poprzednie miejsce. Widzą, że z lepianki wyszedł nagi człowiek. Ujrzawszy go, bardzo się przestraszyli, lecz pozostali na miejscu i, machając rękami, przyzywali nagiego człowieka. Zrozumiał to Ellej, lecz wskazując na nagie ciało, dał im do zrozumienia, że jest mu potrzebna odzież. Przybysze dorozumieli się, czego on chce i rzucili mu ojcowskie futro. Ellej chciał odziać się futrem, lecz nie było ono na niego. Wtedy opasał nim swoje ciało. Potem wraz z psem poszedł za jeźdźcami.

Tak przybył Ellej do tej miejscowości, gdzie żył Omogon. Widzi, że nie ma u nich domów, że latem i zimą mieszkają w szałasach sporządzonych z kory. W taki to szałas zaprosili go".

Ellej pojawia się na nowych ziemiach — nagi, a więc poprzednio żył w kraju, w którym ciepło pozwalało na nagość. A gdy przyszedł na nową ziemię i dla ochrony przed zimnem miał nałożyć na siebie futro, nie nałożył go na całe ciało, lecz tylko do biodra, tj. tak, jak w swą szczupłą i lekką odzież odziewały się ludy krajów ciepłych. Może w związku z południowym pochodzeniem Jakutów Józef Kopeć, pierwszy Polak, który o nich pisał — a pisał o nich z końcem XVIII wieku — mógł ich widzieć latem niemal nagich przy pracy. Opowiada, że w okolicach rzeki Kiryngi, gdy pracują w polu, nie mają na sobie nic prócz rzemiennych fartuszków na przodzie.

Dokładnie zajmuje się podanie wszystkimi sprawami dotyczącymi pochodzenia Jakutów, więc nie pomija także sprawy ich zewnętrznego wyglądu, nie pomija sprawy pochodzenia ich brzydoty. Są brzydcy. Szedłem po kartki żywnościowe, prowadzony przez urzędniczkę hotelowej buchalterii, i w ciągu rozmowy o Jakucku zapytałem:

— No a Jakuci? Podobają się wam?

— Cóż się w nich może podobać — odparła delikatnie.

Jeden z moich współlokatorów był bardziej bezpośredni:

— Brzydcy ci Jakuci. Chodzą niezgrabnie. Nie widziałem ani jednego mężczyzny, ani jednej kobiety, o których możnaby powiedzieć że ładni.

— A piękna czarność włosów?

— E, to u wszystkich ciemnych ras, ale kształty, ale twarz.

— Kształty to prawda, ale w twarzach zwraca na siebie uwagę piękna cera. Gładka jak z masła.

— O tak. Jak z masła. Zawdzięczają ją kobylemu mleku.

Zresztą już Kopeć podał o Jakutach cechy zgoła nie zachwycające: karłowaci, nogi łękowate, włosy grube jak u koni.

Nawet mongolski Buriat, gdy nie podał mi jeszcze swej narodowości, a ja nie wziąłem go za Jakuta, bardzo był zadowolony.

Pochodzenie jakuckiej brzydoty wyjaśnia podanie w sposób wybitnie pierwotny:

Najbardziej kochał Omogon najmłodszą ze swych córek, bardzo piękną. Strzegąc jej, ukrywał ją na noc w czułanie. Naradziwszy się z żoną, postanawia położyć w nocy Elleja obok najmłodszej córki. Wieczorem mówi Ellejowi: „Ty śpij w czułanie". Na to Ellej odpowiada: „Później!" W duszy Omogon bardzo się gniewa, no ale spać kładą się po dawnemu.

Rano zbudziwszy się bardzo wcześnie, przyczaja się Ellej, aby widzieć, jak dziewczęta będą oddawały mocz. I oto widzi, że piękna ukończyła oddawanie bardzo prędko, a nieładna oddawała długo. Gdy dziewczęta weszły do szałasu, poszedł Ellej nad miejsce gdzie oddawały i patrzy. U dziewczyny nieładnej mocz dzieli się na trzy strugi. Ujrzawszy to, pomyślał Ellej, że dziewczyna nieładna jest o wiele bardziej kobietą i że zapewne będzie miała wiele dzieci, a więc będzie bardziej szczęśliwa od ładnej dziewczyny.

Wieczorem stary Omogon znowu mówi Ellejowi: „Śpij w czułanie!" Na to Ellej odpowiada: „Będę spał — tam". I wskazuje w kierunku gdzie śpi brzydka dziewczyna. Stary Omogon w duszy bardzo się gniewał, lecz machnął ręką i rzekł: „No, idź, śpij!"

Współlokator, któremu podałem do przeczytania książkę z jakuckim podaniem, odłożył ją z niesmakiem:

— U tych brzydkich Jakutów nawet stare podania są brzydkie. U jakiegoż to innego ludu może pojawić się bohater, który tak jak Ellej przyczaja się dla rozstrzygnięcia przedmałżeńskiej niepewności.

A przecie ten szczegół opowiadania jest tylko przejawem rozmyślań plemiennych. Jeśli podanie wywodzi Jakutów z małżeństwa z brzydką kobietą, to zapewne dlatego, że Jakuci uświadamiają sobie swą nieładność nawet w zestawieniu z innymi narodami bliskiej sobie rasy. Wybór żony, dokonany przez Elleja, wprowadza w podanie taki stopień autokrytycyzmu, jakiego nie spotykamy może u żadnego innego narodu. Ale też wyznanie niższości w tym zakresie rekompensują sobie Jakuci wielorako. Brzydkie kobiety występują w podaniu wyposażone w niezwykłe właściwości umysłu. Zwraca na siebie uwagę ich zachowanie się wobec ptasich piór jako znaków zwiastujących przybycie obcoplemieńca. Początkowo zachowały rzecz w tajemnicy; jak długo widziały na rzece tylko niewielką ilość piór, milczały; dobrze wiedziały, co je ze strony przybysza czeka, ale przewidywały w tym tylko własną przygodę bez ważniejszych następstw dla plemienia. Dopiero, gdy z powiększającej się ilości piór można było wyciągnąć wniosek, że albo pochodzą od wielkiej ilości obcoplemieńców, albo też od jednego szczególnie dzielnego, że więc grozi poważne niebezpieczeństwo całemu plemieniu, a przez to i im samym, dopiero wtedy doniosły. Kto chciałby w tym widzieć tylko pospolity sprycik kobiety, temu trzeba podać jeszcze inny epizod opowieści:

Stary Omogon, ujrzawszy Elleja, tak się przestraszył, że cały zadrżał, lecz mimo to nie wydał się ze swym strachem. Polecił nakarmić swego gościa i pozwolił mu nocować w jego domu.

Nazajutrz, wstawszy, Omogon bacznie wpatruje się w gościa i myśli: Dobry człowiek, nie zabiję go. Zamierzając korzystać z jego pracy i przypuszczając, że będzie gorliwy, zatrzymuje go u siebie.

Żona nie pochwala tego i mówi: „Zabij tego człowieka!" Na to stary zapytuje: „Dlaczego mam zabić tak dobrego i pracowitego człowieka?" „Ile razy spojrzysz na niego, strach cię oblatuje". Stary gniewa się: „Czegóż ja się go mam bać?" „Ja ci pokażę, że ty się go boisz." „Pokaż" — mówi stary. Wtedy stara bierze nitki sporządzone z żył, naszywa je na plecy futra, a potem daje staremu futro ze słowami: „wdziej i siedź w nim!" Stary, wdziawszy futro, siedzi. W chwili, gdy Ellej, wróciwszy z roboty wchodził w domostwo, pękły naszycia na futrze. Stary usłyszał ten trzask i pojął, że rzeczywiście boi się Elleja.

Prababka Jakutki występuje w tym epizodzie z kilku właściwościami umysłu o niebylejakiej wartości plemiennej. Stwierdzając strach Omogona okazuje się trafną obserwatorką. Naszywając żylne nici na futro męża okazuje się pomysłową wynalazczynią. Ale jest też przewidującym politykiem: nie pochwala przyjaznego stosunku męża do przybysza, który ma w przyszłości doprowadzić do wysiedlenia jej plemienia i do zawładnięcia jego ziemią. Ba, uważając strach Omogona za niegodny jego władzy i lękając się o tę władzę, doradza zastosowanie jak najradykalniejszego środka, doradza zabić tego, w kim wcześniej, niż inni dostrzega niebezpieczeństwo.

Najhojniej jednak obdarza podanie zaletami Elleja, bezpośredniego założyciela narodu jakuckiego. Ma on wszystkie cechy narodowego bohatera. Góruje nad cudzoziemcami dzielnością i sprytem. Sam jego widok budzi wśród nich postrach, drżenie. Lgnie do jego domostwa cudze bydło, ułatwia mu kradzieże, przyśpiesza bogacenie się. Inaczej cudzoziemcy. Tak tchórzliwi, że już przed starciem są niezdolni do walki, i tak mało bystrzy, że dym domostwa spostrzegają dopiero po wystrzelaniu wszystkich strzał, i na tak niskim stopniu kultury, że nie mają innych domostw prócz szałasów z kory drzewnej, i nie znają jeszcze psa, a miecze ich są tępe.

Całością swoją czyni podanie jakuckie wrażenie tworu h i s t o r i i plemiennej. Twórcy tego podania zdają się być ś w i a d o m y m i historykami. Każda część podania ujmuje swą opowieścią jakieś przełomowe zdarzenie, a symbolizuje je poprzez jednostkowe przygody różnych postaci. Historia, prymitywna historia prymitywnego ludu, posługuje się tu fabułą opowieściową jako sposobem utrwalenia w pamięci gromady zdarzeń dziejowych.

Czy trafnie zainterpretowałem podanie, — kwestia.

Należałoby poszperać trochę w etnologiach i zapoznać się ze sposobem interpretowania podań w ogóle.

W każdym razie należy zapoznać się, jak historycy przedstawiają plemienny rodowód Jakutów.

(C. d. n.)

ROMAN DYBOSKI

ODRODZENIE POEZJI W AMERYCE XX WIEKU

I.

Potężny rozwój przemysłu i gigantyczny rozrost wielkich miast w Ameryce drugiej połowy XIX stulecia sprzyjał do pewnego stopnia twórczości powieściowej, zajętej nowymi problemami psychiki zbiorowej i struktury społecznej; natomiast był erą zgoła niepomyślną dla natchnień poetyckich. Jeden tylko geniusz w tym okresie, przerastający swą tytaniczną staturą duchową całe pokolenie współczesnych pisarzy, — Walt Whitman, uznany dziś za największego i zarazem najbardziej typowego poetę nowoczesnej Ameryki, — umiał ogromem swych sympatii objąć cały świat społeczny amerykański, od kresowych pionierów kolonizacji rolnej na Dalekim Zachodzie do wielkomiejskich rojowisk ludzkich Nowego Jorku, i umiał rytmowi tego bujnego życia amerykańskiego dać wyraz poetycki prawdziwie potężny bogactwem swej treści, oryginalnością formy rytmicznej i żywiołową siłą wyrazu. Ale Whitman pozostał postacią odosobnioną, niezrozumianą a nawet potępianą; wszczęta przez niego rewolucja w poezji nie miała przez długi czas dalszego ciągu. Ani on, ani najoryginalniejszy przed nim artysta wśród poetów Ameryki, Edgar Allan Poe, nie wywarli na razie żadnego stanowczego wpływu na twórczość młodszych. Poeci zamykali się od otaczającej rzeczywistości amerykańskiej w ścianach erudycji literackiej, uciekali od niej w krainę baśni, upajali się przebrzmiałą, sentymentalną retoryką romantyczną; głosy przemawiające rzeczywistą mową heroicznego pionierstwa kresowego, wybuchające słowami protestu przeciwko nieprawościom cywilizacji kapitalistyczno-urbanistycznej lub grzmiące tonami filozoficznego prometeizmu są wyjątkowymi epizodami, i zwykle nie mają podstawy w dostatecznej sile talentu.

Poe i Whitman wrócili ostatecznie do literatury amerykańskiej drogą pośrednią przez Francję. Poego uwielbiał i przekładał jeszcze Baudelaire, Whitmana tłumaczyła i popularyzowała plejada młodych poetów, zgrupowana około „Nouvelle Revue Française", gdy zaś z rozpowszechnieniem ogólno-amerykańskiego zwyczaju podróżowania po Europie także młodzi pisarze z Ameryki zaczęli z reguły wybierać się do Paryża na uzupełnienie swej edukacji literackiej, otwarły się im tam oczy na wielkość rodzimych ich poprzedników w poezji. Do tego przyłączyły się głębokie wrażenia z lektury takich mistrzów nowszej poezji francuskiej, jak wielki Belg Emil Verhaeren, jak Albert Samain, Henri de Régnier,

Remy de Gourmont, Francis Jammes, Paul Fort; nie darmo tych sześciu właśnie objęła cyklem portretów literackich poetka amerykańska Amy Lowell, organizatorka nowej literackiej grupy „imażystów", w swej książce „Six French Poets" (1915).

Ale te wpływy francuskie, choć żywotniejsze od dawnych angielskich, nie wystarczają, by wytłumaczyć rozmiary i natężenie zjawiska, które rozpoczyna się około r. 1912, i które można określić tylko jako wspaniały wybuch twórczych energii poetyckich z całego mnóstwa indywidualnych źródeł równocześnie. W ślad za czasopismem literackim „Poetry, a Magazine of Verse", które w r. 1912 zakłada poetka Harriet Monroe w Chicago, idzie w najbliższych latach cały szereg podobnych wydawnictw na gruncie amerykańskim, a po pierwszej wojnie światowej także kilka z rzędu periodyków awangardowych amerykańskiej młodzieży literackiej w Paryżu. Nie tylko pojawia się na łamach tych pism obfitość nowych indywidualności poetyckich, jakich w tej liczbie i rozmaitości Ameryka dawno nie miała, ale co jeszcze dziwniejsze, publiczność poczyna czytać poezję z zapałem i gorliwością, których zgoła nie oczekiwalibyśmy w kraju businessu i dolara: nowe tomiki wierszy wychodzą w przeciągu roku nieraz w kilku z rzędu wydaniach! Niebywały ten fenomen można chyba tylko objaśnić sobie jako skrajną formę reakcji zarówno młodych pisarzy jak i ich czytelników przeciw nieznośnej monotonii skonwencjonalizowanego życia w uprzemysłowionych miastach amerykańskich i poezja liryczna wydawała się najżywszą formą urozmaicenia tego życia i wzniesienia się ponad nie.

Nie byłby ten dziwny okres jednak epoką prawdziwego odrodzenia poezji w Ameryce, gdyby nie ten jeden jeszcze osobliwy i żadnemu już ogólnemu wytłumaczeniu nie poddający się fakt, że kilka kolejnych lat zaznaczyło się wręcz niezwykłym urodzajem na wybitne naprawdę talenty. W krótkich po sobie odstępach występuje na widownię aż pięciu pierwszorzędnych poetów o ustalonym już dziś, trwałym znaczeniu literackim, których nic prócz siły ich indywidualności twórczych między sobą nie łączy; i tymi to pięcioma przodującymi osobistościami zamierzam tutaj przede wszystkim się zająć.

2.

Pierwszym chronologicznie w tej „wielkiej piątce", w dosłownym znaczeniu przodownikiem nowego amerykańskiego renesansu poezji był *Edwin Arlington Robinson* (1869—1935).

Rodem ze starych północno-wschodnich Stanów, z tej „Nowej Anglii", co była najdawniejszą siedzibą amerykańskiej kultury literackiej, kształcony w najstarszym amerykańskim Uniwersytecie imienia Harvarda w Cambridge koło Bostonu, wcześnie poczuł w sobie powołanie poetyckie; a zwróciwszy na siebie przez pierwsze swe wystąpienie uwagę wielkiego prezydenta Teodora Roosevelta, który nawet sam napisał recenzję o nim, i za jego sprawą zabezpieczony materialnie przez posadę w nowojorskim urzędzie cłowym, rzucał jeszcze w okresie zupełnego zastoju poezji, w początku stulecia, co kilka lat jakiś tomik starannie wycyzelowanych wierszy w tę „milczącą otchłań", na którą kiedyś skarżył się nasz

Słowacki. Szerszy rozgłos zyskał sobie Robinson dopiero w r. 1916 przez zbiór wierszy p. t. „Człowiek na tle nieba", może nie tyle dlatego, że osiągnął w nim bodaj szczyt swej dojrzałości twórczej, ile dlatego, że tymczasem dokonał się już ów wspomniany na wstępie wybuch nowej twórczości poetyckiej i publiczność na czytanie poezji była nastawiona jak nigdy przedtem. Robinson zresztą, choć niebawem zyskał powszechne uznanie, jako czołowy poeta swego pokolenia i choć dwukrotnie otrzymał nagrodę literacką imienia Pulitzera, uchodzącą za najwyższe odznaczenie dla poety w Ameryce, pozostał osobiście skromnym, a w swej twórczości powściągliwym zarazem i starannym i nie troszcząc się o panujące mody i style, dba tylko o coraz większe pogłębienie treści myślowej swej poezji i coraz wyższą doskonałość jej indywidualnej formy, zawsze nacechowanej szlachetną prostotą.

Ta prostota stylu jest wyrazem szczerego dążenia do r e a l i z m u w poezji; w tym słowie da się streścić właściwie cały program artystyczny Robinsona. Troskliwość, z jaką unika tradycyjnej deklamacji poetyckiej, sentymentalnej retoryki i romantycznych złudzeń, popada czasem wręcz w oschłość: Robinson, będąc poetą, deklaruje się jako uczeń takich mistrzów powieściopisarstwa naturalistycznego jak Francuz Emil Zola i Anglik Tomasz Hardy, a nawet składa osobny hołd czci zapomnianemu dziś poecie angielskiemu, Jerzemu Crabbe, który w dobie pełnego rozkwitu romantyzmu tworzył na uboczu swe surowo i bezlitośnie prawdziwe obrazki z życia biedoty chłopskiej i rybackiej na wschodnim wybrzeżu Anglii, kreślone trzeźwym wierszem klasycystycznym XVIII wieku i prozaiczną zgoła dykcją. Tak samo Robinson na nowatorstwo rytmiczne się nie sili; przeciwnie, posługuje się takimi utartymi formami metrycznymi jak biały wiersz i sonet; nie unika wyrazów z najpospolitszej potocznej prozy w dialogach i opowiadaniu, a ludzie, których przedstawia, są postaciami, jakie możnaby spotykać na ulicach każdego z miast i miasteczek jego rodzinnej Nowej Anglii. Nasuwało by się więc określenie stylu Robinsona jako poetyckiego odpowiednika naturalizmu w powieściopisarstwie. Istotnie łączy go z naturalistami wspólna nuta determinizmu, zaprawiająca nastrojem pesymistycznym całą jego twórczość i czasem przechodząca nawet w ten nihilizm metafizyczny, który w „Burzy" Szekspira jako kwintesencję doświadczeń żywota głosi sędziwy magik Prospero, a którego doskonałym echem odzywa się muza Robinsona w pięknym wierszu „Ben Jonson przyjmuje gościa ze Stratfordu".

Pesymistyczne zabarwienie ma niewątpliwie jeden z najstalszych tematów poezji Robinsona, mianowicie powtarzany u niego w przeróżnych odmianach psychologiczny portret człowieka, który okazał się niezdarą życiowym, bo był marzycielem, i kończy swą pielgrzymkę ziemską w nędzy i pogardzie. Takim jest „Miniver Cheevy", co całe życie snuje rojenia o średniowiecznej rycerskości i renesansowym pięknie, a sam niczego dorobić się nie może i na starość się zapija; takim „Bewick Finzer", co chciał być „bohaterem naszych czasów" i począł robić fortunę przez śmiałe operacje kapitalistyczne, ale był za mało realny w swych spekulacjach, popadł w ruinę i żyje z bezzwrotnych pożyczek, wyżebrywanych u przyjaciół; takim „John Gorham", co zbyt długo dał się zwodzić przez zalotną wietrznicę i wreszcie mówi jej całą prawdę o niej samej już jako znużony, znękany

i złamany człowiek; takim wreszcie w gruncie snać także „Richard Cory", podziw i bożyszcze całego miasteczka, który szerzy „błysk" wkoło siebie po ulicach, aż nagle pewnego dnia ku zdumieniu wszystkich, co mu zazdrościli, odbiera sobie życie wystrzałem z rewolweru! Z wszystkich tych sylwetek przemawia pełne przygnębienia przeświadczenie, że niepowodzenia i rozczarowania są koniecznym udziałem człowieka na tym padole płaczu: tkwi w tym może jako rdzeń własne doświadczenie życiowe autora, który jako jednostka uduchowiona był organicznie niezdolny do udziału w powszechnej amerykańskiej gonitwie za czysto materialnymi sukcesami. Z tego też powodu może w tych poetyckich charakterystykach rozmarzonych niedołęgów życiowych obok nuty fatalnego tragizmu dźwięczy jednak także coś jakby gloryfikacja takich chybionych i zwichniętych żywotów. Robinson nie doszedł drogą determinizmu do tej zupełnej bezideowości i tego całkowitego amoralizmu, co głośni powieściopisarze naturalistyczni, jak Amerykanin Dreiser. Robinson ma w odziedziczonej po przodkach strukturze duchowej jeszcze dosyć moralnego idealizmu tej Nowej Anglii, co wydała Emersona, by wierzyć w wartość szlachetnych marzeń i w wartość bezkompromisowej odwagi i stałości w ich wyznawaniu wbrew wszystkim nakazom praktycznej mądrości światowej. Toteż zasłużył sobie na uznanie, z jakim poważna krytyka mówi o jego dobroczynnym wpływie na umysłowość pokolenia, przekarmionego rozkładowymi elementami sceptycyzmu i negacji. Niemniej zbawienny wpływ na samą formę poezji amerykańskiej wywarła surowa prostota jego dykcji i bezpretensjonalność jego wiersza, wolnego w swych tradycyjnych formach od baroku i afektacji nowatorskich zapędów, co tymczasem szalały wokoło.

3.

Drugim takim mistrzem czystej prostoty słowa i wiersza, jak Robinson, jest inny nieodrodny syn Nowej Anglii, sławniejszy bodaj dziś od Robinsona jako poeta, *Robert Frost* (ur. w r. 1875). O ile u Robinsona przy całej wyrazistości i swojskości jego postaci góruje jednak dążenie do pewnych abstrakcyjnych, ludzkich uogólnień, wynoszących nas poza czas i miejsce twórczości autora, o tyle Frost, jako poeta, od początku jest i zawsze pozostaje związany silnym kolorytem lokalnym z tą Nową Anglią, która była siedzibą jego ojców i dziadów, i której starą orną ziemią, jak słusznie powiedziano, czuć całą jego poezję. A choć i on, jak Robinson, nadaje swym prostym figurom i tematom często głębszą treść filozoficzną, jednak nigdy o ich lokalnej, nowo-angielskiej szacie zapominać nam nie pozwala.

Frost, niemniej od Robinsona dbały o formę poezji i podobnie jak on klasyczny w swej prostocie, w przeciwieństwie do niego nie odebrał pełnego wykształcenia akademickiego, choć za młodu przez kilka miesięcy w starej prowincjonalnej wszechnicy Dartmouth College, a później już jako żonaty człowiek przez dwa lata w Uniwersytecie Harvarda studiom wyższym się oddawał. Pozatem prawdziwie po amerykańsku próbował różnych zawodów: był i robotnikiem fabrycznym i nauczycielem i szewcem i redaktorem tygodnika, a nade

wszystko przez jedenaście lat jako gospodarz na roli borykał się z twardą, kamienistą glebą Nowej Anglii i z ciężkimi warunkami drobnorolniczego bytu w uprzemysłowionym kraju. Te lata wiejskie wycisnęły najgłębsze i najtrwalsze piętno na jego dorobku poetyckim, choć pierwsze laury poeta miał zdobyć w Anglii, gdzie spędził lata 1912—1915. W Londynie, rojącym się wówczas od rozmaitych awangardowych grup literackich i ich programów, Frost — który, jak Robinson, przez szereg lat dawniejszych natrafiał u publiczności amerykańskiej tylko na kamienną obojętność — zyskał sobie nareszcie około czterdziestki uznanie jako jeden z wybitniejszych poetów współczesnych: jedno z najdojrzalszych jego dzieł, tomik wierszy „Na północ Bostonu" (1914) — zarazem jedno z najbardziej typowych amerykańskich dzieł całego pokolenia, nawskróś przeniknięte atmosferą stron rodzinnych autora — wyszło najpierw w Anglii i za sprawą angielskiej krytyki stało się sławne. Sukcesy angielskie utorowały poecie dopiero na dobre drogę we własnej ojczyźnie: w Ameryce, gdzie na nowo się osiedlił w r. 1915, otrzymał stanowisko wykładowcy w starej prowincjonalnej szkole wyższej Amherst College w Nowej Anglii, a później nawet katedrę we wielkim Uniwersytecie Ann Arbor w Stanie Michigan (niedaleko Detroit), gdzie miał, jak sam żartobliwie mówi, „funkcjonować jako radiator poetyki", i gdzie rzeczywiście sama jego obecność oddziaływała dodatnio na zrozumienie i cześć dla poezji i sztuki wśród młodzieży. Dzieląc swój czas między środowisko uniwersyteckie a małą posiadłość ziemską w Nowej Anglii, Frost, jak Robinson, spokojnie i konsekwentnie tworzy dalej w raz obranym kierunku, nie troszcząc się o mody literackie dnia i efemeryczne doktryny programowe.

Na pierwszy rzut oka czytelnik cudzoziemski może odczuwać lekkie zdziwienie wobec wysokich pochwał, oddawanych Frostowi zgodnie przez wszystkich najwybitniejszych krytyków angielskich i amerykańskich jako wielkiemu klasykowi poezji. Niewątpliwie jest Frost klasykiem poetyckim regionalizmu, który wydał sporo wybitnych produktów w dawniejszych okresach literatury amerykańskiej, zwłaszcza w dziedzinie prozy powieściopisarskiej. Poezja Frosta jest pod względem artystycznym bezsprzecznie szczytem całego tego kierunku, w każdym razie o ile chodzi o Nową Anglię. Tematami jego wierszowanych obrazków rodzajowych są prawie wyłącznie sceny z najpowszedniejszego codziennego życia rolnika nowo-angielskiego: naprawa kamiennego ogrodzenia dokoła pola, czyszczenie źródła na pastwisku, zbiór jabłek, rąbanie drzewa, koszenie łąki, chodzenie około bydła, zwożenie siana i t. p., — a wszystko to jest opisane ze znajomością rzeczy, którą mogło dać tylko wiele lat własnej pracy na roli. Tak samo na opisach przyrody — zawsze zresztą zwięzłych i nigdy dekoracyjnie nierozmazywanych — znać codzienną zażyłość z naturą sielską, a nie tylko odświętną z nią znajomość inteligenta miejskiego. Nade wszystko zaś z doskonałym realizmem odtworzony jest sposób myślenia i mówienia mieszkańców Nowej Anglii rolniczej, z ich staro-purytańską powagą i cierpką małomównością w dziwnym połączeniu ze zmysłem praktycznym i sprytem życiowym. Jak Robinson, tak i Frost nie waha się używać najpospolitszych wyrażeń mowy potocznej w swych wierszach; toteż w dialogach może leży główna siła jego znakomitego kolorytu lokalnego.

Ale wszystkie te zalety razem wzięte nadawałyby Frostowi jako poecie Ameryki rolniczej zaledwie stanowisko jakiegoś nowego Whittiera (1807—1892). Tymczasem, w porównaniu z owym prostodusznym piewcą dawnego sielskiego życia, mamy tu autora o psychice daleko głębszej i bardziej filozoficznej. Frost, jak Robinson, chce być nade wszystko realistą; to też unika jak najstaranniej wszelkiej tendencji, czy to społeczno-moralnej czy to metafizycznej. Nie wdaje się w dyskusje poetyckie nad aktualnymi zagadnieniami ekonomicznymi czy innymi. Za realistę chyba może uchodzić pisarz, co ukuł aforyzm, że „fakt, to najsłodsze marzenie, jakie zna człowiek pracujący". Ale do poetyckich przedstawicieli naturalizmu Frosta bez zastrzeżeń zaliczyć nie można, tak samo jak i Robinsona. Sam Frost, używając porównania z ulubionej swej dziedziny gospodarstwa rolnego, powiedział: „Są dwa typy realistów — jeden, co poda ci kartofel z mnóstwem ziemi, żeby pokazać, że to kartofel prawdziwy; drugi, co woli kartofel wytrzeć na czysto. Ja skłaniam się ku tej drugiej kategorii: w moim pojęciu funkcją sztuki w stosunku do życia jest oczyszczać je, przez usuwanie elementów nieistotnych wydobywać na jaw jego istotne kształty."

Jeżeli już w tym określeniu poeta oddala się bardzo od ryczałtowości naturalizmu i zbliża się raczej do starego klasycznego pojęcia sztuki jako świadomej selekcji wśród szczegółów doświadczenia, to w innej jeszcze dziedzinie leży najgłębsza bodaj, bo filozoficzna różnica między Frostem a naturalistami. Oto ta poezja, przy całej kryształowej przejrzystości swej prostej i niewyszukanej treści, ma prawie zawsze podwójne znaczenie: jedno konkretne i indywidualne, a drugie ogólniejsze, ideowe, którego dana anegdota poetycka staje się symbolem. Kilka przykładów najlepiej scharakteryzuje ten swobodny i naturalny, zgoła niewymuszony i nie-doktrynerski symbolizm. A więc „Naprawianie muru": jest coś w naturze, co nie lubi murów granicznych. Twarda ziemia nowo-angielska, marznąc i pękając w czasie surowej zimy, czasem burzy te przegrody, które tam starym angielskim zwyczajem dzielą sąsiedzkie pola. Poeta i jego sąsiad wybierają się na wiosnę razem naprawiać taki kamienny wał między swymi gruntami. Właściwie nie potrzeba by żadnej przegrody: z jednej strony drzewa szpilkowe, z drugiej sad jabłoni; nie ma obawy, by jedno szkodziło drugiemu; nie pasie się też po żadnej stronie bydła. Sąsiad mimo to przystępuje z całą powagą do roboty, wygłaszając uroczyście pra-ojcowską maksymę: „Dobre ogrodzenia, dobre sąsiedztwo!" Coś niby „clara pacta, boni amici". Poetę jakiś wiosenny duch przekory skłania do przekonywania sąsiada, że właściwie wał jest niepotrzebny, i szkoda ich roboty. Ale jego argumenty nie działają zupełnie na sąsiada, który uparcie tylko powtarza ową swoją zasadę. Tyle wszystkiego: ale czy można z bardziej podniosłą prostotą przeciwstawić sobie dwa odwieczne typy usposobień ludzkich — konserwatywno-tradycjonalistyczny i postępowo-reformatorski?

Więcej poetyckiego piękna i sentymentu przy niemniejszej głębi refleksji ma w sobie wiersz „Pęk kwiecia". Poeta poszedł na łąkę obracać trawę, którą przed nim wcześnie rano ktoś inny skosił. Nie zastaje już tamtego, i nie bez melancholii mówi sobie: „Muszę, jak i on, pracować sam — jak zresztą samotnymi są wszyscy, czy pracują razem czy oddzielnie". Wtem jakiś fruwający wkoło

niego motyl, odlatując, siada na kępce kwiatów nad potokiem, którą tamten kosiarz jakby z radości nad jej świeżą ranną krasą zostawił nieściętą. Ten widok budzi w poecie poczucie wspólnoty duchowej z poprzednikiem w pracy na polu; i teraz mówi sobie zgoła inaczej niż przedtem: „Ludzie pracują razem, czy pracują wspólnie czy oddzielnie". Znowu tedy w szacie najprostszego obrazu myśl wielka, wzniosła i tak dawna jak ludzkość.

Już poza sferę ludzką nawet, w dziedzinę powszechnych praw życia, sięga śmiała myśl poety w uroczym i delikatnym obrazku „Ich dwoje i drugich dwoje". Para kochanków, kończąc wędrówkę po lesie i żegnając się z jego wieczornym pięknem, widzi naprzeciwko siebie drugą parę: sarnę i rogacza. Zwierzęta ze zdumieniem patrzą przez chwilę na unieruchomione postacie ludzkie, wreszcie, snać widząc w nich część normalnej panoramy przyrody, spokojnie odchodzą w swoją drogę. A na kochanków od tego widoku popłynęła jakby wielka fala wzajemnej miłości matki-ziemi do wszystkich stworzeń, co żyją na jej łonie. Tutaj więc już nad małą sielankową scenką zaszumiały skrzydła tego kosmicznego Erosa, o którym Dante po platońsku mówi, że „porusza słońce i inne gwiazdy".

W obliczu takich pereł myśli poetyckiej, których blask tylko potęguje prostota ich obrazowania, jedno jedyne godne porównanie nasuwać się musi miłośnikowi wielkich rzeczy w literaturze angielskiej: jak Frost swoich chłopów nowo-angielskich czyni zwiastunami najwznioślejszych ogólnych prawd i praw, tak sto lat przed nim najbardziej filozoficzny z wielkich romantyków Anglii, William Wordsworth, podniósł w strefę wartości wiekuistych surową małomówność wieśniaków i skromne piękno przyrody sielskiej swej rodzinnej prowincji w północno-zachodniej części kraju. Wordsworth żył i tworzył jeszcze w czasie, gdy znaczne przestrzenie Anglii miały charakter czysto i niezmącenie rolniczy. Stąd to spokojne i majestatyczne piękno rzeczy niezmiennych i prawiekowych, które cechuje jego refleksyjną lirykę. Otoczenie Frosta natomiast, to świat rolnictwa już zamierającego pod tchnieniem przemysłu i urbanizacji. Dlatego z wszystkich jego obrazków sielskich, obok głębokiej mądrości jego rozważnego wejrzenia na świat, przemawia niemniej głęboka, choć łagodna w swym wyrazie, melancholia. Ten stały cień tragicznego pesymizmu jest jednym więcej rysem wspólnym, łączącym twórczość Frosta z podobną do niej przez swą szlachetną prostotę, i równie jak ona w najlepszym słowa znaczeniu klasyczną poezją jego brata w Apollinie, Robinsona.

4.

Na przeciwnym w stosunku do klasycyzmu Frosta i Robinsona biegunie niepohamowanej żywiołowości treści i nieokiełznanej bujności wyrażenia znajdujemy się w utworach tego najgłośniejszego w całym świecie poety amerykańskiego naszych czasów, jakim jest *Carl Sandburg* (ur. w r. 1878). Zarazem przenosi nas ta twórczość z cichych, pustoszejących pól, łąk i gajów Nowej Anglii do zgiełku i gorączki wielkiego kotłowiska przemysłowego Chicago. To Chicago, w którym przemysł Wschodu amerykańskiego spotyka się z gigantyczną produkcją rolną prerii zachodnich, w którego rzeźniach i fabrykach pracują

setki tysięcy robotników-imigrantów ze wszystkich krajów Europy, którego milionerzy rywalizują w przepychu z nowojorskimi, a gangsterzy rozporządzają najpotężniejszymi na świecie organizacjami zbrodni, którego rozrost w przeciągu stu lat jego historii jest równie nieprawdopodobnie ogromny jak masa korupcji w jego życiu gospodarczym i samorządowym jest potworna — Chicago, które jako czteromilionowe miasto dojrzało już także do godności wielkiego samodzielnego środowiska nauki i sztuki — w Sandburgu nareszcie znalazło swego natchnionego piewcę.

Do misji wieszcza uprzemysłowionej, zurbanizowanej Ameryki współczesnej przysposobiły Sandburga jego losy życiowe. Urodzony w prowincji chicagoskiej z rodziny rozsiadłych tak gęsto na środkowym Zachodzie Ameryki emigrantów szwedzkich, Sandburg po kilku latach nauki w szkole powszechnej zaczął już w trzynastym roku życia zarabiać na siebie i pracował kolejno przy rozwożeniu mleka, w zakładzie fryzjerskim, za kulisami małego teatru, w cegielni, w garncarni, przy myciu naczynia w kuchni hotelowej, wreszcie na roli, wśród wielkich przestrzeni pszenicznych środkowo-zachodniego Stanu Kansas. Zakosztował także żołnierki jako ochotnik na wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, a po powrocie z wojny, przekroczywszy już dwudziestkę, postanowił zdobyć wyższe wykształcenie. Przepychając się o własnych siłach przez studia w kolegium miasta rodzinnego, zdobył nawet najwyższe w oczach studenta amerykańskiego laury, bo został przodownikiem drużyny piłkarskiej swego zakładu. Co zaś dla nas ważniejsze, natrafił wśród swych profesorów na kogoś, co umiał poznać się na jego zdolnościach pisarskich i zachęcić go do tworzenia. Odtąd wśród różnych jego zajęć zarobkowych przeważają takie, które mają coś wspólnego z literaturą, a przynajmniej z publicystyką. Jest ajentem reklamowym wielkiego magazynu towarowego, propagandystą socjalistycznej organizacji partyjnej, popularyzatorem nowych sposobów ochrony robotnika przed wypadkami w fabryce, wreszcie zostaje dziennikarzem, i to jest ostateczny jego stały zawód zarobkowy. Od r. 1919 należy do redakcji wielkiej gazety „Chicago Daily News."

Jako poeta wystąpił Sandburg już w r. 1904; ale aż do trzydziestego szóstego roku życia nie zwrócił na siebie uwagi ogółu. Dopiero owa fala nowego zainteresowania dla poezji, jaka nastała po r. 1912, wyniosła i jego w górę: jeden z grupy jego wierszy, drukowanych w r. 1914 w czasopiśmie „Poetry", mianowicie sławny dziś poemat „Chicago", zdobył mu nagrodę literacką; a wkrótce potem tom „Wierszy Chicagoskich" (1916) stał się pierwszym jego wielkim sukcesem. Poszły za nim inne, coraz dojrzalsze zbiory: „Łuszczarze kukurydzy" (1918): „Dym i stal" (1920), „Kamienie upalnego Zachodu" (1923), „Dzień dobry, Ameryko!" (1928), oraz różne pisma prozą — bajki dla dzieci i monumentalna biografia prezydenta Lincolna.

Poezja Sandburga na pierwszy rzut oka objawia się nam jako dalsze ogniwo w tej wielkiej tradycji typowo amerykańskiej twórczości, jaką zapoczątkował Walt Whitman. Whitmanowski jest cały charakter tej poezji i co do treści i co do formy. Sandburg pisze wolnym wierszem, nie skrępowanym żadnymi schematami metrycznymi; wiersze jego, to przeważnie, jak u Whitmana, potoki rytmicznej prozy, płynącej w długich i burzliwych falach, spienionych od obfi-

tości synonimicznych wyrażeń i od nawału obrazów. Wysłowienie, jak u Whitmana, pełne dosadnych i nieraz niezrozumiałych wyrażeń z gwary potocznej, a przy tym w katalogowym natłoku piętrzące stosy określeń na całe mnóstwo zjawisk życiowych, tak jakby autor w te kaskady retoryki poetyckiej chciał przelać całą pełnię otaczającego życia. Wszystko zaś przeniknięte tak płomiennym uniesieniem, że wątpliwości być nie może, iż autor w bogactwie, rozmaitości i szalonym tempie tego życia amerykańskiego jest rozkochany i nim upojony. Jak Whitman na wędrówkach, tak Sandburg w trakcie swych różnorodnych praktyk zawodowych poznał dostatecznie szerokie kręgi życia ludności amerykańskiej, by się nie ograniczać nawet do tej rozległej wielkomiejskiej panoramy, którą wkoło niego roztaczało Chicago, lecz objąć swym wejrzeniem także te niezmierzone przestrzenie pól pszenicy i kukurydzy, jakie zajęły miejsce dawnych stepów w całej grupie Stanów na zachód od Chicago. I z niemniej wulkanicznym impetem niż ocean ludzki wielkiego miasta, kreśli autor w późniejszych swych tomach ocean zjawisk przyrody na tych nieprzejrzanych równinach między Chicago a Górami Skalistymi. Jego rozmiłowanie w bogactwie barw i kształtów tej przyrody niemniej jest potężne i pełne zachwytu od rozmaitości zjawisk życia ludzkiego w wielkim mieście.

Ponieważ ta wszechobejmująca miłość życia w poezji Sandburga jest równie bezstronna jak wszechstronna, nieskończenie wyrozumiała i z jednakowo gorącym zaciekawieniem wchłania i światła i cienie doświadczenia, więc można by i Sandburga, może nawet z większą słusznością niż Frosta lub Robinsona, zaliczać do poetyckich przedstawicieli naturalizmu. Zgodnie z teoretycznymi założeniami tego kierunku Sandburg unika wszelkiej tendencyjności. Stara się dać obiektywny obraz świata, w którym mu żyć wypadło. Nie zna romantycznych porywów buntu przeciw istniejącemu porządkowi jako całości, do tej przemysłowo-wielkomiejskiej cywilizacji amerykańskiej, która jest jego światem, odnosi się pozytywnie jako do danej rzeczywistości, której odrzucać nie można. Nie znaczy to jednak, by poezja Sandburga była czysto naśladowniczym odtwarzaniem odłamów tej rzeczywistości. Oprócz przenikającego ją na wskróś, wspomnianego już powyżej, gorącego ukochania życia w całym bogactwie jego objawów, odzywają się w tej poezji często i z wielką uczuciową siłą akcenty, przypominające ów okres jego życia, gdy był czynny jako agitator socjalistyczny: Sandburg oburza się na wyzysk robotnika i głęboko współczuje z jego dolą; mówiąc o beznadziejnej niewoli pracownika fizycznego w żelaznym uścisku machiny kapitalistyczno-przemysłowej, umie się zdobyć na nutę potężnego tragizmu.

Ta sympatia dla upośledzonych i pokrzywdzonych przybiera w najwznioślejszych może momentach poezji Sandburga postać jakiegoś mistycznego poczucia wszechludzkiego braterstwa, jakiejś już nie solidarności, ale po prostu tożsamości duchowej między ludźmi. Siedząc przy biurku w wielkim gmachu chicagoskim, poeta umie wczuć się w myśli i przeżycia jakiegoś prostego rzemieślnika w odległym miasteczku, wśród falujących łanów Stanu Iowa. Patrząc na jeżący się wkoło las drapaczy chmur, prosi Boga, by go przekuł na kowadle losu w jedną z klamer żelaznych spajających całą tę kunsztowną strukturę. Ten silny instynkt wspólnoty z człowieczeństwem sprawia, że poeta nawet w czasie wojny świa-

towej wznosi się ponad szalejącą wokoło nienawiść, że w żołnierzu wrogiej armii, ginącym od amerykańskiego bagnetu czy amerykańskiej kuli, widzi brata, tak samo jak brata czci w nieznanym żołnierzu amerykańskim, złożonym w grobie honorowym na cmentarzu arlingtońskim koło Washingtonu. I wobec jednego i wobec drugiego całą duszą się wzdraga na bezmyślność i okrucieństwo masowej rzezi. Entuzjastyczny piewca cywilizacji maszynowej żywi w głębi serca wiarę w lepszą przyszłość, w której będzie więcej piękna i w której wskrzesną najdawniejsze ludzkie cnoty, najistotniejsze ludzkie uczucia.

Poezja Sandburga, tak samo jak przed nią poezja Whitmana, spotkała się z gwałtownymi protestami krytyków-tradycjonalistów, którzy w niej widzieli samą tylko barbarzyńską bezkształtność wyrazu i brutalność treści. Słusznie jednak zaznaczono z innej strony, że Sandburg jest brutalny tylko tam, gdzie mówi o brutalnych sprawach dzisiejszego świata z jego bezlitosnymi mechanicznymi potęgami, i że nie trudno znaleźć, zwłaszcza wśród drobniejszych jego wierszy lirycznych, akcenty niepospolitej subtelności, delikatności i rzewności, zarówno gdy patrzy na przyrodę, jak gdy mówi do człowieka. W całości musimy dziś uznać tę poezję za najautentyczniejszy śpiew Ameryki naszych czasów i przyznać jej niemniej trwałe i wysokie w amerykańskim piśmiennictwie stanowisko niż uniesionym pieniom Whitmana, którego Sandburg stał się godnym następcą.

5.

Jeżeli poezja Sandburga daje nam obraz olbrzymiego rozmachu nowoczesnej Ameryki przemysłowej i urbanistycznej na skalę niejako makrokosmiczną, to w ramach mikrokosmicznych, w granicach życia małego miasteczka, przedstawia nam najistotniejsze cechy tego amerykańskiego świata społecznego zbiór epigramów p. t. „Antologia z nad rzeki Spoon", którego pojawienie się w r. 1915 stało się jednym z najbardziej sensacyjnych wypadków w wybuchowym odrodzeniu poezji amerykańskiej.

Autor tej książki, *Edgar Lee Masters* (ur. w r. 1869), pochodził z rodziny o staropurytańskim rodowodzie a pionierskich tradycjach; urodził się i wychowywał na środkowym Zachodzie i został ostatecznie adwokatem w Chicago. Obok zawodowych zajęć prawniczych uprawiał gorliwie od wczesnych lat literaturę, ale jego poezje i wierszowane dramaty, naśladujące wzory angielskie z XIX wieku i zaprawne rozległą erudycją literacką — zwłaszcza klasyczną, — zdawały się świadczyć raczej o braku własnej silnej indywidualności twórczej. Aż pewnego razu w r. 1914, jeden z jego przyjaciół, znudzony tą wtórnością natchnień, poradził mu odwrócić się od zużytych tematów klasycznych i sięgnąć po przedmioty poezji do życia współczesnego, a jako przykład dał mu do ręki dzieło do klasycznego dziedzictwa należące, ale tętniące po dziś dzień żywą aktualnością drobnych szczegółów, podpatrzonych w życiu codziennym wokoło, — mianowicie sławny zbiór gnomicznych i satyrycznych epigramów z różnych okresów liryki greckiej, znany pod nazwą „Anthologia graeca". Masters głęboko się przejął zaletami tego znakomitego wzoru i zaczerpnął zeń podnietę do tej zupełnie zresztą oryginalnej koncepcji, jaką jest „Antologia z nad

rzeki Spoon". „Antologia" trafiła na ów okres niebywałej wrażliwości na nowe zjawiska poetyckie, jakim w Ameryce były lata 1912—1917, i narobiła niesłychanej wrzawy. Gdy wielbiciele porównywali ją z balzakowską „Comédie humaine", przeciwnicy nie wahali się nazywać jej „paszkwilem brukowego dziennikarza". Z czasem ustaliła się ocena utworu jako pozycji o trwałej wartości w piśmiennictwie amerykańskim, i począł się objawiać silny jego wpływ, zwłaszcza na powieściopisarstwo, — ale zarazem okazało się, że „Antologia" pozostanie bodaj jedynym naprawdę wybitnym dziełem swego autora. Masters niestrudzenie tworzył dalej, ale w swym dawniejszym stylu erudycyjno-naśladowniczym i retoryczno-deklamacyjnym, a nawet gdy rozmyślnie usiłować wejść znowu na tory „Antologii" — jak w „Nowej Antologii" r. 1924, — nie wskrzesła już w nim siła i świeżość pierwszego natchnienia. Poza kilku wyjątkowo szczęśliwymi momentami w tych późniejszych tomikach — jak wiersz „Milczenie" — Masters pozostanie ponoć w literaturze jako „homo unius libri".

Czemże jest ta jedyna książka, przez którą się naprawdę upamiętnił?

„Antologia", jak już była sposobność wspomnieć, jest osnuta na jedynym istotnie w swoim rodzaju pomyśle, bo przedstawia się jako cykl około dwustu urojonych nagrobków na cmentarzu małego miasteczka, w których zmarli jego mieszkańcy w formie monologicznej z epigramatyczną zwięzłością ujawniają najskrytsze tajniki swego życia rodzinnego i osobistego. Tajniki to często zabarwione tendencją satyryczno-karykaturalną; bezlitośnie obnażona jest zwłaszcza obłuda moralna duchowieństwa protestanckiego, pusta frazeologia patriotyczna, zależność sądów i administracji od potęg kapitalizmu. Nie brak mimo to sylwetek rzewnych i ujmujących — jak autoportret sędziwej Lucyndy Matlock, co z dwanaściorga dzieci straciła ośmioro, zanim doszła do sześćdziesiątki, ale niestrudzenie dalej pracowała w domu, w kuchni, w ogrodzie, pielęgnowała chorych i cieszyła się pięknością pól i lasów i śpiewem skowronków na wiosennych wędrówkach za kwiatami i ziołami leczniczymi, póki w dziewięćdziesiątym szóstym roku spokojnie w grób się nie położyła, pozostawiając potomkom, co narzekają na smutki i zawody życiowe, jako testament tę jedną zasadę, że „trzeba mieć życie w sobie, by życie kochać".

Tak samo jak w bezpretensjonalnych słowach tej staruszki, tak i w innych sylwetkach — najemnego grajka, zaściankowego lekarza — autor nie sili się na żadne rysy uderzającej oryginalności ani duchowej wyższości nad przeciętne prowincjonalne otoczenie; ale właśnie przez ten swój realizm ta galeria typów sama mu się składa na panoramę życia narodu. Jak mówi sam o sobie w nagrobku poety „minorum gentium": „Życie wokoło mnie tu, w tym zakątku; tragedia, komedia, dzielność i prawość; odwaga, wytrwałość, heroizm, klęska, — wszystko to na mych krosnach, i jakież z tego wzorzyste tkaniny!" Z rzadka tylko obije się nam o ucho nuta naprawdę wzniosła, jak w nagrobku tej Anny Rutledge, co była młodocianym ideałem wielkiego Abrahama Lincolna, i choć nie została jego żoną, jest jednak duchową matką wielkich dokonań żywota prezydenta, i z rzadka też tryśnie na karty dzieła aż tak gryząca ironia, jak w słowach małomiejskiej kurtyzany Daisy Fraser, co chlubi się tym, że płacone przez nią kary policyjne, zasilając miejski fundusz szkolny, więcej przyniosły

realnego dobra miastu niż nieszczere elukubracje i tendencyjne orzeczenia sędziów i kaznodziejów; albo jak w wyznaniu pośmiertnym pastora Amoza Sibley, co całe życie znosił tyranię i wiarołomność żony, bo skandal rozwodowy byłby mu groził utratą posady, — i zawsze się pocieszał, że na objazdach odczytowych lub na działalności politycznej zarobi kiedyś tyle, iż kupi sobie wolność.

Sama tylko krzywda niewinnej istoty przemawia z nagrobka tej biednej żony, Amandy Barker, co zmarła przy porodzie dziecka jako ofiara nienawiści i bezwzględności męża; a samym tylko pozgonnym jeszcze śmiechem nad prostodusznością małomieszczan rozlega się spowiedź tej tancerki z Niemiec, co umiała zawojować bogatego, podstarzałego handlarza bydła, i żyła z nim przez dwadzieścia lat w miasteczku, uchodząc za jego żonę. Ale nawet nad jednostajnymi wodami tej prowincjonalnej pospolitości zadźwięczy czasem jakaś nieziemska harmonia: tak w nagrobku biednego ślepego grajka, co zginął w powrocie z jarmarku wskutek spłoszenia się konia od bryczki, a teraz w zaświatach zasiada u stóp jakiegoś ślepego, jak on, starego człowieka, którego tam wszyscy grajkowie — od największego do najmniejszego — ze czcią słuchają, gdy im śpiewa o zburzeniu Troi. Tak to duch Homera unosi się nad nizinami mieściny Spoon River i jego głos wraz z głosem Whitmana, jak mówi inny nagrobek, „huczy wśród sosen", pod którymi domorosły poeta Petit szeleści swoimi rytmami, jak szeleszczą nasiona w zeschłych łuskach okwitłych roślin.

Nic dziwnego, że utwór o tak rozległej skali tonów i nastrojów, roztoczonej przedziwnym sposobem w tak ograniczonych ramach tematycznych, zrobił potężne wrażenie na umysłach głębszych i wrażliwszych. Ale też nic dziwnego, że wywołał odruchy oburzenia i protestu ze strony sentymentalnych miłośników dawnej regionalistyki literackiej z jej zawsze różowym i zawsze słodkim „kolorytem lokalnym". Nic dziwnego wreszcie, że młodzi buntownicy przeciw tradycjom i autorytetom podchwycili w poezji Mastersa to przede wszystkim, co w niej było głosem protestu krytycznego przeciw ciasności, rygoryzmowi i hipokryzji starej purytańskiej Ameryki, i że poeta Masters stał się protoplastą literackim freudystycznej nowelistyki Sherwooda Andersona („Winesburg, Ohio", 1919), satyry społecznej w powieściach Sinclair Lewisa („Główna ulica", „Babbitt"), i innych, tak licznych w literaturze amerykańskiej ostatnich kilkunastu lat objawów tego, co jej historyk Van Doren nazywa „buntem przeciw parafiańszczyźnie". Nie tylko jako poecie, znakomitemu w swej zwięzłości i wszechstronności zarazem, ale także jako przodującemu czynnikowi w nowym, potężnym ruchu ideowym w literaturze należy się Mastersowi za jego „Antologię" miejsce wśród wielkich pisarzy Ameryki.

6.

Z pięciu najwybitniejszych przedstawicieli renesansu poetyckiego w Ameryce XX wieku *Vachel Lindsay* (ur. w r. 1879) jest postacią najbardziej sporną i problematyczną. Nazwano go „najbardziej amerykańskim z poetów": to określenie może być pochwałą lub krytyką zależnie od postawy jednostki, która je wypowiada. Jest Lindsay w każdym razie typowym w swej poezji przedsta-

wicielem tego środkowego Zachodu Stanów, który na naszych oczach po Nowej Anglii obejmuje w spadku przodownictwo w twórczości literackiej amerykańskiej i nadaje tej twórczości ton bardziej demokratyczny i styl bardziej żywiołowo bujny, zgodny z burzliwym tempem życia w nowych wielkomiejskich ośrodkach przemysłowych. Puls tego życia tętni w rytmach Lindsaya z niemniej gwałtowną siłą niż w wulkanicznych tyradach Sandburga, piewcy Chicago, i jak one, twórczość Lindsaya niewątpliwie przypomina wielkie wzory Whitmana. Tylko że Lindsay w wyższym od tamtych obydwóch stopniu nacechowany jest tak wielce charakterystycznym dla nowoczesnej umysłowości amerykańskiej połączeniem reklamiarskiej krzykliwości z misjonarskim patosem moralnym, i stąd jego poezja, właśnie przez to, że aż nazbyt wiernie oddaje rytm współczesnego życia amerykańskiego, u subtelniejszych czytelników nieraz musi budzić poważne zastrzeżenia kulturalno-estetyczne i w niejednym swym momencie wydać się musi równie efemeryczną jak same te zmienne fazy życia zbiorowego, których jest obrazem.

Na dziwną kombinację misjonarza i moralizatora z propagandystą nowych form sztuki predestynowało Lindsaya poniekąd już samo jego pochodzenie: ojciec jego był wędrownym kaznodzieją, a matka artystką. Syn, urodzony w miasteczku Springfield w Stanie Illinois, już podczas studiów w tamtejszej wyższej szkole średniej zetknął się z wielu kolegami, którzy sposobili się na mowców duchownych i świeckich, i pod ich wpływem począł pisać poezje wolnym wierszem w długich, falujących rytmach o charakterze oratorskim; ta forma, zbliżająca go i do Sandburga i do Whitmana, pozostała mu odtąd właściwą, tak samo jak właściwymi mu pozostały kaznodziejskie admonicje pod adresem czytelnika. Zdawało się jednak zrazu, że Lindsay zostanie artystą ołówka i pendzla, a nie pióra: odbywał studia akademickie rysowniczo-malarskie w Szkole Sztuk Pięknych w Chicago, a później w Nowym Jorku. Już wtedy jednak obok powołania artystycznego odezwał się w nim silnie instynkt społeczny: to też po ukończeniu studiów poświęcił się nie twórczej karierze artystycznej, lecz działalności odczytowo-oświatowej na usługach Y.M.C.A. i pokrewnych organizacji, a po kilku latach tej pracy począł odbywać na własną rękę długie piesze wędrówki po kraju, na których w duchu takich angielskich estetów-społeczników XIX wieku jak Ruskin i William Morris głosi ewangelię Piękna jako żywotnej potrzeby duchowej szerokiego ogółu ludzi, nawołuje do tworzenia ośrodków artystycznych po wsiach i miasteczkach, wzywa do tworzenia sztuki prawdziwie ludowej czyli „gminnej" („communal") i ilustruje wszystko recytacją własnych utworów, przechodzącą w śpiew z akompaniamentem muzycznym i z chóralnym refrenem.

Podobne recytacje własnych poezji z towarzyszeniem gitary i autorskimi komentarzami urządzał równocześnie także Sandburg, ale Lindsay nadał rzeczy bardziej efektowną i popularną formę „wyższego kabaretu" („higher vaudeville") i szerszy też dla tych swych produkcji znalazł oddźwięk, zwłaszcza, że rytmikę i melodykę swoich wierszy i śpiewów zbliżył do wchodzącej właśnie w modę muzyki jazzowej i pieśniarstwa murzyńskiego. Zrobił też te swoje występy źródłem dochodów: sprzedawał nawet broszurowany wybór swych

poezji pod znamiennym nagłówkiem „Rymy w zamian za chleb". Popularność tych ostatnich wystąpień poety przyczyniła się ze swej strony do zwrócenia uwagi na jego publikacje, i już drugi z rzędu tomik jego poezji „Kongo i inne wiersze" (1914) wywarł silne i powszechne wrażenie, tym bardziej, że ukazał się w samym początku nowej ery twórczości poetyckiej i poczytności poezji. Zachęcony powodzeniem, Lindsay puszcza w świat dalsze zbiory swych wierszy, tom za tomem, czasem uderzając w akcenty wyrafinowane o egzotycznym uroku, jak w „Słowiku chińskim" (1917), ale zazwyczaj posługując się swoją wyrobioną już jazzbandowo-kabaretową manierą, która często popada w bezmyślne igranie dźwiękami, a nieraz w paradoksalny kontrast z głoszonymi entuzjastycznie, wzniosłymi hasłami patriotycznymi i społeczno-moralnymi. Obok poezji, których zbiorowe wydanie wyszło w r. 1923, Lindsay wydał prozą jako owoce swych wędrówek misjonarsko-kabaretowych dwa tomy pod charakterystycznymi tytułami „Przewodnik podręczny dla żebraków" (1916) i „Przygody ewangelisty Piękna" (1914). Napisał także pełną zapału propagandowego książkę o filmie, jeszcze w jego niemej fazie (1915) i powieść fantastyczną o podkładzie autobiograficznym p. t. „Złota księga miasta Springfield" (1920). Z jego młodocianego upodobania do sztuk plastycznych pozostało tyle, że zdobi wydania swych poezji własnymi ilustracjami, które fantastycznością przypominają baśnie z 1001 nocy.

Do sztuki poetyckiej Lindsaya, z jej osobliwą mieszaniną elementów podniosłych i groteskowych, trudno jest czytelnikowi europejskiemu wytworzyć sobie należyty stosunek. Pomost wytwarza tu rytmika i melodia murzyńska, w ostatnich czasach przecież równie popularna w Europie, jak w Ameryce. Znając ją, możemy ocenić nieprzeciętne artystyczne wartości takiego wiersza jak „Kongo". Jest to poruszająca się na pograniczu poezji i muzyki fantazja słowna, którą sam autor nazwał „studium nad rasą murzyńską". W nastrojowych obrazach o rozmyślnie niewyraźnych konturach przenosimy się na przemian ze skupień murzyńskich w Stanach Zjednoczonych do starej ojczyzny murzynów w Afryce środkowej. W sugestywnych aluzjach przewijają się nam przed oczyma to sceny tańca ludożerców nad brzegami Kongo, to lynchowanie murzyna w Ameryce, to dramaty z życia białych w koloniach podzwrotnikowych w rodzaju straszliwej noweli Conrada „Jądro ciemności", to znowu występy kabaretowe orkiestr i chórów murzyńskich. Wszystko to pisane wolnym wierszem o zmiennych kadencjach, dostosowanych do charakteru każdego z tych widzeń. Autor, jak do kompozycji muzycznej, dodaje do tekstu na marginesie wskazówki co do intonacji i tempa wygłaszania wierszy, a w tekście samym obficie się posługuje efektami onomatopeicznymi. Szczególnie przejmująco huczy pojawiający się w różnych miejscach poematu refren, złożony z magicznych słów „Mumbo Jumbo will hoo-doo-you", i rozlegający się jakby dalekim grzmotem tych tajemniczych bębnów, które po puszczy afrykańskiej od wsi do wsi podają sygnały. Cały utwór stanowi istotnie „tour de force" obranej przez pisarza techniki jazzowo-kinematograficznej i da się chyba tylko porównać z panoramiczną sztuką O'Neilla „Cesarz Jones", która jest podobnym szeregiem wizji z dziejów rasy murzyńskiej i tak samo huk owych bębnów ma za stały refren.

W innych utworach poety przesuwa się nam przed oczyma całe rojowisko życia miejskiego na tym środkowym Zachodzie, którego autor jest nieodrodnym synem i dozgonnym mieszkańcem, obrawszy w późniejszych latach na miejsce stałego pobytu swoje rodzinne miasto prowincjonalne. Swobodnie przytem wprowadza autor do swych wierszy osobistości, wypadki i zagadnienia ze współczesnej kroniki codziennej życia amerykańskiego, z dziedziny czy to polityki, czy religii, czy zagadnień społeczno-gospodarczych, omawianych w bieżącej publicystyce. A więc w najwcześniejszym jego większym poemacie twórca „Armii Zbawienia" jenerał Booth, po śmierci „wkracza do nieba" w otoczeniu typowych figur z szeregów swej organizacji, z której działalnością autor dobrze się poznał na ulicach i po przytułkach dla biedoty w wielkich miastach amerykańskich. Gdzie indziej sam wielki prezydent Abraham Lincoln „chodzi o północy" po mieście Springfield, a z wyrazu jego zasmuconego oblicza wyczytać można ból nad tym ogromem nieszczęść i cierpień, jakie jeszcze przechodzić wypadło narodowi i ludzkości od czasu heroicznych wysiłków jego żywota nad stworzeniem nowego i szczęśliwego porządku rzeczy. Gdzie indziej znowu przedmiotami hołdów są William Jennings Bryan, popularny przywódca partii demokratycznej i bojownik przeciw potędze kapitału finansowego, albo szlachetny gubernator Stanu Illinois, John P. Altgeld, który za ułaskawienie kilku uczestników w chicagoskich rozruchach strajkowych r. 1886 był do śmierci napastowany i lżony w przemówieniach publicznych, w prasie i nawet z ambony. Lindsay zbyt jest przejęty staro-purytańskim ferworem moralizatorskim, by podporządkować swe humanitarne tendencje celom artystycznym. Na każdym kroku w swych wierszach rozgłośnie i z patosem deklamuje przeciw różnym krzywdom i nieprawościom społecznym; nawet nad hałasem jego jazzowych rytmów góruje „fortissimo" jego grzmiących oskarżeń i kaznodziejskich napomnień.

Rażąca niejednokrotnie jaskrawość jego poezji i jej nazbyt krzykliwe akcenty są może tylko najskrajniejszym wyrazem tej reakcji przeciw jednostajnemu, standaryzowanemu życiu codziennemu szeregowego obywatela amerykańskiego, która była przecież jednym z głównych motywów ogólnych całego nowego ruchu w poezji. Przemawiając rodzimym głosem środkowego Zachodu, Lindsay stworzył nowy regionalizm literacki, daleki od zdawkowego optymizmu i sentymentalnej słodyczy dawnych regionalistów. Jego „koloryt lokalny", obejmujący zarówno światła jak i cienie ojczystego regionu, brak estetycznej harmonii w całokształcie obrazu okupuje wartościami swego realizmu.

Ale Lindsay jest czymś więcej niż twórcą nowego regionalizmu. Jest przede wszystkim tym z pośród wielkiej piątki znakomitych nowych poetów amerykańskich, który zdobył sobie — może bardziej przez swe recytacje i śpiewy niż przez słowo drukowane — największą popularność wśród szerokich mas. Wysiłki jego nad zyskaniem posłuchu u szerokiego ogółu ziomków były przedsięwzięte w imię pewnego określonego programu, było nim przeniknięcie całego zbiorowego życia Ameryki Pięknem. Nie jest więc przesadą stwierdzić, jak to uczynił jeden z bystrzejszych krytyków, że Vachel Lindsay, opierając się na starej tradycji śpiewu chóralnego, religijnego i obozowego zarówno białych jak i mu-

rzynów, położył w swej twórczości podwaliny pod coś, czego Ameryka dotychczas w swoistej postaci nie miała, a co w rozwoju kulturalnym i literackim narodów europejskich tak potężną odegrało rolę, mianowicie pod prawdziwą poezję ludową, pod rdzennie amerykańską „pieśń gminną", w której by ten wielki naród mógł złożyć, jak inne przed nim, „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty".

7.

Jak widzieliśmy, Vachel Lindsay niektóre właściwości swej rytmiki i swego obrazowania zawdzięcza pieśni i muzyce murzyńskiej. Tu więc będzie miejsce wspomnieć o wkładzie poetów-murzynów w ten nowy ruch poetycki w Ameryce, którym się zajmujemy. Poetkę-murzynkę, niewolnicę, urodzoną jeszcze na ziemi afrykańskiej — *Phyllis Wheatley* — miała Ameryka już w XVIII wieku; ale na wyższe, uznane stanowisko wśród poetów amerykańskich wzbił się murzyn dopiero pod koniec XIX stulecia. Był nim *Paul Laurence Dunbar* (1872—1916), który z chłopaka hotelowego zdołał stać się urzędnikiem Biblioteki Kongresu w Washingtonie. W swych „Pieśniach z życia biednych ludzi" (1896) i dalszych tomikach wierszy obok wpływu takich wzorów folkloru poetyckiego jak Burns w Szkocji, a Whittier i inni poeci życia zaściankowego w Ameryce, podlegał także wpływowi licznych współczesnych amerykańskich powieściopisarzy-regionalistów z ich czułostkowym nieraz kolorytem lokalnym. Dunbar, posługując się obficie i nieraz nader udatnie gwarą murzyńską, daje nam obrazki rodzajowe z życia społeczności murzyńskiej, zwłaszcza sceny miłosne i rodzinne, ujmujące swym dobrodusznym, realistycznym humorem, choć nie zawsze wolne od nieco naciągniętych akcentów melodramatycznych. Gdy chce wypowiadać myśli ogólne, posługuje się angielszczyzną literacką, i wtedy umie uderzyć w tony czyste i wzniosłe. Do wielu jego wierszy dorobiono muzykę, i stały się popularnymi pieśniami.

Większe od Dunbara, zasadnicze znaczenie w dziejach murzyństwa amerykańskiego ma *James Welldon Johnson* (ur. w r. 1871). Ten już odebrał regularne wykształcenie uniwersyteckie i został nawet konsulem amerykańskim w Nikaragwie. Będąc, jak wielu przywódców ruchu murzyńskiego, tylko półkrwi murzynem, łatwiej sobie zdobył dostęp do społeczeństwa białych i korzystał zeń, by gorliwie działać dla dobra murzyństwa: przez wiele lat był sekretarzem wielkiej organizacji kulturalno-oświatowej, zwanej „Związkiem dla podniesienia ludności kolorowej", wydał w r. 1922 pierwszą antologię amerykańskiej poezji murzyńskiej, oraz dwutomowy zbiór owych przepięknych w swej mieszaninie żartobliwości z rozrzewnieniem pieśni religijnych murzyńskich („Negro Spirituals"), którymi się zachwycają audytoria we wszystkich częściach świata. W atmosferę tych hymnów przenosi nas w swej własnej poezji autor w tomiku „Surmy Boże" (1927), który okazuje się szeregiem wierszowanych kazań na tematy biblijne w typowym stylu czarnych kaznodziejów. Zwłaszcza wiersz o stworzeniu świata ze swym rozkosznym antropomorfizmem, ujmującym kłopoty i medytacje Stwórcy w określenia z potocznej mowy ludzkiej, jest prawdziwym małym arcydziełem, którego doskonałość obeszła się nawet bez tra-

dycyjnej okrasy gwarowego słownictwa i murzyńskiej fonetyki. Można powiedzieć, że w poezji Johnsona dusza murzyństwa amerykańskiego doszła do klasycznej pełni swej rasowej świadomości.

Niemniej śmiałym głosem, a ze wzrastającą artystyczną dojrzałością, objawia się to samopoczucie plemienne wzgardzonego dawniej żywiołu murzyńskiego w tomikach wierszy innego murzyńskiego poety, nazwiskiem *Claude Mc Kay*, który z kuchcika hotelowego wyrósł na publicystę i redaktora awangardowego murzyńskiego czasopisma literackiego. Z jego utworów poetyckich, pojawiających się od r. 1920, przemawia naga prawda tej afrykańskiej żywiołowości, która pozostała cechą murzyna nawet wśród wielkomiejskiej cywilizacji uprzemysłowionego Nowego Świata. Rozlegają się przytem nieraz gwałtowne akcenty antagonizmu socjalnego pod adresem białych, a najwymowniejszym autobiograficznym komentarzem do tych akcentów jest powieść autora „Z powrotem do Harlem", opisująca przygody wzgardzonego pariasa-murzyna w czasie pierwszej wojny światowej.

Wszystkich wymienionych poetów murzyńskich blaskiem rzetelnego talentu literackiego przewyższył *Countee Cullen* (ur. w r. 1903), kształcony w starym Uniwersytecie im. Harvarda i już od lat studenckich szturmem zdobywający sobie sławę w całym świecie czytającym Ameryki. I on został redaktorem murzyńskiego czasopisma literackiego; i on po Johnsonie wydał antologię wierszy poetów murzyńskich pod nastrojowym tytułem „Rozśpiewany mrok" (1927). Właśnie jego wiersze w niezwykły sposób łączą śpiewność liryczną i siłę uczucia z epigramatyczną niemal zwięzłością i dobitnością wyrażenia. Mimo wirtuozji, z jaką włada językiem i wierszem białych, Cullen zresztą nie sprzeniewierza się swej rasowej tradycji i przemawia równie pełnym tonem świadomości plemiennej murzyńskiej jak Mac Kay lub Johnson, nad których jednak wznosi się doskonałością formy poetyckiej. Jeden z najznakomitszych jego wierszy nosi znamienny tytuł „Dziedzictwo", i w rapsodycznej formie przedstawia snujące się po duszy murzyńskiej wpół-świadome wspomnienia o prawiekowym bycie afrykańskim.

Omówieni tu poeci murzyńscy, uznani za najwybitniejszych, stanowią tylko drobny ułamek tej falangi indywidualności pisarskich spośród murzyństwa, które pojawiło się na widowni piśmiennictwa amerykańskiego w ostatnich dziesięcioleciach, a zwłaszcza w okresie rozkwitu poezji, od r. 1912. Wystarczy te kilka przytoczonych przykładów, by wykazać, że murzyn stał się potężnym czynnikiem w literaturze amerykańskiej już nie tylko jako przedmiot — którym był tylokrotnie od powieści pani Beecher Stowe i Marka Twaina do sztuk O'Neilla — ale jako twórczy podmiot, oddziałujący nieraz silnie i głęboko na natchnienia pisarzy rasy białej.

8.

W świat pisarzy białych powróćmy teraz w końcu po tej wycieczce w krainy duchowe murzyństwa. Wokoło scharakteryzowanej powyżej „wielkiej piątki" najznakomitszych poetów epoki roi się od talentów mniejszych, ale zawsze jeszcze niepospolitych, a głośnych zwłaszcza wtedy, gdy się łączyły w obozy

literackie o wspólnym programie. Dużo wrzawy polemicznej narobiła w drugim dziesięcioleciu XX wieku wspomniana już grupa „poetów-imażystów", którą tak z francuska ochrzcił zeuropeizowany amerykański literat-eklektyk *Ezra Pound*, a której organ pokrewna mu duchem poetka *Amy Lowell* wydawała w ciągu wojny światowej w Londynie. Do tej grupy, która zresztą niebawem się rozeszła indywidualnymi drogami, należało kilku wybitnych pisarzy angielskich, wśród nich D. H. Lawrence, a z Amerykanów odosobniona w swym czystym klasycyzmie poetka *Hilda Doolittle*, oraz *John Gould Fletcher*, zrazu entuzjasta koloru w poezji, później zadumany mistyk. Imażyzm, choć mało oryginalny w swej zasadniczej ideologii, w każdym razie przez nacisk położony na formalne walory wyrazu poetyckiego uchronił bujnie się rozwijającą nową poezję amerykańską od wad łatwizny i frazesowiczostwa.

Już w czasie pełnego rozkwitu nowej twórczości poetyckiej odkrytą została długo po swej śmierci, nieznana nikomu za życia, samotna poetka *Emilia Dickinson* (1830—1886), której lakoniczno-epigramatyczne wiersze refleksyjne dziś zdumiewają czytelników głębią filozoficznej zadumy i śmiałością myśli, zapewniając jej ustalone już stanowisko jako jednej z wielkich postaci literatury amerykańskiej. Zaś w samym zaraniu nowej ery poezji zajaśniał blaskiem gwiazdy pierwszej wielkości talent młodej wówczas studentki, *Edny St. Vincent Millais*, której sławny pierwszy twór „Odrodzenie" z rzadką siłą myśli i uczucia wyraża wędrówkę zadumanej duszy z głębin rozpaczy nad bólem świata na wyżyny szczęsnego poczucia jedności z boskim jego wszechżyciem. To samo poczucie wspólnoty kosmicznej z duszą wszechbytu, przenikając dalszą twórczość tej poetki, pomaga jej przezwyciężyć właściwe młodej generacji po pierwszej wojnie światowej nastroje rozczarowania i zniechęcenia. Znalazła ona zresztą wdzięczne pole dla swych energii twórczych przez udział w rozwijającym się w tym czasie żywym ruchu artystyczno-teatralnym: w działalności towarzystwa amatorskiego „The Provincetown Players" uczestniczyła i jako aktorka i jako pisarka dramatyczna i niepomiernie się przyczyniła do pionierskiej prawdziwie roli, odegranej przez tę instytucję w dziejach kultury teatralnej współczesnej Ameryki. W szeregu innych poetek, które w tym czasie zyskały rozgłos, na uwagę zasługuje szczególnie *Marianna Moore* przez swą zwięzłą a zadziwiająco oryginalną gnomikę refleksyjną, podobną w treści, choć nie w tonacji do niezrównanych lakonizmów Emilii Dickinson.

Imażyści przez swój bunt przeciw konwenansom tradycji rozpętali formalny szał pisania „wolnym wierszem" na sposób francuski, czego dawniejszym rodzimym wzorem zresztą był wielki Walt Whitman. W skrajne dziwactwa wyrazu poetyckiego popadali z vers-librystów amerykańskich najgłośniejsi — *Alfred Kreymborg, Maxwell Bodenheim* i młodszy od nich, a najjaskrawszy ze wszystkich w swych ekscentrycznościach *Edward Estlin Cummings*, którego ubóstwianym francuskim wzorem był Guillaume Apollinaire. Wiernym natomiast uczniem Whitmana jest *James Oppenheim*, który zresztą jako Żyd dużo też ma do zawdzięczenia retoryce biblijnej Starego Testamentu. Przedstawicielem ostateczności wprost przeciwległej whitmanowskiej wylewności, mianowicie poezji aluzji i przemilczeń, jest *Wallace Stevens*, stylista poetycki tak skrajnie

subtelny i delikatny, że wśród półtonów jego wiersza nieuchwytna się staje wszelka cielesność, wszelka osobowość, ba wszelka rozumowa treść. W jego rękach poezja staje się już jakąś ezoteryczną magią.

W pośrodku pomiędzy aluzyjnością na sposób Stevensa a whitmanowską żywiołowością porusza się *Conrad Aiken*, poeta o wysokiej i rozległej kulturze literackiej, który jako krytyk pamiętnie się zapisał przez odkrycie wielkości Emilii Dickinson, a jako twórca przeszedł od czystego estetyzmu do obrazów tragicznych rozczarowań życiowych wrażliwej duszy ludzkiej w takich poematach jak „Punch" lub „Festus" i rozciągnął tę koncepcję nawet na całe dzieje pochodu cywilizacyjnego ludzkości w swej smutnej alegorycznej fantazji „Droga". Rozczarowanie jednostki czułej wśród standaryzowanego, uprzemysłowionego świata amerykańskiego jest nutą górującą w poezji utalentowanego emigranta włoskiego *Artura Giovannitti*, który jako agitator organizacji rewolucyjno-socjalistycznej dostał się do więzienia i w więzieniu przez lekturę poezji wolnościowej wielkich romantyków angielskich sam stał się piewcą namiętnego radykalizmu społecznego, piszącym po angielsku przeważnie falami rytmicznej prozy na sposób whitmanowski. Jego dłuższy poemat więzienny „Kroki nad moją głową" wyzywa i wytrzymuje porównanie z „Balladą o więzieniu w Reading" Oskara Wilde. Jeszcze dalej niż Giovannitti, poza granice krytyki istniejącego ustroju społecznego, a nawet poza granice społeczności ludzkiej w ogóle, w dziedzinę gry sił żywiołowych, zapędza się w zapamiętaniu swego pesymizmu kalifornijski poeta *Robinson Jeffers*, przedstawiający na tle wspaniałej przyrody Kalifornii tragiczne konflikty między żywiołową namiętnością a skomplikowanym nowoczesnym ustrojem społecznym. Jego kosmiczny tragizm kojarzy w jedną burzliwą całość symboliczną porywy uczuć ludzkich z prawiekowymi kataklizmami w naturze. Pesymizm, przenikający ten pogląd na świat, wyrasta wprost z determinizmu myśli przyrodniczej XIX wieku, na której autor duchowo się wykarmił. Monistyczne zapamiętanie poety, utożsamiającego dolę człowieka z dolą reszty przyrody, uległo pewnemu złagodzeniu w późniejszej jego twórczości, ale całość jego dorobku w swej istocie pozostaje w literaturze amerykańskiej jako pomnik rozczarowań pokolenia, które zawiodła i wiara w naukę i technikę i wiara w dobroczynność demokratycznych urządzeń państwowych i społecznych.

9.

Naczelnym rzecznikiem poetyckim tego pokolenia rozczarowanych stał się *Thomas Stearns Eliot* (ur. w r. 1888). Ten najwybitniejszy i najszerzej dziś znany poeta całego świata anglosaskiego urodził się wprawdzie i wychował w Ameryce, tam się kształcił w starym Uniwersytecie Harvarda, tam zaczął tworzyć i tam wydał drukiem pierwsze swoje dzieła, ale po dalszych studiach w Paryżu — gdzie wszedł w kontakt z młodą Francją literacką — osiadł już od r. 1914 na stałe w Anglii, gdzie się ożenił i zadomowił, i gdzie odtąd jest czynny, zrazu jako prelegent akademicki, później jako współpracownik i redaktor czasopism, wreszcie jako doradca literacki wielkiej firmy wydawniczej. Do swej ojczyzny amerykańskiej powrócił już w późniejszych latach jako

uznana znakomitość i zajmował zaszczytne stanowisko „profesora poezji" w Uniwersytecie Harvarda w r. 1932/3.

Pierwszy większy utwór poetycki Eliota, „Pieśń miłosna J. A. Prufrocka", pisany jeszcze za czasów studenckich w Ameryce, odrazu objawił zdumionemu światu współczesnemu ten oszałamiający styl poetycki, który odtąd pozostał Eliotowi właściwy. Zewnętrzną jego cechę stanowi zupełna swoboda wierszowania i kalejdoskopowa zmienność rytmów, ponadto zaś obfitość różnojęzycznych cytat, to używanych jako godła, to zapożyczanych bez ceremonii do własnego tekstu, czy w całości czy w kawałkach, czy w dokładnym tekście czy z rozmyślnymi odmianami. Ta erudycyjna ornamentyka ma za widoczny cel nadanie charakteru uniwersalnego indywidualnej treści utworów. Owa zaś treść indywidualna jest równie nieuchwytna, jak formalna szata tej poezji jest dezorientująca. Prześlizgujemy się od jednego obrazu do drugiego, bez widocznego między nimi związku. Niejeden z nich jest zaledwie naszkicowany, a niejeden tylko zaznaczony w kilku słowach. Poruszamy się naprzemian po mglistych ulicach wielkiego miasta o różnych porach dnia i nocy, to znowu po salonach estetyzującej inteligencji, gdzie chwytamy ułamki ultra-intelektualnych rozmów snobów i snobek, których niewyraźne sylwetki migawkowo przesuwają nam się przed oczyma. Niewiele wyraźniej zarysowuje się postać tytułowego bohatera, podstarzałego gentlemana o łagodnie melancholijnym usposobieniu, i historia jego niezdecydowanych zalotów, zakończonych ponoś małżeństwem z damą z owego snobistycznego świata inteligenckich salonów. Może nie bez słuszności przypuszcza młodszy poeta angielski C. D. Lewis — jeden z wielbicieli i potrosze uczniów Eliota, — że ta historia miłosna Prufrocka, to alegoria stosunku między poetą samym a tą zblazowaną młodą inteligencją powojenną, do której gestów i gustów zrazu się dostosował, ale z którą potem jego instynkt moralny kazał mu zerwać.

Jednym z głównych źródeł „nowego stylu" poezji Eliota była niewątpliwie technika filmu: tak samo jak reżyser filmowy czasem się posługuje szeregiem niepowiązanych między sobą obrazów dla wywołania pewnych nastrojów czy spotęgowania napięcia dramatycznego, tak tu poeta używa szeregu widzeń, połączonych tylko jednością tonu uczuciowego, a nie rozumową treścią. Obok bezsprzecznego wpływu techniki kinematograficznej równie pewnym i wyraźnym jest tutaj, jak u tylu innych nowszych poetów angielskich i amerykańskich, wpływ nowoczesnej poezji francuskiej od Baudelaire'a, Verlaine'a i Rimbauda aż do takich bardziej bezpośrednich już wzorów Eliota jak Jules Laforgue i Tristan Corbière, a o ile chodzi o postawę intelektualną także Paul Valéry. Równie potężnie jak te nowe bożyszcza francuskie jednak oddziałały na poetę dawne angielskie, zwłaszcza wielbiona przez samego Eliota jako krytyka grupa filozofujących liryków XVII wieku, zwykle zwanych „poetami metafizycznymi". Wspólną cechą poezji ich i Eliota jest osobliwe i zupełnie niezwykłe połączenie wyrafinowania intelektualnego ze zmysłowym realizmem: tę kombinację ma w swojej naturze poetyckiej Eliot w równej mierze co uwielbiany dziś gorąco, a do niedawna nierozumiany zupełnie poeta-kapłan John Donne (zm. 1631).

Skojarzenie intelektualizmu z realizmem już w drugim zbiorku poezji Eliota

(z r. 1920) przybiera często postać gryzącej satyry, nadającej swoiste zabarwienie całemu tomowi. Już tu w szeregu utworów figuruje typowa postać, często się pojawiająca w późniejszej poezji Eliota pod nazwiskiem „Sweeney". Jest to uosobienie wszystkiego, co „wieprzowate" w świecie powojennym; wśród tego świata zmechanizowanego Sweeney reprezentuje przy wielkiej pospolitości ducha i myśli przynajmniej tężyznę i zdrowie fizyczne. Najcharakterystyczniejszą jednak dla ogólnego nastroju tego tomu jest postać, wypowiadająca wstępny monolog p. t. „Gerontion"; jest to człowiek przedwcześnie postarzały wśród zawodów i rozczarowań żywota, i wywodzący swe skargi na tle zniszczonego i wyjałowionego świata, w „walącym się domu". To już wyraźna przygrywka do następnego utworu, który stał się przedmiotem najsprzeczniejszych opinii — uczynił Eliota głośną figurą w literaturze współczesnej.

Utworem tym jest osobliwy poemat „Ziemia jałowa" (1922). Jak większość dzieł Eliota, jest to rzecz niewielkiej objętości: czterysta kilkadziesiąt wierszy zaledwie; ale do dwudziestu pięciu stronic tekstu autor tym razem uznał za właściwe dodać aż dziewięć stronic adnotacji, podających źródła cytat, wyjaśniających aluzje i tłumaczących intencje artystyczne autora. Objaśnienia te są istotnie bardzo potrzebne ze względu na przygniatającą, jak zwykle u Eliota, obfitość zapożyczeń tekstualnych z literatury różnych wieków i krajów, od Biblii do Baudelaire'a. Ponadto jednak dopiero przy pomocy tych not zdajemy sobie sprawę z właściwej osnowy ideowej utworu. Początek poematu bowiem zdaje się zapowiadać tylko opis tej „jałowej ziemi", o której mówi tytuł — ziemi zamarłej beznadziejnie i nie ożywianej nawet twórczym tchnieniem wiosny. Dopiero z przypisków dowiadujemy się naprawdę wyraźnie, że ten obraz sytuacyjny jest tłem dla symbolicznej fabuły, osnutej na średniowiecznej legendzie o wędrówce szlachetnego marzyciela-rycerza Parsyfala w poszukiwaniu świętej czaszy Graala. Król „ziemi jałowej", jak król Amfortas w wolframowej wersji legendy o Parsyfalu, dotknięty jest tajemniczą niemocą, która na całym kraju odbija się klęską przewlekłej posuchy, niszczącej urodzaje; celem niebezpiecznej wyprawy bohatera jest uzdrowienie króla, a zarazem powrót wód i przywrócenie urodzajności ziemi. Główne rysy tej fabuły istotnie można odnaleźć w samym tekście utworu; ale obok niej pojawiają się i nikną znowu przeróżne inne tematy. Jest i spotkanie niepoznanego Chrystusa z uczniami w Emaus i typowa postać starożytnego żeglarza fenickiego i jako nowoczesny jej odpowiednik grecki handlarz rodzynek; są i karty tarokowe i ich symbolizm; jest jakaś Madame Sesostris, „sławna jasnowidząca" i jest „umierający Bóg" z wielkiego dzieła Frazera o mitologii porównawczej; jest wielkopiątkowy obraz pustej Golgoty po zdjęciu z krzyża, jest fenicka Kartagina i jest afrykański biskup św. Augustyn i są „Córy Tamizy" (powtarzające w londyńskiej tonacji refreny wagnerowskich „Cór Renu"), i są — jak już w „Prufrocku" — wszelakie aspekty Londynu jako symbolu wielkomiejskiej cywilizacji naszych czasów. Wszystko to rozpływa się w chaos, to znowu zespala jakoby w jakąś symfonię. Naczelnym spektatorem całej tej powodzi wizji jest starożytny tebański wróżbita Tejrezjasz, który za wolą bogów był na siedem lat przemieniony w kobietę, a więc przemawia głosem całej pełni doświadczeń ludzkich. Ale i ten herold myśli

autora nie spaja całości w jakąś uchwytną jedność syntetyczną. Pozostajemy pod wrażeniem zawrotnej pogoni obrazów, luźnie i przygodnie ze sobą się kojarzących, jak nielogiczny łańcuch marzeń sennych, podobnie jak się to dzieje w takich powieściach współczesnych jak głośny „Ulysses" Joyce'a z jego dążnością do przelania na papier całego „potoku świadomości".

Rezygnując z doszukiwania się w tak zbudowanym utworze logiki ideowej i ciągłości treści, nie możemy jednak zaprzeczyć, że jest w nim jedność nastroju i tendencji. „Ziemia jałowa" jest niewątpliwie cennym dokumentem społecznym i psychologicznym, ilustrującym umysłowość całego tego pokolenia, którego wszystkie wierzenia, nadzieje i ideały rozbiła pierwsza wojna światowa. Według określenia samych przyjaciół literackich Eliota nad poematem panuje „negacja, chaos i rozpacz". Jeden z nich nawet mówi, że zasługą Eliota jest skonstatowanie „pragnienia śmierci" w łonie cywilizacji zachodniej, zanim jeszcze to pragnienie wzniosło się nad powierzchnię świadomości w postaci rozczarowania późniejszych lat wojennych.

Po „Ziemi jałowej" Eliot jako głośny już pisarz zdaje się zrazu kroczyć tymi samymi szlakami beznadziejnego zwątpienia. W najbliższym jego dłuższym poemacie „Ludzie-pałuby" (1925) spotykamy się z symbolem, który nam Polakom przypomina Chochoła u Wyspiańskiego, ten nieśmiertelny wyraz zautomatyzowania życia duchowego narodu: u Eliota kukły ludzkie, wypchane słomą, na tle obrazu martwej ziemi, pokrytej cmentarnymi posągami, tańczą wokoło suchego kaktusa w rytm sparodiowanej piosenki dziecinnej. Rytm ten jednakże przechodzi nagle w jakieś litanijne zawodzenie o treści religijnej, z refrenem z zakończenia protestanckiego „Ojcze nasz": „Albowiem twoim jest królestwo". Jesteśmy widocznie na granicy dwóch okresów twórczości poety, i tu tę granicę widomie przekraczamy. Na miejsce liryki zwątpienia i rozczarowania staje liryka osiągniętej pewności duchowej, a tą pewnością jest — odzyskana wiara religijna. Ze sfery pojęć kościelnych i liturgicznych pochodzą teraz we wielu wypadkach same tematy poetyckie Eliota: „Wędrówka Trzech Króli", „Pieśń dla Symeona", „Popielec" — oto znamienne tytuły wierszy Eliota z tego czasu. Powracają w nich coprawda w nowych odmianach dawne eliotowe motywy — zwłaszcza motyw jałowej ziemi i niebezpiecznej wyprawy, — ale w ostatecznej konkluzji pada na nie światło jakiejś nowej ufności i nadziei.

W roku 1930 Eliot, który z urodzenia należał do wolnomyślnej i liberalnej społeczności religijnej unitarian (potomków duchowych naszych Arian polskich), przeszedł wprawdzie nie na łono Kościoła rzymsko-katolickiego, ale do tego prawego skrzydła społeczności kościelnej anglikańskiej, które dla odróżnienia od protestanckiej lewicy samo przybrało nazwę „anglo-katolików" i kładzie największy nacisk na tradycyjne formy obrzędowe o typie katolickim. Ten przełom religijny w życiu poety niebawem nadał zupełnie nowy kierunek jego twórczości. Jeden z najbardziej ezoterycznych liryków naszych czasów zostaje teraz poetą dramatycznym, a więc przemawia do większego grona ludzi, a co więcej, tworzy widowisko sceniczne o charakterze dewocyjnym: dramat mistyczny „Skała" (1934) pisany z przeznaczeniem zdobycia funduszów na dokończenie budowy nowych kilkudziesięciu kościołów anglikańskich w Londynie. Ta in-

tencja natchnęła treść utworu: widzimy na scenie grupę robotników, budującą kościół, i wraz z nimi słuchamy sprzecznych opinii przechodniów, oraz biegunowo różnych argumentów rozmaitych agitatorów partyjno-politycznych. Wplecione w to wszystko są wizyjne sceny historyczne, ilustrujące trudności i konflikty, związane z podobnymi poczynaniami w dawnych czasach; dalej feeryjne interludia w stylu popularnych widowisk gwiazdkowych dla dzieci; wreszcie znane nam już z dawniejszych dzieł poety motywy symboliczne, jak pustynny krajobraz, woda-żywicielka i pusta Golgota. Ale wyłaniająca się z tej całej rozmaitości myśl przewodnia nie jest już tymczasem negacją wszelkiej nadziei dla świata, lecz zdąża do konkluzji wybitnie pozytywnej. Nie podzielając gloryfikacji średniowiecza przez innych konwertytów — takich jak Chesterton, — Eliot dowodzi wprawdzie, że „dobrych czasów nie ma nigdy, bo we wszystkich epokach trzeba się przed czymś bronić i o coś walczyć", ale równocześnie zaznacza, że przy aktywnej, bojowniczej postawie życiowej nie ma niemożliwości dla ludzi wiary i przekonania. I akcentem nadziei na lepszą przyszłość silnie rozbrzmiewają końcowe słowa dzieła: „Kościół dla nas wszystkich i praca dla nas wszystkich i świat Boży dla nas wszystkich aż do końca dni!"

Podobnie okolicznościowym utworem jak ten pierwszy, jest i drugi religijny dramat Eliota. Tym razem chodzi o konserwację gotyckiej katedry w Canterbury, prastarej siedziby prymasów Anglii. Festival w r. 1935, mający dostarczyć dochodów na ten cel, uświetnił Eliot poematem dramatycznym „Morderstwo w katedrze", osnutym na zamordowaniu św. Tomasza à Becket w katedrze kanterburyjskiej przez siepaczy króla Henryka II w r. 1170. Temat traktowany już wielokrotnie w literaturze — podobnie jak analogiczna tragedia św. Stanisława w naszych dziejach — ujął Eliot od strony introspektywno-psychologicznej, zgłębiając problem umysłowości męczennika. Przez chóry, monologi i dialogowe argumentacje utworu przewija się myśl przewodnia, że męczeństwo, jak nie wynika nigdy z przypadku, tak nie wynika z samej tylko woli ludzkiej; bo prawdziwy męczennik to ten, który stał się narzędziem woli Boga, i w poddaniu się jej znajdując prawdziwą wolność, nie pragnie już niczego dla siebie, nawet chwały męczeństwa. Jak w samej architekturze starej katedry w Canterbury wybujałe bogactwo ornamentyki nie przytłumia wyrazistości głównych linii strukturalnych i wymownej a wzniosłej symboliki, tak i w dramacie Eliota właściwa poecie obfitość obrazowania i rozmaitość instrumentacji dźwiękowej nie przyćmiewają i nie rozpraszają światła jedynej górującej idei, którą jest włączenie woli jednostki w system woli Bożej jako prawa świata.

Korelatem artystyczno-literackim tej pozytywnej postawy dogmatycznej, do której od swego dawniejszego zwątpienia doszedł Eliot, jest stanowisko, które zajął — nawet już wcześniej — jako krytyk i teoretyk literatury. Akcentuje mianowicie silnie wartości i znaczenie tradycji literackiej. Nie uznając w sztuce „postępu" w tym sensie, w jakim go zna technika, kładzie jednak wielki nacisk na ciągłość rozwoju literatury, który niczego trwałego nie zostawia po drodze. Podziwia więc w Dantem nade wszystko uniwersalizm, który czyni z jego arcydzieła syntezę całej kultury średniowiecznej; a przy całym zapale dla wielkiej twórczości geniuszów poetyckich Anglii nie waha się literaturze francuskiej jako

całości przyznawać wyższości nad angielską, właśnie za siłę jej zbiorowej tradycji, za historyczną jednolitość ducha narodowego, który z niej przemawia. Solidaryzując się w ten sposób z tą reakcją przeciw romantycznemu i liberalnemu kultowi oryginalności indywidualnej, której dał początek w zaraniu naszego stulecia Piotr Lasserre we Francji, Eliot jednak w przeciwieństwie do anty-romantyzmu amerykańskiej szkoły „humanistów", współczesnych sankcji dla swej postawy, jak w ogóle dla każdego zasadniczego poglądu na świat, szuka nie w rozumowej argumentacji, lecz w natchnieniu religijnym. W umysłowości tego zdeklarowanego anty-romantyka silnym się okazuje element duchowy tak wybitnie romantyczny jak mistycyzm.

Nie moglibyśmy zresztą przy wszelkich anty-romantycznych wypowiedziach teoretycznych uznać za czystego klasycystę poety, w którego dziełach tak istotnym czynnikiem jest swobodna gra skojarzeń ideowych i działanie pierwiastków raczej instynktownych i podświadomych niż rozumowych i logicznych. Eliot może być szczerym wyznawcą klasycyzmu w swych dążnościach teoretycznych, ale ma dużo cech romantyka — i to cech twórczo cennych — w swej praktyce poetyckiej. Takie połączenie myślowych walorów klasycyzmu z romantycznymi tajnikami tworzenia jest ponoś dziś konieczną właściwością każdej wybitnie uzdolnionej jednostki artystycznej, co prawdziwie dziedziczy pełnię bogactw naszej wspólnej wielkiej tradycji kulturalnej.

Z twórczością Eliota zaznajomił czytelnika polskiego w subtelny i dokładny sposób *Wacław Borowy* przez swoje studia „Wędrówka nowego Parsyfala" („Przegląd Współczesny", Nr 170) i „T. E. Eliot, jako krytyk literacki i teoretyk tradycji" („Marchołt", r. I, Nr 4). W niedalekiej może przyszłości wyjdzie drukiem gotowy już przekład jednego z najcharakterystyczniejszych utworów Eliota, „Ziemia jałowa", dokonany przez *Czesława Miłosza*.

Wnikliwe uwagi o poezji Eliota, a zarazem dowody wielkiego wpływu na młodszych pisarzy daje poeta i krytyk angielski młodszej generacji, *C. D. Lewis*, w swej rozprawie „Jest nadzieja dla poezji" („A Hope for Poetry"), Oxford 1934, 2. wyd. 1936.

Najlepszym wprowadzeniem w całą objętą niniejszym studium grupę zjawisk w dziejach poezji amerykańskiej jest „Modern American Poetry: a Critical Anthology", edited by Louis Untermeyer, New York, Harcourt, Brace, and Company, 3. wyd. 1925.

KAZIMIERZ WYKA

GOSPODARKA WYŁĄCZONA

Kto pragnie pojąć psychologię gospodarczą społeczeństwa polskiego na progu trzeciej niepodległości, sięgać musi do zjawisk gospodarczych podczas okupacji. W psychologii tej bowiem doskonale sprawdza się twierdzenie, że skutki psychologiczne zawsze trwają dłużej aniżeli baza, która je obiektywnie spowodowała. Stąd, nawiasem mówiąc, złudzenie samodzielności procesów psychologicznych.

Problem, który w szkicu niniejszym pragnę rozpatrzyć, doniosły jest w swoich obydwu wyglądach: jako opis zjawisk całkiem niedawnych, a przecież tak skromnie zapamiętanych i tak mało uświadamianych, z jednej strony, z drugiej zaś jako opis skutków psychologicznych, trwających nadal, chociaż rozbita została struktura gospodarcza byłego Generalnego Gubernatorstwa. Okres pięciu przeszło lat był bowiem dostatecznie długi, ażeby przy systematycznym i konsekwentnym uporze, a tego Niemcom nie brakowało, stworzyć fakty, które się mocno w tej psychologii odcisnęły. Zwłaszcza że fakty owe odpowiadały wielu niespełnionym dotąd nadziejom. Będziemy mówić — jeszcze jedno zastrzeżenie — tylko o Generalnym Gubernatorstwie, albowiem jedynie na tym skrawku Polski zjawiska, jakie analizujemy, zdołały się w pełni rozwinąć.

Przesłanki niemieckiej polityki gospodarczej

Jakie były przesłanki polityki gospodarczej Niemiec w Generalnym Gubernatorstwie?

Odpowiedzi wstępnej udzielą nam dwa fakty: najpierw — przebieg granicy między Rzeszą a Generalnym Gubernatorstwem, po wtóre — system kartkowy Gubernatorstwa, jako fikcja społeczna i gospodarcza. Granica została tak przeprowadzona, by cały przemysł, węgiel i hutnictwo odpadły od Gubernatorstwa, a reszta pozostała w cofniętym ewolucyjnie charakterze kraju czysto rolniczego. Naturalnie nie dało się wykonać tego w sposób całkowicie idealny. Starachowic, Tomaszowa, Mościc, Stalowej Woli, bogatego przemysłu Warszawy nawet Niemcy nie zdołali przenieść do Rzeszy, ale zasada była jasna: chodziło o to, by „niezależny" kadłub Polski niczego nie mógł eksportować prócz bab do pielenia buraków i prócz samych buraków.

Ten przebieg granicy w apetytach niemieckich nie stanowił żadnej nowości. Czasu pierwszej wojny światowej, kiedy powstać miało beselerowskie królestwo polskie, podobnej linii granicznej żądał sztab niemiecki. Także nie był nowością cel tego przekrojenia: w pierwszej wojnie światowej Niemcy tak samo naciskały na stłumienie przemysłu Kongresówki, a w powstającym po ich stronie państwie polskim widzieć chciały rynek zbytu dla swego przemysłu.

Generalne Gubernatorstwo miało zatem stanowić na czas wojny kolonię rolniczą, dopóki zamierzone zwycięstwo nad Rosją nie pozwoliłoby Niemcom problemu rozwiązać w sposób ostateczny: przetrzebiona z inteligencji ludność polska gdzieś nad Wołgę, ludność rosyjska za Ural. Celu ostatecznego tym razem nie skrywano. Odpowiednich mów Franka nie warto cytować. Pamiętamy bez cytatów. Lecz do czasu tego rozwiązania stosunki z autochtoniczną ludnością kolonii należało jakoś urządzić. Uczyniono to według drugiego faktu podstawowego: system kartkowy jako fikcja społeczna. Ludności autochtonicznej stworzono taką bazę życiową, by nikt z niej nie mógł wyżyć. Zabroniono wszelkiego handlu produktami rolnymi, tak że każdy żandarm wyciągający gospodyni masło z koszyka działał prawnie, ludności polskiej nie dano oficjalnie nic prócz niewystarczającej ilości chleba. Prawnie nie spożyłem w ciągu wojny, ja i miliony mnie podobnych, ani grama tłuszczu, ani naparstka mleka, ani plasterka kiełbasy — a przecież tych produktów spożyliśmy dosyć wiele.

Ten fakt fikcji gospodarczej musi być kładziony jako fundament przemian gospodarczych Generalnego Gubernatorstwa. Wszystkie, nawet najbardziej rozgałęzione, procesy psychospołeczne do niego się sprowadzają. Przed ludnością Generalnego Gubernatorstwa zimą 1939/40 roku stanął prosty dylemat: albo zastosować się do tego, co wolno zjeść, i zdechnąć z głodu, albo — dać sobie jakoś radę. Naturalnie pierwszej alternatywy nikt poważnie nie brał pod uwagę, ważna była tylko sprawa: jak wbrew przepisom dać sobie radę? Na to „jak" każda warstwa społeczna odpowiedziała inaczej, innym zachowaniem i innymi reakcjami psychologicznymi. Opiszemy to szczegółowo, analizując postawę chłopa, robotnika, inteligenta, ziemianina.

U wstępu do analizy podobnej jeszcze dwa pytania musimy rozpatrzeć: najpierw, co mogło spowodować Niemców do stworzenia takiej fikcji gospodarczej, po wtóre, gdzie w tym systemie okazała się luka. Nie cenię tępoty psychologicznej Niemców tak wysoko, by sądzić że spodziewali się, iż Polacy zastosują się do ich przepisów gospodarczych i łagodnie wymrą z głodu. Nawet naród złożony z samych fakirów byłby się zbuntował. Podobną bzdurę mogły były wywołać tylko zupełnie specjalne powody: małpia złośliwość, chęć dokuczenia Polakom za wszelką cenę, chęć pokazania im, że w każdym względzie są podludźmi. Ponadto przedstawione prawo gospodarcze dawało okupantowi jak najswobodniejszą rękę w jego dalszych posunięciach wobec autochtonów: wszystko było zabronione, więc można było w potrzebie spuścić z wymagań, dołożyć i żądać wdzięczności. Istotnie w biegu okupacji niektóre klasy zatrudnionych coś tam otrzymały. Zatem mieszanina przyrodzonej pychy z kaprysem łaskawości, dająca w wyniku dziwoląg gospodarczy o głupocie, nieistniejącej chyba

nigdzie w reszcie okupowanej Europy. Ale w tym dziwolągu społeczeństwo polskie musiało żyć i znaleźć jego słabe strony.

Tych stron ujawniło się wiele. Przede wszystkim każde prawo zbyt rygorystyczne, by mogło być naprawdę dopilnowane i przeprowadzone, kompromituje się samo przez się i żadne najsurowsze sankcje nie przywrócą mu powagi. Jeżeli nielegalna hodowla świń zasadniczo karana jest śmiercią, a ta hodowla bardzo się opłaca, żandarm zaś miesiącami do wsi nie dociera, nikt ludzi nie powstrzyma od czułej opieki nad maciorą. Jeżeli można być złapanym z tłuszczem w każdym pociągu, ale przechodzi siły najsprawniejszej policji dniem i nocą pilnować wszystkich pociągów zmierzających do wielkiego miasta, nikt ludzi nie powstrzyma od podróżowania z tłuszczem. Te pewniki zostały szybko i bystro pojęte przez społeczeństwo polskie, prędzej nim Niemcy spostrzegli, że cała ich zapora jest zaledwie sitem. Kiedy spróbowali środków drakońskich, było już za późno. Społeczeństwo oswoiło się z fikcją i nie przerażały go odsłonięte zęby bestii. To była, rzec można, luka od dołu w fikcji. Luka dostępna każdemu, sprawdzona doświadczalnie, nawołująca do ryzyka, które przeważnie się opłacało.

Nie mniejsza luka okazała się rychło u góry fikcji, u samego szczytu systemu. Wybił tę lukę, symbolicznie mówiąc, ten Polak, który pierwszy miał na tyle intuicji psychologicznej, że nie przerażały go srogie miny, który przeczuł, że trzeba dać łapówkę i że łapówka będzie przyjęta. Tej luce od góry jest bowiem na imię łapownictwo i przekupstwo Niemców. Tutaj trzeba sięgnąć do wspomnień. Kiedy pojawiły się pierwsze zarządzenia gospodarcze, jako człowiek z natury skłonny brać na serio wszelkie rozporządzenia władz, przypuszczałem, że jest to pętla naprawdę mocna. Sądziłem wprawdzie, że życie jakoś ją rozluźni, ale w wielu domysłach i nocnych refleksjach nie pojawiła się nigdy myśl o łapownictwie. Dzisiaj wiem, że była to naiwność. Po prostu zanadto wierzyłem zewnętrznemu wyglądowi Niemców, ich pozornej surowości, by przeczuć, że gangrena moralna tkwi u nich pod samym naskórkiem. Rozmiarów tej gangreny nie przeczuwał zresztą nikt w Polsce i rychło, gdyśmy ją rozpoznali, ustalił się wobec okupanta ten znamienny stosunek psychologiczny tłumionej pogardy, jaką zawsze żywimy wobec ludzi, których łatwo wciągnąć w brud, choć zasadniczo winni mu być niedostępni.

Niemcy okazali się fantastycznymi łapownikami. Brali wszyscy, od pionków po górę partyjną. System przekupstwa ustalił się rychło jako niepisana, ale honorowana umowa dwustronna. Regularnie opłacającemu się masarzowi, piekarzowi czy młynarzowi, „nie robiono świństw". Łapownictwo stało się rychło pancerzem, który nasze życie gospodarcze uchronił od zgniecenia przez fikcję. Ale łapownictwo jest systemem podwójnym: jest kto bierze i jest kto daje. Nie wystarczy odrąbać dłoń biorącą, ażeby tym samym upadał proceder. Pozostaje ręka wdrożona w dawanie i ta będzie sobie szukać nowych klientów. Pamiętamy to i widzimy dzisiaj — ta rączka, gotowa dyskretnie wsunąć i podsunąć, trwa ciągle.

Łapownictwu poczęły rychło sprzyjać dalsze objawy. Już gdzieś w drugiej połowie 1940 roku każdy dostrzegał, że ustalają się nowe, jak przed wojną pi-

sywano, nożyce cen. Tym razem jedno ostrze nożyc stanowiły ceny i płace oficjalne, drugie ostrze ceny i potrzeby realne. Wnet się okazało, że polityka gospodarcza stara się utrzymać na najniższym poziomie ceny i płace oficjalne, te, które obowiązują przemysł wojenny i potrzeby Niemców, te, wedle jakich wysysa się soki kolonii, a całkiem się nie troszczy o ceny realne i o to, jak „ludność nieniemiecka" poradzi sobie z postępującym rozwieraniem się nożyc. Znów fikcja z urzędu, która rychło miała się odbić dalszymi fikcjami koniecznymi. Na razie chodzi nam o łapownictwo i jego powody od strony niemieckiej. Dysponentami hurtowymi towarów i surowców byli wyłącznie Niemcy i rychło stanęła przed nimi pokusa, której nikt pośród partyjników się nie oparł. Stanęła ta właśnie różnica wartości fikcyjnej a realnej, pokusa dyspozycji na lewo, z perspektywą zysku tym większego, że pieniądz zarobiony takim postępowaniem posiadał dla Niemca wartość nie rynkową, obniżoną, ale urzędową, wysoką. By wyżyć, Niemcy nie musieli się uciekać do tych sposobów, chyba dopiero w ostatnich dwóch latach — sam nałóg łapowniczy był wcześniejszy. Wyniknął z niepewności stanowiska okupanta, nakazującej — wbrew oficjalnej pewności siebie — kapitalizować i lokować pieniądz w złocie. Dlatego to ostatnimi odbiorcami złota, które z rąk Żydów przelewało się w społeczeństwo polskie, byli w dużej mierze Niemcy. Nie mówię naturalnie o kapitalizacji uproszczonej, polegającej np. na wyrywaniu złotych koron mordowanym ofiarom.

Ta fikcja niskiej ceny i niskiej płacy pociągnęła za sobą ze strony władz fikcję dalszą, która okazała się pożyteczną dla samego społeczeństwa. Uważając oficjalnie, że ceny nie różnią się od przedwojennych, nie można było nałożyć innych podatków od przedwojennych. Doszło więc do tego, że w czasie kiedy obroty i ceny były kilkadziesiąt razy wyższe, aniżeli w 1939 roku, podatki wzrosły minimalnie. Można było naturalnie usankcjonować wyższe ceny, dlaczego jednak trzymano się jawnego dla wszystkich próchna, nie umiem tego wyjaśnić.

Od strony moralności społecznej to wymknięcie się gospodarstwa systemowi podatkowemu jest czymś niesłychanie ważnym. W ten bowiem sposób indywidualne życie gospodarcze zostało w świadomości uczestników wyłączone od udziału moralno-ekonomicznego w życiu zbiorowym. Polak w Generalnym Gubernatorstwie nauczył się szybko, że ustrój skądinąd tak surowy, w tej dziedzinie poprzestaje na fikcji. Sami zaś Niemcy lukę w fikcji poczęli łatać w najprostszy sposób: inflacją, drukiem papieru monetarnego. W miarę przeciągania się wojny wzrastały potrzeby armii i przemysłu niemieckiego, a Generalne Gubernatorstwo musiało je płacić nie tylko milionami robotników, wywiezionych do Rzeszy. Przede wszystkim płaciło własnym żołądkiem, różnicą pomiędzy zarobkami a kosztami utrzymania, co ważniejsze zaś utajoną inflacją tych lat. Nie pojmie nikt pozornego ożywienia gospodarczego lat okupacji, kto nie pamięta jasno, że był to okres inflacji z jego wszelkimi pochodnymi psychologicznymi, ze sztuczną gorączką i żywotnością, z łatwością i lekceważeniem pieniądza zdobywanego nie wiadomo skąd. Ta inflacja tym przyjemniej działała, że „myśmy za nią nie odpowiadali". Byliśmy jak dziecko, któremu wlewają wódkę w usta, a ono twierdzi, że połykać musi. Skutki takiej euforii płacimy za to teraz i jeszcze długo płacić będziemy.

Było zatem tyle konsekwentnych i niekonsekwentnych fikcji w postępowaniu Niemców, że na pozór trudno znaleźć ich przyczynę wyjaśniającą. Tymczasem nie leży ona zbyt daleko. Trzeba tylko założyć, że wszystko co się działo ze strony niemieckiej w Generalnym Gubernatorstwie, stanowiło prowizorium na czas wojny. Obchodziły Niemców tylko te procesy gospodarcze, które były im doraźnie potrzebne. Przede wszystkim najtańsza siła robocza, na miejscu i na wywóz do Rzeszy. Dalej absolutna dyspozycja przemysłowa. Na trzecim miejscu system kontyngentu rolnego, któryby obsłużył armię i urzędnika niemieckiego. Stąd bezwzględność w jego wykonaniu. Na dalszym planie absolutna dyspozycja surowcowa tam, gdzie Generalne Gubernatorstwo nadawało się do rabunku surowców. Stąd np. polityka leśna i drzewna. Wszystko, co tych celów głównych nie dotyczyło, było właściwie okupantowi obojętne. Dla zasady ingerował, ale miękko.

Powstał przeto system gospodarki, która pewnymi swymi funkcjami została włączona w obojętne jej i obce ciało, a innymi zawisła w powietrzu, wyłączona od wszelkiej zależności społecznej. Zawisła tak w powietrzu przede wszystkim naturalna zapobiegliwość gospodarcza człowieka, troska o byt codzienny, jednym słowem poniechane zostały lekceważeniem najprostsze psychologiczne motory życia gospodarczego. Mieszkaniec Generalnego Gubernatorstwa dostrzegając, że okupant w niczym się o niego nie troszczy, uważał się ze swej strony — i słusznie! — za zwolnionego od uczestnictwa moralnego w narzuconym mu planie zbiorowym. A ponieważ był aktywny i zapobiegliwy, miał co wyłączyć. Dzięki temu w postawie społeczeństwa wobec własnych działań gospodarczych utrwaliło się przekonanie, że są one niezależne, na uboczu i dla siebie, że tutaj wolno i należy robić co się chce. Niemoralność pracy była nawet obowiązkiem patriotycznym. Taką drogą w psychologii społeczeństwa powstał konglomerat, który uważamy za centralne zjawisko psychosocjalne lat okupacji: gospodarka wyłączona moralnie, wyłączona ze wspólnoty społeczno-państwowej.

Czas obecnie prześledzić jej objawy w poszczególnych klasach społecznych.

Robotnik

Od początku do końca okupacji niewątpliwie najtrudniejsza była sytuacja robotnika w przemyśle. Jedynie góra inteligencji, jak np. profesorowie uniwersytetów znaleźli się w położeniu podobnie trudnym, ale ci posiadali pomoce, których pozbawiony był robotnik. Ponieważ Niemcom zależało na licznej i taniej sile roboczej, ich pierwsze zarządzenia zmierzały do prawnego i faktycznego zagwarantowania tej siły. Wprowadzono tak szeroką i nieokreśloną zasadę prawną o obowiązku pracy dla wszystkich Polaków, by mogła służyć za podstawę wszystkich późniejszych zarządzeń. Robotnika związano z zakładem wprowadzając zakaz zmiany miejsca pracy. Systemem książeczek pracy posegregowano zawody i każdego mężczyznę zaopatrzono w dokument, który w ostatnich dwóch latach okupacji był równie niezbędny co metryka urodzenia. W ten sposób stworzono wszelkie podstawy dla prawnej niewoli robotnika.

Niewolnik polski nie byłby tak bierny, jak stał się nim z konieczności, gdyby nie dalsze powody, które sprawiły, że zło pracy w Generalnym Gubernatorstwie było dla robotnika złem mniejszym i stąd akceptowanym. Wyjazdy za pracą do Rzeszy, ruch „na Saksy", pozostawiły, jak wszelkie ruchy emigracyjne z krajów przeludnionych, dobrą pamięć w Polsce. Wiadomo było, że trzeba wprawdzie kilka miesięcy pracować bardzo ciężko, ale za to wraca się z dobrym pieniądzem. Te wyjazdy, podobnie jak wszelkie ruchy emigracyjne, ustały prawie całkiem w okresie niepodległości, ale pamiętano je i stanowiły coś w rodzaju pomniejszonej odbitki mitu o Ameryce i „amerykańskich" zarobkach.

Niemcy w pierwszych miesiącach okupacji wyzyskiwali dosyć zręcznie tę możliwość: otwieramy wam drogę do pięknego zarobku, jak waszym ojcom, jedźcie do Rzeszy. Same warunki przekazywania pieniędzy, kiedy jeszcze nie było wiadome, do jakiej wysokości ceny dojdą, nie były złe. Przypomnijmy nadto ten kawał, o którym mało kto dzisiaj pamięta: jesienią 1939 roku świeżo utworzone „Arbeitsamty" niemieckie wypłacały zasiłek każdemu, kto zgłosił się jako bezrobotny, nie sprawdzając, czy jest nim istotnie. W moim miasteczku stały ogonki przed urzędami, jakich nawet po wódkę później nie widziałem. Tyle że każdy otrzymując zasiłek podpisywał kwit, na którego odwrocie widniała klauzula, że na każde wezwanie wyjedzie pracować do Rzeszy.

Ten zabieg prewencyjny okazał się zrazu niepotrzebny. Pierwsze kadry wyjazdowiczów nie powstały z łapanek, ale były naprawdę dobrowolne. Stanowiła je przede wszystkim biedota wiejska, znęcona mitem Saksów. Robotnik, więcej uświadomiony i nieufny politycznie, prawie że nie uczestniczył. Ale robotnik był tym, który rychło zebrał doświadczenie tego wyjazdu. Było ono proste i ujawniło się rychło: t o n i e s ą d a w n e S a k s y. Nie tylko możliwość powrotu z zarobkiem jest fikcją, fikcją jest jakakolwiek pomoc dla pozostałych w kraju. Dla kawalera nie stanowi to problemu, ale dla żonatego? Traktowanie Polaków jako podrzędnego bydła ze znaczkiem P, ich miejsce poza prawem, rychło też stało się powszechnie wiadome. Ukształtowała się przeto sytuacja psychologiczna brzmiąca tak: n a j g o r s z a p r a c a w G e n e r a l n y m G u b e r n a t o r s t w i e j e s t l e p s z a o d w y j a z d u d o R z e s z y. Na miejscu, w kraju, można zawsze jakoś dorobić, można przebiedować, wyjazd zaś, szczególnie dla obarczonego rodziną, to katastrofa. I to, a nie żadne oficjalne zapobiegliwości władz stało się przyczyną, że rynek pracy w Generalnym Gubernatorstwie był nie tylko nasycony — był przesycony do śmiesznego absurdu.

Sytuacja rozwinęła się w ten sposób, że im głębiej w lata okupacji, kiedy mniej więcej wszyscy nauczyli się egzystować w jej warunkach, tym większą groźbą był wyjazd do Rzeszy. Władze musiały się uciekać do środków drakońskich, łapanek i kontyngentów ludzkich, tym więcej, że pompa, która powinna była wysysać materiał ludzki do Rzeszy, nie działała zaczopowana łapownictwem: Urzędy pracy. Były wprawdzie „Arbeitsamty", których kierownicy pracowali porządnie — ze stanowiska niemieckiego! — i wysyłali wszelką siłę zbędną, lecz stanowiły ułamek całości. Zasadniczo nie widziało się instytucji bardziej przekupnej i mniej skrywającej swoje przekupstwo. Szantaż rzekomego

nakazu na wyjazd, byle ściągnąć wykupne, był procesem codziennym, a okresy masowych wyjazdów wiosennych i letnich odrzucały istne góry gęsi, kiełbas i wódki. Doszło wreszcie do tej paradoksalnej sytuacji psychologicznej, że niemiecki kierownik przedsiębiorstwa niesfornemu pracownikowi jako sankcją ostateczną groził słowami: pojedziesz do Rzeszy. I dla przykładu tego lub owego posyłał.

Tak więc robotnik wiedział, że w najlichszych nawet warunkach opłaca się pozostać, a nie jechać. Pozostać, ale jak żyć? Robotnik polski jako klasa społeczna jednak przeżył, a złożyło się na to wiele powodów. Przede wszystkim, zwłaszcza poza wielkimi ośrodkami, robotnik nasz nie jest jeszcze określony i skrystalizowany ostatecznie jako klasa socjalna, całkowicie od ziemi oderwana i żyjąca tylko z pracy rąk. Stoi jeszcze na przejściu pomiędzy wiejskimi ojcami a proletariatem czysto miejskim, jeszcze posiada skrawek roli, w wielu wypadkach chałupę odziedziczoną. Istnieją całe kategorie pracowników — klasycznym przykładem jest tu kolejarz polski — którzy to swoje przejściowe stanowisko nawet utrwalili. Większość jednak musiała sobie radzić według sposobów, powodujących — niestety — ujemne skutki psychosocjalne. By wyżyć, musiała zerwać z wszelką moralnością pracy. Dobrze płatny i związany ze swym warsztatem robotnik, jeżeli nadto czuje, że kontrola jest skuteczna, nie wynosi z fabryki jej produktów. Portier zakładu nie przymyka oczu na podejrzanie wypchaną kieszeń. Za okupacji robotnik kradł i musiał kraść. Nie pomagała żadna kontrola, żadne niebezpieczeństwo. Tak samo wynosiło się wódkę, co części broni z zakładów zbrojenia. Kiedy w roku bodaj 1943 w fabryce papierosów krakowskiego monopolu tytoniowego zgromadzono niespodziewanie cały personel celem kontroli, w jednej chwili cały dziedziniec zabielił się od pudełek z papierosów. Nie było kogo ukarać, skoro winni byli wszyscy.

Ale co ma wynosić np. robotnik zajęty w kamieniołomach? Kto od niego kupi bryłę porfiru? Ten uciekać się musiał do zabiegów bardziej skomplikowanych. Spędziłem wojnę w pobliżu kilku wielkich kamieniołomów i mogę podać przykład takiego zabiegu. By żyć, trzeba było „zahandlować", ażeby zahandlować, trzeba mieć dwa, trzy dni wolne w tygodniu, ale tak wolne, by oficjalnie być w pracy i nie narazić się na wyjazd. Jako dalsza niewiadoma równania wchodzi to, że robotnik ma nałożoną normę wydobycia. A jak się równanie rozwiązuje?

Przez zwiększoną pracę i przez porozumienie z dozorem „na placu" i w biurze. Przez cztery dni jest się w pracy, wydobywając normę za sześć dni. Dozorca i urzędnik są urobieni, ażeby tę normę w wykazach i listach obecności rozprowadzić na sześć dni. Dwa dni ma się dla siebie. Dozorca i urzędnik nie zrobią tego za darmo. Z tych dwóch dni należy im się słuszna dziesięcina. Zwłaszcza urzędnikowi, którego skontrolować łatwo i który musi być codziennie w biurze. Nie wszędzie w ten sposób można się było urządzić i dlatego zakłady pracy, gdzie kontrola niemiecka nie pozwalała na to, a nie dawała w zamian żadnej możliwości wynoszenia towaru, były katorgą, przed którą robotnik bronił się pazurami. W mojej okolicy powiedzenie „przydzielili go do IGFarben", to zna-

czy do kamieniołomu tego koncernu, miało wydźwięk podobny słowom: posłali go do Płaszowa, to znaczy do najcięższego z obozów pracy.

Wszystkie zabiegi robotnika zmierzały więc do tego, by zyskać nieprawnie albo towar o dużej wartości handlowej, albo czas wolny mający tę samą wartość handlową. „Pojechać za towarem", sprzedać i zarobić. Robotnik handlował, szczególnie robotnik miejski. Gdy nie mógł sam, posyłał żonę. Był to szczególny handel nędzy i konieczności. Zajętych nim należy odróżniać od handlarzy i pośredników zawodowych. Nie znam przykładu robotnika, któryby na tym handlu z konieczności dorobił się i kapitalizował dolary. Co zarobił zjadał i nie był w stanie wiele więcej zarobić nad to, co przejeść musiał. Jakżeż nam znany z podwarszawskich czy podkrakowskich pociągów obraz zapłakanej kobiety, której „zabrali" w Koluszkach albo w Miechowie pięć kilo kaszy i kilo tłuszczu, która płacze, że to już było dla dzieci, jest obrazem prawdziwym w swojej funkcji gospodarczej. To bywał naprawdę zarobek, który dzieci byłyby mogły zjeść spokojnie. Pisarz-realista tych czasów, jeżeli nie zdoła odtworzyć cierpień i wyrzeczeń tych kobiet, ich poniewierki, nocy nieprzespanych, wędrówek po błotnych topielach, lichym będzie realistą. Pamiętajmy bowiem, że mężczyzna samotny, poza szajkami zawodowców, którym łapówki nadawały nietykalność, w takim handlu wyjazdowym pojawiał się rzadko, był bowiem zbyt łakomym kąskiem dla łapaczy. Dlatego pociągi handlowe pełne były kobiet — od opasłych hien w spódnicach po matki, dla których te pięć kilo kaszy stanowiły naprawdę problem.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, jakoby psychologia gospodarcza robotnika za okupacji rozwinęła się prawidłowo i moralnie. Powiadam tylko, że jego odporność i spryt życiowy zdały pełny egzamin. Sama zaś psychologia przybrała formy bardzo niezdrowe. Jeżeli mniej zdeprawowane niż w innych klasach społecznych, to dlatego, że robotnik nie był winien tej deprawacji. Została ona wywołana jako konieczna samoobrona przed niszczycielskim systemem pracy dla okupanta. Tym niemniej formy zostały zepsute i zgangrenowane. Zerwany został stosunek moralny pomiędzy robotnikiem a jego pracą. Robotnik pracujący dla znienawidzonego systemu pracował jak najmniej i jak najgorzej. Klasycznym przykładem jest tu ten majster fabryczny, który zwraca uwagę inżynierowi, że rysunek wykonywanej części jest błędny i nie będzie się zgadzał po odrobieniu. Słyszy w odpowiedzi: a co to was obchodzi? Robić według dostarczonego z góry rysunku. I obydwaj skrupulatnie przykładają się do pracy, o której wiedzą, że jest zła.

Robotniczym herbem okupacji pozostanie żółw powolności. Rysowano go po murach fabryk. Robotnik polski przeszedł to wsteczne doświadczenie w czasie, kiedy robotnik całego świata demokratycznego czuł głęboki sens swojego wysiłku, wiedział ku jakiemu zwycięstwu przyczynia się jego poświęcenie i trud. Tego umoralniającego, uzdrawiającego doświadczenia robotnik polski został pozbawiony. Wyłączenie moralne gospodarki z procesów całego życia zbiorowego dokonało się u niego z jaskrawością jak najszkodliwszą dla psychiki. Bo jeżeli handlarz łupi co wlezie, to jedynie maksymalizuje on haniebne zało-

żenie całej funkcji gospodarczej, którą wyraża, jeżeli zaś robotnik za dewizę kładzie sobie żółwia powolności, staje w sprzeczności ze swoją funkcją.

Z takimi dyspozycjami z czasów okupacji wchodzi robotnik w trzecią niepodległość. Mimo to nie patrzymy pesymistycznie. Wierzymy i widzimy to od pierwszych tygodni wyzwolenia, że trzeba tylko pracy nadać sens, a odpadną złe nawyki. Jeszcze bardzo daleko do stanu, kiedy te nawyki naprawdę odpadną. Mówią o tym cyfry produkcji, przerażające, gdyby miały być trwałe. Takiej trwałości nie będzie; dlatego w dalszej perspektywie nie patrzymy pesymistycznie na skutki odziedziczonych przez robotnika nałogów.

Urzędnik i inteligent.

W identycznej, co robotnik, sytuacji znalazł się urzędnik czy nauczyciel przejęty przez administrację niemiecką. Podobnie kształtowała się psychologia gospodarcza inteligenta zmuszonego do pracy biurowej, inaczej zaś inteligenta wolnych zawodów: adwokata, lekarza, aptekarza.

Inteligent pracujący w biurze, zajęty przed wojną w innym zawodzie, urzędnik biurokracji przedwojennej stanęli przed tą samą co robotnik perspektywą: zdechnąć na głodowej pensji, albo nie porzucając biura dla swojego bezpieczeństwa osobistego — jakoś sobie poradzić. Nie zdechł zdaje się nikt, biedowało wielu, ale większość poradziła sobie niezgorzej. Ulica miejska była dobrze ubrana, moda zmieniała się w ciągu lat, cukiernie i miejsca rozrywek miały swoją stałą, chociaż nieliczną w ogólnej proporcji klientelę. Obserwator powierzchowny, który oglądał Generalne Gubernatorstwo po innych krajach okupowanych, powiadał, że tu panuje dobrobyt. Niemcy gubernatorscy w bezgranicznej głupocie, pysze czy naiwności przypisywali naturalnie ten stan swoim zabiegom. Trwało wśród nich, szczególnie w głębi Rzeszy (odwrócony mit Saksów) przekonanie, że Gubernatorstwo jest krajem mlekiem i miodem płynącym. Był to gruby błąd optyczny, ale kto przesuwał się po powierzchni naszych miast, ten do takiego błędu był predystynowany: kto widział pantofle na korkach, a nie rozumiał afiszów z listami rozstrzelanych, kto przyjeżdżał pospiesznym od Berlina, a nie kolejką handlową od Piaseczna czy Kocmyrzowa.

Urzędnik i inteligent zażegnali groźbę w ten sam sposób co robotnik: handlem. Handlem jednakże innego typu, nie tak bliskim dna nędzy i wywózki, jak handel tamtego rodzaju. Zażegnali handlem polegającym na niesamowicie rozwiniętym systemie pośrednictwa. Pośrednictwo takie, jakie kwitło za okupacji, w normalnym życiu gospodarczym jest wykluczone. Z chwilą bowiem, kiedy źródło towaru jest legalne i jego przeznaczenie również legalne, nie trzeba aż tylu pośredników. Tymczasem tutaj obydwa ogniwa były poza prawem. Z reguły źródłem towaru był Niemiec, któremu tego towaru nie wolno było sprzedać, ostatnim odbiorcą Polak, któremu jeszcze mocniej towaru tego nie wolno było nabyć. Aż do tak jaskrawych wypadków, jak handel bronią pochodzenia niemieckiego, który przecież kwitnął za okupacji.

Typowa transakcja handlowa wyglądała tak oto w przybliżeniu: w niedzielę, na herbatce u cioci Emerytalskiej, jej kuzyn, kasjer w Banku Łatwego Zarobku,

pan Pośrednicki, dowiaduje się od spotkanego tam przypadkowo pana Prowizyjnego, że tenże pan posiada na zbyciu dużą partię np. kalafonii. Pan Pośrednicki zapamiętuje, bo w handlu pamiętać warto. W parę dni potem urzędnik firmy Transport Paskowy pan Profitowiec powiada przy kasie, że poszukuje kalafonii. Pan Pośrednicki: „owszem, mam dużą partię". Cena? Pośrednicki w ogóle się w tym nie orientuje, więc odpowiada: teraz jest inna „kalkulacja", niech pan jutro zadzwoni. Pan Profitowiec też nie dla siebie potrzebuje kalafonii. Usłyszał o niej przy wódce od kolegi Bimberka, ale natychmiast biegnie do niego z wiadomością, że na p o j u t r z e ma kalafonię. Zaczyna się teraz dwustronny niesamowity ruch: Pośrednicki przez Emerytalską szuka Prowizyjnego, ten odszukuje swojego Niemca z kalafonią, Bimberek z wieścią od Profitowca szuka pana Pienistego, mydlarza, któremu potrzebna była kalafonia. Powstaje łańcuszek: źródło towaru — Emerytalska — Pośrednicki — Profitowiec — Bimberek — Pienisty — przeznaczenie towaru. Dla każdego naturalnie obrywka.

Cóż to oznacza w mowie mniej obrazowej? Oto wobec nielegalności obydwu swych krańców p o ś r e d n i c t w o h a n d l o w e z o s t a ł o r o z - d e p t a n e w o l b r z y m i ł a ń c u c h, z którego żyła nieproporcjonalnie wielka liczba osób. Wokół kosteczki, którą normalny piesek przedwojenny byłby uniósł w dwóch zębach, dreptały mozolnie setki mrówek i naturalnie musiało się mrówkom wydawać, iż są niezmiernie aktywne. Zresztą mrówki z tego dreptania rzeczywiście żyły, droga bowiem od podwyższonej ceny nominalnej, po jakiej sprzedawał Niemiec, do podbitej ceny rynkowej pomieścić mogła tych mrówek mnóstwo. Dlatego w urzędach i biurach handlowali wszyscy. Same biura były tylko miejscem spotkań, z których co chwila wypadało się na miasto dla ubicia transakcji. Telefony urzędowe były telefonami tysięcy pośredników, których obrotów i zarobków nie byłby w stanie ująć żaden aparat kontrolny. Stwarzało to, przy inflacyjnej łatwości pieniądza, iluzję wielkiego ożywienia gospodarczego i ileż mrówek po biurach spogląda z żalem na niedawne miesiące, kiedy tyle było ruchu.

Tym okupacyjnym pośrednikiem był oficer, który nie poszedł do niewoli, inżynier, któremu się nie opłacało iść do fabryki, żona profesora uniwersytetu, której mąż nie posiadał koniecznych do handlu talentów, poeta, który te talenty w sobie odkrył, niedoszły maturzysta, który rozpocząwszy od znaczków pocztowych doszedł do wniosku, że nie warto się uczyć, maszynistka z biura i kasjer z banku i bibliotekarka z wielkiej biblioteki i woźny w urzędzie, wszystkie typy ludzkie, przetasowane w najbardziej fantastyczny sposób. Znów przywołuję ku temu tematowi przyszłych pisarzy-realistów.

Tylko nieliczne zawody wolne, zwłaszcza lekarze, żyli normalnie ze swojej pracy. Reszta inteligencji albo zeszła poniżej minimum życia, wysprzedawała się i pauperyzowała, albo żyła jakimś powtarzającym się cudem. Niemały udział w tym cudzie miały paczki portugalskie, tureckie, szwedzkie; kawa, herbata, sardynki w nich zawarte szły w brzuchy grubszych dorobkiewiczów, spełniając zasadniczą rolę w budżetach iluż rodzin inteligenckich. Dodajmy do tego znaczne kwoty, które — w Warszawie zwłaszcza — były pompowane na cele polityczne przez Londyn, a rozchodziły się na cele nader rozmaite. Nazywam te źródła cudem permanentnym, ponieważ całe ich działanie było oparte na

łaskawym kaprysie okupanta, który każdej chwili mógł być cofnięty. Nie przypuszczam bowiem, by Niemcy nie wiedzieli, że portugalskie migdały i figi były alfabetem sygnalizacyjnym między emigracją zachodnią a krajem.

W ten sposób zdobywamy obraz drugiej już warstwy społecznej, w której konieczność życiowa sprawiła, że miejsce jej normalnych funkcyj zajął polip handlu doraźnego i pośrednictwa. Lecz biurokracja istnieje po to, by życiu zbiorowemu stwarzać aparat kontroli, by w procesy indywidualne włączać przymusowo system powszechny. Zawieszenie tej łączności, cechujące psychologię gospodarczą Generalnego Gubernatorstwa, nigdzie nie przybrało jaskrawszych a dla normalnego życia zgubniejszych form, jak właśnie w działaniu urzędowego aparatu kontrolnego. Dotyczy to urzędów skarbowych i podatkowych.

Wiadomo że do roku 1939 urząd skarbowy był postrachem dla kupca czy przemysłowca. Sypał podatki i trudno go było oblagować. W okresie okupacji nie było większej sielanki nad współżycie podatnika z urzędem skarbowym. Sielanka zasadzała się na tym, że obydwie strony, i podatnik i urzędnik poboru podatków, równie mocno były zainteresowane we wspólnym hodowaniu fikcji, jaką wobec istotnych dochodów stanowiła wysokość podatków. Podatnik był zainteresowany z całkiem prostych względów: pragnie on zawsze płacić jak najmniej. Urzędnik skarbowy był zaś zainteresowany, bo tylko dzięki temu żył z rodziną, że podatnikowi nie przeszkadzał w tym kulcie fikcji, że podsuwał mu sposoby podkarmiania jej legalnego. Za to otrzymywał mąkę, kiełbasę i wódkę, za to nie troszczył się o święcone i imieniny żony. Obydwaj zaś byli czyści w swoim sumieniu i postępowaniu: wspólnie oszukiwali Niemców. Jeden zarabiał nad miarę, drugi żył w miarę. Zapominali tylko, że całe ich postępowanie było Niemcom obojętne, bo gdy wpływy podatkowe stawały się zbyt niskie, ruszała maszyna drukarska i płynęły piękne główki góralskie na banknotach.

Streszczając widzimy, że psychologia gospodarcza inteligenta uległa za okupacji swoistemu zwyrodnieniu. Zwyrodnienie to mniej było wywołane bezpośrednią groźbą nędzy, jak u robotnika, lub dokładniej mówiąc — na pierwszych swoich ogniwach tym było spowodowane, lecz rychło stało się nałogiem samoistnym. Jako takie jest niebezpieczniejsze i trwalsze. Szczególnie jest niebezpieczne, jeżeli chodzi o aparat kontroli państwowej nad podatnikiem. Ten aparat trzeba będzie nauczyć na nowo jego właściwych funkcji, a póki płace będą tak niskie, jak obecnie, nauka to szalenie trudna. Trudno być ascetą wśród pokus, które łatwo ulegalizować... Reszta inteligencji, chociaż przywrócona miejscom, z których ją Niemcy zepchnęli, również nie wnosi dyspozycji dodatnich. Zwłaszcza póki warunki, wspomniana dwutorowość zarobków i potrzeb istotnych, będą stwarzać pokusę, póty niebezpieczeństwo trwa. Tylko polip pośrednictwa już dzisiaj usycha i wnet pozostanie tylko proszkiem we wspomnieniu.

Żydzi i handel polski

Centralnym faktem psychogospodarczym lat okupacji jest napewno zniknięcie z handlu i pośrednictwa milionowej masy żydowskiej. Zniknięcie, kiedy dzisiaj liczyć niedobitków, definitywne i ostateczne. Ten fakt jest główny i stały.

Natomiast faktem mniej stałym, chociaż równie ważnym, jest próba inercyjnego i automatycznego wejścia żywiołu polskiego na miejsce opróżnione przez Żydów. Dlatego nazywam to wejście inercyjnym i automatycznym, ponieważ cały ten proces, mówiąc krótko i brutalnie, miał ze strony wskakujących na puste miejsce taki obraz: na miejsce niechrzczonych — chrzczeni, ale z całą ohydną psychologią kanciarza, handelesa, wyzyskiwacza, psychologią związaną z funkcją społeczną, a nie z przynależnością narodową. Cała radość polskiego „stanu trzeciego" sprowadza się właściwie do tej nadziei: nie ma Żydów, wejdziemy na ich miejsce, niczego nie zmieniając, wszystko dziedzicząc z nałogów, które narodowi moraliści uważali za typowe dla psychiki żydowskiej, ale tym razem będzie to narodowe cacy i tabu.

Dlatego w psychologii gospodarczej okupacji jest to sprawa centralna i musi być najdokładniej rozważona, jeżeli nie ma zaciążyć na zdrowiu moralnym narodu. Tym dokładniej, że poza pełnymi słuszności uwagami J. Putramenta („Odbudowa psychiczna" Odrodzenie, nr 10) panuje w tej kwestji przedziwne milczenie lub, co gorzej, wznawianie uraz zamiast spokojnej i męskiej analizy.

Powiedzmy wyraźnie: nieszczęściem polskiego życia gospodarczego nie to było, że wszędzie, od straganu po największy bank, przodowali w nim Żydzi. Nieszczęściem było, że procesy gospodarczo-handlowe były u nas wyłączone z moralnej tkaniny życia państwowego. Kontaktowały się z nią tylko podatkiem, wymykały cygaństwem i przekupstwem. Drobnomieszczanie i żydofobi osądzali, że jest to właśnie winą Żydów, że uświadomiony narodowo kupiec polski etc. — stara piosenka. Okupacja pokazała, że właśnie jest naodwrót: wyłączono Żydów i nareszcie powstał kupiec „narodowy". Czy się coś zmieniło? Okazało się, że warunkuje nie psychologia grupowa czy narodowościowa, ale wygląd bazy gospodarczej w całości ustroju. Skoro na skutek specyficznej polityki niemieckiej znów życie handlowe zostało wyłączone od odpowiedzialności społecznej, skoro jako prywatne żerowisko zdobywcy, jako jego rezerwat dla indywidualnego łupu stanęło na uboczu, psychologia warstwy, która weszła w takie żerowisko, natychmiast się upodobniła do psychologii warstwy zniszczonej przez okupanta. Bo tam, przed wojną, inne powody, mianowicie spóźnione formy liberalizmu gospodarczego tak samo czyniły żerowisko. Wiadomo, że do kości zbiegają się zawsze hieny, nigdy lwy.

Ale, pytanie znacznie donioślejsze, czy formy w jakich się ta eliminacja dokonała i sposób, w jaki społeczeństwo nasze pragnęło i pragnie ją zdyskontować, były i moralnie i rzeczowo do przyjęcia? Otóż, chociażbym tylko za siebie odpowiadał i nie znalazł nikogo, ktoby mi zawtórował, będę powtarzał — nie, po stokroć nie. Te formy i nadzieje były haniebne, demoralizujące i niskie. Skrót bowiem gospodarczo-moralnego stanowiska przeciętnego Polaka wobec tragedii Żydów wygląda tak: Niemcy mordując Żydów, popełnili straszną zbrodnię. Mybyśmy tego nie zrobili. Za tę zbrodnię Niemcy poniosą karę, Niemcy splamili swoje sumienie, ale my — my już teraz mamy same korzyści i w przyszłości będziemy mieli same korzyści, nie brudząc sumienia, nie plamiąc dłoni krwią. Trudno o paskudniejszy przykład moralności murzyńskiej, jak takie rozumowanie naszego społeczeństwa. A głupcy, którzy

przy nim trwają, niech pomną, że wyniszczenie Żydów było tylko pierwszym etapem oczyszczenia „Weichselraumu", po którym miała przyjść na nas kolej.

Powtórzyła się zatem, ale tym razem na skalę większą choć czysto psychologiczną, sytuacja, która już raz w niedawnej historii Polski miała miejsce. Tej zgagi moralnej, jaką budziło odzyskanie Zaolzia, nikt nie nazwał trafniej od Churchilla: z plecaka żołnierza niemieckiego zajmującego Sudety Polska wyciągnęła Zaolzie. Pisząc te słowa, nie mam na myśli naszych praw do Zaolzia, będącego przecież ziemią etnograficznie polską, przypominam tylko niestosowne formy z okresu monachijskiego, które i tym prawom wówczas szkodziły. Tym razem spod miecza niemieckiego kata, dokonującego niewidzianej w dziejach zbrodni, sklepikarz polski wyciągnął klucze od kasy swego żydowskiego konkurenta i uważał, że postąpił jak najmoralniej. Na Niemców wina i zbrodnia, dla nas klucze i kasa. Sklepikarz zapominał, że „prawne" wyniszczanie całego narodu jest fragmentem procesu tak niespotykanego, że na pewno nie po to go historia zainscenizowała, by zmienił się szyld na czyimś sklepiku.

Formy, jakimi Niemcy likwidowali Żydów, spadają na ich sumienie. Reakcja na te formy spada jednak na nasze sumienie. Złoty ząb wydarty trupowi będzie zawsze krwawił, choćby już nikt nie zapamiętał jego pochodzenia. Dlatego nie wolno dozwolić, by ta reakcja została zapomniana lub utrwalona, bo jest w niej tchnienie małostkowej nekrofilii. Mówiąc prościej, jeżeli tak się już stało, że nie ma Żydów w gospodarczym życiu Polski, to nie będzie z tego ciągnąć korzyści warstwa ochrzczonych sklepikarzy. Prawo do korzyści posiada cały naród i państwo. Na miejsce zlikwidowanego handlu żydowskiego nie może wejść identyczny strukturalnie i psychologicznie handel polski, bo wtedy cały proces nie posiadałby najmniejszego sensu. W okresie prowizorium okupacyjnego wszedł zaś taki handel i sądzi, że już się rozsiadł na wieki wieczne. Twierdzeniami zaś, że „handel narodowy" wygląda inaczej, po tym krótkim doświadczeniu i zastępstwie niechrzczonych przez chrzczonych niechaj nikt nam oczu nie mydli.

Lecz powróćmy do okupacji. Czy ta wyjątkowa koniunktura została wyzyskana przez handel polski? Czy powstał typ kupca naprawdę przedsiębiorczego, kupca z horyzontami? Twierdzę że nie i dowodzę, dlaczego w specyficznych warunkach okupacji powstać nie mógł. W postawie kupca w tych latach sprzęgnęły się ze sobą dwa sprzeczne objawy: konieczność ryzyka i wystarczalność inercji.

Niewątpliwie kupiec, by obchodzić przepisy urzędowe, musiał stale ryzykować. Powodzenie jego ryzyka zależało najczęściej od kaprysu władz. Najgrubsze kanty uchodziły płazem, wpadało się za głupstwa, jeżeli pech sprawił, że władzom nagle zachciało się okazać surowość. To ryzyko zmniejszała sprawdzona od pierwszego roku okupacji prawda, że zaplecze w gotówce zawsze uratuje. Ryzyko gospodarcze stało w stosunku odwrotnym do posiadanego kapitału: początkujący handlarz przyłapany z tytoniem lub słoniną, jeśli mu się nie powiodło, wędrował z reguły do obozu, natomiast hurtownik rozprowadzający całe wagony, „przepuszczone" z dostaw wojskowych, był impregnowany przed niebezpieczeństwem samą grubością kantu, no i liczbą zainteresowanych a milczących.

Ryzyko zatem, formalnie tak duże, że nieoswojeni z tym stanem pytają dzisiaj, jak w ogóle można było handlować w Generalnym Gubernatorstwie, w praktyce mocno się rozcieńczało. Ale co ważniejsze, ryzyko to nie wywierało przypuszczalnego wpływu na psychikę kupca. Nie było to bowiem żadne ryzyko twórcze, żadna walka z niebezpieczeństwem prawdziwym, które znajdujemy u podstaw historycznych wielkich społeczeństw kupieckich Zachodu. Zdolność inicjatywy i przedsiębiorczość, będące rodzicami tej postawy, nie chodziły bowiem z podniesioną przyłbicą, ale po zakamarkach łapownictwa i interesów zakrapianych we wzajemnej świadomości kantu i złodziejstwa. Był to słowem pogrobowy renesans drobnego i średniego mieszczaństwa w dobie, kiedy wiemy doskonale, że handlowo-liberalne formy należą do przeszłości i będą zastąpione innymi formami: spółdzielczość, regulacja państwowa. Nie jest to jedyny za lata okupacji ani też jedyny w naszej historii przykład nagłego rozkwitu określonej formy gospodarczej w czasie, gdy w ogólnej dialektyce zjawisk gospodarczych należy ona raczej do przeszłości. Drugi przykład podobny znajdziemy w stanowisku wielkiej własności rolnej.

Wystarczalność inercji była tym drugim stanem, który anulował możliwe skutki dodatnie zwiększonego ryzyka. W latach okupacji z wielu powodów kupiec mógł się zachowywać inercyjnie, a więc sprzecznie z właściwą postawą handlowca. Przede wszystkim doświadczenie objawiło rychło, że lepiej siedzieć na uboczu, aniżeli okazywać inicjatywę, bo wówczas mniejszy haracz przypada urzędom i nadzorom. Ostrożność kupiecka spychała główne przedmioty handlu pod ladę, do tylnego pokoju, do załatwiania poza sklepem. Ale inercję pogłębiały dalsze momenty: konkurencja Żydów odpadła w sposób automatyczny. Taka zdobycz darowana nikogo do wysiłku nie pobudza, jak wszystko co bez trudu zdobyte.

Ostatni motyw inercji był najbardziej demoralizujący i im bliżej wyzwolenia, tym silniej działał. Była nim rosnąca w miarę lat rozpiętość pomiędzy ceną, za którą kupiec otrzymywał swój towar, a tą jaką uzyskiwał. Jeżeli nadto towar jego — wódka, papierosy — pobierany był po cenach oficjalnych, wówczas inercyjny zarobek stawał się czymś zgoła fantastycznym. Wódka otrzymywana w przydziale za kilkanaście złotych, „dawała w kieliszkach" 500—600 złotych. Metr kubiczny desek ze stu kilkudziesięciu złotych dawał dobrze ponad tysiąc etc. Naturalnie ten zarobek inercyjny, wynikający z samego posiadania towaru, dopiero wówczas dawał się w pełni wycisnąć, kiedy towar był otrzymywany obficie i na poziomie cen urzędowych. To zaś zależało od dobrych stosunków z Niemcami. Interesy wspólne z nimi były najbardziej ryzykancko-inercyjne. Partia towaru ulokowana w porę i z należytym zyskiem, pozwalała na długi czas wracać pomiędzy laury i czekać na nową sposobność łupu. Nie był to więc handel, lecz skoki za łupem, połączone z sytym mruczeniem w przerwach.

Doprowadzając naszą analizę do krótkiego wniosku możemy orzec, że ani jeden z powodów, które za czasów okupacji nadały kupiectwu polskiemu wyjątkowe stanowisko, nie był postępowym i posiadającym trwałość powodem. Samo swe szerokie miejsce zawdzięczało kupiectwo doraźnemu i okrutnemu kaprysowi okupanta. Ten kaprys z chwilą zwycięstwa zostałby natychmiast odwo-

łany i tylko chęć mydlenia oczu sprawiła, że opuszczone sklepy nie nosiły napisów, widniejących w Gdyni, Poznaniu czy Łodzi: zarezerwowane dla żołnierzy frontowych. W zaufaniu, jakim polski handlarz odpłacał okupantowi jego łaskawy kaprys, była zdumiewająca krótkowzroczność świadcząca, że przeciętny mieszczuch jest typem najbardziej wyzutym z wyobraźni społecznej i narodowej. Znajomość stosunków w Rzeszy, nikomu nie tajna, gdzie polski stan trzeci został doszczętnie zlikwidowany, winna mu była otworzyć oczy, jak przez porównanie otwierała je chłopu. Mieszczuchowi jako podstawa pewności życiowej wystarczyło to, że on jeszcze handluje, podczas gdy o kilkanaście kilometrów żaden Polak handlować nie mógł.

Również połączenie ryzyka z inercją nie było amalgamatem dającym bodźce trwałe i godne przechowania. Jest to bowiem typowy stop psychologiczny spekulacji, a nie handlu prawdziwego, opartego na dużym obrocie a małym zysku. Ten stop spekulacji narodził dyspozycje psychogospodarcze, których świadkami jesteśmy nadal. Kupiec się przyzwyczaił, że jego realny obrót i zysk wymykają się wszelkiej kontroli — od tego będzie musiał odwyknąć. Przyzwyczaił się, że towar powinien mu dawać natychmiastowy zysk, bez większych zabiegów o klienta — i o tym będzie musiał zapomnieć. Słowem, jeżeli w nowym społeczeństwie polskim obok innych, bardziej uspołecznionych form handlu ma pozostać kupiec indywidualny, narodzony za okupacji, musi on zapomnieć o całym życiu ułatwionym tamtych lat. Że nieprędko zapomni, to rzecz inna, którą dobitnie wskazują doświadczenia pierwszych miesięcy wolności.

Chłop

Psychologia gospodarcza chłopa czasów okupacji przedstawia się najbardziej paradoksalnie pośród wszystkich wpływów okupacji na psychologię warstw społecznych. Dlatego tak paradoksalnie, ponieważ fakty powinny były, gdyby tylko one decydowały, wywołać inne postawy psychologiczne aniżeli te, które obserwacja ukazuje u chłopa w Generalnym Gubernatorstwie. Chłopu wiodło się gospodarczo tak dobrze, jak nigdy w ciągu dwudziestolecia międzywojennego. Przeskok w jego sytuacji od cen produktów z roku 1939 do cen okupacyjnych był gwałtowny w ogólnej swojej funkcji gospodarczej, chociaż dokonał się powoli, chłop zaczął jak nigdy dotąd inwestować w swoje gospodarstwo (towarem, który pierwszy zniknął z rynku zimą 1939/40 roku były maszyny i narzędzia rolnicze). Niemcy dbając o swój interes ułatwiali rzeczowy postęp gospodarki rolnej, wieś produkowała więcej, aniżeli przed wojną. System kontyngentów, chociaż przeprowadzony bezwzględnie, nie był — za wyjątkiem pogłowia bydlęcego — zwłaszcza w dwóch latach ostatnich wyniszczający. Chłopu po oddaniu kontyngentu starczyło i na zasiew, i na dostatniejsze jedzenie niż przed wojną, i na handel, — jednym słowem, z pozoru wszystko w tej sytuacji winno było chłopa nastawić przychylnie wobec okupanta.

Tymczasem stało się przeciwnie. Wieś uświadomiła się politycznie, skonsolidowała narodowo i nie ufała okupantowi równie gwałtownie, jak robotnik. Lecz ten, pamiętajmy, miał dla swego zachowania podstawy gospodarcze. Wieś stała

się zarodnią partyzantki politycznej i żadne, nawet tak okrutne, jak w Lubelszczyźnie represje nie zdołały jej stłumić. Czyżbyśmy stanęli wobec faktu, że psychologia wsi ułożyła się na przekór swym podstawom gospodarczym? Wobec faktu całkiem niespodziewanego? Na pewno nie. Tyle że związki pomiędzy bazą zjawiska a reakcją psychologiczną są tutaj najbardziej skomplikowane i dlatego najbardziej kuszące do analizy możliwie dokładnej.

Sięgnijmy do faktów z przełomu lat 1939/40. Na klęskę znienawidzonego przez wieś systemu ozonowego, klęskę, którą chłopskie poczucie klasowe rozszerzyło w ogóle na miasto, biurokrację i inteligencją miejską, wieś zareagowała typową — niestety tylko niemiecki termin to oddaje — „Schadenfreude". Czyli po chłopsku, tyleście się pany mądrzyły, a teraz w zadek dostały. Równocześnie ceny produktów rolnych poszły w górę, a Niemcy pierwszej jesieni i pierwszego przednówka wojennego nie narzucili żadnych kontyngentów. Reakcja chłopska, powtarzam dosłownie, słyszałem ją z wielu ust, brzmiała: nareszcie nam słonecko zaświeciło, 20 lat myśmy cekali, aleśmy się dockali. Nie dziwmy się tym przypomnieniom, ani się nimi nie gorszmy: chłop od czasu kryzysu około 1930 roku pracujący niżej opłacalności swojego warsztatu, nareszcie zaczął na nim pracować z zyskiem. Klęska znienawidzonego ustroju, dla chłopa spóźniony tryumf polityczny, spoiła się z dawno czekanym zadośćuczynieniem gospodarczym.

Raczej dziwić się trzeba komu innemu: Niemcom, którzy dla rozbicia społeczeństwa polskiego nie zdołali wyzyskać tej jedynej koniunktury psychosocjalnej, koniuktury, jaka już jesienią 1940 roku przestała istnieć. Każdy z nas, kto jesienią i zimą 1939/40 obserwował sytuację wsi polskiej, kto nasłuchał się rozmów prowadzonych w jego obecności, a niby nie pod jego inteligenckim adresem, drżał na myśl, że Niemcy poczną kuć żelazo póki gorące. Materiał powodzenia gospodarczego i ogień politycznego zawodu był na wsi gotów. Brakowało kowala. Kowal nie przyszedł. Ściślej mówiąc — przyszedł, ale zamiast kuć żelazo, zebranych przy kuźni chłopów zaczął „kuć w mordę".

Nie mogło być inaczej. Ustrój przystrojony w piórko (ale tyrolskie) postępu socjalnego, ustrój w istocie wsteczny i cały rozwój świata sprowadzający do pożerania się nacjonalizmów, nie posiadał żadnych instrumentów ideologicznych, którymi by zdołał sięgnąć w sytuację tak trudną i wymagającą wielkiej oględności i wyczucia psychologicznego dla przemian u pokonanego. W schematach tępej głupoty socjalnej hitleryzmu nie było miejsca na takie działanie. Wieś polska była dla Niemców zbyt brudna, a chłop polski zbyt nędzny, by mogły się tam rodzić przeżycia o skutkach politycznych. Niemcy w ogóle sądzili, że myślenie jest zależne od ilości zużywanego mydła. Nie przeczuwali, że można przez całe życie nie brać gorącego tuszu, a jednak myśleć i pamiętać. Procesu, który w niemytej wsi polskiej stwarzał dla nich doskonałą koniunkturę, w o g ó l e n i e d o s t r z e g l i. Jeżeli nawet jakieś echa dotarły do nich, próbowali je rozwiązać według schematu nacjonalizmu wygrywanego przeciwko drugiemu nacjonalizmowi. Przykładem ten idiotyzm wysokiej próby, jakim było tworzenie Goralenvolku, wisielec Wacio Krzeptowski w rocznicę Fisu na zdjęciu obok Himmlera. Równocześnie można było czytać, że np. Łowiczanie stanowią odrębny szczep. Dlaczego? Bo mają pasiaki. Popularny dowcip okupacyjny likwi-

dował tę mikromanię nacjonalistyczną powiedzeniem o najnowszym szczepie polskim — die Fornalen.

Zamiast wyzyskać koniunkturę, Niemcy swoim postępowaniem gospodarczym i politycznym poczęli ją psuć. Pierwszym zarodem nie były tutaj ich posunięcia gospodarcze, lecz czysto psychologiczne. Że Niemcy nigdy nie byli dobrymi psychologami, chociaż najwięcej na świecie traktatów o psychologii napisali, roztrząsając ze śmiertelną powagą, którędy „Wille" przechodzi w swoją „Selbstdasein", jest to sprawa prosta i znana. Za mało się jednak podkreśla, kiedy najbardziej ich zawodzi przyrodzona tępota psychologiczna: wobec słabszego. Niemiec, który panuje, z wysokości swojej władzy w ogóle nie zauważa czy w opanowanym coś się dzieje. Tym mniej zauważa, im więcej panuje.

Chłop polski wydał się Niemcom idealnie pojętym przedmiotem takiego panowania. Jego cierpliwość uznano za zgodę na każdy kaprys. Milkliwość i podejrzliwość, która zawsze pozwala najpierw drugiemu powiedzieć, nim wygłosi swoje zdanie, wzięto za brak wszelkiego zdania. Roboczą, niewyczerpaną wytrwałość na własnem uznano za bydlęcą zdolność do każdej harówki. Jednym słowem, starczyły Niemcom pozory, nie dostrzegli niczego z prawdziwej natury naszego chłopa. Nie dostrzegli przede wszystkim jego pamiętliwości. Skupionej, milczącej pamiętliwości własnej krzywdy, szczególnie gospodarczej.

Nie dostrzegli nadto, że ten milkliwy mruk ceni swoją osobę nie mniej wysoko, co inteligent miejski, co jego sąsiad z dworu. Jakby wiedzeni jakimś na wspak instynktem, uderzyli w te właśnie drugie cechy chłopskie — w poczucie ważności i pamiętliwość. Kowal miast kuć żelazo, dosłownie i bez przenośni kuł mordę przy każdej okazji. Chłop przekonał się rychło, że pięść niemiecka jest gorsza od kolby policjanta granatowego sprzed 1939 roku. Nie znaczy to, by za kolbą zatęsknił. Widział ją w wiernej współpracy z okupantem. Pamiętajmy dalej, że najgorsze wybryki odbywały się w pierwszych dwóch latach, kiedy Niemcom zawróciło się w głowie od powodzeń. Chłop reagował na zniewagi milczeniem, bo wiedział, że inaczej reagować nie może. Niemiec nie pojmuje, że może istnieć bunt milczący. Tylko otwarty ostro pysk wstrzymuje u niego podniesioną pięść. Milczenie rozumiał jako dowód, że skruszył przeciwnika. Kuł zatem dalej, kuł do ostatnich tygodni okupacji, z szatańską i głupią zapamiętałością kuł wówczas, kiedy chłop na plecach i twarzy miał już wypisaną całą swoją wiedzę doświadczalną o Niemcach. Chyba tylko po to kuł, by poniewieranemu chłopu polskiemu napisać ją na wieki wieków amen i uczynić z niego warstwę, której w Polsce demokratycznej nie będziemy musieli nauczać, kim był naprawdę Niemiec. Jak musimy nauczać polskiego handlarza czy ziemianina.

Równocześnie pamiętliwości chłopskiej dostarczali Niemcy obfitego pożywienia. Nikt tak mocno nie pamięta przyrzeczeń niespełnionych i mało kto kieruje się z równą konsekwencją gołym rozumowaniem według faktów jak chłop. Pierwsza i jedyna fala dobrowolnych wyjazdów do Rzeszy, która okazała się oszustwem, poszła ze wsi. Wieś to zapamiętała raz na zawsze. Wieś dostarczyła później najwyższego proporcjonalnie ze wszelkich środowisk kontyngentu robotnika, ale był to robotnik wydobyty przemocą. Wieś pierwsza ujrzała falę

wysiedlonych z ziem zachodnich i zapamiętała, co się przygotowuje dla każdej zagrody polskiej. Wreszcie system kontyngentów. Ten najmniej się zapisał w pamięci chłopa zawartym w nim wyzyskiem czysto handlowym. Ilościowo ten system dla samej wsi, nie mówię dla ogółu naszej gospodarki, nie był rujnujący za wyjątkiem wyniszczenia bydła, ale w miarę upływu lat odczuwany był jako świadomie zadawana chłopu krzywda gospodarcza. Przepaści pomiędzy ceną realną zbóż i mięsa a ceną płaconą w kontyngencie nie zdołały zasypać liche premie i im bardziej rozwierały się nożyce cen, tym dotkliwiej chłop czuł, że go krzywdzą. Rozwierały się zaś właśnie w miarę przeciągania się okupacji. Jedynie barwne obrazki propagandowe, wystawiające szczęśliwego i uśmiechniętego wieśniaka, który z prosiakiem pod pachą spieszy w podskokach do spółdzielni powiatowej a na drugim obrazku ugina się pod ciężarem otrzymanych wzamian podków, butelek z wódką, worów z cukrem, śliczną sielanką kładły się nad tą przepaścią.

Afisz taki miał pouczać chłopa o jego szczęsnym a prawdziwym losie, ale kiedy zbyt blisko granicy Rzeszy i Gubernatorstwa został rozlepiony, kłócił się mocno z innym już nie afiszem, lecz obrazem realnym, według którego chłop polski urabiał wiedzę o swoim losie. Była tym obrazem miedza graniczna pomiędzy polami jego wsi rodzinnej a polami wsi sąsiedniej, niemniej polskiej i przez nikogo niekwestionowanej w swojej polskości. Nawracając na niej pług chłop dostrzegał swoją niedaleką przyszłość na wypadek zwycięstwa niemieckiego. Bo po tamtej stronie w ogóle chłopa polskiego już nie było, a jeżeli ktoś pozostał, to jako niewolnik neopańszczyźniany u „bauerów" niemieckich. To pouczające cięcie socjologiczne zostało przeprowadzone z szaleńczą konsekwencją właściwą tylko Niemcom. Każdy inny naród, nieco bardziej przenikliwy psychologicznie, byłby zapewne stworzył jakiś przejściowy pas neutralny, by wieści o losie wsi wcielonej do Rzeszy nie przenikały w sposób tak dowodny i obrazowy, a wiadomo że słowo nie posiada tej mocy, co widowisko przeżywane na miedzy granicznej dwóch światów. Chłop nawracał pług na tej miedzy granicznej i wiedział co go czeka. Od wsi pogranicznej wiedziała wieś sąsiednia, a kiedy od granicy było już całkiem daleko i podana wiedza mogłaby się zatracić wśród chłopa polskiego, przewidujący Niemcy prowadzili kolonizację rolną z absolutnym wysiedleniem chłopa polskiego właśnie w Zamojszczyźnie, by przypadkiem nie zatraciło się doświadczenie przeżywane pod Koluszkami, Modlinem czy Częstochową. Kiedy wspominam dzisiaj te koneksje zjawisk, rozmiar głupoty równej pysze wydaje mi się tak niezmierny w postępowaniu Niemców, że nie wiem czy życia starczy, by wszystko odwinąć, co przechował film pamięci.

Na skutek takiej zapobiegliwości chłop przeczuwał, i to przynosi chlubę jego realnej, nie dającej się nabrać na żaden werbalizm wyobraźni społecznej, przeczuwał doskonale, że jego względny dobrobyt stanowi prowizorium do czasu zupełnego zwycięstwa. W wyniku tych wszystkich powodów chłop stosunkowo dobrze oparł się deprawacji moralnej. Ale nie ze wszystkim się oparł. Jego procesy gospodarcze również były wyłączone z procesów zbiorowych. Tracił podobnie, jak tracili wszyscy, ale w proporcji tracił znacznie mniej i co gorsze,

jedyny chłop mógł to sobie odbić na skórze ziomków. Nie on szukał nabywcy ze swymi produktami, ale nabywca przyjeżdżał do niego, na wieś najbardziej zapadłą i płacił każdą cenę. Nie on ponosił główne ryzyko handlu okupacyjnego — przewóz, ale handlarz miejski, zawodowy czy przypadkowy. Podobne procesy powtarzają się każdej wojny, nie inaczej sytuacja wyglądała pod koniec ubiegłej wojny, ale tym razem wobec zarządzeń niemieckich objawy te doznały szczególnego zaostrzenia. Ta uprzywilejowana sytuacja wyrobiła specyficzną nadczułość ceny, trwającą do dzisiaj: łatwo i w byle jakiej okoliczności cena ulegała podbiciu, a już szczególnie słonina miała tutaj wrażliwość mimozy. Trudno natomiast i opieszale wracała do normy, mimozowata dotąd słonina stawała się nagle nieczuła jak agawa.

Chłop nasz, jak każdy zresztą, jest nieczuły i twardy. Jego nieczułość pogłębiały specjalnie polskie remanenty wiekowej niedoli chłopskiej. W tych okolicznościach stawał się nieczułym do potęgi i takim go dziedziczy Polska po czasach okupacji.

Wielka własność

Stosunku do wielkiej własności nie tłumaczą żadne widoczne i dostępne zarządzenia, ale motywy sięgające głębiej, mianowicie nadzieje Niemców co do przyszłości „Weichselraumu". Jak Niemcy przedstawiali sobie przyszłą strukturę rolną Generalnego Gubernatorstwa nie wyjaśniają tego — za wyjątkiem „wzorowych" osad niemieckich w Zamojszczyźnie i w dystrykcie radomskim — stosunki panujące w Gubernatorstwie, lecz tylko zmiany przeprowadzone przez nich na ziemiach przyłączonych do Rzeszy. Przede wszystkim zmiany w pasie pomiędzy granicą rosyjsko-niemiecko-austriacką z roku 1914 a granicą Rzeszy i Gubernatorstwa. Pas od Żywca po Mławę, najszerszy na równoleżniku Kalisz-Koluszki.

Struktura rolna ziem polskich miała być włączona w system kolonizacji Wschodu przez chłopa niemieckiego. Podstawą jej na tym pasie było osadzenie w każdej wsi kilku lub kilkunastu „bauerów", wyłącznie prawie przesiedleńców z Bukowiny, Siedmiogrodu, pomiędzy których podzielono ziemię przynależną wsi, tworząc w ten sposób kilkanaście dużych gospodarstw rolnych, typu i wielkości istniejącej już dawno w Poznańskim. Ludność autochtoniczna była przydzielona tym kolonistom jako parobcy na własnej roli. Reszta zbędna do tego zadania, wobec przeludnienia naszej wsi ilościowo znaczna, jechała do Rzeszy do fabryk, najaktywniejsi do obozów zniszczenia. Stadium to, już niosące w sobie straszliwą groźbę, stanowiło niewątpliwie ogniwo przejściowe. Niewątpliwie w razie zwycięstwa niemieckiego element autochtoniczny polski, niebezpieczny bo związany z ziemią obrabianą, zostałby zastąpiony elementem roboczym ściągniętym z innych krajów. Przejściowa pańszczyzna tego etapu byłaby się cofnęła, zgodnie z całą logiką gospodarczą faszyzmu, jeszcze bardziej wstecz, na etap feudalizmu podbijającego, do stulecia najazdów normandzkich: pan rycerski i niewolnik sprowadzony.

Na tym tle dopiero rozumiemy politykę rolną Niemiec w Generalnym Gubernatorstwie, chociaż sam ten przejściowy etap pańszczyzny według klucza na-

cjonalistycznego na razie się zatrzymał u granic Gubernatorstwa. Niemcy nie byli zainteresowani w jakichkolwiek postępowych społecznie przemianach ustroju rolnego. W ogóle w ustroju gospodarczym Gubernatorstwa tylko te zmiany aprobowali, które dokonały się inercyjnie i jakich nie dało się uniknąć: handel polski, który „wskoczył" na miejsce żydowskiego. Gospodarkę rolną Gubernatorstwa traktowali jako ogniwo tymczasowe, z którego w okresie wojny mają wyciągnąć jak największe dla siebie korzyści, by dopiero po zwycięstwie przerobić ją według swego planu kolonizacyjnego. Dla tego zamiaru najsłuszniejszym doraźnie postępowaniem było czasowe zachowanie ustroju rolnego, zwłaszcza tych jego komórek, które będą dogodniejsze dla kolonizacji. Otóż niewątpliwie łatwiej zlikwidować jednostkowego obszarnika a majątek nadać kilku „bauerom", aniżeli proces ten przeprowadzać na fundamencie drobnych gospodarstw i przeludnionej wsi. W pierwszym wypadku mamy kawałkowanie, w drugim — całkowanie, proces znacznie trudniejszy. Dlatego Niemcy wielkich majątków pozostałych bez właściciela nie nadawali wsi pod obróbkę, ale systemem „Liegenschaftu" i powiernictwa trzymali w przejętym kształcie.

Doskonały tego przykład miałem w Krzeszowicach, w dawnym majątku Potockich, przejętym przez Franka. Ziemi ornej i łąk jest niecałe 200 hektarów. Budynki folwarczne, chociaż stare, całkiem dobrze obsługiwały tę niewielką całostkę. Mimo to kosztem wielu milionów przeprowadzono rozbudowę stajni, stodół, magazynów nawozów sztucznych w rozmiarze zdatnym obsłużyć tysiące hektarów. W roku bodajże 1941 rozeszła się też pogłoska, że folwarki okoliczne zostaną wcielone do majątku w Krzeszowicach, a za nimi kolejno grunta chłopskie. Pogłoska wywołała niepokój, rychło ją też zatuszowano. Rozbudowa folwarku szła jednak dalej i dla uważnego obserwatora nie ulegało wątpliwości, że to niedoszły pan feudalny na Kressendorfie przygotowuje podstawę, wedle której wcieli po zwycięstwie grunta swoich sąsiadów, chłopów, obszarników i klasztorów. Nie ulegało dalej wątpliwości, że zatuszowana pogłoska była przedwczesnym odsłonięciem planu przygotowywanego dalej i z pełną konsekwencją.

Ta powściągliwość Niemców wobec wielkiej własności posiadała również powody dalsze, na pozór bardziej autonomiczne psychologicznie, w istocie tkwiące w ich zadawnionych tęsknotach władczo-feudalnych. Niemcom, zwłaszcza górze partyjnej, niewątpliwie imponował typ życia dworskiego. Czuli się doskonale wśród zastawionych stołów, przodków i kominków i każdy z góry partyjnej, skoro mógł, urządzał się na wzór ziemianina polskiego. Nabywał jego sposobu bycia, tym parweniuszom o wstecznej wyobraźni społecznej doskonale było w całym otoku socjopsychologicznym ziemiaństwa. Przezabawny był widok Franka w pogodny dzień wiosenny urządzającego przejażdżkę otwartym landem, parą koni, po dróżkach swojej posiadłości, Franka przyjmującego na jesieni od służby folwarcznej wieniec dożynkowy. Jeszcze zabawniejszy był widok jego pełnomocnika, przebudowującego dla siebie stare domostwo całkiem na wzór dworu szlacheckiego, ściągającego na gwałt czeczoty, karabele i berdysze (autentyczne), tyle że dworu z szykanami fizjologicznymi nieznanymi w dwo-

rach autentycznych. Przypuszczam, że w razie zwycięstwa ci sami panowie byliby malowali galerie przodków, kasztelanów w żupanach i biskupów w krzesłach senatorskich.

O tyle ta sprawa jest wytłumaczalna, że w ten sposób urzeczywistniał się w łagodniejszym polskim klimacie psychologicznym typ życia pruskiego jukra, który dla Niemca władającego na Wschodzie stanowił zawsze wzór życiowy. Junkier jest jednak surowy i od jego zamku niedaleko do „Burgu" krzyżackiego, tutaj zaś realizował się całkiem inny typ tęsknoty za władzą. Typ brutalnie obnażający zgniliznę moralną i społeczną góry partyjnej, typ skończenie hedonistyczny, nastawiony na używanie życia, typ, który stwarzał sobie przeto złudę, że żyje w warunkach umożliwiających hedonizm. Tą złudą było rzekome zaufanie i miłość poddanych, wianuszek dożynkowy, łaskawe schodzenie między lud, komedia wzajemnej ufności i wiary, te nieprzebrane, kiedy je poruszyć, pokłady głupoty, zakłamania i cynizmu psychologicznego hitlerowców.

Wstecznictwo społeczne narodowego socjalizmu nigdzie się przeto nie obnażyło jawniej, jak w tych odruchach psychologicznych. Chłopem Niemcy gardzili, nie rozumiejąc go ani na jotę. Inteligencję nienawidzili i tylko wzgląd na własny interes hamował nienawiść. Ziemianom do połowy zazdrościli, w drugiej połowie żywili tajony podziw. Rzecz jasna, że taki chętny skłon psychologiczny wywoływał przystosowaną reakcję z drugiej strony. Trudno nie być grzecznym wobec notorycznego brutala, który tylko dla mnie jest grzeczny. Dlatego największa liczba chętnych do ograniczonej współpracy z Niemcami rekrutowała się spośród ziemian. Pochodzenie społeczne góry Rady Głównej Opiekuńczej jest tutaj nader wymowne. Widok nadciągającej przebudowy ustroju rolnego umacniał te koneksje, a najbardziej utrwalała świadomość, że oddawszy kontyngenty, właściwie — nawet policzywszy łapówki — żyć można.

Niemcy chętnie widzieli wszelkie inwestycje rolne. Ziemianin, zasadniczo lepiej od chłopa posunięty w swojej wiedzy rolniczej, mógł je stosować i pielęgnując własny interes, wychodził władzom w pół drogi. W systemie gospodarczym, na który Niemcy kładli największy nacisk, dając wysokie premie towarowe, uczestniczył przede wszystkim dwór: buraki dla cukrowni, kartofle dla gorzelń, nasiona oleiste.

Cały ten konglomerat powodów, jednych pochodzących od obiektywnej, chociaż doraźnej sytuacji gospodarczej — rzepak i buraki, innych pochodzących z psychologii Niemców, spowodował, że przy wysokich cenach produktów rolnych, dworom nareszcie wiodło się dobrze. Wiodło się dobrze — u ich schyłku ostatecznego. Trzeba też przyznać, że większość dworów spełniała swoje obowiązki społeczne, jako przytulisko nie tylko dla wysiedlonych krewniaków, że wiele cennych głów polskich nie byłoby przetrwało okupacji, gdyby nie miejsce we dworze rozumiejącym swój niepisany obowiązek dobrobytu. Ten spóźniony dobrobyt znajdujemy również w położeniu handlu za okupacji. W obydwu wypadkach nasz zapóźniony rozwój gospodarczy sprawił, że powodzenie materialne wraz z jego skutkami psychologicznymi u członków danych warstw nadeszło wówczas, kiedy w całej dialektyce gospodarczej stanowiło objaw wsteczny i paradoksalny.

Wyniknęły stąd skutki jeszcze dalsze, kładące się na pierwszych miesiącach niepodległości. Powodzenie pozostawia zawsze osad psychologiczny tęsknoty za tym co było, niechęci do sił, które go zlikwidowały. Nikt naturalnie nie twierdzi, by obszarnicy tęsknili za władzą germańską nad narodem. Każdy jednak widzi, że tęsknią i długo jeszcze tęsknić będą za swoim miejscem gospodarczym czasów okupacji. Tęsknota taka jest pomyłką psychologiczną. Stanowisko Niemców wobec wielkiej własności było jak uśmiech na obliczu bestii, która na razie wstrzymuje się od skoku. Uśmiech, który zapowiadał równocześnie: t e n k ą s e k b ę d z i e m i n a j b a r d z i e j s m a k o w a ł.

Dziedzictwo na hipotece niepodległości

Czas obecnie na bilans przeprowadzonych analiz oraz na wnioski, które wynikając z nich dotyczą przyszłości.

Psychologia gospodarcza społeczeństwa polskiego czasów okupacji kształtowała się pod wpływem czynników, wykluczających życie gospodarcze od twórczego, a tym samym moralnego uczestnictwa w planie nadanym temu życiu. Samo to wykluczenie najważniejszych procesów życia zbiorowego od odpowiedzialności i sprawczego uczestnictwa musiało wywołać głęboką deprawację jego uczestników, deprawację przeważnie niezawinioną, wywołaną samą koniecznością przetrwania w systemie opartym na fikcji, jako usłudze dla rządzonych na krzywdzie, jako zasadzie. W wielu wypadkach ta deprawacja była jednak celowa i świadoma, doskonale pojęta i podjęta przez uczestników życia gospodarczego. Dotyczy to handlu i pośrednictwa. W innej wreszcie odmianie problemu fakty same przez się dodatnie na pozór, jak powstanie drobnego handlu polskiego oraz ożywienie produkcji większych warsztatów rolnych pojawiły się zbyt późno, by stanowić miały zarodnię przyszłego rozwoju gospodarczego.

Ważniejsze są wynikające stąd wspólne dyspozycje psychiczne, które gotowe przetrwać za niepodległości, przynajmniej w jej pierwszych latach. Społeczeństwo polskie dziedziczy po okupacji na pół świadome, ale mocno zakorzenione przekonanie, że w nowoczesnym życiu gospodarczym najważniejszą funkcją jest handel. W dodatku handel pojmowany w sposób najbardziej indywidualistyczny. Powtórzmy przyczyny tego faktu: usunięcie Żydów, inercyjne wejście Polaków na opróżnione przez nich miejsce, wywołany koniecznością życiową udział w handlu warstw, które dotąd nie ocierały się o tę dziedzinę — robotnik, urzędnik. S p o ł e c z e ń s t w o p o l s k i e z a o k u p a c j i ż y ł o i o k u p a c j ę p r z e ż y ł o z h a n d l u. W zacofanym polskim rozwoju gospodarczym dokonało niewątpliwie kroku wprzód. Ale taki krok, powstanie handlu indywidualistycznego, w skali światowej byłby postępowy w dobie powstawania mieszczaństwa światowego, nie dzisiaj, w dobie jego schyłku. Ponieważ jednak przeżyło z handlu, gotowe sądzić, że w nastającym ustroju gospodarczym niepodległości będzie podobnie. Jest to błąd, wybaczalny psychologicznie jako echo niedawnej przeszłości, niewybaczalny, gdyby się miał stawać nadzieją i przewidywaniem na przyszłość.

Na razie jednak można przewidywać, że sytuacja, która ukształtowała się

w granicach Gubernatorstwa, w najbliższych miesiącach, a może i dłużej będzie zarażać ziemie zachodnie. Kiedy przejeżdżać (piszę to w marcu) linię dzielącą te obszary, w widoku miast przynależnych za okupacji do Rzeszy, uderza brak tych wystających na wszystkich ulicach typów, pomrukujących — „kupuję, sprzedaję, papierosy, dolary". Uderza zupełny brak wystaw zapełnionych wszelakim towarem, od perfum po słoninę. Handel polski tam nie istnieje, ale można z wszelką pewnością przewidzieć, że te kobiety spod samego frontu, z którymi jechałem z Oświęcimia na Katowice, bo tam zahandlować można z zyskiem uzyskanym dzięki fantastycznej naiwności Ślązaków, nieoswojonych z handlowym obyczajem okupacji, te właśnie kobiety i ich wspólnicy przeniosą handlowy obyczaj Gubernatorstwa na ziemie, które go dotąd nie znały. (W czerwcu dopisać mogę, że tak się stało istotnie).

Przewidywanie nie zmienia jednak oceny. Rozrost handlu był tylko polipem, wyhodowanym w atmosferze gospodarki wykluczonej moralnie i nie dbającej o najbardziej prymitywne potrzeby podbitego narodu. Był jego doraźną samoobroną. Tu wykluczenie dokonało się w latach wojny, którą wygrały nie tylko dzielność żołnierzy, ale w większym jeszcze stopniu krzywe produkcji i kryjący się za nimi codzienny, pełen ofiar i poświęcenia, uparty wysiłek pracy. Wygrywają tę wojnę narody, które wyrobiły w sobie wysoką moralność gospodarczą, moralność pracy, a u przegrywających jedynie zdolność do takiego wysiłku jest czymś cenniejszym od bzdurnych ideologii. Społeczeństwo polskie tylko czytało o fabrykach rosyjskich, ewakuujących się wraz z załogami tysiące kilometrów, wyładowywanych w pustkowiach i w kilka tygodni rozpoczynających normalną produkcję. Tylko słyszało o stoczniach, w tydzień wypuszczających nowy okręt. Słyszało o drogach przecinających całe kontynenty, od Senegalu po Abisynię. Słyszało i czytało, ale w żadnym podobnym procesie nie uczestniczyło jako aktor świadomy. Nie zna i przeczuć nie może sumy poświęcenia, wysiłku, głodu i zapobiegliwości myśli, kryjących się w faktach, których ostatnie i olśniewające wyniki otrzymywało. Odebrana mu została, wymazana z zasobu doświadczeń, kto wie czy nie najważniejsza nauka wojny: procesy gospodarcze wprzęgnięte moralnie w życie narodu. Nie jakąś heteronomiczną czy idealistyczną moralnością, ale moralnością, która się rodzi z celu i świadomości tego celu, z rozeznania cech w obiektywnym i postępowym porządku świata. Procesy odrzucające wielki zysk dziejowy.

Doświadczenie podobne nie powstało bowiem drobnym sprytem chrzczonego handlarza ani przebiegłością chłopka, umiejącego obejść każdy zakaz, ale powstało na skutek tego, że z gospodarki został uczyniony w życiu narodów proces najbardziej moralny, bo najbardziej odpowiedzialny. Tymczasem gospodarka wyłączona moralnie pozostawiła osad predyspozycji, że stan taki może trwać w nowym państwie i społeczeństwie. Ten osad nie łatwo przyjdzie zmyć i usunąć. Tymczasem, gdyby się nie dało inaczej, wraz ze skórą musi on być zdarty z psychologii naszego społeczeństwa, jeżeli zażegnięta nim deprawacja nie ma przetrwać dłużej nad to trwanie, które jeszcze wybaczyć i pojąć można — echo. Echo stanu już nieaktualnego.

Ten osad psychologiczny w różnych warstwach posiada różną głębokość.

Najsilniejszy jest w kupiectwie. Rozumiemy dlaczego: jego doraźnie uprzywilejowana sytuacja powstała bez odpowiedzialności i udziału. Była, górnie mówiąc, łaskawym darem losu. Również normalna kontrola państwa — podatek — była tutaj najbardziej fikcyjna. Stanowisko takie zwykło rodzić pretensje trwające dłużej, aniżeli jego podstawa. Nie ustały przeto nadzieje na fikcyjny system podatków, na brak kontroli społecznej, na inercyjny i paskarski zarobek. Warunki dzisiejsze ułatwiają te nadzieje. Świeży kupiec polski, o ile go nie zastąpi system sklepów spółdzielczych, musi się dopiero nauczyć życia na normalnym zarobku handlowym. Dlatego w nowym naszym państwie rola kupiectwa musi być uważnie kontrolowana a złe nawyki najmocniej tępione.

Drugi co do grubości osad pozostał w ziemiaństwie. Przeprowadzenie reformy rolnej likwiduje jego wagę społeczną, znosi sam problem. Psychologia gospodarcza wsi zdaje się przedstawiać względnie dobrze, chociaż taka jest twarda i bezwzględna. Opory i zadrażnienia, jakie na wsi powstawały za okupacji, dotyczyły raczej czysto psychologicznej strony rzeczy, niż samego prawa państwa do ingerencji. Rentujące się ceny rolnicze w kraju przesuwającym swoją gospodarkę ku strukturze przemysłowej, winny się utrzymać stale. Odpada w ten sposób główne źródło niezadowolenia wsi. Kolonizacja Zachodu stwarza klapę bezpieczeństwa dla przeludnienia wsi. System kontyngentów, o ile będzie rozsądnie nałożony, możliwie wysoko płatny, a przede wszystkim przeprowadzony bez podkradania w instytucjach zbiorniczo-rozdzielczych, będzie można utrzymać, nie siejąc na wsi niezadowolenia, bo chłop jego potrzebę rozumie.

To jest wyraźnie ciemna — handel, i wyraźniej jaśniejsza — wieś, pozycja na hipotece niepodległości. Natomiast środek problemu jest nadal skomplikowany i niełatwy do rozwiązania. Ten środek oznacza robotnika, inteligenta miejskiego, urzędnika, dysponenta w przemyśle kierowanym. Dlatego skomplikowany, ponieważ podstawy gospodarcze, które sprowadzały deprawację moralną okupacji, trwają w znacznym stopniu dalej i niestety w niejednym wypadku trwać muszą. Podstawy te polegały na dysproporcji między rzeczywistym poziomem życia, jego wymaganiami finansowymi a zarobkami robotnika i urzędnika. Ta dysproporcja trwa dalej i jasne, że zamiast tępić złe nawyki okupacyjne, sprzyja w wielu wypadkach ich utrwaleniu.

Przede wszystkim rozszerzony został zakres możliwych pokus. Dyspozycja gospodarcza, rozdział produktów, które nadal mają i długo mieć będą dwie ceny, jedną oficjalną, a drugą rynkową, dostała się w ręce polskie. „Bezugscheiny" leżą na biurku polskiego naczelnika wydziału. Skutkiem tego wszystkie możliwości legalnego kantu, które znajdowały się w rękach Niemców, obecnie weszły w palce Polakom. Weszły wraz z całą podpatrzoną za sześć lat okupacji praktyką. Skutki wiadome i wiele czasu upłynie, nim te skutki przeminą. Rozumiemy, że trudno od razu tę dysproporcję usunąć: państwo nie może płacić pensji inflacyjnych, jeżeli nie ma wpaść w błędne koło gospodarki, łatanej drukiem pieniądza, a zatem jest mu trudno usunąć tę podstawę dysproporcji przez powiększenie swoich świadczeń. Ale z drugiej strony nowe państwo polskie, jeżeli ma żyć, nie może poprzestać na fikcyjnych podatkach i żądaniach. Musi żądać w proporcji do swoich potrzeb, a tym samym musi sankcjonować ceny

względnie wysokie, by brać od nich równie wysokie odrzuty podatków. Dawać możliwie mało, brać możliwie dużo.

Takie postępowanie jest koniecznością, ale ono to sprzyja na razie utrwaleniu pokus i dysproporcji. Sprawia, że wyłączona moralnie psychologia gospodarcza nie straciła dotąd swojej bazy. Dlatego właśnie na ten wycinek odziedziczonej hipoteki musi być zwrócona najbaczniejsza uwaga. Nim sam rozwój gospodarczy i zarządzenia państwa przekreślą tę rozbieżność, nie wolno jej zablagować pięknym frazesem. Nie wolno przede wszystkim publicystyce, która powinna nazywać miejsca zła po imieniu. Najgorsze miejsce zła skupia się wokół dyspozycji w przemyśle kierowanym, wokół rozdzielnictwa towarów kierowanych, wokół ingerencji administracji w życie gospodarcze, przede wszystkim zaś wokół fikcyjnych zarobków.

Gospodarka wyłączona moralnie z życia narodu pozostawiła fatalne nawyki psychologiczne. Niemcy orientowali się w tych nawykach, ale nie wiele im na nich zależało, jeśli tylko wycisnęli swoje. Ponadto deprawacja dotyczyła znienawidzonych Polaków, a to było im na rękę, wreszcie wszystko, co się działo w Generalnym Gubernatorstwie uważali za prowizorium gospodarcze, które się skończy z dniem zwycięstwa. Natomiast na nowe państwo polskie te nawyki i zboczenia psychologiczne spadają całym ciężarem. Teraz dopiero płacimy psychologiczną cenę okupacji. By jej podołać, należy ją najpierw uświadomić. Oby słowa tutaj napisane były wstępem do rozważań podobnych, danych przez pióra godniejsze i lepiej zorientowane. Wierzę, że nie zbraknie ich w Polsce.

Gdyby zaś zbraknąć miało, spróbujemy sami. Nie święci garnki lepią. Marks podziwiał Balzaca, czyli inaczej, do naszego skromnego poziomu stosując: bywają czasy, kiedy warto być takim garncarzem.

SPRAWY I TROSKI

WARSZAWA

I

TEATR LETNI

Jak daleko sięgnę myślą wstecz w okres mego najwcześniejszego dzieciństwa, zawsze pamiętam w Saskim Ogrodzie Teatr Letni. Stał ten dziwaczny stwór drewnianego budownictwa, ni to rosyjska dacza-olbrzym, ni to podgórskie leśne sanatorium, cały w jakby piłeczką powycinanych koronkach ozdób, z galeryjkami na misternych słupkach, ogrodzony w tymże stylu balustradą w ząbki, kółka i trójkąty. Zbudowano go w ósmym dziesiątku zeszłego stulecia na paromiesięczny okres wystawy rolniczej czy higienicznej na równi z szeregiem pomniejszych kiosków, które stopniowo poznikały, a on przetrwał z górą pół wieku, co potrafi nie każdy gmach teatralny nawet murowany, ile że teatry lubią się palić. I przez cały ten czas swej półwiekowej kariery, — a ileż to razy poruszano w prasie konieczność jego rozbiórki, ile nawet w tej mierze zapadło uchwał Zarządu Miejskiego ze względu na niebezpieczeństwo pożaru tego pudła, — Teatr Letni zawsze się jakoś z grożącej mu likwidacji wykręcił, i owszem — w miarę lat porastał w piórka, bo go z czasem dostosowano do przedstawień zimowych, zamurowując zewnętrzne ażurowe galeryjki, urządzając w nim centralne ogrzewanie i dobudowując doń kryty drewniany podjazd.

A spalić się nie chciał w żaden sposób. Kilka innych teatrów spłonęło w Warszawie podczas jego kariery, bo i Rozmaitości i Zjednoczony na Bielańskiej i Mały na Daniłowiczowskiej i częściowo Opera, nie licząc pożarów pomniejszych, a Letni — trwał. Jako uczeń gimnazjalny pamiętam, gdym się dostawał doń z rzadka za kulisy, jak od żaru płomieni gazowych, którymi jeszcze wówczas były oświetlone rampy, chwiały się wiszące tuż płachty dekoracji, odgrodzone od płomieni tylko siatkami drucianymi, a w drewnianych klitkach garderób wyklejonych odłażącymi tapetami mimo najsurowszych zakazów palono papierosy i na spirytusowych maszynkach fryzjerzy grzali żelazka, — a teatr spalić się nie chciał.

Dopiero trzeba było drugiej wszechświatowej wojny, by pod koniec oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 roku Teatr Letni, syt sławy i kariery spłonął od bomby z niemieckiego aeroplanu! Na pogorzelisku nie pozostało prawie nic prócz żelaznego słupka stojącego obok teatru z blaszaną tabliczką: „palarnia".

Zaiste prowizorium trwające przez pół wieku, zwane Teatrem Letnim, zasługuje na uczciwą monografię. Czego bo tam nie grano? Balety, opery, melodramaty, komedie, farsy, tragedie, operetki. Jakich wyczynów inscenizacyjnych nie dokonywano w tej budzie, niczym na scenach najlepiej urządzonych teatrów? Paroletni chłopiec, pierwszy raz w życiu bodaj zabrany przez ojca do Letniego, nie zapomnę wstrząsającego wrażenia, jakie uczynił na mnie balet pt. „Brahma", gdy w apoteozie płonęła w dymach na stosie jakaś najulubieńsza wdowa po maharadży. Na początku sztubackich znów czasów podziwiałem tu melodramat Decourcelle'a „Dwaj malcy" z Ireną i Teklą Trapszównymi w rolach tytułowych, gdy czarny charakter — grał go Szubert — tonął w puszczonej na scenę masie prawdziwej wody!

Tu jako brzdąc, uciekając niańce z tzw. „wolnego trawnika", który między budynkiem teatru a ulicą Żabią był przeznaczony dla zabaw dziecięcych, a nie miał ani źdźbła trawy, sylabizowałem z afiszów tajemnicze tytuły sztuk, działające na mnie jak zaklęcia magiczne — „Ferrol", „Sapho", „Wazantazena" — i skwapliwie kolekcjonowałem zbierane z ziemi różnokolorowe bilety z fascynującymi napisami: amfiteatr, krzesło, galeria. Tu jako uczniak trzeciej gimnazjalnej zaraziłem się na całe życie mikrobem teatralnym przy uczęszczaniu, „na gapę" oczywiście, na operetkę, doskonale zresztą prowadzoną przez dyr. Ludwika Śliwińskiego. Od tej pory zaczęła się wśród kolegów moja renoma teatromana, której przykład jął się szerzyć epidemicznie.

Ja i moi coraz liczniejsi naśladowcy oszczędzaliśmy każdy od rodziców wydobyty grosz, ba — w braku takowych „topiliśmy" szkolne podręczniki u antykwariuszów na Świętojańskiej,

byle mieć na teatralną „gapę" konieczne 15 czy 20 kopiejek. Wówczas odmykał się sezam galeryjki Letniego i spoconego ze zdenerwowania sztubaka witały czary „Pięknej Helny", „Barona cygańskiego", „Zemsty nietoperza", „Gejszy" czy „Życia paryskiego". A że wrażenia wczesnej młodości posiadają wyjątkowo silne natężenie, wracało się do domu po takiej uczcie doznań w stanie na wpół poczytalnym i furda awantura a nawet wnyki za „gdzieś był?!". Furda dwója z geometrii, gdy w łepetynie wirują strzępy czarownych melodii i jeszcze czarowniejsze wizje wdzięków primadonn! Było w tym zaiste coś z dionizyjskich upojeń. Opera pędrakom tego nie dawała, przytłaczając raczej powagą i oszałamiając nawałem „trudnej" muzyki, ale operetka z jej pogodną beztroską humoru, z dowcipami komików, z tajemniczymi aspektami miłosnymi była jednym trzygodzinnym oczarowaniem, które filtrowało się potem w wyobraźni przez szereg dni.

Po roku — dwóch poczynały się już u bywalców wyłaniać refleksje: to było „boskie", tamto „tak sobie", owo nawet „do luftu!" Ale chodziło się do Letniaka coraz nagminniej, chociaż operetkę zaczęła luzować farsa a nawet komedia i dramat zespołu Rozmaitości (latem). Pod tym nowym wpływem i nasz pierwotnie czysto operetkowy gust począł się naginać, sublimować a wreszcie coraz bardziej na dobre gustować w tych wyższych a zawilszych już regionach sztuki teatralnej. Toteż, gdy już dobrnąłem do siódmej gimnazjalnej, a w Teatrze Letnim rozpoczął się cykl gościnnych występów Kazimierza Kamińskiego, bodaj że połowę wyższych klas uczelni ogarnął szał teatralny. Szło się „na Kamińskiego", nie zważając na najsurowsze zakazy władz szkolnych, które bardzo rzadko udzielały pozwolenia na pójście do teatru i to tylko niektórym dobrze notowanym uczniom i to na pewne sztuki, o ile były grane na niedzielnych popołudniówkach. Szło się ryzykując dobrych kilka godzin „ciupy", a w razie recydywy pojmania przez pedla, nawet czwórki ze sprawowania, co mogło bardzo poważnie zaciążyć na dalszych losach pobytu w gimnazjum, — niemniej przeto szło się jak ćma w ogień! Ale bo też rozkosze przeżyć teatralnych „na Kamyku", — a mieliśmy już dzięki paroletniemu doświadczeniu pewne, jak nam się wydawało, niewzruszone kryteria, — okupywały wszystkie powyższe przykrości. No i czar ryzyka też robił swoje.

Kamiński wnosił w dostojną, lecz nieco już zaśniedziałą atmosferę dawnych Rozmaitości świeży powiew: zgoła odmienny styl gry, ujmujący wdziękiem i dyskretną precyzją najdrobniejszych szczegółów zarówno w wewnętrznej jak i zewnętrznej charakterystyce kreowanych postaci i — w stosunku do utartego konwenansu scenicznego — szereg na owe czasy rewolucyjnych inowacji. Dziś inowacje te są starym zwyczajem, ale wówczas, prawie przed pół wiekiem, w epoce t. zw. „fin de siècle'u", wówczas, gdy wniesienie kandelabra na scenę, czy imitowanie zapalenia lampy było automatycznie związane z rozświetleniem wszystkich ramp, zaś picie z pustych a od wewnątrz zabarwionych szklanek, lub udawanie krajania i jedzenia udka z papiermaché leżącego na tekturowej porcelanie uważane za rzecz normalną, — wówczas zapalenie prawdziwej naftowej lampy na przyćmionej scenie i gra w kręgu jej światła były sui generis rewolucją. Toteż zakulisowa niechęć do tych wymyślnych nowatorstw ujawniła się od razu na pierwszym występie Kamińskiego w „Dramacie Kaliny" Z. Kaweckiego — na premierze. Sztuka kończy się odczytywaniem przez bohatera przy lampie luźnych kartek rękopisu dramatu. A lampa, gdy nadszedł finał, zapalić się nie dała, bo nie nalano do niej nafty. Scena zaś zgodnie z instrukcją występowicza była w stanie zmierzchu. Wtedy Kamiński, jakby pragnąc zamanifestować swój protest, podszedł z krzesłem do budy suflera i siadłszy czytał rękopis przy świetle budy. I powinna była po pewnej chwili powoli spaść kurtyna. Ale i ta widać niechętna inowacjom ani myślała spadać. Sztucznie przeciągnięty w ten sposób nastrój już zaczął działać na nerwy i końcowy efekt sztuki groził fiaskiem. Aż nagle kurtyna, jak gdyby przypomniawszy sobie, że to już koniec sztuki i chcąc nadrobić swe zagapienie a dopędzić stracony czas, spadła piorunem, rąbnąwszy głucho swym dolnym drągiem o deski sceny tak, że Kamiński ledwie zdążył się usunąć. Owacyjne jednak brawa widowni były stokroć większe, niż gdyby się wszystko jak najlepiej udało.

Cóż dopiero działo się na następnych sztukach, gdy zakulisowa rutyniczna niechęć schowała przytarte rogi i spektakle szły ze ścisłą dokładnością i wyrazem. Śmiało rzec można, że nie tylko nasza sztuba, ale cała ówczesna teatralna Warszawa szalała i pawilonisko Teatru Letniego trzęsło się w swych drewnianych przyciesiach od huraganów braw i owacji.

Kamiński po „Dramacie Kaliny" grał „Czerwoną togę" Brieux'a, potem „Margrabiego de Priola" (autora tej efektownej, lecz dość sztuczydłowatej historii już nie pamiętam), później bodaj Fujarkiewicza w „Domu otwartym" Bałuckiego, wreszcie w ibsenowskim „Janu Gabrielu Borkmanie" i każda z tych jego tak różnych rodzajem ról była prawdziwą rewelacją. Potrafił on magią swej sztuki hypnotyzować widza, przykuwać jego uwagę do najbardziej niepozornych gestów, do kwestii rzucanych od niechcenia, minimalnym zdawałoby się nakładem doprowadzać go do homeryckich wybuchów śmiechu i pozornie nie wysuwając się

z zespołu, i owszem — grając można by rzec z surdynką, tym bardziej na sobie skupiać zainteresowanie widowni. Grał całe sceny siedząc tyłem do słuchaczy, co dotychczas było niedopuszczalną herezją; mówił nigdy bodaj nie podnosząc głosu, wbrew panującym wówczas zasadom prawie że stentorowej dykcji; wydobywał szalone efekty nieuchwytnymi środkami,— a już charakteryzacja łącznie z kostiumem była w każdej roli sui generis arcydziełem.

W rezultacie występów Kamińskiego omal że nie zostałem na drugi rok w siódmej klasie; tak fatalnie moja teatromania zaciążyła na trygonometrii. Dostałem t. zw. „piereegzaminowkę" czyli dodatkowy egzamin powakacyjny, od wyniku którego zależała promocja. I pół letniego sezonu diabli wzięli! Dopiero na jesieni operetka pogodziła mnie z życiem. Potem przyszły „prace i dni" związane z maturą, a że operetka od 1901 roku, równocześnie z moją maturą, zainstalowała się w nowowybudowanym gmachu teatru Nowości przy ul. Hipotecznej, więc... ale to już całkiem inna historia.

W Teatrze Letnim osiadła wtedy na dłuższy czas farsa. Na ogół farsa grała w innej drewnianej hali w Teatrze Nowym przy ul. Królewskiej (w miejscu tym po poprzedniej wojnie urządzono „Sima"), grała przez lato, na zimę przenosząc się do Letniego. Na tę farsę, o ile mi pozwalało naturalne obkuwanie, chadzałem z chęcią tym większą, im rzadziej. Aż dopiero szczęśliwe uniwersyteckie czasy otworzyły przede mną oficjalnie a na oścież wszelkie przybytki Melpomeny od opery do kabaretu. W te lata w Letnim w lecie grały Rozmaitości, a w zimie farsa. A farsa ta, również jak i operetka pod dyrekcją Śliwińskiego, była znakomita. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że w swoim zakresie stała wówczas wyżej, niż Rozmaitości w dramatyczno-komediowym. Rozmaitości jak stary senny lew budziły się od czasu do czasu i zdobywały na kapitalne teatralizacje poszczególnych sztuk, na ogół jednak po szeregu śmierci swych asów (Królikowskego, Ładnowskiego, Rakiewiczowej, Tatarkiewicza i in.), przy łabędzim już śpiewie takich mistrzów jak Bolesław Leszczyński czy Wincenty Rapacki (ojciec) przechodziły przewlekły kryzys. Po za grupą znakomitych solistów (Frenkiel, Wolski, Lüdowa, Roland, Marczello, Przybyłko, Wojdałowicz) i mniejszą już — wybitnych aktorów, był nazbyt liczny trzeciorzędny ogół. Zespołowi temu stale brakowało tęgich reżyserów. Trupa farsy przy dobrej reżyserii Śliwińskiego doszła właśnie do pełnej harmonii. Komicy — Winkler, Sikorski, Fertner, Siemaszko — doskonali, pyszny komiczny amant Gasiński, świetna lekka amantka Honorata Leszczyńska oraz Mieczysława Ćwiklińska (nieco później), jedyny w swoim rodzaju komik w spódnicy Michalina Łaska. Trapszo, Jarszewski i reszta zespołu harmonijnie sekundująca czołowym siłom. Tamże w kilka lat później startowali jako młodziutcy amanci Juliusz Osterwa i Jerzy Leszczyński. Toteż trupa ta cieszyła się wyjątkowym powodzeniem. Farsy miesiącami nie schodziły z afisza, a Teatr Letni trzeszczał od kompletów. Ale też trzeba zaznaczyć, że ten przygodnie zbudowany bungalow wykazał wszystkie zalety najstaranniej skonstruowanego teatru: z każdego miejsca było dokładnie widać scenę, akustyka zaś, ta pięta achillesowa większości naszych teatrów, miała rezonans starych ogranych skrzypiec,— była wprost idealna. Nic tam na scenie nie ginęło dla oka i ucha widza-słuchacza, żadna „kwestia" nie zamierała w drodze (z wyjątkiem oczywiście złej dykcji aktora), każde lotne słówko dowcipu docierało do najdalszych zakątków sali. Jednym słowem, buda „Letniaka" była wzorem zalet, bo nawet i miejsca posiadała bardzo wygodne i rozplanowane nie, jak zazwyczaj, fatalnie t. zn. jedno wprost za drugim, lecz każde krzesło tylnego rzędu stało w interwalach krzeseł przedniego.

Zbędnym było by wypisywać litanie krotochwil, lekkich komedii i fars odnoszących w onczas swe wielkie sukcesy, gdyż większość ich była sprytnie sfabrykowanymi ramotkami, którym powodzenie zapewniała jedynie koncertowa gra wykonawców. Nic się zresztą tak szybko nie starzeje jak podłoże sztuk tego rodzaju: powód do śmiechu. Utalentowani autorzy posiadają tajemnicę rozśmieszania paru pokoleń, a tylko tytany teatru (Arystofanes, Szekspir, Molier) mają tę władzę na stałe. Z repertuaru ówczesnej farsy dziś może by się ostało 5%: jakieś „Porwanie Sabinek", „Ciotka Karola", „Dama od Maksyma" (w której, nawiasem mówiąc, Łaska grała lepiej niż znakomita Réjane, dla której Feydeau napisał tę farsę) i może jeszcze ze dwie — trzy sztuczki. Toteż uważam, że wznowienia tych fars, jakie z powodzeniem miały miejsce przed lat dziesiątkiem w formie przeróbek, są niczym nie usprawiedliwione, gdyż przeróbki te (zwłaszcza kryminał z „Damą od Maksyma") były grubo gorsze od pierwowzorów.

Od 1905-ego roku, t. j. od czasu zamknięcia uniwersytetu warszawskiego na skutek strajku szkolnego, co spowodowało masowy wyjazd młodzieży (w tej liczbie i niżej podpisanego) na studia zagranicę, nić wspomnień związana z Teatrem Letnim urywa mi się na kilka lat, mniej więcej do 1910-ego, gdym wrócił już na stałe do kraju w roli bardziej skomplikowanej. Teatroman zaczął się przepoczwarzać w teatrologa. Jęło się pisywać teatralne recenzje, młode — więc napuszone a buńczuczne, by w rezultacie samemu stać się ich

ofiarą — autorem. A Teatr Letni wciąż grał swoje farsy i wciąż pod dyrekcją Śliwińskiego cieszył się powodzeniem. Ale i pracował na nie. Zmniejszył kontyngent nazbyt już głupawych „schwank'ów" i „lustspiel'ów" niemieckich, zwiększył — lekkich komedii francuskich. Poziom szedł w górę. Prasa zaczęła się domagać krotochwil polskich, które świeciły w repertuarze zupełną nieobecnością. Na tym punkcie jednak Śliwiński bronił się ze wszystkich sił. Stary wyga teatralny wiedział, że to co z sukcesem przeszło już swoją ogniową próbę za granicą, to co się tam samemu widziało i przywiozło do Warszawy w formie gotowego „regiebuch'u", ma wszelkie szanse i w Warszawie, zwłaszcza w jego zgranym zespole. I nie chciał narażać na szwank stałego powodzenia swej sceny. Udawał, że pertraktuje z autorami (rozmawiał nawet ze mną, początkującym adeptem), dawał notatki do prasy, że zamierza to i owo polskie wystawić, ale zawsze mu coś nieprzewidzianego stawało na przeszkodzie i odkładało realizację projektu... ad calendas graecas. Przyznać jednakowoż trzeba, że Śliwiński wystawił w tymże Teatrze Letnim parę polskich krotochwil, jak np. „Maćka Samsona" Galasiewicza czy „Wesele Fonsia" Abrahamowicza i Ruszkowskiego, ale miało to miejsce w czasie poprzedzającym omawiany o dobre dziesięć lat, kiedy zespół farsy kształtował się dopiero i dyrektor nie bał się przez jakąś klapę utracić powodzenia. Teraz zaś, lękając się jego utraty, zawsze w najniebezpieczniejszej chwili potrafił wystawić taki „przebój" zagraniczny, że w fanfarach nowego sukcesu głuchła sprawa jakiejś tam czekającej na wystawienie od lat w ogonku polskiej krotochwili. Takim wielkim sukcesem było wystawienie „Króla" de Flers'a i Caillavet'a, istotnego majstersztyku lekkiej komediowej satyry politycznej, gdzie w tytułowej roli Gasiński święcił tryumfy z Ćwiklińską. Komedia ta, jak zresztą i kilka innych tej znakomitej spółki autorskiej, parokrotnie wracała na repertuar innych teatrów Warszawy nie starzejąc się zupełnie. Grał „Króla" Kamiński, grał przed kilkunastu laty w Teatrze Polskim Mariusz Maszyński tworząc jedną ze swych świetnych kreacji. Wreszcie, prawie że już przed samą poprzednią wojną, Śliwiński zaryzykował. Wystawił „Polkę w Ameryce" St. Kozłowskiego popularnego wówczas autora szeregu sztuk przeważnie historycznych. I krotochwila ta, mimo że polska, cieszyła się też powodzeniem. Podczas wojny Śliwiński ustąpił ze stanowiska dyrektora, zespół począł się rozprzęgać, przechodzić na inne sceny i „stara buda" Teatru Letniego zaczynała coraz częściej doznawać zmiennych kolei losu, jaki normalnie bywał udziałem innych teatrów Warszawy.

Na razie, po skasowaniu carskiej cenzury, publiczność rzuciła się tłumnie do teatrów, by wreszcie odetchnąć atmosferą sztuk dotąd zakazanych. „Dziady", „Kordian", „Ksiądz Marek", „Noc listopadowa", „Warszawianka", „Wesele" (bez skrótów), potem „Tamten", „Kniaź Potiemkin", „Kościuszko pod Racławicami" i in. ściągały do teatrów tłumy. Teatr Letni jednak z racji specjalnego zakresu swego repertuaru mógł tylko w minimalnym stopniu uczestniczyć w tej koniunkturze. Z jego zaś rolą arbitra humoru zaczęły konkurować zrazu teatry „miniatur", to jest jednoaktówek a potem kabarety „literacko-artystyczne" jak Czarny Kot, Miraż, Sfinks, Argus, wreszcie Qui Pro Quo i scenki te spowodowały secesję dotychczasowej publiczności Letniego na swoje widownie. „Mówię, bom smutny i sam pełen winy" jako trzyletni dyrektor Czarnego Kota, którego powodzenie często przekraczało granice możliwości, bo publiczność przepełniała nie tylko widownię, lecz poczekalnię, podwórze i trotuar na Marszałkowskiej, ale to też całkiem inna historia, związana z Teatrem Letnim o tyle, że i niektórzy koryfeusze farsy i operetki przeszli do zespołu Czarnego Kota jak Gasiński, Wincenty Rapacki (syn), Bielska, Dobosz-Markowska, Bogucki, Domosławski i in.

Vis major wreszcie przerzucił repertuar Letniego na inne tory: zamiast drewnianej budy w Saskim Ogrodzie spłonął murowany Teatr Rozmaitości i zespół „pierwszej polskiej sceny" przeniósł się do Letniego. W tej fazie Teatr Letni trwał aż do odbudowy i inauguracji Teatru Narodowego. Na scenę Letniego wkroczył teraz repertuar polski zrazu wyłącznie, zwłaszcza za dyrekcji Jana Lorentowicza, potem — z małymi odchyleniami.

Pierwszym dyrektorem naczelnym teatrów st. m. Warszawy pod koniec okupacji niemieckiej, ile że teatry podczas okupacji rządziły się systemem zrzeszeniowym t. j. przez zarządy wyłonione z własnych zespołów, — został znakomity krytyk literacki i teatralny i redaktor memoriału specjalnej Komisji Teatralnej co do reformy i ustroju teatrów miejskich stolicy — Jan Lorentowicz. Wysunął na czoło swych poczynań zasadę, że podobnie jak Comédie Française jest główną strażniczką i konserwatorką skarbu teatralnej twórczości

*) W tym miejscu czuję się w obowiązku zaznaczyć, że ponieważ materiały teatrologiczne, jakie zbierałem przez trzydzieści zgórą lat, spłonęły mi po powstaniu warszawskim, muszę obecnie polegać tylko na własnej pamięci, zaś złudzenia retrospektywne czasu są nie mniejsze niż złudzenia optyczne przestrzeni, dlatego niestety zastrzegam się co do jej stuprocentowej ścisłości w pewnych okresach, ile że jedne pamięta się lepiej, drugie — gorzej. I będę bardzo zobowiązany, gdy mi kto jaką nieścisłość skoryguje.

francuskiej, tak pierwsza scena polska (Rozmaitości respective Narodowy) winna się podjąć tegoż zadania w stosunku do twórczości polskiej. Takie założenie, kultywując nasz repertuar klasyczny, romantyczny i retrospektywny późniejszy, otwierało ponadto wszelkie możliwości repertuarowi współczesnemu włącznie do ówczesnych najmłodszych autorów. Gdy tedy po Czarnym Kocie, mając jako komediopisarz już kilka sztuk na rozkładzie, znów wziąłem się do uczciwej autorskiej pracy, na scenie Teatru Letniego przeżyłem jeden z większych sukcesów dzięki „Dziejom salonu" (tamże wznowionym w 10 lat potem), w rok zaś później poniosłem niemniej dużą porażkę na premierze „Onej".

Poczynania Lorentowicza, zwłaszcza w pierwszych latach jego dyrekcji, znalazły zupełne uznanie zarówno u krytyki jak i u publiczności znów tłumnie uczęszczającej do Letniego na sztuki klasyczne jak i na współczesne dramaty i komedie Rittnera, Zapolskiej, Rostworowskiego, Perzyńskiego, Kiedrzyńskiego, Szaniawskiego, Gorczyńskiego, Winawera, Hertza, Jastrzębca-Zalewskiego, Grzymały-Siedleckiego, Nowaczyńskiego, Krzywoszewskiego, Fijałkowskiego, Jaroszyńskiego, Katerwy, Kaweckiego, Dunin-Markiewicza, W. Rapackiego (syna), Konczyńskiego, Miłaszewskiego i in. Teatr Letni przeżywał wtedy swój najbardziej może dla jego historii ważki renesans. Oczywiście nie wszystkie współczesne sztuki święciły sukcesy i w Letnim przy jego bądź co bądź bojowym wtedy charakterze było à la guerre comme à la guerre. Lecz nie wątpię, że wcale pokaźny odsetek z wówczas wystawionych sztuk oprze się zębowi czasu i po ustabilizowaniu się życia teatralnego w dzisiejszej Polsce wróci na sceny jako trwały dorobek naszego repertuaru. Za ten już choćby zaszczytny okres Teatr Letni zasługuje na swą kartę w jeszcze nienapisanej historii sceny polskiej.

Okres ten trwał w Letnim aż do czasu inauguracji Teatru Narodowego „Mazepą" Słowackiego z J. Osterwą w roli tytułowej i Kamińskim w roli Króla. Wtedy zaś Letni, utraciwszy swój przygodny charakter reprezentacyjny, znów wrócił do roli sceny czysto rozrywkowej o repertuarze jednak dość mieszanym: fars, krotochwil, różnego typu i pokroju sztuk sensacyjnych („Żywy Budda" Ossendowskiego, „Proces Mary Dugan" i t. p.), a nawet komedii muzycznych. Wspomnienia moje jednak z tego ostatniego okresu są dość fragmentaryczne, gdyż w czasie 1923—1925 r. prowadziłem Łódzki Teatr Miejski, a od 1933—1939 roku cały kompleks Łódzkich Teatrów Miejskich jako dyrektor generalny. Na ogół jednak przez ten okres Letniemu powodziło się nieźle. Publiczność warszawska lubiła „starą budę", która zwłaszcza w ostatnich latach swego żywota miewała całe sezony powodzeń nie mniejszych niż w okresie farsy. Jednym z powodów tego powodzenia była okoliczność, że wszystkie lżejsze komedje współczesnych polskich autorów zostały w zasadzie wyeliminowane z repertuaru Teatru Narodowego i kierowane na scenę Letniego, gdzie w ciepłym rezonansie tego swojskiego stradivariusa zbierały rzęsiste oklaski.

Wielkie też powodzenie miał w Letnim repertuar węgierski, który po pierwszej wojnie europejskiej zaczął stopniowo zdobywać sobie sceny Europy środkowej i coraz mocniej konkurować z francuskim, a w trzecim dziesiątku bieżącego wieku przeniknął nawet na sceny amerykańskie, wytwarzając masową produkcję sztuk utrzymanych w klimacie nie tylko typowo węgierskim, a raczej budapeszteńskim, lecz i imitujących zręcznie styl lekkich komedji francuskich a nawet angielskich. Mam dane, że w Budapeszcie oprócz normalnej chałupniczej produkcji komedjopisarskiej istniała cała fabryka sztuk. Doszło do tego, że amerykańscy dyrektorzy teatralni, przybywając do Europy po repertuar, zjeżdżali przede wszystkim po gros sztuk do Budapesztu, a dopiero z powrotem dodatkowo zahaczali o Paryż. U nas pierwszym węgierskim autorem, który się od razu przyjął, był Molnar. Bodaj że pierwszą jego u nas sztuką był „Diabeł" grany właśnie w Teatrze Letnim z Kamińskim w roli tytułowej. Po tym przybył Lengyel z „Tajfunem". I znów w Letnim w „Tajfunie" świetnie kreował rolę Japończyka Wojciech Brydziński. Następnie już wkroczyła cała falanga Węgrów z Fodorem, Bus-Fekety'm i Lokatosem na czele, a Letni zapamiętale grał owe czardasze komediowe. Dotrzymywały mu zresztą kroku inne sceny warszawskie. Nie tu miejsce na krytyczną analizę komediopisarskich arkanów tej zwycięskiej węgierskiej ofensywy, w każdym razie ogół publiczności dał się jej podbić, mniej już gustując we francuszczyźnie, która u nas w ostatnich przedwojennych latach znalazła nową rywalkę w Melpomenie amerykańskiej. Pisząc to wszystko stale mam na myśli typ komedyj lekkich, które zresztą u Węgrów są podkoloryzowane tonem melodramacikowym, u Amerykanów zaś rozbrajającym smiling humour'em.

Nie obeszło się w omawianym okresie i bez tego, by znów nie wypłynęła na łamach prasy sprawa konieczności rozbiórki już jakoby próchniejącej, choć na pewno od dawna spróchniałej, budy teatralnej w Ogrodzie Saskim. Ale tym razem same już władze wzięły w obronę staruszkę, tuszując w swoich organach rzekome niebezpieczeństwo. Sedno obrony tkwiło w fakcie, że z całego rządowego kartelu teatrów T. K. K. T. (Towarzystwa Krze-

wienia Kultury Teatralnej) jeden tylko Teatr Letni był jakoby samowystarczalny, choć ja przypuszczam, że samowystarczalny musiał być i Teatr Mały. A naprawdę ponoć Letni przynosił dochód. Nie na rękę więc było by go się pozbywać, pomijając już problem, dokąd przenieść zespół?

I Teatr Letni grał a grał — aż do wybuchu drugiej wojny światowej — do września 1939 roku.

Wtedy już ta pagoda dziwnego nabożeństwa, ten monstrualny kiosk mógł sobie śmiało powiedzieć: „byłem w mej wielostronnej karierze...

... Kuchtą dworskim, wódczanym pobórcą,

Basem w orkiestrze, przy tym szkół dozórcą...

... byłem „pierwszą sceną polską", bywałem i ostatnią, byłem świątynią sztuki, byłem i jej szaletem, mam więc teraz prawo spalić się chociażby ze wstydu, że...

I spłonęła kochana stara buda, spłonęła jak zasuszona róża, „gdy płoną lasy".

Może i nie trzeba jej żałować, a jednak...

Kazimierz Wroczyński

II

NIEZNANA WARSZAWA Z LAT OKUPACJI

(fragment z wojennego szkicownika pamflecisty)

Osobny rozdział dziejów Warszawy przedpowstaniowej trzeba by kiedyś poświęcić restauracjom, paszteciarniom, małym ustronnym knajpkom i stołówkom warszawskim, których życie skupiało w sobie intensywny couleur locale czasów wojny. Na pierwsze miejsce w moich wspomnieniach wybija się stołówka literacka na ulicy Pierackiego przy rogu Kopernika w dawnym lokalu Związku Zawodowego Literatów. Nad cienką zupką i porcyjką jakichś jarzyn, posypanych zrzadka grysikiem mięsnym, spotykali się tam co dzień ludzie, których jeszcze niedawno odgradzały bariery przekonań politycznych i jałowe spory literackie. Obok pisarzy z prawdziwego zdarzenia siadywały przy wspólnych stołach prawie nikomu nieznane postacie, należące już nie do historii, lecz do archeologii i paleontologii literatury polskiej, osoby, których nazwiska powtarzano sobie dyskretnym szeptem na ucho.

Znajdowały się wśród nich gorzej niż biednie ubrane sędziwe damy, autorki od dawien dawna wyczerpanych powieści dla młodzieży i romansów w stylu Walerii Marrené-Morzkowskiej, w kapeluszach, poprzerabianych z poduszek na otomanę, i wyleniałych etolach z kretów. W bezpośrednim ich sąsiedztwie oczy zahaczały o profile równie starych panów z tonsurami szlachetnych łysin i mieniącym się tęczowo siwym zarostem na twarzach. Przed poobiednią drzemką w domu wyszukiwano sobie ich biografie w obszerniejszych podręcznikach historii literatury i dowiadywano się, że byli to różni redaktorzy zapomnianych tygodników albo komentatorzy pierwszych zbiorowych wydań Syrokomli czy Pola. I każdego ogarniało zdumienie, bo było się przecież święcie przekonanym, że ci ludzie już od lat nie żyją... Patrzyło się na nich, jak na miniaturowe modele wyschniętych mamucich szkieletów, które poruszały się za plecami siedzących i klapały odruchowo blaszanymi szczękami turonia.

Żałosne to widowisko miało pełną charakteru scenerię: stoły, pościągane na chybi-trafi z rozmaitych strychów i piwnic, otaczały stylowe szafy biblioteczne, pełne dzieł Żeromskiego we wszystkich językach świata — dar autora „Popiołów", zapisany w testamencie centrali PEN-Clubu. Na jednej z szaf, we wnęce, widniała monumentalna głowa tego pisarza, rzeźbiona — zdaje się — przez Buick-Nałkowską. W innej salce szanowne biedermayery kontrastowały niemal krzycząco z brzydkimi deseniami cerat, którymi przykryte były stoły. Wzrok wyobraźni mimo woli przywoływał wizję takiego domu pisarzy, o jakim się marzyło przed wojną w pełni organizatorskiego zapału — wizję jednego z wielu owych szklanych domów z kart „Przedwiośnia". Odroczone, odepchnięte, nieziszczalne marzenie, z cyklu wiecznych marzeń o polskiej Utopii!

Uśmiech pociechy wracał znienacka na twarz, gdy się mijało przy rogu Marszałkowskiej i Chmielnej zaciszną paszteciarnię, założoną w lokalu jednej z dawnych filii „Kuriera Warszawskiego"; paszteciarnia ta nazywała się „Tymczasowa"... Cóż za silna wiara w prowizoryczność wszystkiego dokoła, w krótkotrwałość na wskroś przejmujących koszmarów oku-

pacji podyktowała założycielom przedsiębiorstewka taką właśnie nazwę! Każdy musiał choć na chwilę poczuć się tu przechodniem, który przysiadł sobie na brzeżku ławki w poczekalni dziejów i ma zamiar ruszać zaraz dalej, ku krainie jutrzejszych przeznaczeń. Ale do tych skromniutkich zakładów gastronomicznych rzadko kto wstępował — za to inne, okresowo, cieszyły się frekwencją ogromną. Raz była to Fregata, potem Arria, kiedy indziej Sim, to znów knajpa „U Aktorek" albo „U Elny Gistedt", wreszcie gospoda „Jak w Domu" na Jasnej albo otoczony nieotynkowanymi szczytami sąsiednich domów i pełen starych wysokopiennych drzew ogródek w domu Philipsa na Mazowieckiej.

O pewnych porach dnia można było tam ujrzeć całą „elitę" warszawską — cały ów wielkostołeczny, a jednak trącący prowincją światek z przedwojennego „Zodiaku" czy „Baru pod Wróblem". Podawane tam potrawy były w miarę słone, za to ceny na ogół — za bardzo. Ale to jeszcze nic w porównaniu z luksusowymi, można by rzec: lukullusowymi knajpami „hrabiowskimi", gdzie cennik wyszczególniał zazwyczaj tylko 10% cen istotnych, przy tym kelner jeszcze je stale powiększał dzięki swej przysłowiowo słabej znajomości arytmetyki. Goście biesiadowali tutaj przy stołach gustownie nakrytych, pod rzędami portretów anonimowego często, ale zawsze wybornego pędzla: były to świadectwa dostojnych cudzoziemskich koligacji właściciela lokalu, który do liczby protoplastów miał nieraz prawo zaliczać Hohenzollernów i Bourbonów.

Przez drzwi głównej sali restauracyjnej widać było pałacowe niemal wnętrza bridgeroomów, gdzie co wieczór przez zielone blaty stolików przesuwały się zawrotne sumy, pochodzące z zabronionych pod karą śmierci kombinacji dewizowych. Kartografstwo i grubsze pijaństwa kwitły tu na całego. Arystokratyczni patronowie tych restauracji wyładowywali tutaj swe wrodzone talenty towarzyskie, które nie znajdowały ujścia w czterech ścianach prywatnych mieszkań poza Warszawą. Poker, bac, rzadziej bridge, a najrzadziej staromodny preferans skupiały tu grono dobrane i z nabitymi portfelami z kozłowej skóry. Jadłospisy i karty napojów w tym przemyśle, godnym zaiste prawowitych spadkobierców Tyzenhauza, mogłyby zaimponować każdemu przybyszowi z któregokolwiek kraju okupowanego. Imponowały przede wszystkim Niemcom, którzy bywali nader chętnymi gośćmi tych zasobnych restauracji.

Gubernia Generalna, skrawek okrojonej Polski, jeszcze raz — na podstawie ich jadłospisów — okazywała się niewyczerpanym spichlerzem Europy; prosiło się na usta westchnienie tęsknoty do wolnej ojczyzny, co to „wyżywić mogłaby pół świata", choć „dla własnych dzieci nie ma chleba", jak stwierdzał niegdyś poeta o czującym sercu ale niezbyt tęgi ekonomista, Kornel Ujejski. I tak jak w „Rodzinie" Słonimskiego, myślało się o niej jako o oazie — co prawda, o oazie dość osobliwej, gdzie można było (jeśli się miało większą ilość gotówki!) jeść, pić i popuszczać pasa, jak za króla Sasa. I było rzeczywiście coś z ducha czasów saskich w nastroju tych jakby prywatnych salonów arystokratycznych, udostępnionych byle dorobkiewiczom wojennym, paskarzom wszelkich gildii i spryciarzom nie na miarę krawca i nawet nie Fidiasza, ale po prostu na miarę owego Cyniana, któremu się ongi udało sprzedać komuś kolumnę Zygmunta, puścić w arendę tramwaj i wydzierżawić kopytkowe na moście Kierbedzia.

Gdy się przypadkiem ujrzało bukiety przerasowanych głów, pochylonych nad ciemnym suknem, z oczami pochłoniętymi grą, z wyrazem całkowitego zapamiętania na twarzach — wypływała z pamięci scena, kiedy to kanclerz Bieliński był w stanie przy faraonie spoliczkować ks. Baudouina, który właśnie w takiej chwili przyszedł do niego kwestować na szpital Dzieciątka Jezus. Wysokie stawki strzelały jak korki z butelek, rekordomania hazardu podnosiła temperaturę sali, wszystkie najgłębsze „problemy" Culbertsona snuły się w powietrzu, jak karakułowy dym z papierosów. Po każdym skończonym robrze posilano się à la carte, według programu, który swą obfitość i rozmaitość zawdzięczał dziesiątkom bohaterskich szmuglerów i fachowej wiedzy kuchmistrza.

Przed wojną zawsze spisy potraw w wielkich restauracjach były zwięzłą encyklopedią z zakresu zoologii, ornitologii, ichtiologii, botaniki i chemii organicznej, a nawet po trosze mechaniki i historii — co prawda, tylko w wymiarze anegdotycznym. Spisy potraw tych wojennych Excelsiorów, Ritzów i Claridge'ów warszawskich — w zestawieniu ze stopą życiową 99% ludności — pchały myśl ku ciekawej nad wyraz książce pt. „Kucharz doskonały", wydanej w Wilnie u Zawadzkiego (który, o ile się nie mylę, firmował mickiewiczowskie „Ballady i romanse"), w okresie — mniej więcej — procesu filomatów. W książce tej czytać można tak zaczynające się wskazówki: „Wziąć wołu, dorzucić pięć zajęcy, dziesięć kur, udziec barani i comber sarni, dolać trzy butelki reńskiego wina..." itd. Snadź nieźle się żyło niektórym w porozbiorowej Polsce, skoro takie książki wychodziły; snadź nieźle się żyło niektórym w okupacyjnym okresie przed powstaniem warszawskim, skoro można było układać takie jadłospisy...

Alkohole były tu również niezgorzej reprezentowane: wódki gatunkowe najprzedniejszych w kraju rektyfikacji przedwojennych, francuskie koniaki, holenderskie likiery, Chablis z metrykami sprzed tamtej wojny, Mummy, które zapewne przedtem odbyły parokrotnie wędrówkę przez Atlantyk — może na dnie „Normandie", — nie mówiąc o pospolitych Barsac'ach i Muttermilchach. W szatni sprzedawano pierwszorzędne papierosy angielskie i amerykańskie, które zresztą rodzimy przemysł szybko nauczył się podrabiać — i to tak udatnie, że z trudem można było odróżnić prawdziwe „Navy Cuty" od tzw. „lipy" warszawskiej. Te wina, likiery i papierosy przywozili Niemcy z frontu zachodniego, zwłaszcza po zajęciu środkowej i południowej Francji, i sprzedawali za bezcen jako żołnierski łup. Handel z żołnierzami przybyłymi z Zachodu obejmował zresztą także paryskie kosmetyki, sztuki najcieńszych lionskich jedwabi, tuziny pajęczych pończoszek damskich, kupony cudnej rodierowskiej wełny z ręcznie tkanym deseniem, a nawet (co już nie było łupem, ale bezwstydnym okradaniem własnych wojskowych transportów) spadochrony, aparaty podsłuchowe i „rozpylacze". Mówiło się w Warszawie, że od żołnierzy niemieckich można nabyć wszystko, nie wyłączając... dział zenitowych.

Gospodarze „hrabiowskich" knajp nie interesowali się już tym mniej pokupnym towarem; ich klienteli do całonocnych nieraz hulanek wystarczały w zupełności zapasy spiżarni, lodówki i piwnicy, skrupulatnie co dzień uzupełniane. Wśród zapasów nie brakowało więc niczego, nie brakowało nawet — począwszy od drugiej połowy 1941 roku — astrachańskich kawiorów... A że Kripo (Gestapo rzadziej) nawiedzało czasem te wytworne lokale, wyruszając na połów „nie-politycznych", i strzelanina wisiała w powietrzu, bo cel niemiłej wizyty nie zawsze był znany — wizja „trupów z kawiorem", którą do swego „Buta w butonierce" włączył Bruno Jasieński, nie była daleka od rzeczywistości...

Przemysł gastronomiczny, w którym arystokracja lokowała swe przedwojenne i wojenne kapitały, nęcił także inną kategorię hrabiów i hrabin — tych zubożałych, wysadzonych z siodła albo przez Niemców, albo jeszcze przez rewolucję październikową. Kto wie, czy nie pójdą w ich ślady szeregi ziemian, pozbawionych obecnie własności dekretem o reformie rolnej i wygnanych na bruki miejskie. Ten proces, odbywający się zresztą już od stu lat z górą i literackiego dziewictwa pozbawiony przez Słowackiego w „Fantazym", idzie więc po linii stałej degradacji: zeszłowieczne ziemiaństwo herbowe zasilało głównie kadry zawodów wyzwolonych, a więc inteligencji, elity — wiek dwudziesty spycha je w pospolite środowisko burżuazyjne drobnego handlu i przemysłu. Nie tylko przyczyny polityczne w tym procesie uczestniczą, ale także głębiej ukryte siły.

U tych hrabiów wydziedziczonych, zubożałych, jadało się w atmosferze skromnych prywatnych apartamentów, wśród portretów rodzinnych, pamiątkowych albumów i serwantek, wypełnionych bibelotami, z których można by sobie odtworzyć niejedno rosochate drzewo genealogiczne i szlaki dawnych podróży po Europie. Nakrycia były tu wykwintne, obsługa występowała częściowo w liberiach, ale zamiast baraniny podawano tu niekiedy... koninę, a zamiast wódki monopolowej — bimber, pędzony np. z karbidu.

Do rzędu mniej wykwintnych, a o wiele liczniejszych, mających lepszą kuchnię i cieszących się większą frekwencją zakładów należał „Bar pod Znachorem", odwiedzany o stałych porach przede wszystkim przez aktorów, literatów, malarzy, muzyków, czyli przez publiczność z tych właśnie kół, z których rekrutował się sam personel; szczegół ten dla socjologii wojennej publiczności barowo-kawiarnianej jest niezwykle charakterystyczny. Na pewno niejedno dzieło literackie, które swą chronologię i topografię zwiąże z Warszawą lat wojennych, pokaże bohaterów, choćby w niektórych scenach, na tle wnętrza „Baru pod Znachorem". W barze rezydowali tu na przemiany Kempa i Milecki, fartuszki kelnerek nosiły Gella, Różańska, H. Kamińska i in., mając do pomocy Solarskiego i Wronckiego. Nadwornym papierosiarzem był Brydziński, a dyrektorem sali — Chaberski. Pod maszyną Espresso w kształcie smukłej niklowej wieżyczki urzędowała Maria Flukowska, żona znanego pisarza, albo pani Niusia Żółtowska, siostra nie żyjącego poety Jerzego Lieberta. Z czeluści kuchennych (te czeluście — to tylko wyświechtana metafora, bo kuchnia była ciasna i nieustawna) wyłaniały się co chwila Ewa Kunina albo Irena Grywińska.

Nad całością „dni i prac", cokolwiek prozaiczniejszych niż poemat Hezjoda pod tym tytułem, czuwał tu Adwentowicz, snując się melancholijnie wzdłuż kokosowego chodnika. Na ścianach — okresami — wisiały portrety pędzla Norblina i Pokrywnickiej, kolekcje rysunków Leokadii Bielskiej-Tworkowskiej, a nawet płótna Pankiewicza i Boznańskiej. Utkwiła mi w pamięci zwłaszcza pewna przepiękna martwa natura Boznańskiej, pobłyskująca jak łuską detalami zastawy stołowej, złożonej ze sreber i kryształów. W „Znachorze", pomijając występy przygodnych solistów, koncertowało codziennie trio Niny Stokowskiej, b. laureatki Konserwatorium, w składzie: Stokowska (skrzypce), Jan Romejko, b. barytonista Opery (wiolonczela)

i kompozytor Maklakiewicz (fortepian). Przychodziło się tu często, żeby wypić pół czarnej na kredyt, pogawędzić z przysięgłym gościem „Znachora" Leonem Schillerem, dostarczyć Brydzińskiemu czy Juli Buczyńskiej teksty do recytacji, wchodzących w skład programu wieczorów poetyckich, które się sporadycznie urządzało na mieście, albo po prostu po to, żeby sprzedać korzystniej niż gdzie indziej dopiero co otrzymane z Lizbony pudełko sardynek...

W lokalach tego typu co „Znachor" czy „Bar pod Jemiołą" na Szpitalnej nie było zakąsek z kawiorem ani Veuve Cliquot. Podawano w nich przeważnie zwykłą monopolówkę z datą wyprodukowania, wybitą na odwrotnej stronie etykiety, albo co najwyżej wódkę „z trzema kłosami" o anyżkowym posmaku. Oprócz przyjaciół członków personelu i przyjaciół ich przyjaciół, przychodzili tu różni funkcjonariusze organizacji konspiracyjnych: był to bardzo dogodny, bezpieczniejszy od prywatnych mieszkań, teren spotkań i rozmów Polski Podziemnej, odbywanych w najściślejszym kręgu. Właściwie istniała przecież nie jedna, ale co najmniej trzy Polski Podziemne, które po barach kawowych i restauracjach urządzały sobie lotne agentury: ta „pro-rządowa", zapatrzona w Londyn, druga — lewicowa, proletariacka, skłaniająca się ku Związkowi Radzieckiemu i jego polityce, może najsurowiej tropiona i likwidowana, a wreszcie trzecia — szpiclów i prowokatorów, związana z Gestapo czy żandarmerią i stanowiąca najgroźniejszą, bo utajoną (do czasu!) ekspozyturę okupanckiego terroru.

Zapewne niejednego wieczora zdarzał się taki zbieg okoliczności, że przedstawiciele owych trzech „Polsk" siedzieli przy sąsiadujących ze sobą stolikach; nieraz mogło się zdarzyć także, że przy czwartym stoliku rozwalali się na krzesłach pijani gestapowcy, bo i oni lubili się zabawić w przytulnym, „zakątnym" lokaliku, gdzie było przecież tak „gemütlich", i posłuchać pot-pourri z „Carmeny". Jeśli się gdzie kiedykolwiek taka czterostolikowa konstelacja utworzyła, to w kilkunastu metrach kubicznych zagęściła się cała ówczesna polska rzeczywistość. A że ta „rzeczywistość" była dość często „pod gazem", to już sprawa zupełnie inna. Wpływały na to cechy, właściwe wszelkiej robocie konspiracyjnej, zaznaczające się w łonie organizacji podziemnych socjalne linie podziału i wybryki indywidualnych temperamentów. W każdym razie, zawiła i zmienna wielotwarzowość życia podziemnego ujawniała się jak w kalejdoskopie w oparach warszawskich knajp.

Jak górnicy, opuszczając po zmianie załogi kopalnię i wychodząc na światło dzienne, chwieją się na nogach pod wpływem wstrząsu fizjologicznego, który się wznawia dzień w dzień w ciągu długich lat, — tak i metaforyczne „mroki konspiracji" wytrącają jej uczestników z normalnego toku działalności polityczno-społecznej, zakłócają porządek kolejnych aktów, wynikających z podziału pracy; wskutek tego, stojąc w zwartym organizacyjnie szeregu, konspirator nie widzi sprawności swego nawet najbliższego sąsiada, nie wychwytuje związku powierzonych sobie zadań z utajonym celem ogólnym — co czyni go niepewnym i osamotnionym. I jak górnik szuka powrotu do równowagi w nałogowym upijaniu się eterem, przemycanym zza granicy (tak było!), — tak działacz konspiracyjny szuka ucieczki w takim trybie życia, który go jak najdalej odwodzi od ślepej mechaniki działań podziemnych i od poczucia odpowiedzialności za nieznaną ich całość.

Bywają sytuacje, że klimat knajpy odpowiada i sztabowcom każdego nielegalnego ruchu i jego pionkom, rekrutującym się w lwiej części spośród zapalczywej a niedostatecznie czasem uświadomionej młodzieży. Tamci piją z lęku, czy obmyślany niebezpieczny manewr się uda — piją za pieniądze z funduszów organizacji; ci zalewają się z lęku przed monotonią jaka ich ogarnia po spełnieniu czegoś, co wymagało napięcia, zimnej krwi, rozwagi i ścisłego trzymania się danych instrukcji. Znane wszystkim „komórki likwidacyjne" zatrudniały przeważnie młodocianych, którzy debiutowali rysowaniem kredą na parkanach agitacyjnych żółwi i rozmieszczaniem na każdym wolnym metrze kwadratowym murów warszawskich napisów propagandowych w rodzaju „Alles, alles über Deutschland". Po wykonaniu anonimowego wyroku na anonimowym osobniku, którego się na minutę przed „akcją" utożsamiło z niedokładnym rysopisem albo po prostu przydybało pod wskazanym adresem, następowało wyjaławiające odprężenie, a potem nuda, nuda... aż do następnego zleconego zadania. Warunki pracy konspiracyjnej (a tym bardziej nierozłącznie z nią związana tzw. „mokra robota") często paczą ideologie, łamią charaktery, psują obyczaje — musimy to sobie odważnie i w oczy powiedzieć.

Wszystkie te średnie, mniejsze, tańsze restauracyjki i bary warszawskie dawały malowniczy, choć migawkowy przekrój życia konspiracyjnego, ukazywały jego oblicze „na codzień", gdyż tylko ono było widoczne dla stojącego na uboczu obserwatora. Jeśli można było czasem ujrzeć jego drugą Janusową twarz, „przy akcji" — to tylko dzięki najściom Gestapo, czy odwrotnie: napaściom na Gestapo, jakie się nieraz na tym terenie zdarzały. Zwykłe „łapanki" także nie omijały tych osobliwych kuźnic oporu i przewrotu, gdzie czasem odbywały się również porachunki partyjne — w maskach, choć bez masek. Przy takich i tym podobnych

okazjach kule niemieckie i polskie dziurawiły wiszące na ścianach obrazy czy oleodruki, a różnego pochodzenia krew opryskiwała serwety, kufle i półmiski. Tak było „Za Kotarą" na Mazowieckiej, tak też bywało i gdzie indziej... Pełny znaczenia wielokropek, którym warto by zamknąć wspomnienia o knajpach warszawskich pod okupacją, powinien więc być koloru czerwonego: jak krew.

Roman Kołoniecki

III

PLOTKA O RACHELI

Teatr Wojska Polskiego pozwolił nam oglądać „Wesele" Wyspiańskiego. Anegdota utworu — jak wiemy — jest prawdziwa i, począwszy od głównych osób aż do najmniej ważnych, — wszystkie one jakoby uczestniczyły w zdarzeniu bronowickim. Na premierze „Wesela" swadziebni goście Lucjana Rydla zajmowali miejsca na parterze i w lożach, podczas gdy ich sobowtóry uganiały się po scenie. Musiało to gorszyć, dziwić i nie usposabiać przychylnie.

Kiedy przed paru tygodniami słuchałem „Wesela" w teatrze łódzkim — pewna postać utworu wytrąciła mnie z oparu poetyczności, której tyle idzie ze sceny. To postać Racheli. Nie mogłem uważnie słuchać dramatu, mimo dobrej gry całego zespołu i mimo dobrej gry Racheli, gdyż właśnie przeszkadzała mi Rachela.

Zastanówmy się pokrótce nad Rachelą Wyspiańskiego, aby potem zająć się inną Rachelą.

Pozycja Racheli w dramacie jest ważna, bo wszakże ona to podsuwa myśl poecie, aby sprowadził „do tej chaty rozśpiewanej", mary, zwidy, duchy. „Ensemble, jak z feerii, z bajki" — jest właściwie jej dziełem.

Tradycyjny schemat pojmowania Racheli opiera się na przeświadczeniu, że jest ona uosobieniem poetyczności, entuzjazmu, egzaltacji. Prawdziwy ton ówczesnej „moderny" wnosi Rachela właśnie, która zna „cały Przybyszewski", była w Wiedniu na operze itd.

Wszystkie znakomite artystki, które kreowały tę rolę, jak Arkawin, Sulima, Solska — podkreślały w Racheli jej rozpoetyzowanie, egzaltację, — jej dziwność na tle biesiadników. Rachela, oczywiście, jest piękna, wytworna, pozuje się efektownie, a ramiona jej otula nieodzowny szal, koloru pomarańczy lub turkusu.

Jej poetyczność ironizowana przez gości, nigdy nie była brana poważnie, — więc i dziś słuchamy wyznań Racheli podobnie, jak słucha Poeta, czy Pan młody. Chętnie nawet godzimy się na Rachelę, jako na wielką damę, gdyż tak nam wizerunek tej postaci przekazuje tradycja aktorek. Gdyby jednak uważniej przyjrzeć się córce Mośka i zapamiętać, co o niej mówi ojciec i jak się sama przedstawia — musielibyśmy realność tej postaci inaczej nieco pojąć.

Rachela jest dziewczyną z ludu, z karczmy, — jest wypieszczoną jedynaczką, której wszystko wolno, — która dużo czyta, trochę umie po francusku i widziała parę oper aż w Wiedniu! „Wysferzona" ze swojego środowiska stanęła wpół drogi pomiędzy wsią a miastem. Czy jest wielką damą, czy też taką sobie półinteligentką? Artystką, czy sentymentalną wielbicielką poetów? Może wszystkim potrochu — nie podważajmy tradycji, — nie ściągajmy Racheli z obłocznych dymów poetyczności, — niech będzie piękna, w kolorowym szalu, wytworna, — literacka, wystylizowana, nienaturalna i — nieprawdziwa.

Tak się złożyło, że w czasie tej wojny poznałem prawdziwą Rachelę, najautentyczniejszą córkę karczmarza z Bronowic, sprawczynię, jak chce Wyspiański — całego dramatu z duchami. Mieszkaliśmy w tym samym domu na Mokotowie, — Rachela na dole, ja na górze i, oczywiście, zbliżyły nas od razu nasze wspólne zainteresowania artystyczne. Panna Rachela musiała opuścić Kraków ze względów „rasistowskich' i swoje imię urocze i poetyczne, zmieniła na pospolite „Jadwiga".

W wypadku Racheli odbiegł Wyspiański nieco od autentyku i przedstawił ją tak, jak pokazuje tę postać tradycja. Naturalnie nie możemy z tego tytułu czynić mu zarzutu, — i właściwie dla sprawy samego dramatu nie jest ważne, czy rzekomy wzór odpowiada tej postaci, jaką znamy z utworu, czy nie. Ale pozwólmy sobie na odrobinę ciekawości i śladem Boya przydajmy jeszcze jedną plotkę o „Weselu".

Więc jak się przedstawia panna Rachela-Jadwiga?

Naturalnie nie jest młoda i nie liczmy jej lat. Bardzo posiwiała, biedactwo, ma krótki wzrok i nosi „cwikier". Panna Jadwiga-Rachela chodzi wielkimi krokami, jak mężczyzna, stąpa twardo, trochę się pochyla, ruchy ma ostre, kanciaste, męskie — bez wdzięku. Mówi głosem

tubalnym, męskim, ochrypłym, — pali dużo papierosów — lubi dobrą wódkę i dobrą czarną kawę. Namiętnością jej jest polityka, gazety, gazetki, radio, dyskusje polityczne i społeczne. Panna Jadwiga zawsze wiedziała o każdej mowie głównych aktorów wojennego dramatu, umiała odpowiednio te mowy interpretować i ocenić w duchu własnego światopoglądu politycznego. Była trzeźwa, rozsądna, inteligentna, krytyczna, — a przede wszystkim rzeczowa.

Niepodobna było, rozmawiając z nią, — nie pamiętać, że się mówi z osobą zwielokrotnioną w poezji, w kreacjach sławnych artystek, że się przebywa niejako z magicznym rekwizytem wielkiego teatru. Jej rzeczowość drażniła — jej nowoczesność była nie do przyjęcia, gdyż chciało się doznać choć odrobinę autentycznego dreszczu „przybyszewszczyzny", lub czegoś z atmosfery tamtej epoki.

Nieraz w takich chwilach myślałem o wielkiej artystce Irenie Solskiej, która była prawdziwą Rachelą, prawdziwym głosem tamtej epoki. Jeszcze niedawno, w czasie powstania, zjawiła się w naszej piwnicy Irena Solska (Solska, czy Rachela?), otuliła się szalem i opowiadała swoim niezapomnianym głosem, w jaki sposób zdołała uciec z walącego się domu. Słuchacze tej sceny z zachwytem patrzyli na wielką artystkę, podziwiając — jej grę, czy jej opowiadanie? Solska odeszła, pozostawiając w piwnicy smugę poetyczności.

Ale panna Rachela-Jadwiga?

Raz przy kieliszku opowiadała o „tamtym" Krakowie i Bronowicach. Jej znajomi i bliscy — to naturalnie ci, których i my znamy z nazwisk, z działalności. Nie umiała jednak powiedzieć nic nowego, nic, czegoby się nie wiedziało z licznych plotek o tamtych ludziach. Mówiła o nich prosto, z żalem, z uznaniem i skromnym podziwem. Zdaje się, że panna Rachela pisała i pisze i nawet obiecała dać mi to do przejrzenia.

Niestety, któregoś dnia zjawił się szantażysta i panna Jadwiga zakonspirowała swój nowy adres. Odjeżdżała na dużej platformie, na której ginęły jej walizki. Spadł jej „cwikier", gdy żegnałem w jej osobie... literaturę, która z niej samej uczyniła coś obcego, fałsz, koturn i stylizację.

Po kilku dniach wybuchło powstanie i jeśli panna Rachela-Jadwiga była w Warszawie, — jestem pewien, że zgłosiła się do Oddziałów bojowych, do czołowej szturmówki. Czy żyje? Nie wiem dotąd nic o niej. Jeśli zginęła, — któż wiedział z jej otoczenia, że ginie ciekawy, prosty, ludzki prawzór wielkich dam, otulonych szalem, zamroczonych czadem fałszywej poezji. Lub że ginie nieznana, bohaterska poezja, zwykłego, trudnego życia samotnej kobiety, Żydówki.

Ale może nie zginęła panna Jadwiga-Rachela?

Podobno zawsze była taka, jak ją poznałem — typ sawantki, męski, rzeczowy. W młodości, a zwłaszcza w dzieciństwie, jej temperament zawsze równał ją raczej z chłopakami niż dziewczętami. Miała pewno 18 lub 20 lat gdy się odbywało wesele Rydla w Bronowicach. (Zapomniałem dowiedzieć się, czy już wtedy nosiła „cwikier"). Podobało jej się na tym weselu, — sporo zapewne piła i musiała także tańczyć. Z kim tańczyła? Z młodzieżą, z którą razem chodziła na wyprawy po jabłka? Może z panami z miasta? Chyba z nimi.

Rozmawiała z Wyspiańskim, który wałęsał się z kąta w kąt i swoim zwyczajem zaledwie odpowiadał na zapytania. Milczał — i patrzył.

Podobało mu się taką zobaczyć Rachelę, jaką najlepiej przedstawia Irena Solska. Żyje więc osobno Rachela poety i Rachela prawdziwa.

Doprawdy nie wiem, którą wolę Rachelę? Lecz, gdy patrzę na tę ze sceny, myślę o tamtej, którą poznałem na Ursynowskiej, w jakieś mroczne popołudnie zimowe, trzeciego roku wojny...

Jerzy Zawieyski

IV

SIERPIEŃ I WRZESIEŃ

Pisze się wiele o powstaniu warszawskim. Ale właściwie jest to temat z tych, których pióro prozaika — nie ima się. Obsuwa się po nim bezsilne. Wiersz, to krótkie zająknięcie się zdumione, przerażone, olśnione, może wyrazić więcej. Ale ileż rzeczy wymyka się tu wszelkim słowom. Kto potrafi opowiedzieć — poprostu choćby uderzenie „krowy", czy „szafy", jak mówiło się na Starówce. To poszóstne zadygotanie świata, jego czerwoną czarność i tę dyszącą benzolem, liżącą chemicznym płomieniem — śmierć? A czy łatwo, idąc stopniami prozy, przeprowadzić u l i c ę od jej ludzkiego oblicza z błyskiem całych szyb, poprzez okopcone

i pylne, chrzęszczące niewiarygodną masą szkła pod nogami, trędowate od granatników, rozwichrzone belkami dachów jej przemiany — aż po ostateczne rumowisko, gdzie cegła nie została na cegle, a zgliszcza goreją jeszcze jak krematoria? Trup ulicy jest jak trup człowieka na niej: jedna chwila i, kimkolwiek był, w swoich łachmanach umączonych pyłem jest już tylko — bezimiennymi szczątkami nędzarza.

A ten tryb życia: brud wszędzie obecny, czarność jaskiniowa, łoskot ogłuszający, ogon po wodę pod Stukasami, pszenica, młynek, woda, pszenica. Tryb życia, do którego ludzie normalni tak jednak prędko nawykli, jakby byli jaskiniowcami albo wariatami. Może sprostować trzeba — normalni W a r s z a w i a c y. Lud stoicznych lekkoduchów. Wyższych ponad stoików o całą rozpiętość uśmiechu.

Fantastyka zwykłej wędrówki nocą po zamarłym bezludziu miejskim, gdy kona latarka i nie widać strzałek w bramach, gdy plątanina drabin do dziur i schodów do piwnic, tuneli z rurami na wszelkich wysokościach, barykad — dłuży się w nieskończoność. Gdy naraz potykasz się o krzyże błotnistego cmentarzyka lub w błysku latarki jawią się jak widma modernistyczne rzeźby w opuszczonym atelier, które stało się przejściem na Wilczą. A to były jeszcze dobre drogi. Nie takie jak koło Ymki, gdzie łączniczki zabijały się nocą poprostu w wykrotach bomb.

A jakież pióro sięgnąć ma po heroizm. Jak zmierzy się z dwudziestoletnią dziewczyną, trasującą drogę w kanałach, w kanałach, gdzie dotknięta nagle ślepotą nie spostrzegłaby nawet, że jest ślepa? (a i ślepli tam ludzie, od gazów) — gdzie prąd wznoszący się — dopływ bocznicy — sięga już po pas, ziębi piersi. Gdzie światełko majaczejące: właz, to placówka wroga z wiązką granatów. Echo i rozprysk granatów w kanale! A zbłądzenie jest koszmarem, o którym nie wolno pomyśleć, bo tuż czyha obsesja i halucynacja. Potem dziewczyna poprowadzi tędy gromadę, gromadę, która nie umie milczeć i czyni chlupot stąpając omackiem.

Normalne, codzienne bohaterstwo sanitariuszki, która z reguły idzie tam, gdzie obstrzał, bo tam właśnie leżą ludzie.

Jakże wymyka się przyjętym określeniom ta młodzież okupacyjna warszawska, osławiona w starszym pokoleniu z zarobków na papierosach, z handlu od stolika do stolika, wieczorynek z tańcami (a starsi nie wiedzieli, że niejeden chłopak szedł o świcie wysadzać tor, a dziewczyna fabrykować „filipinki"). W sierpniu i wrześniu młodzież powstańcza — chłopcy i ich sanitariuszki — tacy osobni, samowystarczalni do końca — do końca młodzież wojenna, obojętna na podziw starszych, jak przedtem na ich naganę — walcząca i ginąca we własnym szeregu dwudziestolatków.

Chłopcy, którzy przez dziewięć tygodni idą na barykadę, wracają z niej, trwają na niej. Tylko dlatego można to zrozumieć, że barykada, klinkier, gruz, beczki — to zapora, ale siedzi się w domach. Chłopcy kąpią się nawet czasem i jedzą spokojnie na „swojej barykadzie", — bo bombardowanie omija zazwyczaj samą linię frontu. Ta walka uliczna, gdzie każda cegła, krata, drzwi zabijają jak granaty, szkło rżnie jak bagnet — dzieci Warszawy wżyły się w nią, zrosły się ze swymi murami. Broniły i zdobywały pozycje, gdzie nie zdołali usiedzieć nawet zahartowani „chłopcy z lasu" — odsiecz Żoliborza. (A w 39 roku widzieliśmy zabijaków poznańskich spod Kutna, którzy czuli się w warszawskich kamienicach jak w pułapkach). Ale wróg spostrzegł już swą niższość w walce wręcz — „goliaty" idą jeden za drugim, czołgi bez ludzi (którzy mogliby zawrócić), dynamit, który pełznie, gdzie go popchną — i oto dom-barykada zmienia się w rumowisko, coraz niższe, uderza czołem o ziemię, a w rozpadlinach wciąż tkwią obrońcy — już bez strawy gorącej, bez opatrunków. Aż nareszcie zapada się wielka mogiła. Pod taką legli obrońcy Magistratu. Pod taką zostało ostatnich trzydziestu chłopców i dziewcząt w pałacu Krasińskich. Nie wcześniej komunikat niemiecki mógł oznajmić: „Stare Miasto oczyszczone z bandytów".

A któż ośmieli się piórem sondować cierpienie? Suche fakty. Dwustu ludzi zginęło w schronie Ubezpieczalni na Czerniakowskiej, jednym z najmocniejszych w Warszawie — ludzi, którzy nie walczyli i nie przyszli tam, by zginąć. Ogłoszenie na murze: „15/IX między Koszykową a Żurawią zaginęła łączniczka, pseudo „Pudelek", rysopis... kto by wiedział o jej losie..." „Pudelek" nie pokaże już jasnej, kędzierzawej głowy na progu stołówki, gdzie pracuje matka, w bramie, gdzie ojciec jest komendantem OPL.

Jakie upiory chodzą jeszcze kanałami Mokotowa? — Po 24 godzinach błądzenia ludzie dostawali tam obłędu i nie pozwalali już wyprowadzić się na światło dzienne i powietrze — nie chcieli żyć.

A ten strach zagłady powszechnej, który odczuwała przecież najmężniejsza ze stolic?

Dobrze jest pomyśleć, że zdolność cierpienia nie jest w nas jednak nieograniczona, nie jest bez dna.

Jeszcze obrazy. — Stare Miasto obracające się w perzynę. Noc. Tragiczne oblicze, fantas-

magoria, mieni się czernią i upiorną bielą, w miarę jak wznoszą się powoli i opadają rakiety. Krzyżują się czerwone i zielone pociski świetlne bijące w gruzy kościoła garnizonowego.

Może film, nie reportaż — potężna aluzja, objawienie skrócone, skondensowane, tego końca świata — umiałby coś wyrazić.

Może muzyka. Metaliczna gama zenitówek. Grzechot walczącej barykady, ta nieprawdopodobna symfonia stenów, bergmannów, pepesz, piatów, w której gubi się nawet wojskowe ucho. Od 39 roku — jakież straszliwe wzbogacenie wojennej orkiestry. Suche gromy czołgów — prosto w mury.

Ale kto i jak potrafi przywołać z przeszłości dumny uśmiech — pomimo wszystko? Chłopak-czujka w oknie ponad barykadą. Na linii obstrzału, ramy już połupane kulami, ale nie można t a m t y c h spuścić z oka. To Warszawiak: wstawił lustro i widzi wszystko. Wystrzał — lustro prysnęło. Uśmiech: ostatecznie lustro łatwiej zastąpić niż głowę. Zuch z dywersji — przed rokiem przestrzelona noga, kazali rentgenować, chodzić z laską. Kiedy stanęło w płomieniach PKO, wyskoczył na bruk z pierwszego piętra — i nic, i noga cała. Uśmiech: wierzyć doktorom!

Jest jeden jeszcze obraz, który narzuca mi się, kiedy stwierdzam bezsilność pióra, opisu. To pewna chwila na Starym Mieście. Było południe, cisza od Niemców, gdy Podwale zakipiało naraz krzykiem, wiwatami — zapalne, oddane, niezawodne Podwale. Dzieci, kobiety otaczają czołg, raczej może niski ciągnik, widać dopiero co zdobyty, czterech roześmianych żołnierzy jedzie na nim ulicą. Chłopaczyna wywijający chorągiewką otwiera pochód. Cisną się głowy w oknach, oklaski, nawoływania — ludzie zachłystują się po prostu tą wspólną radością, otuchą. Czołg dosięgł zakrętu. Naraz — ale nawet we wspomnieniu to nie wydaje się już rzeczywiste. Ten wybuch, wstrząs. Wie się, że to było, ale niepodobna wskrzesić tego w sobie, cóż odpiero ukazać innym? Szyby poszły poziomym lotem, jak salwa sztyletów. Runęła ściana szczytowa. Kto ocalał, jeszcze nie wie, nie rozumie co to? Potem nie chce wierzyć. Ale już niepodobna nie wierzyć. Czołg podrzucony przez Niemców z ładunkiem bomby tonowej eksplodował — oblepiony prawie kobietami i dziećmi. Tam, pod murem — siniejące nóżki dziecięce, obok siebie, jak urwane nóżki lalki. Nie do wiary ile krwi. Ponad dwieście ofiar. Ta groza i ta zbrodnia — w chwili największego uniesienia.

To odtąd chyba Stare Miasto zapomniało się śmiać, nawet po żołniersku. Jakby osłupiało, jakby zobaczyło, tuż z bliska — swój los.

Hanna Malewska

V

GESTY I SYMBOLE

STARE I NOWE GESTY

Uczestnictwo w wielkotygodniowych wędrówkach po kościołach Warszawy w pierwszych latach okupacji było nie tylko czynem dyktowanym przez tradycję religijną, było aktem wiary w nadejście końca nocy. Był to zbiorowy gest oporu przeciwko brutalnej rzeczywistości, przeniesiony w sferę duchową.

Tegoroczne „groby" warszawskie zaprojektowali i wykonali ubiegłej jesieni ci, przeciw którym skierowane były tamte gesty oporu. Realizm ruin warszawskich kościołów jest tak nierzeczywisty, tak groteskowo-apokaliptyczny, że tym razem tylko naprawdę wierzący mogli odwiedzać wielkotygodniowe „groby" i rozmyślać nad sprawami ostatecznymi. Peregrynacje tegoroczne były skromniutkich rozmiarów, nie żeby Warszawa była miastem niezamieszkałym, ale że dzisiaj po minięciu nocy, broni się każdy przed treściami z niej wyrastającymi, z nią mającymi coś wspólnego. Tegoroczna abstynencja Warszawy w wielkotygodniowych obrzędach to inny nowy gest samoobrony wobec ucisku psychicznego, jakim jest bytowanie na olbrzymim cmentarzu. Gesty z lat ubiegłych straciły sens, pojawiły się gesty nowe.

MAITRE DE DANSE

Ruiny Warszawy oblepione są wszelakiego rodzaju literaturą — urzędową i nieoficjalną, plakatami propagandowymi i ogłoszeniami kupna i sprzedaży. Kilkuset tysiącom Kowalskich i Kwiatkowskich, którzy powrócili do miasta poleca się to, a zakazuje czego innego, namawia się ich do takich czynów, odradza inne. Kowalscy i Kwiatkowscy czytają raz z entuzjazmem,

kiedy indziej z powściągliwością. Lektury jest zbyt wiele, aby na wszystko starczyło chłonności i przejęcia. Poza tym Kowalscy i Kwiatkowscy mają swoje prywatne zmartwienia. Nie są ani bohaterami dnia wczorajszego, ani nie będą bohaterami jutra. Chyba, żeby... Ale o tej sprawie potem.

Tymczasem powrócili do ruin — początkowo pojedynczo, teraz tysiącami — bo nawet te ruiny są ich miastem. Najdziwniejsza to formacja socjologiczna, przez nikogo nie zbadana i w żadne chyba schematy ująć się nie dająca — ci Kowalscy i Kwiatkowscy. Ani proletariat, ani inteligencja. Formacja równie zdolna do wzniosłości, jak i do czynów karalnych (o ile zbiorowość wystąpienia gwarantuje bezkarność), przemyślna w sztuce życia, nieprzenikliwa dla ideałów — drobnomieszczańska plazma.

Ona króluje w Warszawie. Z wynalazczością i sprytem pierwotnego człowieka zamienia izby bez okien i drzwi na sypialnie, w których za kilka miesięcy rodzić się będą nowi Kowalscy i Kwiatkowscy, montuje kuchenki z kilku cegieł, nieużyteczne wanny zamienia na fabryczki pasty do butów, a klozety na wylęgarnie kur.

Czytałem już z dziesiątek artykułów o Feniksie i jego nowych narodzinach. Nic zdrowszego nad entuzjazm zwłaszcza w naszych czasach. Ale mam poważne wątpliwości w kwestii udziału Kowalskich i Kwiatkowskich w procesie odradzania się Feniksa. Bo są oni (w każdym razie dzisiaj) nieprzenikliwi dla ideałów. Chcą zjeść kotlet wieprzowy, włożyć nowe pantofle i pójść w niedzielę na sumę. Nie dla tęsknot metafizycznych. A po obiedzie chcą zatańczyć tango przy dźwiękach gramofonu.

I dlatego symbolem dzisiejszej Warszawy (gdyż Kowalscy górują wszędzie) jest dla mnie duży niebieski plakat, w stu miejscach chyba widziany — „Ryszard Sobiszewski — Professeur Academie Des Maitres de Dance De Paris" otworzył już szkołę tańca. Koncesją na rzecz nowej Warszawy jest zdanie „także tańce ludowe".

MIN NIMA!

Pospadały znad zrujnowanych bram emaliowane szyldy z numerami domów. Pojawiły się napisy nowe. Żółtą farbą. Rozminowano, miny usunięto. Na jakimś domu na Piusa napis jest jeszcze zwięźlejszy — min nima. To nie znaczy, że jesteś już bezpieczny. Usunięto tylko śmierć spod nóg. Cegłą i gzymsem dostać możesz w każdej chwili.

Ile tysięcy min było, a teraz n i m a — nikt nie obliczał. Nie ważne to w ogólnym rachunku wojennym. Ale ważne jest, że niemieckie miny usunął p o l s k i żołnierz, nie bardzo z ortografią dobrze żyjący, ale dobrze żyjący z nimi, skoro tylko kilkunastu saperów, oczyszczających Warszawę, zginęło.

Ale pojawiły się miny inne. Miny mniej czy więcej wyondulowanych mieszkanek stolicy, które jadąc na wozie z Żoliborza na Mokotów szepczą sobie do ucha, że to nie to samo. Że jednak tamci — sprzed pięciu lat — mieli jakiś wdzięk, którego tym brak. Że mundur leżał o wiele zgrabniej...

Tak, proszę pań, to nie to samo. Lecz mają panie szczęście, że żyjemy w czasach łagodnych rewolucji.

BEETHOVEN W PIASECZNIE

W kołowrocie nowego życia, w deptaninie miasta, które tragiczność istnienia utłukła swym walcami na wielki plac pokruszonych cegieł i potłuczonego szkła, gdzieś zagubiły się t. zw. wartości duchowe. Powrócili Kowalscy i Kwiatkowscy, nie powrócili artyści, pisarze, malarze. Osiedli w Krakowie, Łodzi, pozostali może w Zakopanem, wybierają się do Poznania i Gdyni. Ale omijają Warszawę, wpadają do niej na chwilę, aby wyrewindykować spod gruzów jakieś wspomnienia, potem wyrażają głośno wiarę, że nowa stolica będzie piękna i radosna, że będzie w niej więcej zieleni i słońca. Ale nie wracają...

Bo naprawdę, żeby tutaj żyć, trzeba omotać wrażliwość jakimiś bandażami. Do Klondike nie wędrowali ani poeci, ani malarze. Szli zwykli Smithowie i Brownowie. A dzisiejsza Warszawa jest takim właśnie osiedlem zza koła polarnego, gdzie jest się sam na sam z raniącymi ręce belkami i cegłami, z raniącą serce pierwotnością żywiołów. Tutaj mogą żyć, albo bohaterowie, albo ludzie tępi. Poeta przyjdzie później.

W drugi dzień świąt słuchałem Beethovena i Mozarta w sali parafialnej w Piasecznie. Czy to nagle tak umuzyczniła się Polska, że zaproszono Dubiską do podwarszawskiej dziury? „Kwiaty polskie" grywała tu orkiestra strażacka nie przy jednej okazji, ale Beethoven „szedł" chyba tutaj pierwszy raz. Uciekł z Warszawy nie do piaseczyńskich Kowalskich, ale uciekł

z ruin, które ranią. Plazma drobnomieszczańska obojętnie odnosi się do Beethovena. Woli Własta i Kataszka, których pełna była świąteczna stolica. Beethoven wymaga nie tylko odbudowy Warszawy, ale i przebudowy jej mieszkańców. Bo cieniutka warstwa, która była rezonansem, zdarła się na nic w tych dziesiątkach miesięcy wojny, a to co było pod nią potrafi dopiero percypować muzykę taneczną.

NEKROFILIA

Warszawa została nie tylko zamordowana, ale i zgwałcona po śmierci. Oto sprawy, o których się nawet myśleć nie chce, a o których pisać trzeba.

Nie widziałem tego, jak masy ludzkie rzuciły się w styczniu na trupa stolicy, ale domy, które odwiedzam, mówią wszystko. Zbyt mało było kataklizmów tych co śmierć Warszawy rozmiarów, aby istniał materiał porównawczy. Ale nie wiem, czy gdziekolwiek w tzw. krajach cywilizowanych tak rabowano i tak niszczono resztki dóbr współobywateli, jak w Warszawie zimą tego roku. Gazetowy felietonista nazwałby to Himalajami rabunku. Ich ślady dziś jeszcze spotkać można na uwielokrotnionych Kercelakach obu brzegów Wisły, gdzie obok empirowych foteli wystawiono na sprzedaż zwoje transmisyjnych pasów, obok cennych książek — kaszmirskie szale.

Śmiem twierdzić, że pięć lat temu, mimo że też rabowano zrujnowane przez Niemców domy stolicy, rabunek nie był tak powszechny. Pięć lat okupacji spełniło swe zadanie wychowawcze. Ci, których coś jeszcze hamowało wówczas, teraz nie mieli żadnych skrupułów. Futra i meble z ghett całej Polski zrobiły swoje, przesłoniły oczy, zakneblowały sumienia.

Gdybyśmy tych, którzy rabowali Warszawę, nazwali mętami, to nie wielu jest sprawiedliwych, którzy nie zasłużyli na to miano. Ileż milionów lat więzień rozdzieliłyby sądy karne, gdyby sprawiedliwości stać się miało zadość. Zbyt mało nas jest po stratach drugiej wojny światowej, abyśmy mogli pozwolić sobie na luksus wymierzania indywidualnej sprawiedliwości. Bowiem rabowały nie tylko męty, rabowali „szacowni obywatele", którzy teraz w wyszabrowanych pantoflach i melonikach oprowadzają swe rodziny w świąteczne popołudnia po deptakach zrujnowanej Warszawy.

Dzisiejsza hałaśliwa, zabiegana stolica, tyle radości sprawiająca gazetowym bardom, wiedzie żywot instynktowny, pierwotny i jakkolwiek pozornie prosty, to nie dający się jednak ująć w ramy jakichś schematów. Drobnomieszczańska plazma, obarczona dziedzicznie grzechem antyspołeczności, nieprzenikliwa dla ideałów, zatruta przez pięć lat nihilizmu — to substancja niebezpieczna wielce.

ZAGADNIENIE CENTRALNE

Jeśli z Warszawy chce się już po kilku dniach uciekać, to nie dla jej ruin, a ze względu na jej dzisiejszych mieszkańców. Setki knajp na ruinach, zwierzęcość paskarskiego żywota, ordynarny luksus w morzu bezmiernej nędzy ludzkiej wstrząsają wszelkim wrażliwym sumieniem. Warszawa jest dzisiaj wielkim Kercelakiem, pełnym egzemplarzy typu „homo oeconomicus" w najordynarniejszym wydaniu! Nigdzie zwierzęcość istoty ludzkiej nie odsłania się tak całkowicie, jak w tym mieście. Tak musiały wyglądać wyprawy konkwistadorów do Peru.

Być może, że zniszczenie Warszawy, wielkie równanie do dołu, czyniące z miliona ludzi nędzarzy, kryje w sobie pewną szansę. Jest nią możliwość uspołecznienia ich w związku z wielką ideą odbudowy stolicy. Miasto odbudowane bez wielkiej idei architektonicznej i społecznej będzie miastem martwym. Będzie miastem niesprawiedliwości społecznej, jak dawniej, z tą tylko różnicą, że dzięki przypadkowi i zbrodni nastąpiło odwrócenie wszelkich hierarchii ekonomicznych i moralnych. Powstająca w tej chwili plutokracja Warszawy, dzisiejsi kapitanowie knajpiarskiego i nieknajpiarskiego przemysłu zawdzięczają swe majątki nie wyzyskowi nawet, a zwykłemu rabunkowi. Łupy z warszawskich kamienic jako zalążek nowych fortun mają o wiele bardziej ponury aspekt, niż zdobycze wojenne, od których wyszła arystokracja średniowiecza.

Coś z tym trzeba zrobić. Dziesiątki tysięcy Kowalskich i Kwiatkowskich zaczynają odbudowę Warszawy od wskrzeszania knajp i kawiarni. Wojenna spekulacyjna Warszawa odżywa tak szybko, że może zadusić nową stolicę. Odbudowa miasta bez przebudowy psychiki jej mieszkańców jest niemożliwa. Drogi Polski i drobnomieszczańskiej plazmy rozchodzą się coraz szybciej. A przebudowy psychiki nie uda się dokonać ani przy pomocy prokuratora, ani przy użyciu słów. Tu trzeba wychowawców i bohaterów, twórców nowych symboli, nowych gestów.

WERBUNEK BOHATERÓW

Nowe symbole narastają. Mniej są hałaśliwe od symboli Warszawy drobnomieszczańskiej.

U wylotu mostu, łączącego ruiny stolicy z Pragą, prowizoryczną „caput regni", zbudowanego z równie surowego drzewa jak surowa i nowa jest nasza trzecia niepodległość, wisi plakat z postaciami robotnika i żołnierza, trzymającymi się w objęciach. Temat ckliwy i oklepany, wykonany jak najrealistyczniej przez malarza samouka w pierwszej chwili nasuwa skojarzenia z gramofonową muzyką z okien o szybach z dykty i papieru. Ale nie! Właśnie dlatego, że jest nieudolny, rzecz ma się tu całkiem przeciwnie. Tutaj anonimowy sprawca — do wczoraj być może malarz pokojowy i tapeciarz — z gliny własnej nieudolności usiłuje ulepić symbol nowy. Zezowaty nieco robotnik i żołnierz o zdecydowanie za krótkiej szyi, bohaterowie plakatu — to próba nakreślenia znaku ujmującego to, co dławione żużlem hałd drobnomieszczaństwa jest cennym jądrem spodniej warstwy rzeczywistości — warstwy pracy.

Postać chłopska z innego równie nieudolnego i obrażającego uczucia estetyczne plakatu głosi — To jest ziemia Jana Kosa. Zdanie wyrażające myśl najprostszą, choć najważniejszą przypomina zdania z pierwszych lekcji wszelkich podręczników wszelkich języków obcych — „To jest dom, to jest Jan".

Podstawowa kategoria wszelkiego myślenia, wszelkiej działalności.

Tak, to jest ziemia wszystkich Janów Kosów, którzy na niej i dla niej pracują. To jest miasto wszystkich Janów Kosów, których się nie widzi na jego ulicach, bo od świtu do nocy uprzątają gruzy stolicy — pod gmachy szkolne, nie pod knajpy. To jest miasto wszystkich Janów Kosów, których życie składa się z dwóch części — pracy w nieopalanych biurach i snu w nieopalanych izbach. Gdzieś w jednym końcu miasta architekci kreślą plany, w innym niewykwalifikowani robotnicy wiercą artezyjską studnię. Wszystko to dzieje się pod hałaśliwą, kuplerską błoną drobnomieszczaństwa. Wbrew i mimo Kowalskim i Kwiatkowskim uruchamia się wielki aparat — dzieło budowy nowej Warszawy. Werbunek bohaterów, którzy zetrą symbole drobnomieszczańskiej, przejściowej epoki z fundamentów d o m u, w którym wszyscy mamy mieszkać, trwa.

Mieczysław Wionczek

Kwiecień, 1945.

Artykuł powyższy drukujemy na prawach dokumentu, przypominając czas jego napisania — kwiecień 1945. Od tej pory w odbudwie Warszawy zaszły zmiany, które łagodzą cierpkie wnioski autora.

SPRAWOZDANIA

LITERATURA NA PRZEŁOMIE

1. LITERATURA POD OKUPACJĄ

Tragiczna klęska września 1939 roku wraz z całym bytem publicznym narodu gwałtownie zatrzymała nasze życie literackie przeszło na długich pięć lat niebywałej dotąd w dziejach powszechnych niewoli. Bo nawet pod najsroższym uciskiem dawniej przez naród nasz doznawanej przemocy wrogiego najazdu, utrzymywały się przecież w kraju mniej lub więcej ograniczone możliwości jawnego działania polskich czynników. Natomiast pod ostatnią okupacją zastosowano tak krańcowo bezwzględne i tak metodycznie precyzyjne środki niszczenia i tępienia narodowych wartości kulturalnych, że jakikolwiek jawny ich rozwój stał się wręcz niemożliwy, dopływ wieści zagranicznych — poza niemniej prześladowaną falą radiową — prawie zupełnie zamknięty, ruch podziemny, najeżony niebezpieczeństwami, z konieczności mocno skrępowany i ograniczony. Pozory zaś polskiego szkolnictwa i polskich druków, jakie dopuszczono pod wyłączną opieką osławionej propagandy okupacyjnej, były właśnie obliczone na celowo zamierzoną zagładę polskości przez poniżenie jej do stanu niewolniczego barbarzyństwa. Toteż ledwo wyjątkowi zaślepieńcy, zresztą jacyś moralnie zwyrodniali ludzie złej woli przykładali swą rękę do takiej gadzinowej roboty.

Wbrew temu wszystkiemu, nie opuściliśmy rąk bezczynnie i wśród najzażartszych prześladowań rozwijała się bez przerwy podziemna praca kulturalna, skierowana jednak przede wszystkim ku kształceniu młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej. Obok wydatnie szerzonej tajnej prasy społeczno-politycznej, działał wszakże i ruch literacki. Przejawiał się w mniej licznych wydawnictwach drukowanych, hektografowanych, fotografowanych lub choćby przepisywanych na maszynie, obficiej w ograniczonych z konieczności prywatnych odczytach, recytacjach utworów poetyckich, nawet w przedstawieniach teatralnych, koncertach i wystawach. Po większej części miało to jednak charakter amatorski. Zrzadka tylko udawało się urzeczywistnić jakiś poważniejszy wysiłek twórczy, bo w pośpiechu, pod grozą Gestapo, a wśród przymusowych zatrudnień pracą zarobkową lub choćby pozorną — nie stać było na rzetelne przygotowanie i prawidłowe wykonanie podejmowanych zadań.

Istotną zasługą całej tej działalności był sam jej ruch, sam fakt stwierdzający potrzebę twórczą i dążenie do jej społecznego zaspokojenia. Wyniki tego ruchu, choć ilościowo stosunkowo obfite, jakościowo pozostaną raczej dokumentem duchowej prężności, aniżeli świadectwem osiągniętych dokonań.

Nie mniej w tak okropnych, że aż beznadziejnych warunkach wystąpił na jaw szereg młodych, dobrze na przyszłość zapowiadających się talentów, z których jednak sporo przedwcześnie zamilkło, bądź to zamęczonych w więzieniach i obozach, bądź też poległych w konspiracyjnej walce z najeźdźcą. Ich zresztą puścizna, jako też twórczość młodych, co przeżyli, znana z niewielu odpisów i przeważnie tylko węższym kołom przyjaciół, do szerszego społeczeństwa dotarła w drobnej ledwo cząstce, i dopiero po zebraniu i wydaniu drukiem podlec może właściwej ocenie.

Na razie ogólnikowo da się stwierdzić, że literatura pod obuchem wroga zgładzić się nie pozwoliła, że trwała i nie ustawała w wysiłkach przejawiania swego bytu. Jeśli się zważy, z jakimi oporami walczyć jej przyszło i jak ofiarna była to walka, nie będzie przesadą, gdy się orzeknie na podstawie choćby samej rozpiętości ruchu, że polska twórczość literacka w okresie okupacyjnym zadanie swe chlubnie spełniła, lub przynajmniej dokładała wszelkich starań, aby powołaniu swemu podołać.

2. KSZTAŁTOWANIE SIĘ NOWEGO PRĄDU

Tymczasem zrzadka dochodziły i szerzej się rozpowszechniały w odpisach maszynowych lub ręcznych poszczególne utwory przenikające z emigracji zachodniej, jak zwłaszcza wiersze Tuwima, Broniewskiego, Słonimskiego, rzadziej jeszcze ze wschodu, jak np. powieść Wasilewskiej. Dopiero pod koniec okupacji w maszynowych odpisach krążyć począł cały cykl wojennych wierszy Przybosia, ukrytego pod mocno przejrzystym pseudonimem Juliana Wgłębleskiego.

Zbiór ten, wraz z trzema innymi tomikami Jastruna, Putramenta i Ważyka, wydany drukiem na schyłku 1944 roku nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich w Lublinie, wraz z sześcioma numerami pierwszej lubelskiej serii *Odrodzenia*, — jest już bezspornym i naocznym zjawiskiem, ustalającym istotny rozwój twórczej woli poetyckiej i wskazującym nowe wartości literatury polskiej na przełomie dziejowym narodu. Toteż ocena tych pierwszych czterech tomików poezji, wydanych w oswobodzonej Polsce, stawia przed współczesnym im krytykiem zadania wykraczające poza formuły literackie. Są to bowiem nie tylko utwory niewątpliwie artystycznej poezji, poezji przy tym przeważnie wysokiej miary, lecz również dokumenty społeczne, najściślej związane z dziejową rzeczywistością, która je wydała.

Utwory te, pisane czasu wojny, przez czterech poetów przeżywających odmiennie losy owych lat, wyrażają szczęśliwie dobranym trafem rozmaite warunki i rozmaite typy poetyckiego ujmowania dogłębnie wstrząsających człowiekiem doznań i przemyśleń. Spróbujemy scharakteryzować je kolejno, jak one przedstawiają się czytelnikowi pod bezpośrednim wrażeniem zjawiska, od którego — po wskazanych latach publicznego zastoju kulturalnego — poczyna się nowe życie polskiej twórczości literackiej.

Tematycznie i czasowo tkwią one zresztą w owej zamkniętej już przeszłości wojenno-okupacyjnej, z którą jednak rozprawiają się osobistą prężnością moralną poetów w sposób odrębny, co każdemu ze zbiorów nadaje zupełnie odmienny ton i charakter. Znajdują się w nich przecież pewne wspólne znamiona, tym bardziej zadziwiające, że powstawały w różnych warunkach rzeczywistości społecznej, od przytłaczającej grozy cieniów ghetta warszawskiego, poprzez drogi tworzonego na ziemiach Związku Radzieckiego Wojska Polskiego, aż po środowisko twardego bytu chłopskiego na wsi polskiej pod Rzeszowem.

Wspólną cechą tych bliżej lub dalej z przedwojenną awangardą związanych poetów jest widoczny zwrot do klasycznej przejrzystości wyrazu, występujący nawet we własnej i odrębnej technice Przybosia. Jest to zapewne skutek przemian i doświadczeń wojennego okresu, widoczny zresztą u większości autorów, których utwory prozą lub wierszem czytujemy obecnie w *Odrodzeniu*. Poniekąd przypisać to można założeniom poglądu na świat, wyraźnie opowiadającego się za realizmem. Słowem, jest to zjawisko, o którym powiada się, że wisi w powietrzu, jakim oddychamy, czyli że przenika ono z otaczającego nas środowiska socjo-psychicznego. Że mimo to, każdy z czterech poetów, otwierających dzieje naszej odnawiającej się, jawnie w kraju tłoczonej literatury, przedstawia zupełnie odrębny ton własny, świadczy to znowu niezbicie o podstawowym dla wszelkiej twórczości artystycznej znaczeniu indywidualności, która właśnie stanowi i rozstrzyga o istotnych wartościach dzieła.

3. MIECZYSŁAW JASTRUN

Najmniej odbiegający od przedwojennej linii rozwojowej *Skamandra*, chociaż sięga teraz raczej do wzorów wielkiej poezji romantycznej, do Mickiewicza i Słowackiego, Mieczysław Jastrun w wydanej obecnie *Godzinie strzeżonej* różni się jednak dobitnie od przedwojennego autora *Dziejów nieostygłych*. Nadal nie ma w nim woli czynnego organizowania życia. Jego postawa jest wciąż kontemplacyjna. Nawet we wstępnym wierszu zbioru, gdy jakby rywalizuje z pewnymi motywami mickiewiczowskiej improwizacji, poeta nie wychodzi poza właściwy sobie rodzaj duchowej chwiejności. Pod wpływem jednak grozy przeżyć wojenno-okupacyjnych zmusza sam siebie do nazywania rzeczy po imieniu, przezwyciężając swój lęk przed wcielaniem nagich faktów w ciężar i gęstość słowa. Nie umie wprawdzie pokonać przerażenia, wynikającego z „regulaminu mordu", kiedy co chwila śmierć zagląda w oczy i poeta wciąż „może nie dokończy pieśni". Toteż jego poezja przedstawia niemal wyłącznie uczucia i wrażenia człowieka zagubionego w przeraźliwej rzeczywistości czasów pogardy, tej wszystkim nam, którzy ją przeżywaliśmy, dobrze znanej grozy istnienia, nie obcej nawet tym, co mieli zahartowane serca. Nie dziwne zatem, że na łagodną i miękką naturę zanurzonego w marzeniach o nie nazwanym poety — lata rozstrzeli-

wań i najbardziej nieludzkiej, jaką wyobrazić sobie było aż trudno, poniewierki — padły koszmarem przerażonego smutku. Jest to pod tym względem najściślej wiarogodny dokument dziejowej chwili i zarazem najwnikliwiej odczuty sprawdzian jej odbicia w duszy człowieka, który w zamykającym tomik *Liście w przestrzeń* zestawia siebie z owym Grekiem z poematu Norwida: *Quidam*. Bo:

Ginął marnie, kto o śmierci godnej
Roił, rozwalony o mur,
Jak wół zarżnięty... za świadków zbrodni
Mając kamienie — niemy chór.

Takim był — jeden z miliona zabitych —
Polak czy Grek, mniejsza o imię,
Zapamiętajcie datę, lżejsza od dat bitew,
Od narodzenia Chrystusa — 1944 rok,
Uniesiony dymem
Krematorium —
Gdzie jego proch?

Takim był — jedno z trzech milionów
zdarzeń —
Wiedziony na śmierć za to, czym nie był:
Żyd, ojciec z małym synkiem. Widzę:
dziecko płacze,
Ojcu, gdy się nachyla nad nim, nie łzy,
krew uszła z twarzy.
Spłoszona litość, oko zimne, dzień nie
świeci niebem.
I proch tułacza ziemi zostanie tułaczem.

Taką z nagich faktów niemieckiego barbarzyństwa wysnutą poezję grozy najsłuszniej dałoby się porównać z opisami inkwizytorskiego okrucieństwa w nowelistyce E. A. Poe, gdyby nie świadomość, że stworzona przez hitlerowskich zbirów rzeczywistość przewyższyła swym pastwieniem się nad człowiekiem i jego ludzką godnością wszystko, cokolwiek było i co najchorobliwszą wyobraźnią wymyślić by zdołano. Po takich doświadczeniach ściśle rzeczowa wymowa zdarzeń przeraża mocniej od najśmielszej fantastyki, tym bardziej zwłaszcza, że masowo przez Niemców stosowane metody katowania i mordowania samym ilościowym ogromem niewinnych ofiar spychają w cień najbujniejsze lecz przecież ograniczone do pojedyńczych wypadków fikcje romantycznych poetów grozy. U Jastruna okrutna wymowa rzeczywistości spotkała się z psychiką poety, któremu zupełnie obce pozostałyby tego rodzaju natchnienia, gdyby ich nie narzucił przymus zbiorowej niedoli wypaczonego zbrodnią życia. Ten właśnie konflikt człowieka z bestią, konflikt, w którym człowieka od bestii nic nie broni, jest treścią *Godziny strzeżonej*. Jest to więc poezja klęski. Klęska ją wydała i klęska znalazła w niej dokumentarną wymowę, przełożoną tylko z doznań rzeczywistości na ich wyraz w przeczulonej i w swym najzupełniej usprawiedliwionym przeczuleniu przerażonej duszy poety.

Zastanawianie się w tych warunkach nad środkami artyzmu poetyckiego budzi pewnego rodzaju zawstydzenie. Mówić tu można raczej o stopniu wydobytego z faktów wzruszenia, czyli o znalezionym przez poetę w słowie uczuciowym równoważniku autentycznych przeżyć. Mimo pewną jednostajność stosunku poety do przedstawianej rzeczywistości, skala jego poetyckiego wyrazu jest dość urozmaicona. Pomijając wskazane już, zamierzone przez Jastruna odwoływanie się do tradycyjnych wzorów i wątków, lub też np. w *Uczniu* uwydatnienie tragizmu teraźniejszości wobec refleksyjnego wspomnienia „białych zmierzchów dzieciństwa" — nawet w bezpośrednich opisach wrażeń rozwija poeta dość rozległą spostrzegawczość widzenia. Nie ono jednak stanowi o poetyckim stylu *Godziny strzeżonej*, bo poeta, z natury swego usposobienia skłonny do wewnętrznych zamyśleń, z nich właśnie czerpie artystyczny wyraz osobistego stosunku do oglądanej, a słuszniej określając, uczuciowo przeżywanej przez niego brutalności dziejowych zdarzeń. Najprościej, najzwięźlej, najskąpiej i może dlatego z najlepiej wykończonym artyzmem wystąpiło to w wierszu: *Żydzi*. Jest to tak zwany utwór okolicznościowy z rodzaju, w jakim np. Norwid celował. I u Jastruna taka podnieta poetycka wydała tu w swoim rodzaju arcydziełko, zupełnie odmienne od właściwego poecie stylu, lecz którego nie będzie wolno pominąć przy układaniu antologii z tego okresu, i może w ogóle w antologiach liryki polskiej. Najładniejszy to chyba poetycki pomnik, wzniesiony ku upamiętnieniu zbiorowego męczeństwa żydowskiego pod obuchem „epoki" hitlerowskiej. Kto zaś chciałby z *Godziny strzeżonej* wybrać utwór bardziej znamienny dla samego poety, sięgnie raczej do niemniej skupionego *Pogrzebu*, do subtelniej lirycznego *Skazańca*, do nie wymienionej, Warszawie poświęconej *Wieści*, lub do bodaj najkunsztowniej klasycznieiącego Jastruna w wierszu *Poprzez czas*, gdyby we wspomnianym już *Wstępie* osobowość poety, potrąciwszy o mickiewiczowską strunę, nie wyraziła się najpełniej. Spotkałem się wprawdzie ze zdaniem jednego z wybitnych naszych znawców poezji, że własna indywidualność Jastruna doskonalej wcieliła się w jego twórczości przedwojennej, wydaje mi się jednak, że dopiero przez *Godzinę*

strzeżoną poeta znalazł drogę do takiego liryzmu, w którym ponad nawiasowy wygłos przebiła się życiem sprawdzona prawda, nadająca poezji głębiej sięgające i dalej mierzące tchnienie dojrzałej osobowości twórczej.

4. ADAM WAŻYK

W wyższym jeszcze stopniu, na odmiennej zresztą postawie wewnętrznej poety, występuje to zjawisko artystycznego dojrzewania poprzez realistyczne doznawanie społecznego środowiska w *Sercu granatu* Adama Ważyka. Wyznać tu muszę mą, nie tę jedną zresztą, krytyczną winę przedwojenną, winę jednak kiedy indziej wynikającą przeważnie ze zbyt pośpiesznego przeceniania pewnych współczesnych zjawisk literackich, w danym zaś wypadku winę niedoceniania Ważyka jako poety i pisarza. Zauważyłem to zresztą już w połowie lat wojennych, czytając powtórnie jego powieść *Mity rodzinne*, która — po dość wątpliwym poprzednim wrażeniu — wydała mi się teraz zasługującym na uwagę dziełem realizmu socjopsychologicznego. Jest to książka, która w dzisiejszym mym przeświadczeniu lepiej przetrzymała ogniową próbę wojennego czasu od wielu ówcześnie korzystniej ocenianych powieści. W *Mitach rodzinnych* mamy do czynienia z bardzo poważnym i w znacznej mierze udanym wysiłkiem uwydatnienia ludzkiej prawdy. Ten sam właśnie rys występuje jeszcze dobitniej i w sposób artystycznie w pełni opanowany w poezjach *Serca granatu*.

Dawny awangardowy poeta przedstawia się nam teraz w odmienionej postaci klasyka. Bynajmniej to jednak nie nawrót do tradycjonalizmu, jaki zauważyć się daje w powojennej twórczości niektórych naszych poetów. Ważyk, nie nawiązując bezpośrednio do wypróbowanych dawniej wzorów, czerpie z nich jednak świadomość takiego panowania twórczego nad obraną formą poetycką, aby stała się ona istotnym równoważnikiem zamierzonej uczuciowej treści, będąc zarazem jednakowo wewnętrznie pogłębioną i zewnętrznie dostępną. Jest to formuła klasycyzmu, który najprościej się określi, jako realistyczny, czyli klasycyzm tego rodzaju, którego w naszej literaturze najwyższą od razu miarę wskazał i ustalił Mickiewicz. Wzywanie tego najświetniejszego polskiego imienia poetyckiego nie jest tu daremne, jeśli się zważy, iż właśnie Mickiewicz w twórczej świadomości dojrzałych obecnie do swych zadań poetów stał się kształtującym sztukę poetycką, dobrowolnie obieranym w niej przewodnikiem. Dowodem poświęcony Mickiewiczowi artykuł Przybosia w *Odrodzeniu*, oraz w tymże piśmie przygodne wzmianki na ten temat innych naszych poetów.

Drogę swą od poetyckiego awangardyzmu z wszystkimi jego wybujałościami do klasycznej jasności i prostoty, tym właśnie trudniejszej, że opartej na prawdzie człowieka i na prawdzie poety, sam Ważyk opisał w utworze z r. 1940 pt. *Pożegnanie Inkipo*. Wyznanie to i jego data mają znaczenie dla naszej poezji przełomowej. Zamiast nieudolnie streszczać prozą, przytaczam je w całości:

Inkipo, końskie miasto, gdzie różowe klacze
wyrastając nad ludzi, na przełaj stuleci
biegły, żegnaj, Inkipo, jeśli cię zobaczę
kiedyś, to chyba w książce pisanej dla dzieci:
spoczciwiałe miasteczko, będziesz kalkomanią
odartą z mgły perłowej i chłopcy poklepią
twoje konie po grzbietach, nie zagadasz
stajnią
parskającą do przygód, co się wszystkie ślepo
kończyły — zagadkową karczemną scenerią,
albo lasem bez wyjścia... Jakaś nastoletnia
skrytobójczyni, pędząc na skradzionej klaczy,
zmrużyła do mnie oko: tam nie brano serio
nawet zbrodni i człowiek jak las obojętniał;
ptak się z niego naśmiewał: co właściwie
znaczy
Inkipo, to nieludzkie urojenie? Żegnaj,
miasto, które sławili mistyfikatorzy!
Ja także zachodziłem między nich onegdaj,
alem ja, brednio moja, zgryzł cię i otworzył
przez pół, pokrętną, stęchłą, jak wnętrze
orzecha
co wysechł. Jeśli o mnie spyta kto w Inkipo,
opowiedzcie mu prawdę: nawet ten odjechał.

Na wierszu tym, poza jego tematyczną wymową, odżegnującą się stanowczo od swawolnych igraszek dziecinnego pokoju, widać wyraźnie, jak poeta głęboko się oto zżył z istotą formy klasycznego realizmu, jak formę tę po mistrzowsku opanował i jak ogromnie przez to zyskał własny wyraz jego twórczego oblicza. Zwrot do klasycyzmu stwierdza też Ważyk bezpośrednio w bardzo pięknym naśladowaniu Horacego: *Gdzie sosna wielka...* Mówi tam nasz poeta o owym wierszu horacjańskim, przywołanym z pamięci po latach dwudziestu, jak dał mu „w antycznej dojrzeć topoli — rzecz nadwiślańską, co trwa i rośnie — i trwa, i boli..."

Bo i *Serce granatu* wyrosło z klęski, której goryczy kielich poeta wypił do dna. Jest to poezja dogłębnie tragiczna, zrodzona z dala od ojczyzny w duszy poety, tęskniącego do pozostawionej w kraju rodziny, z której nikt nie ocalał. Jeśli nie najpiękniej-

szy, to w każdym bądź razie najbardziej wzruszający tego wyraz dał Ważyk w *Trzeciej jesieni*, poświęconej wspomnieniu żony. Lecz ta poezja tęsknoty za krajem, dokąd poeta zdąża z ziem Związku Radzieckiego w mundurze żołnierza polskiego, nie poprzestaje na stwierdzeniu klęski. Podnosi mocny głos wyzywający wroga i żądający od niego porachunku, głos zemsty na wrogu, który odarł człowieka z wszystkiego, co mu najdroższe. W poezjach *Serca granatu* żegna się Ważyk z minioną młodością, aby przemówić z męską, w bólu i w boju zahartowaną dojrzałością. Zaznawszy klęski, poeta nie załamuje rąk, nie biada i nie trwoży się, lecz chwyta za cyngiel karabinu, aby orężnie rozprawić się ze złoczyńcą, aby znaleźć ten jedyny i sprawiedliwy odwet, jakim śmiertelnego wroga dotknąć można i należy. Tragizm poezji Ważyka nosi na sobie piętno postawy bohaterskiej, postawy moralnej zrodzonej z żołnierskiego trudu i znoju.

Sama zmienność miejscowości, w których powstawały poszczególne utwory zbioru, wprowadza do nich duże urozmaicenie rozszerzając skalę poetyckiego obrazowania. Mylne byłoby jednak snuć stąd jakiś uogólniający wniosek. Bo nie w opisach scenerii wyzwala się tu poetyckie poszukiwanie słowa, wyrażającego prawdę człowieka, lecz właśnie w dociekaniu owej prawdy. W *Zwierzeniach*, wysnutych ze wspomnień rodzinnego miasta, wypowie się to zadumaną tęsknotą nad myślowym widokiem powrotu do zielonych nad Wisłą cmentarzy, by „wyspowiadać się tym, co polegli", by — mówi poeta:

Poczuć wiosnę i zdziwić się miastu,
i twojego przerazić się gestu,
muzo, muzo mych lat dziewiętnastu,
smutna żono moich lat trzydziestu.

W *Poemacie sprzężonym* wspomnienie widzianej w cyrku żonglerki, splatając się z wizją lokomotywy, dążącej na zachód ziemią wróconą spod zaboru, wśród obrazów popieliska sponiewieranych siedzib ludzkich, prowadzi do mocnego końcowego akordu, w którym dziewczyna celnie mierzy z karabinu w serce faszysty, zaciętego wroga poety. W precyzyjnie zwięzłych *Spojrzeniach* krajobraz leśny, ujęty jakby w malarskiej kompozycji, od światła oczu sarnich utkwionych w pogorzelisku przenosi myśl poety do kogoś, „kto kraj ogarnie okiem pocisku". Podobnie w *Sercu granatu* trzykrotny nim rzut na zachód, w *Na śniegu* pod wystrzał z ciężkiego działa wzniesiony okrzyk przez dłonie zwinięte w trąbkę — występuje uporczywy motyw wytęsknionego powrotu do ojczyzny, gdzie już z lasów i ciemnic ukryci w nich bojownicy wyglądają „z przekleństwem polskim i partyzanckim". W zamykającym wreszcie zbiór, nabrzmiałym wzruszeniem wspomnieniowym *Szkicu pamiętnika* czytamy jakby poetycką transpozycję *Mitów rodzinnych*.

Celowo przytoczyłem tu mniej bojowe, choć zawsze myślą odwetu przeniknięte, lecz treścią uczuciową tym bliżej związane z Ważykiem jako człowiekiem utwory, bo — jak mi się zdaje — z nich najżywiej przemawia osobista prawda poety. Niektóre inne wiersze zbioru bądź to mocniej uderzają w ton odpłaty za najazd, bądź też bezpośredniej przedstawiają drogę poety ku temu odwetowi wiodącą, lecz w tamtych wymienionych właśnie motyw wspomnieniowej tęsknoty wiąże się z bardziej pogłębionym skupieniem artystycznego wyrazu, najwyżej wznoszącego się bodaj we wskazanych poprzednio *Trzeciej jesieni*, *Gdzie sosna wielka...* i w *Spojrzeniach*.

5. JERZY PUTRAMENT

Zupełnie odrębny ton pieśni żołnierskiej na tej samej co i Ważyk drodze powrotnej w szeregach Wojska Polskiego podjął Jerzy Putrament. Jego *Wojnę i wiosnę* zestawić by się raczej dało z powstańczymi *Pieśniami Janusza* Wincentego Pola. Tylko że inna tu teraz brzmi struna społeczna, odmienny barwi się koloryt uczuć, myśli i dążeń. Inaczej niż u Ważyka, któremu konieczność dziejowa położyła palec na cynglu karabinu, u Putramenta żołnierska postawa bojowa zrasta się z charakterem człowieka zbrojnego czynu, jest jak gdyby wrodzonym mu temperamentem. Powiedziałbym tu nawet temperamentem — szlacheckim, jako bliżej określającym charakterystykę poety, pałającego krwistą i ognistą werwą swych uwiecznionych w *Panu Tadeuszu* antenatów. Poza tą zresztą czysto zewnętrzną cechą dziedziczną, Putrament ideowo, myślowo i obyczajowo daleko odszedł od dawności. Jest to człowiek na wskróś nowoczesny. Toteż, mimo napomkniona paralelę, nowoczesna jest jego zrodzona z żołnierskiego trudu i znoju poezja.

W *Wojnie i wiośnie* znajdujemy jakby na gorąco uchwyconą rzeczywistość doli i niedoli żołnierza polskiego, z pieśnią na ustach i nie bez obozowego choć nieraz kwaśnego humoru wyruszającego w drogę, wymoszczoną tęsknotą za powrotem do „niezniszczalnej, odrodzonej i wolnej". Niejednemu przyśni się niekiedy straszny sen, jak owemu chorążemu Gondowiczowi, że był Niemcem kraj jego plądrującym i jak tam sobie upiornie poczynał. Bo:

Inne sny się Polakom nie marzą.
Innych snów się spodziewać nie śmią.
Nasze klęski i nasze winy,
nasze grzechy i nasze nieszczęścia
idą wszędzie za nami śladem.
W dzień przemocą je odpychamy.
W nocy topią nas sennym bezładem,
stutwarzową koszmarną zgrają.
Podrywamy się z krzykiem.
Gniew bezsilny na siebie samych
zaciska nam pięści.

I tego więc motywu nie pominął poeta w utworach, które sam nazwał „prostą melodią, prawdą surową o ubogich polskich żołnierzach". Ostateczny wyraz jednak tej polskiej żołnierskiej prawdy zawiera najcelniejszy utwór całego zbioru, powszechnie już znany i powszechnie uznany *Karabin*. Jeden to z najpiękniejszych polskich wierszy wojennych, który z pewnością utrwali się w pamięci ogółu i wejdzie na stałe do antologii polskiej liryki. Jest w tym wierszu świetnie uchwycona nuta ludowa, tylko przełożona na piękny a jednak prosty język artystycznej poezji. Są w nim zwięźle ujęte uśmiechy zapamiętanej przeszłości, zapamiętanej po to, aby tym ostrzej wystąpił tragizm teraźniejszej rzeczywistości o owej oddalonej od żołnierza ojcowiźnie, spustoszonej przez okrutnego wroga. Bo jest w tym wierszu także wyraźnie określona chwila dziejowa, chwila, w której zwracając się do śpiącego przy drodze żołnierzyka, mówi poeta:

Z tego, coś ukochał,
nie ma nic. Zapamiętaj. Nie ma nic. Jest tylko
karabin, który tulisz do piersi. I to twój
przewodnik i przyjaciel jedyny. Niech miękną
łatwowierne nadzieje. Chłopcze, serce gotuj
na cierpki dosyt zemsty, nie na jasną radość.
Mroczne słońce przez krzaki zaczyna się skradać.
Chmury z miejsca ruszyły i na zachód płyną.
Uważnie otrzyj z rosy zamek karabinu.

Bojowy temperament poety bynajmniej nie przesłania mu rzeczywistości społecznej w jej nagiej prawdzie. Putramentowi obce jest rozmiłowanie w wojence. Chociaż w *Toaście*, który po *Karabinie* wyróżniłbym na drugim miejscu, wychyla kubek siwuchy na powrót zwycięskich żołnierzy do ojczyzny, sławi nim nie wojnę, w której poznał „smak upajający i cierpki", lecz „kraj nasz nieśmiertelny, ludziom przychylny". Taka społeczna postawa nadaje poezji Putramenta o żołnierskim trudzie i znoju nowe i zupełnie odrębne piętno.

Tęsknota za pokojową urodą polskiej wsi przewija się też w innych utworach zbioru, mówiących o grozie wojny. Grozy tej z całą jej surową wymową najdosadniejszy widok pokazał poeta w *Przejściu czołgów*, po których śladzie:

Na drodze leży dziecko, oczy półotwarte,
w rączce lalka.

Wymowa tego zakończenia wiersza mogłaby być pojęta za ostry wydźwięk pacyfizmu, gdyby nie wskazana gdzie indziej konieczność odwetowej rozprawy orężnej z najeżdżającym kraj wrogiem. Po nim to właśnie pozostało na drodze owo zgniecione czołgiem dziecko z lalką w rączce. Spod jego to przemocy śliczny *Fragment* listu pisanego przez umiłowaną do żołnierza polskiego kończy się wezwaniem: „Śpiesz się..." Bo tylko żołnierz mógł przynieść ojczyźnie i bliskim gwałtownie pożądany ratunek przed zagładą. I już nie dla wszystkich, lecz dla wielu jeszcze z ratunkiem tym zdążył. Poetyckim i zarazem społecznym dokumentem żołnierskiego pochodu do sprawiedliwego zwycięstwa jest właśnie *Wojna i wiosna* Putramenta.

6. JULIAN PRZYBOŚ

Jaka tymczasem była w owych okrutnych latach powszechna rzeczywistość kraju, jak w najokropniejszych warunkach zniewolonego bytu narodowego i bytu ludzkiego hartowała się moralna wola społecznego trwania i wytrwania, jak się kolejne wzruszenia bolesnych przeżyć — wbrew wszystkiemu niestłumionego poczucia wolności człowieka i niezachwianej wiary w wyzwolenie Polski spod chwilowej przemocy — odzwierciedlały w lirycznym pamiętniku poety, tego dokumentem społecznym i nie mniej na wskróś artystycznym zbiór wierszy Juliana Przybosia: *Póki my żyjemy*.

Ten tytuł poetyckiego cyklu określa zawarta w nim treść moralnego nurtu. Postawa duchowa autora, jaką co dopiero wskazaliśmy po części własnymi jego słowami, wyjętymi ze zwięzłej przedmowy do drukowanego wydania zbioru, krążącego wcześniej tajnie w rękopisach i maszynopisach, nadaje utworom Przybosia piętno i piękno twardej, po chłopsku aż zawziętej, niezłomnej mocy. Nie znajdzie się tu żadnych łzawych roztkliwiań, ani też rozpacznych biadań, skoro najgłębiej wstrząsające doznania lub wieści streszczono do zwięzłego podania faktu, wynikający zaś stąd liryzm uczuciowego wzruszenia objawia się w celowo

przemyślanym układzie poetyckiej budowy całego utworu, w którym nie ma słów niepotrzebnych. Ma jednak i ta budowa pewną szczególną wymowę, wspólną całemu zbiorowi, mimo różnorodność zastosowanych w nim środków lirycznego obrazowania przeżyć. Istotę tej wymowy również sam poeta oznaczył, wyznając w przedmowie, że wprawdzie ani na chwilę nie poddał się zwątpieniu, „ale ustawicznie towarzysząca mu, jak prawie każdemu Polakowi, myśl o nagłym końcu, nadała utworom z tego czasu znamię słów ostatnich".

Pierwsze utwory zbioru pochodzą z miesięcy przedwojennych. Pisane w Paryżu i na Korsyce, świadczą one, jak zresztą i dawniejsza twórczość poety, że jego postawa wewnętrzna już poprzednio odznaczała się męskim hartem, wolą zwycięskiej walki o wolność człowieka w świecie i o własne „miejsce na ziemi". Lata doznań i doświadczeń czasu wojny dały poecie „zgłębić doliny do dna żalu", a bywały chwile, kiedy „cała ziemia skurczyła się do jednego miejsca zapadłego na objętość człowieka". Niemniej żywy zawsze w poezji Przybosia nurt uspołecznienia, pod wpływem na wszystkich spadłej klęski wrześniowej skrystalizował się w świadomości, że poeta nawet „tu, w rozwalonym schronie, z jeszcze żywych ostatniego tchu odtworzyłby nasz hymn narodowy".

Taka jest nić przewodnia, snująca się przez cały cykl, coraz inaczej tylko, w coraz wyrazistszym widzeniu zmiennych wrażeń wiodąca poetę do udziału „w walce spólnoty", do poczucia własnego zrośnięcia z widnokręgiem, który objął człowieka w dzieciństwie, nie zatracając w nim jednak i tej o sobie wiedzy, że jest się też „osobno" i w spólnocie i na ziemi niosącej „ w wieczność koło słońca". Uogólniając, rzec można, iż poprzez *Póki my żyjemy* dojrzał w poecie pogląd na świat, będący syntezą uniwersalizmu z indywidualizmem.

Z natury duchowego usposobienia Przyboś jest intelektualistą, co wydatnie zaważyło na technice jego liryzmu, odznaczającego się stąd również surowym chłodem skupionego uczucia. Zawsze więc była mu obca wszelka wzruszeniowa wylewność i rozlewność. Z tego nawet powodu, dążąc świadomie do zamierzonej wynalazczości nowego poetyckiego wyrazu, stał się poeta nie tyle, jak się zwykło mówić, trudnym, ile raczej wymagającym od czytelnika pewnego wysiłku umysłowego. Czytelnik, nawykły do nastrojowych łatwizn, do płytkiego dogadzania utartym wzruszeniom, jest zmuszony wobec Przybosia do pokonania oporu, jaki zawsze stawia prekursowana wynalazczość artysty. W *Póki my żyjemy* stopień tego oporu jak gdyby zmalał. Zapewne nie tylko dlatego, że nurt uspołecznienia w twórczości poety zbliżył się tu do wspólnego kręgu życiowych doświadczeń, lecz również dlatego, że w tym właśnie nurcie wzrósł ogromnie rozmach liryzmu, wzniósł się do dojrzałej mocy, jaką daje artyście oparcie o wspólną wszystkim rodzimość i codzienność, jeśli z tych źródeł wydobywa ich najdalej i najwyżej sięgające ujścia. Zauważyć nadto należy, iż poprzez to pogłębienie i poszerzenie uspołecznienia liryzm Przybosia nabrał teraz ciepła, stał się uczuciowo nam bliższy, zwłaszcza wtedy, kiedy poeta wprowadza do swej twórczości gorętsze brzmienia osobistej struny życiowej, co jeszcze wyraźniej wystąpiło w znanym na razie tylko z krążących pod okupacją odpisów cyklu lirycznym: *Do ciebie o mnie*, ale co już w *Póki my żyjemy*, nie tylko w takich utworach, jak zwrócone do żony i córeczki arcydziełka liryzmu: *Małe słońce* i *4. IV. 1943*, bo również w związku ze społeczno-politycznymi tonami całego cyklu świetnie się ujawnia. Zresztą zauważono to już z powodu wydanego w r. 1938 tomu pt. *Równanie serca*, gdzie zaznaczyła się droga rozwojowa poety, która w uspołecznionym nurcie czasów wojennych znalazła sobie szersze i lepiej pogłębione ujście.

W ten sposób również u Przybosia występuje zwrot do klasycyzmu, zwrot radykalniej wśród dawnych twórców awangardy zainicjowany przez Ważyka. Tymczasem u Przybosia jest to nie tyle zwrot, co raczej uklasycznienie własnych zdobyczy awangardowych. Poeta bynajmniej z nimi nie zrywa, tylko udoskonaliwszy swą metodę, ogarnia nią inne przedtem zaniedbywane czynniki poetyckiego gospodarstwa i osiąga pełnię zamierzonego celu. Jest to więc nadal ten styl liryki, o którym i teraz wyznaje sam poeta: „Fundamentalną zasadą, na której budowałem swoją praktykę i teorię poetycką, była i jest *zasada rygoru*. Dążyłem i dążę do najsurowszej dyscypliny twórczej, do selekcji treści wewnętrznej i do największej celności wyrazu; do zwartości takiej, aby nie tylko żadne słowo nie było zbędne, ale żeby jego najdalszy odblask znaczeniowy działał w ścisłej zgodzie z odcieniami znaczeń wszystkich słów, wszystkich zdań — i wszystkich wzruszeń w poemacie. — Wobec takich wymogów (niewłaściwym byłoby powiedzieć, że je sobie stawiam — wynikają one z mojej natury) ostać się mogą wzruszenia, których stłumić nie sposób, treści nieodparte już, jedyne, takie które się nie powtarzają i które angażują całego człowieka. Aby im dać wyraz, trzeba znaleźć za

każdym razem na nowo nową zasadę układu, trzeba wynaleźć kształt tak niepodobny do dawniej narysowanych, jak niepodobne jest wciąż nowe doświadczenie poetyckie. Każdy utwór ma być równaniem serca, matematycznie określoną definicją stanu lirycznego. To jest ideał, jakże rzadko — może nigdy — osiągalny" (*Z teorii i praktyki poetyckiej — Odrodzenie* 1945 nr 19). Tamże powiada poeta, „że liryzm jest wynikiem ostatecznym codziennych doświadczeń" i że „najbardziej artystyczny wiersz winien mieć wygląd tak przekonywający i naturalny, jak gdyby się działo bez trudu, a koniecznie jak oddech". Szczególnie ważne jest nadto zastrzeżenie poety: „Rzadko miewam wątpliwości jaki kształt ostateczny winien mieć wiersz, który piszę. Zazwyczaj wiem to nieomylnie, utwór w ciągu układania jest jak pewnik matematyczny. Ale nie mam ani odrobiny tej pewności, gdy usiłuję domyślić się, jak powinienem pisać utwory, których jeszcze kształtować nie zacząłem..." „Tam gdzie się kończy wynalazczość — kończy się poezja, a zaczyna powtarzanie, stylizacja, zdobnictwo. To dlatego poezja jest najbardziej postępowym gatunkiem literackim, najczulszym miernikiem napięć twórczych."

Własne teoretyczne uwagi poety są w zupełnej zgodzie z jego twórczą praktyką. Spełnia on w niej wszystkie uświadomione sobie, jako płynące z własnej natury, postulaty. Jego nieraz zadziwiające sposoby poetyckiego obrazowania przy swej na wskróś oryginalnej wynalazczości mają celność iście matematyczną. Jego intelektualna metoda organizowania wyobraźni doszedłszy do dojrzałości, osiąga wyniki, oddające pełną prawdę wzruszeń codziennych. Na tym zaś bodaj polega tajemnica poezji, że czytelnik w rozmaitych chwilach przeżyć osobistych odnajduje w niej siebie. Objęta nią skala przynosi mu poszerzoną i pogłębioną rozpiętość wzruszeniowej wrażliwości, co również wpływa bezpośrednio na wzbogacanie indywidualnego odczuwania i w ten sposób poezja spełnia społeczną funkcję kształcenia, wyrabiania i w ogóle organizowania wyobraźni, na co i Przyboś zwraca uwagę w przytaczanym już artykule, stwierdzając, że „dobry wiersz liryczny to definicja nieznanego dotychczas przeżycia". Poezja taka, będąc z natury rzeczy trudniejsza do pojmowania, wymagająca wydatniejszej współpracy czytelnika z zawartymi w jej tekście wartościami wzruszeniowo-artystycznymi, zwłaszcza gdy jak u Przybosia opiera się na przyjętej przez poetę „zasadzie rygoru", musi pozostać zjawiskiem odosobnionym. Jest to zresztą prawidło obowiązujące dla wszelkiej twórczej sztuki, będącej dziełem i zasługą wysiłków indywidualnych.

Aby bliżej ocenić niepospolite piękno ostatniego cyklu Przybosia, należałoby po kolei odczytywać utwór za utworem w całości, co dopiero dało by miarę artyzmu w jego wewnętrznej jedności, skupionej zwartości budowy i jak pewnik matematyczny uderzającej celności wyrazu. Jeśli więc przytaczamy zakończenie *Wiosny 1942:*

śpiew jak las napełnił drzewa
śpiew zalesił martwe drzewa
kos je złączył w las: zaśpiewał
i las — stanął

albo początek *Małego słońca:*

Żono, miotełką otrzyj
niebo ze słoty.
Jak z karty nut odwróconej
na zachód — z nieba odleciał
żurawi motyw,
na mokrych rzęsach promień jak smyczek
zagrał twe oczy

lub wreszcie taki ustęp z pisanej w r. 1943 *Nocy listopadowej:*

Aż gotowa do wybuchu mściwość
zatrzaśnie się w zamku karabinu
i stężeje w skrót gniewu: w bagnet!

są to jedne z wielu przykładów fragmentu poetyckiego obrazowania, które dopiero w związku z całością utworów ujawnią pełnię lirycznych wartości. W każdym bądź razie już na podstawie podanych urywków stwierdzić można różnorodne bogactwo motywów poetyckich, tudzież motywów tych związek z codzienną rzeczywistością, czyli znamionujący Przybosia styl realistyczny, zrywający z wszelkim symbolizmem i pochodnymi od niego reakcjami futuryzmu. Tylko że jest to realizm przeniknięty wzruszeniem zorganizowanym, czyli — określając krócej i prościej — realizm poetycki. Inaczej bowiem pisało by się prozą, a poezja, jeśli jest poezją, prozą wyrazić się nie da. Że zaś liryka, jako wyrastająca z wrodzonej człowiekowi uczuciowości, ma zapewnione sobie naturalne prawo bytu, więc i w dobie skrajnego realizmu wyrażać się musi właściwymi sobie środkami estetycznego wzruszania, czyli przede wszystkim w formie poetyckiej. Otóż i z tego względu poezja Przybosia wydaje mi się być właśnie tą, która na wyżynach swego odrębnego artyzmu skupieniem i siłą męskiej postawy najlepiej i najdobitniej wyraża duchowy styl naszej przełomowej doby.

Ostatnim rzutem oka ogarniając omówione cztery zbiory poetyckie, wysnuć z nich wol-

no wniosek sformułowany w teoretycznym artykule Przybosia, że „jeśli liryka poromantyczna była przeważnie spowiedzią egotystów, liryka, jakiej oczekuje nasz czas, będzie wzruszeniem człowieka uspołecznionego".

7. WŚRÓD MŁODYCH

Z drukowanych przeważnie w *Odrodzeniu* prób powojennego pokolenia poetów trudno jeszcze wyrobić sobie sąd o wartościach, jakich po nich spodziewać się można. Najciekawiej zapowiada się Jerzy Lau, lecz talent to jeszcze dostatecznie nieskrystalizowany, tkwiący przy tym w nieprzezwyciężonym dotąd awangardowym symbolizmie. Inni zaś znowu, liczniejsi, których nazwiska warto byłoby wspomnieć, zwróciwszy się do tradycjonalizmu, zbyt często ulegają łatwiznom poprawnie opanowanej techniki wierszowej.

Na razie niemniej trudno zdać sobie sprawę z perspektyw rozwojowych w zakresie prozy literackiej. Z nowych nazwisk pisarzy, wymienię trzech jako zwracających sobą odrębną uwagę. Są to Stanisław Dygat, Wojciech Żukrowski i Juliusz Kydryński. Dygat tkwi jeszcze w przeżytkach subtelnego, aczkolwiek chwilami drwiącego psychologizowania, a łatwość i rozlewność pióra już mu zagrażają zmanierowaniem. Talent to wszakże niewątpliwy i o poważnych możliwościach rozwojowych. Żukrowski zastanawia dobrą zwartością realistycznej prozy i żywością nurtu opisowego. W spokojnej, rzeczowej prozie Kydryńskiego, odznaczającej się ładnym stylem opowiadania, przejawia się własne, indywidualne oblicze twórcze, w tym znaczeniu, że autora tego dałoby się już poznać w utworze niepodpisanym. Każdy zresztą z trzech tutaj wymienionych i zapewne inni niedługo dadzą sposobność do dokładniejszej i gruntowniej uzasadnionej oceny.

Mniej wyraźnie zapowiada się dział krytyki, w której na razie widać więcej chęci popisywania się erudycją, przeinaczania dawniejszych sądów lub złośliwego kąsania przeciwników i przyjaciół, aniżeli prób istotnego pogłębiania zagadnień. Przygodnie wysuwa się tam postulat oparcia krytyki na nowych teoretycznych podstawach, słusznie zaznacza się przeważający we współczesnej literaturze zwrot do realizmu, lecz ani w jednym, ani w drugim kierunku nie ustala się jeszcze miarodajnie uzasadnionych wartości. Zjawisko to łatwo usprawiedliwić pośpiechem i powikłanymi warunkami przełomowych czasów. Jest to więc jeszcze jedna oznaka literatury na przełomie dziejowego zwrotu.

Uświadomić sobie doniosłe znaczenie tego zwrotu, powagę przeżywanej obecnie doby w skali narodowej i ogólnoludzkiej, oraz wynikającą stąd odpowiedzialność twórczego i krytycznego słowa — oto zagadnienia, które pisarz współczesny rozważyć i rozwiązać w sobie powinien, zanim znajdzie właściwy swemu powołaniu grunt pod nogami i konieczne dla dalej mierzącego spojrzenia gwiazdy nad głową. Bo i to zrozumieć trzeba, że realizm, jeśli ma być twórczy, a tylko taki realizm zapładnia serca i mózgi, nie może się ograniczać do samych opisów nagiej rzeczywistości, lecz musi sięgnąć ku odległym tej rzeczywistości konsekwencjom, aby sprawdzić nimi własną prawdę dziejącego się w nas i dokoła nas bytu. Zwłaszcza w zwrotnych okresach dziejowego przełomu tym ważniejszą staje się funkcja społeczna literatury jako sumienia człowieka, narodu i ludzkości.

Kazimierz Czachowski

WYKAZ TREŚCI

Str.

OD REDAKCJI 5

LEOPOLD STAFF: Pogoda późnej jesieni, Przymierze 7

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ: Stara cegielnia 9

CZESŁAW MIŁOSZ: Przedmieście, Campo di Fiori 48

JERZY ANDRZEJEWSKI: Powrót 51

JULIAN PRZYBOŚ: Do ciebie o mnie, Zjawisko wiosenne 76

JALU KUREK: Pod gałęźmi dwóch drzew 77

TADEUSZ HOŁUJ: Wiem, zdechnąć mogę... 86

JAN WIKTOR: Na ziemi Piastów 88

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI: Rozmowa 102

TADEUSZ PEIPER: W Jakucku (cz. I) 103

ROMAN DYBOSKI: Odrodzenie poezji w Ameryce XX wieku 122

KAZIMIERZ WYKA: Gospodarka wyłączona 146

SPRAWY I TROSKI: WARSZAWA

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI: Teatr Letni 171

ROMAN KOŁONIECKI: Nieznana Warszawa z lat okupacji 176

JERZY ZAWIEYSKI: Plotka o Racheli 180

HANNA MALEWSKA: Sierpień i wrzesień 181

MIECZYSŁAW WIONCZEK: Gesty i symbole 183

SPRAWOZDANIA

KAZIMIERZ CZACHOWSKI: Literatura na przełomie 187

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa — Łódź — Kraków
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka. Sekretarz odpowiedzialny: Karol Kuryluk. Kolegium redakcyjne: Leon Kruczkowski, Jerzy Putrament, Jan Wiktor. Zeszyt niniejszy zredagował Leon Kruczkowski.
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15 m. 8

P374608

CZYTELNIK